

scriptores

nr 29

zeszyt 22

Rok XII

ISSN 1644-9444

Pamięć
Miejsce
Obecność

laboratorium pamięci - małe ojczyzny - spotkania kultur

Rozmowy o kulturze przestrzeni

Jest tak, że przestrzenie mówią. Jest taka tajemnicza właściwość i ludzi, i przestrzeni, w których ludzie żyją – że natychmiast owe prozaiczne miejsca, w których się spełnia i dokonuje życie – przekształcają się w przestrzeń symboliczną. Tak jakby człowiekowi konieczna była nadwyżka sensu, symboli. Wydaje się, że człowiek nie mógłby żyć w miejscu nie obrośniętym legendą, dodatkowym sensem, narracją. Na symbolikę miejsca składa się i to co było, i to co jest, i to co będzie.

Władysław Panas

Lublin jest księgą (red. Waldemar Sulisz),
„Na Przykład” nr 48, kwiecień 1997. Cytat bez zaznaczonych skrótów.

Wydawca:



TEATR NN

i Stowarzyszenie „Brama Grodzka”

SCRIPTORES
Pamięć – Miejsce – Obecność
laboratorium pamięci
małe ojczyzny
spotkania kultur

Wydawca:
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
Współwydawca:
Stowarzyszenie „Brama Grodzka”
nr KRS 0000125849
Dyrektor Ośrodka:
Tomasz Pietrasiewicz

Adres redakcji i wydawcy:
ul. Grodzka 21 20-112 Lublin
tel. (0-81) 532-58-67, faks: 534-61-10
scriptores@tnn.lublin.pl
scriptores.tnn.lublin.pl
teatrnn@tnn.lublin.pl www.tnn.lublin.pl

Numer zredagowany przez zespół:
Marcin Skrzypek, Joanna Zętar

Ilustracje wraz z podpisami oraz przypisy pochodzą od redakcji, chyba że zaznaczono inaczej.

Elementy typograficzne w piśmie pochodzą z zasobów Ofcyny Wydawniczej Wojewódzkiego Ośrodka Kultury dzięki uprzejmości Tadeusza Budynkiewicza.

Projekt okładki: Anna Prokop; zdjęcie na okładce: Marta Kubiszyn (Plac Zamkowy w Lublinie – misterium „Poemat o Miejscu” 2005 r.). Projekt wnętrza: Anna Prokop, Marcin Skrzypek.

Skład: Amadeusz Targoński www.dtp-grafika.com
Druk: STANDRUK www.standruk.com
Nakład: 1000 egz.

Redagowanie i wydawanie „Scriptores” jest jedną z form programu „Pamięć – Miejsce – Obecność” realizowanego przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. „Scriptores” jest kontynuacją pisma „Scriptores Scholarum [Zeszyty Szkolne] – kwartalnik uczniów, nauczycieli oraz ich Przyjaciół” wydawanego przez Ośrodek od czwartego numeru w latach 1994-2000.

Rozmowa z Romualdem Dylewskim

Wiedzieć, by widzieć

Krajobraz nie jest tylko tym krajobrazem, który się widzi, ale także tym, który człowiek sobie uświadamia.

Rozmowa z Ewą Kiptą

Modne słowo na „re”

Nadzieja to jest kapitał, normalny kapitał. I to nawet ważniejszy niż pieniądze. Nadzieja ostatecznie przesądza o jakości życia.

Rozmowa z Jackiem Korbussem

Res publica

Współczesna kultura nacechowana jest utylitaryzmem i konsumpcjonizmem, czemu sztuka się przeciwstawia. Dlatego lepiej będzie zastanowić się nie: co społeczność wyniesie ze sztuki publicznej, ale: co może do niej wnieść.

Marta Kubiszyn

Miejsce – Pamięć – Obecność.

Edukacja środowiskowa

Naznaczony pustką obszar dawnej dzielnicy żydowskiej jest punktem odniesienia dla działań Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”. Ważnym elementem pracy w tej przestrzeni jest tworzenie metaforycznego języka, za pomocą którego możliwe staje się przekazywanie niesionych przez nią znaczeń i treści.

SPIS TREŚCI

- 7 Rozmowa z Elżbietą Przesmycką
Budujemy nową przestrzeń
- 16 Marcin Jan Waciński
Tramwaj w Lublinie
- 23 Rozmowa z Romualdem Dylewskim
Wiedzieć, by widzieć
- 39 Rozmowa ze Stanisławem Lichotą
Pytania o wizje
- 52 Kamil Nieścioruk
Palcem po planie
- 59 Rozmowa z Ewą Kiptą
Modne słowo na „re”
- 63 **PLAC PO FARZE**
- 81 **DE-WITALIZACJA STAREGO MIASTA**
- 85 Rozmowa z Markiem Stasiakiem
Krajobraz niewidzialny
- 108 **RZECZYWISTA WIRTUALNA OBECNOŚĆ – ŻYDZI W LUBLINIE**
- 121 Rozmowa z Bolesławem Stelmachem
O tym, kto na budowie wie najwięcej
- 143 Rozmowa z Jackiem Korbusem
Res publica
- 159 Marta Kubiszyn
Miejsce – Pamięć – Obecność. Edukacja środowiskowa

Historia,
Pamięć,
Pojednanie

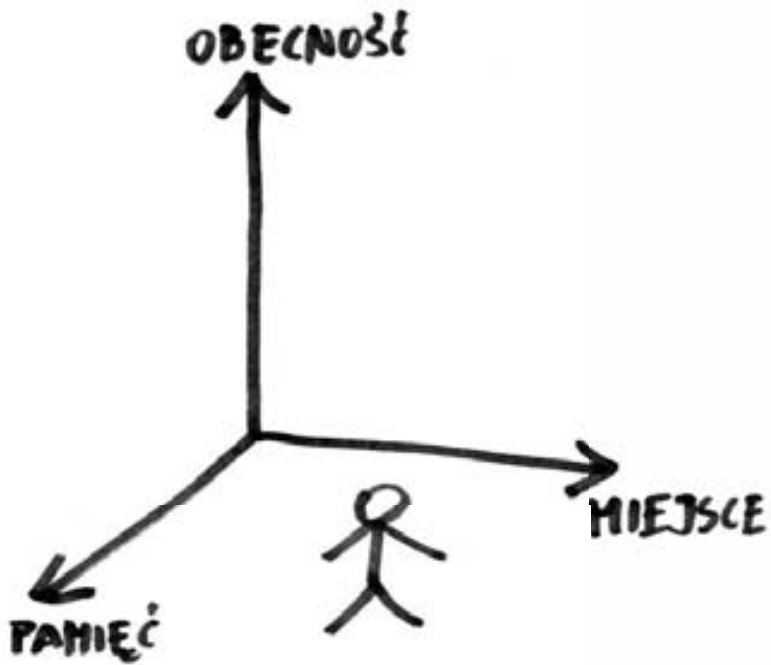
ŚCIEŻKAMI PAMIĘCI

- 184 Ireneusz Piekarski
Pochwała wagarów. Kim był H. Dejczerski?
- 185 Henryk Dejczerski
Spacer po Lublinie. Reportaż z wagarów wiosennych (1938)
- 190 Tomasz Czajkowski
Najbardziej udana porażka ze wszystkich utopii
- 202 Rozmowa z Alexem Danzigiem
Nie ma o czym mówić
- 206 O Wydawcy



Numer ukazał się dzięki pomocy finansowej Fundacji im. Stefana Batorego, Urzędu Miejskiego w Lublinie oraz Województwa Lubelskiego. Dział „Historia, Pamięć, Pojednanie” powstał dzięki pomocy Ministerstwa Kultury. Dziękujemy rozmówcom, autorom tekstów i właścicielom materiałów wykorzystanych w numerze. Szczególne podziękowania dla Józefa Ulricha i Elżbiety Wysokińskiej za pomoc w przygotowaniu numeru.

Od redakcji



Wartość, jaką mają w krajobrazie odwołania do dziedzictwa kulturowego, wymaga w społeczeństwie szczególnego uświadomienia.

Budujemy nową przestrzeń

Rozmowa z Elżbietą Przesmyką, profesorem Wydziału Budownictwa i Architektury Politechniki Lubelskiej, otwiera główne tematy, które rozwijają w swoich wypowiedziach kolejni rozmówcy numeru.

Czy przestrzeń można zniszczyć?

Elżbieta Przesmyka: Można i to bardzo łatwo, jeżeli dysponuje się współczesną techniką. Przestrzeń jest czymś kruchym i jednocześnie trudnym, a czasem praktycznie niemożliwym do odтворzenia, więc jej zniszczenia są trwałe. Typowym tego przykładem i jednocześnie paradoksem naszych czasów jest autostrada, która łączy coś bardzo dalekiego, ale jednocześnie niszczy i dzieli coś bardzo bliskiego. Innym przykładem mogą być maszty sieci komórkowej. Takie elementy krajobrazu były kiedyś unikalne i występowały w stosownym kontekście: np. wieże kościołów czy kominy fabryk górowały nad sylwetkami miast. Dziś maszty telefoniczne można spotkać dosłownie w każdym miejscu.

Podobnymi konstrukcjami są na przykład linie wysokiego napięcia, które jednak z czasem chyba wpisują się w krajobraz.

Wpisują się w ten sposób, że po prostu są dysharmonijnym elementem krajobrazu i go degradują.

Czy nie jest to do pewnego stopnia kwestia umowna?

Nie aż tak umowna, jak by się mogło wydawać i tutaj dużą rolę odgrywa wiedza i doświadczenie specjalistów, którzy wśród różnych rodzajów krajobrazu wyróżniają krajobraz kulturowy podlegający ochronie. Staramy się zachowywać np. niwy pól czy odtwarzać ich historyczny układ, bo świadczy on o naszej tożsamości kulturowej¹. Możemy chronić i poprawiać wnętrza krajobrazowe ulic, usuwając np. słupy linii elektrycznych, a przewody chowając pod ziemią. Dużo zależy od inwencji architekta, który np. skrzynkę z instalacją elektryczną umieszczoną na elewacji potrafi zamienić w detal architektoniczny pasujący do otoczenia. Będąc

Elżbieta Przesmyka – prof. dr hab. architektury, pracownik naukowy Politechniki Lubelskiej. Ukończyła Wydział Budownictwa i Wydział Architektury Politechniki Krakowskiej. Pracowała jako asystent na Politechnice Krakowskiej (w katedrze kierowanej przez prof. Wiktora Zina), później na Akademii Rolniczej w Lublinie. Aktualnie jest pracownikiem naukowym Politechniki Lubelskiej, gdzie kieruje Zakładem Architektury i Urbanistyki działającym w strukturze Wydziału Budownictwa i Architektury. Autorka książki *Przeobrażenia zabudowy i krajobrazu miasteczek Lubelszczyzny (Lublin 2001)* oraz wielu artykułów poświęconych zmianom krajobrazu i rewitalizacji zabudowy. Brała udział w wielu kongresach International Federation for Housing and Planning, głównie w zakresie konserwacji. Współtwórca Międzywydziałowego Ośrodka Badań i Rewitalizacji Miast powstałego w ramach programu „Kultura 2000” i realizowanego we współpracy z Politechniką Lwowską i Uniwersytetem w Lund. Organizator międzynarodowej konferencji „Architektura bez granic”, która odbyła się jesienią 2004 roku w Lublinie i była częścią międzynarodowego programu „Gaudi” zajmującego się zagadnieniami architektury i architektury miast.

Budujemy nową przestrzeń



Neony z rzucającą się w oczy instalacją elektryczną. Fot. M. Skrzypek.



na stypendium we francuskim ministerstwie rolnictwa, brałam udział w badaniach nad sposobami eliminacji takich niechcianych elementów krajobrazu. Tam problemem były wielkie elewatory zbożowe. Próbowano różnych sztuczek, np. elewator w kształcie piramidy malowano w barwach pasujących do lokalnej kolorystyki pól w zależności od pór roku. Kształt słupów wysokiego napięcia również można poprawiać, a te, które są, maluje się na szaro, żeby jak najmniej rzucały się w oczy na tle nieba. Nie zawsze takie zabiegi się udają, ale zawsze trzeba próbować.

Ale wieży Eiffla nikt nie maluje na szaro. Kiedyś była krytykowana, a teraz jest zabytkiem.

Podobnie jak dziewiętnastowieczne zabudowania fabryczne, o których dziś się mówi, że są elementami historycznej tożsamości krajobrazowej i kulturowej. **Gdzie więc szukać granicy między negacją a akceptacją? Być może linie wysokiego napięcia też kiedyś będą częścią tożsamości krajobrazowej.**

Być może, jako dzieła sztuki technicznej. Zależy to na pewno od czasu i wielu innych czynników. Nie sądzę jednak,

żeby kiedykolwiek trwałym elementem krajobrazowym stał się czterokondygnacyjny socjalistyczny dom towarowy na rynku małego miasteczka czy „blokowisko”.

Gdzie w Lublinie można wskazać jakieś przestrzenie zniszczone lub zagrożone zniszczeniem?

Najbardziej oczywistym przykładem jest właśnie wysokościowa zabudowa mieszkalna z lat 60. i 70., która zniszczyła praktycznie wszystkie panoramy i sylwety miasta². Bliższy nam przypadek to „Centrum Zana” w swojej obecnej formie – zestaw niepasujących do siebie obiektów i dodatkowo kościół, który mojej córce na studiach pokazywany był jako przykład świątyni zaprojektowanej dla Zakopanego. Budynki powstają tam w szybkim tempie bez powiązania ze sobą³. Zagrożona jest również otwarta przestrzeń wokół wzgórza Starego Miasta. Kiedyś był tam wielki staw królewski, a dziś ogródki działkowe, dzięki którym wciąż mamy odsłonięty jedyne w swoim rodzaju widok dawnego Lublina jako miasta założonego na wzgórzach. Mimo troski o ochronę tej panoramy, jest to wciąż teren bardzo atrakcyjny dla inwestorów. Następna, moim zdaniem nieudana, propozycja to wielopoziomowe skrzyżowanie u wylotu projektowanego tunelu pod ulicami Poniatowskiego i Sowińskiego, które spowoduje likwidację pobliskiego

Przebieg zagrożony. Na zdjęciu: wylot ruchliwej ul. Sowińskiego, pod którą rozważa się budowę tunelu. W tym miejscu miałyby również powstać wielopoziomowe skrzyżowanie (fot. M. Skrzypek). Obok plan tego skrzyżowania z lat 60. (H. Gawarecki, Cz. Gawdzik, *Lublin. Krajobraz i architektura*, Warszawa 1964.). Strzałka na planie wskazuje kierunek wykonywania zdjęcia.



trzydziestoletniego parku. We Wrocławiu podobne skrzyżowanie na placu Grunwaldzkim w tej chwili się rozbiera, bo w środku miasta takie konstrukcje są niedopuszczalne⁴. Niestety, stare plany zagospodarowania Lublina straciły ważność, nowe powstają w bólach, a w międzyczasie rzeczywistość narzuca nam politykę faktów dokonanych⁵.

Jakich argumentów użyć, kiedy ktoś spyta, dlaczego właściwie jakaś piękna krajobrazowo część miasta miałaby pozostać niezabudowana? Przecież cierpimy na głód inwestycji.

Jeżeli tym kimś jest inwestor lub deweloper, to argumentem powinny być normy prawne tworzone przez samorząd, który wskazuje, co należy chronić⁶. Ostatnio dużo mówi się o „marce Lublin”, więc warto pamiętać, że tworzy ją również krajobraz miasta. Nie może wszystko być nastawione na szybki zysk. Nasze otoczenie trzeba kształtować świadomie, pamiętając, że jakość przestrzeni ma również wymiar ekonomiczny.

Jak się uświadamiać? Przechodnie intuicyjnie czują, że coś jest ładne albo brzydkie, ale chyba są przyzwyczajeni, że nie mają na nic wpływu, więc biernie godzą się ze wszystkim. Z podanych przez Panią przykładów wynika, że zmiana tej postawy wymaga wiedzy z wielu dziedzin. Czy warto się wysilać, żeby ją zdobywać?

Oczywiście, ta wiedza ma również swój wymiar obywatelski. W przestrzeni zbudowanej spędzamy 90% naszego czasu, a więc warto zadać sobie pytanie, jak ona ma wyglądać. Będzie ją kształtowała miejscowa społeczność⁷. Wprawdzie przechodnie nie są w stanie wytłumaczyć sobie swoich odczuć, to normalne, ale od tego jest samorząd i naukowcy, którzy powinni współpracować, żeby wyłapać, co jest brzydkie, co ładne, co można naprawiać, co chronić, czego unikać itd. Jeżeli trafi się na światłego wójta, możemy pewne przestrzenie publiczne dokładnie zaprojektować i na-



wet zdobyć na ich odbudowę pieniądze. Trzeba tylko trafić na świadomą osobę, która ma dobrą wolę i chce się czegoś nauczyć. Fakt, że potrzeba tu wiedzy interdyscyplinarnej, oznacza, że to, jak będzie wyglądała przestrzeń wokół nas, zależy od tego, jak będziemy mieli wykształconą elitę z różnych dziedzin. Bez połączenia sił różnych specjalistów w ogóle nie ma mowy o sensownym kształtowaniu przestrzeni.

Czyby nie dla wszystkich specjalistów było to oczywiste?

Co roku na światowe kongresy Międzynarodowej Federacji Planowania i Mieszkalnictwa (International Federation for Housing and Planning) zjeżdżają się ludzie, którym jakość przestrzeni zabudowanej leży bardzo na sercu. Pokazują, co udało im się osiągnąć, jakie badania się prowadzi. Niestety, na te kongresy z Polski przyjeżdżają 2-3 osoby. Dlatego niewiele wiemy o badaniach przestrzeni, które się prowadzi na świecie, o nowych aktach prawnych, np. nowej *Karcie ateńskiej*, które są podstawowe dla planowania przestrzennego. Nie wiemy, że wiele naszych wątpliwości czy problemów już dawno rozwiązano w krajach lepiej od nas rozwiniętych. Przykładem

Od strony Warszawy do Lublina wjeżdża się po malowniczych pagórkach. Na jednym z nich drzewa tworzą charakterystyczną „bramę”, zaznaczającą symbolicznie granicę miasta. Takie pozornie nieznające elementy bardzo podnoszą krajobrazowe walory miejsca, pozytywnie współbrzmiając z naszą intuicyjną potrzebą przestrzennego porządku. Fot. M. Skrzypek.

Jakość przestrzeni ma wymiar ekonomiczny.





Charakterystyczny budynek z pustaków, do niedawna główny składnik naszego krajobrazu, a obok niego znak nowych czasów i nowego myślenia o architekturze własnego domu. Fot. M. Skrzypek.

może być konferencja w Oslo pt. *Miasto twarzą do wody*. Jej organizatorzy wyszli z założenia, że każde miasto powstało przy jakiejś wodzie – morzu, jeziorze czy rzece – i większość z nich ten walor zmarnowała⁸, od Paryża począwszy, gdzie brzegi Sekwany ubudowano autostradami, a teraz próbuje się zamieniać je w „plaże”, jak to miało miejsce niedawno. Mając kilka dekad opóźnienia, jesteśmy na dobrej drodze do popełnienia tych samych błędów, więc powinniśmy się uczyć przed szkodą. Dla mnie rzeczą, która wymaga w społeczeństwie szczególnego uświadomienia, jest wartość, jaką mają w krajobrazie odwołania do dziedzictwa kulturowego. Jest to problemem w wielu miastach, nie tylko w Lublinie: z jednej strony mamy procesy globalizacyjne i wolnorynkowe, z drugiej lokalną tradycję kulturową, która z nimi nie współgra.

W jaki sposób specjaliści badają przestrzeń?

Zależy którzy. Można powiedzieć ogólnie, że o jakości przestrzeni decyduje architektura, urbanistyka i architektura krajobrazu, które uzupełniają się nawzajem. Odpowiem na przykładzie badań krajobrazu. W ogrodach barokowych usypywano specjalne wzniesienia zwane belwederami, z których był widok na okolicę. Ale krajobraz to suma widoków z wielu punktów. W przypadku walorów krajobrazowych miasta liczy się cała droga obserwatora, który naj-

pierw widzi daleką sylwetkę miasta, potem się do niego zbliża i wreszcie znajduje się we wnętrzu krajobrazu zabudowanego. Studium krajobrazu polega na tym, że na każdym z tych etapów możemy wskazać elementy dysharmonijne i te, których brakuje lub które trzeba chronić. Modne są ostatnio np. tzw. bramy do miasta, które można bardzo ładnie zaprojektować w miejscu, skąd mamy dobry widok. W Lublinie mogą to być zabytkowe lipy, których kilka uniknęło wycięcia przy trasie warszawskiej i nie są w żaden sposób chronione. Ogólne zasady są tu znane, ale każde miejsce wymaga osobnego podejścia.

Miasta od wieków przedstawiane były w formie panoram ukazujących ich charakterystyczne dominanty. Dziś rzadko kiedy możemy je odnaleźć. Na przykład w panoramie Krakowa wież kościoła Mariackiego możemy oglądać na tle Nowej Huty i kominów w Łęgach. Szuka się więc punktów widokowych, z których byłoby jeszcze widać krajobraz wolny od współczesnego budownictwa. Ustala się miejsca, których nigdy nie można zabudować albo wskazuje zabudowania, które należy usunąć. To są najbardziej wymierne efekty badań krajobrazu. Jeżeli wejdziemy między budynki, znajdziemy się we wnętrzu krajobrazowym, które teraz coraz częściej nazywamy „przestrzenią publiczną”. Ona również powinna być odpowiednio zaprojektowana. Powinny znaleźć się w niej elementy podkreślające tożsamość miejsca. Jeżeli, dajmy na to, chcemy ustawić na placu jakiś pomnik, musimy się zastanowić, dlaczego akurat ten pomnik tu a nie gdzie indziej, jak go usytuować, jaka jest jego skala w stosunku do wnętrza placu⁹. Takie kształtowanie przestrzeni publicznej wymaga odpowiednich studiów krajobrazowych, historycznych, ikonograficznych.

Czyli przestrzeń to nie tylko jakaś „objętość” czy „kubatura”?

Chyba że mówimy o podwórku.



Ale nawet wtedy mamy do czynienia z czymś więcej – z wnętrzem krajobrazowym.

To prawda. Pojęcia wnętrza krajobrazowego używa się dosyć często, ale nie wniknęło ono do świadomości ludzi. Szkoda, bo gdyby ktoś traktował swoje podwórko czy ulicę jako wnętrze krajobrazowe, wtedy mógłby na przykład poczuć potrzebę, żeby je uporządkować.

Przestrzeń to także relacje między budynkami?

I ludźmi. Przestrzeń powinna ich zachęcać do tego, żeby się w niej znaleźli i przebywali.

W jakich kierunkach kształtuje się dziś przyszłych budowniczych przestrzeni?

Duży nacisk kładzie się na pewien sposób myślenia, jego efektem będzie uporządkowanie i przekształcanie przestrzeni zabudowanej. Można ogólnie nazwać go „recyklingiem przestrzeni” lub „recyklingiem urbanistycznym”. Chodzi w nim o to, aby tworzyć nowe miejsca przeznaczone do zamieszkania lub na inne funkcje, ale bez pochłaniania nowych terenów pod budowę – rozwijać miasto, ale w istniejących granicach, nie „zużywając” nowych terenów, nie uszczuplając „bazy surowców” dla przyszłych pokoleń, zgodnie z założeniami rozwoju zrównoważonego. W odniesieniu do tak pojętego rozwoju mówi się o rewitalizacji (ożywianiu), rehabilitacji

(poprawie infrastruktury technicznej, przystosowaniu jej do nowych funkcji) i regeneracji (określenie ogólne, jak regeneracja silnika)¹⁰. Z tego, co zauważyłam, ostatnio szczególną wagę przykładają się do rewitalizacji np. opuszczonych terenów po-fabrycznych czy zdegradowanych dzielnic robotniczych. Chodzi o nadanie im nowych funkcji albo przywrócenie w nich takiej jakości życia, żeby ludzie chcieli tam mieszkać. Nie wszystkie tego typu działania się sprawdzają, np. mówi się, że rewitalizacja doków w Londynie okazała się niewypałem, bo stały się one enklawą dla bogaczy, a przecież nie o to chodziło. Obecna rewitalizacja Wiednia, prowadzona przy ekonomicznym wsparciu miasta, państwa i Unii, ma na celu uniknięcie sytuacji, że dany obszar zyskuje wyłącznie funkcję handlową i bankową, co stało się w wielu europejskich centrach miast. Pomaga się więc ludziom w odtwarzaniu miejsc zamieszkania z małymi punktami handlowymi czy usługowymi. Teraz uważa się, że miasto powinno żyć nie tylko w godzinach pracy czy w nocy. A może żyć wtedy, kiedy mieszkają w nim ludzie.

Wiemy już, jak wygląda przestrzeń zniszczona i jak ją można odbudowywać. W swojej książce *Przeobrażenia zabudowy i krajobrazu*

Architektura jest medium społecznej komunikacji.

Ulice – od lewej – Pułaskiego i Świętochowskiego na osiedlu Kruczkowskiego, niedaleko dzielnicy Dziesiąta, planowanej przed wojną jako „przedmieście-ogród”. Co prawda na lewym zdjęciu drzewa są przycięte „na kształt palm”, aby nie zasłaniały słońca, ale i tak widać, że od wiosny do jesieni zieleni doskonale uzupełniają krajobraz ulicy. Po prawej malownicza aleja kasztanowców, kompensująca brak wysokiej zieleni wśród gęstej zabudowy. Inna fotografia z dzielnicy Dziesiąta: patrz str. 58. Fot. M. Skrzypek.





miasteczek Lubelszczyzny używa Pani jednak bardziej subtelnych rozróżnień, wspominając, że przestrzeń może być czytelna lub nieczytelna, zrozumiała bądź niezrozumiała.

Na pewno nieczytelna jest przestrzeń współczesna, której nie towarzyszą żadne założenia urbanistyczne. Jednym z założeń, które ją uczyniła, jest miejsce o charakterze centrum. Trzeba jednak zastrzec, że centrum istnieje, jeżeli ludzie chcą z niego korzystać. Nie wystarczy, że występuje na mapie, a w rzeczywistości jest opuszczone i zdegradowane. Centrów może być kilka, bo jedno duże nie zawsze spełnia swoją rolę. W naszych osiedlach czasem trudno wyróżnić taką przestrzeń. Są miejsca na śmietniki i trzepaki, ścieżki wydeptane przez ludzi, ale nie ma tej jednoczącej przestrzeni.

Czy są w Lublinie czytelnie zaplanowane osiedla?

Są, ale to jest rzecz względna. Dobrze zaplanowane zostało osiedle Mickiewicza na tzw. „Starym LSM-ie”, gdzie się wychowałam¹¹. Sądzę jednak, że obecnie straciło swoje znaczenie i dziś wymagałoby badań socjologicznych, bo zmieniła się jego społeczność. W moim dzieciństwie było to miejsce bardzo przyjazne i pełne życia. Dzisiaj mieszkają tam ludzie starsi, z reguły samotni. Młodzi uciekli, nie wiedząc dlaczego. Być może wracają, ale efektów jeszcze nie widać. Innym podobnym osiedlem, jednym z najznakomitszych pod

względem urbanistycznym, było osiedle Słowackiego, zaprojektowane przez Oskara Hansena. Na nim po raz pierwszy zastosowano segregację ruchu, czyli wprowadzenie samochodów na zewnątrz, oddzielając ruch kołowy od przestrzeni publicznej. Jednak i ono zestarzało się, zestarzały się przestrzenie publiczne i dziś przydałaby się im rehabilitacja..

Dlaczego młodzi uciekają z dobrze zaplanowanej dzielnicy?

Być może z powodu mody, która ma w takich procesach duże znaczenie. Modnie było budować dom na przedmieściu. Myślę jednak, że ta tendencja powoli się kończy. Ludzie zaczynają doceniać starą tkankę miejską w centrum¹².

Jakie inne mody rządzą przestrzenią miejską?

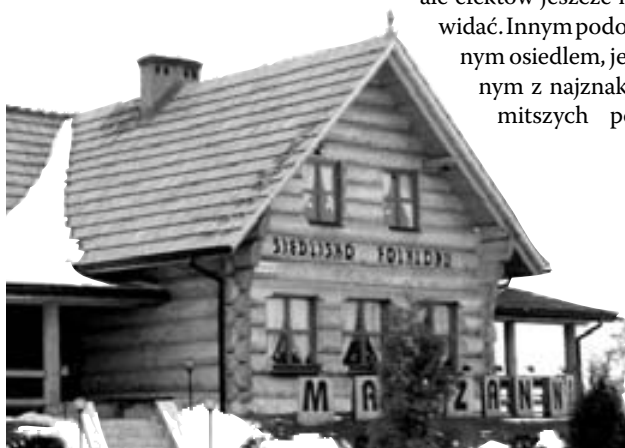
Niedawno była moda na tzw. „kanadyjczyki”, domy o lekkiej drewnianej konstrukcji szkieletowej z rozmaitymi okładzinami. Teraz ze swoją ofertą wchodzi na rynek coraz to inna firma i buduje się już inaczej. O jakości budowania decydują możliwości techniczne, które dziś zmieniają się dynamiczniej niż kiedykolwiek. Zresztą, wystarczy spojrzeć na siding, czerwoną blachodachówkę czy betonową kostkę brukową. Nikt nie pamięta, że kiedyś w Lublinie stosowano czarną kostkę bazaltową, do której można by wrócić, chociażby wydobywając ją z dawna pod starych nawierzchni asfaltowych. Ludzie wzorują się na propozycjach firm budowlanych. Dziś powstaje nowe budownictwo typowe. Istniejące w latach 60. i 70. katalogi 17 budynków jednorodzinnych typowych zastąpiły katalogi firm projektowych.

Wiejskie budynki też niewiele się od siebie różnią, a jednak wyglądają szlachetnie.

Bo są proste. Brakuje nam dziś prostoty i samokrytycyzmu. Jeżeli stawia się nawet zwykły płot, to musi on być uduchowiony. Każdy chce być inny, mieć inne ogrodzenie, np. z „dzidami” o złotych czubach i z klinkierowymi słupkami. Przeciętny człowiek kupuje tzw. dom



Jeżeli chodzi o nawiązania do rodzimej tradycji architektury pozamiejskiej, to wydaje się, że stać nas wyłącznie na zgrywę...



z katalogu, dodaje kolumny i dopiero szczegółły ewentualnie zmienia u architekta. Reklama i obrazek decydują, co klient kupi, a nie każdy obrazek sprawdzi się w rzeczywistości. Dlatego lepiej, jeżeli od razu projektuje się całe osiedle niż daje indywidualną możliwość wyboru projektów promowanych przez różne firmy. Co prawda istnieje u nas prawo wymagające od inwestorów dopasowania projektów do istniejącej zabudowy, ale nie wiadomo na jakich zasadach i jak to prawo egzekwować. We Francji jest łatwiej, bo przy zatwierdzaniu projektu trzeba pokazać zdjęcia dwóch sąsiednich budynków.

Oferaty firm i chęć wyróżnienia się zastępują edukację – jak to zmienić?

Można by się pokusić o podsunięcie firmom sensownych wzorów wykorzystujących ich materiały. Myślę jednak, że przeciętny indywidualny inwestor nie powinien dziś sam tworzyć krajobrazu, lecz zdać się na fachowców. Nawet jeśli jest profesorem.

A gdybyśmy chcieli rozwinąć ich wrażliwość, czego przede wszystkim należałoby ich uczyć?

Przede wszystkim prostoty i szacunku dla przyrody, umiejętności odrzucania niespotykanych wzorców, wydumanych rozwiązań, np. sadzenia egzotycznych drzewek, które w ogóle nie są przystosowane do naszego klimatu i wyglądają karykaturalnie. Powinniśmy obserwować, z czym wiąże się tożsamość danego miejsca. Dzisiaj upowszechniają się gładko wystrzyżone trawniki i wierzby karłowate, a przecież mamy tradycję pięknych kwiatowych ogródków, przed wieloma tradycyjnymi domami wciąż rosną piękne modrzewie, kasztanowce czy lipy. To ich korony decydują o wyjątkowości naszego krajobrazu. Niestety, dziś często się je wycina lub podcina na kształt palm. Trzeba ludzi przekonywać, że architektura i jej otoczenie tworzy kulturę¹³ i świadczy o nas w oczach przyjezdnych. Architektura

jest medium społecznej komunikacji. Powinniśmy być odpowiedzialni za to, co zostawimy przyszłym pokoleniom.

Dużo ryzykujemy, starając się przeliczyć swoimi pomysłami rozwiązania odziedziczone po tradycji?

Oczywiście. Nie ma co się silić na nowobogackie gesty, które zresztą również wynikają z biedy¹⁴. Wystarczy spojrzeć na wzorce w krajach skandynawskich, które są bardzo proste i oparte na lokalnej tradycji, mimo że ich mieszkańcy mogą sobie pozwolić na dużo więcej niż my.

Czyżby ludzie z dobrym gustem się nie wzbogacali?

Może są zbyt skromni i ich po prostu nie widać? Widzimy to, co się rzuca w oczy, tym bardziej, że ci, którzy za wszelką cenę chcą być widoczni, często likwidują drzewa przed swoimi posesjami.

Skąd dawniej brała się szlachetność i prostota?

Myślę, że podstawową kwestią były finanse. Ludzie budowali na miarę swoich potrzeb i możliwości, które były ograniczone. Nie mieli pieniędzy na nadmierne zdobienia. Użyty materiał był z reguły tradycyjny, miejscowy i naturalny, bo najtańszy. W okolicach Kazimierza stosowano kamień, podobnie w Piaskach. W Lubartowie wypalano cegłę, gdzie indziej stosowano drewno. Oczywiście, budowano również pałace czy dwory, ale z reguły kształtowano również ich otoczenie, zakładając parki i ogrody, dzięki czemu



...lub na grę konwencjami.
Fot. M. Skrzypek.



Budujemy nową przestrzeń



Ul. Zamojska. Przykład prostego zabiegu „udrażniającego” krajobraz wnętrza ulicy. Na pierwszym planie słup starej latarni zasłaniający perspektywę i utrudniający ruch pieszych. W głębi nowe latarnie stawiane przy krawężniku. Fot. M. Skrzypek.

nie stawały się one czymś wyzywającym w otaczającej przestrzeni.

Podsumowując, można powiedzieć, że ograniczenia czysto techniczne ratowały i kształtowały gust, a dziś możliwości finansowe i techniczne przestają nasze możliwości ich sensownego wykorzystania. Jak wobec tego można skomentować budowę przydrożnych restauracji z bali?

Jest to specyficzny powrót do tożsamości, ale z reguły innego regionu. Tęsknota za folklorem, ale realizowana na modłę Poronina. Można przecież wybudować zajazdy według wzorów tradycyjnych regionalnych zajazdów, któ-

re np. na Lubelszczyźnie miały malownicze podcienia. Ludzie chcą wracać do swojej tożsamości, ale nie potrafią korzystać z dorobku miejscowego dziedzictwa kulturowego. Albo czynią to w niewielkim zakresie lub niewłaściwie, np. poprzez okładanie ścian kamieniem wapiennym, ale z zastosowaniem ciemnych spoin. Czyli ktoś próbuje korzystać z lokalnej tradycji architektonicznej, ale nie do końca potrafi dostrzec jej istotne elementy.

Rozmawiali: Joanna Zętar i Marcin Skrzypek

Na sąsiedniej stronie: słup z „duszą”. Stary betonowy słup sieci elektrycznej na ulicy Abramowickiej. Prawdopodobnie ktoś uznał, że jego usunięcie jest na razie nieopłacalne. Dziś wśród innych słupów i latarni wygląda zaskakująco szlachetnie. Czy kiedyś zniknie, czy też doczeka się uznania za zabytek? Fot. M. Skrzypek.

¹ Więcej o krajobrazie kulturowym w rozmowie z Markiem Stasiakiem *Krajobraz niewidzialny* (wszystkie przypisy w tym tekście pochodzą od redakcji).

² Więcej o miejskich panoramach oraz ich ochronie w rozmowie z Markiem Stasiakiem.

³ Rozwinięcie tematu zabudowy „Centrum Zana” znaleźć można w rozmowie ze Stanisławem Lichotą *Pytania o wizje*. Patrz także rozmowa z Romualdem Dylewskim *Wiedzieć by widzieć*. Obaj rozmówcy byli zaangażowani w planowanie „Centrum”.

⁴ Roli samochodów we współczesnym krajobrazie sporo miejsca poświęcił Romuald Dylewski.

⁵ Nad brakiem planowania lub jego złą jakością ubolewają Romuald Dylewski i Stanisław Lichota.

⁶ Na temat ochrony krajobrazu jako elementu planowania patrz rozmowa z Markiem Stasiakiem.

⁷ Temat udziału mieszkańców w kształtowaniu przestrzeni (np. poprzez konsultacje społeczne) pojawia się w wypowiedziach wszystkich rozmówców, ale szczególnie rozwija go Ewa Kipta w rozmowie

Modne słowo na „re” oraz Jacek Korbus w rozmowie o sztuce publicznej pt. „Res publica”.

⁸ W *Pytaniach o wizje* Stanisław Lichota wspomina o izolacji rzek w miastach w kontekście Bystrzycy.

⁹ Tematem pomników i rzeźby publicznej szerzej zajmują się Marek Stasiak i Jacek Korbus.

¹⁰ O rewitalizacji i innych modnych słowach na „re” obszernie mówi Ewa Kipta.

¹¹ Problematykę często niedocenianych osiedli powojennych oraz późniejszych blokowisk poruszają: Ewa Kipta, Marek Stasiak, Romuald Dylewski i Bolesław Stelmach.

¹² Temat powrotu mieszkańców do centrum rozwija Romuald Dylewski.

¹³ O prostocie w architekturze i związkach między sztuką i architekturą oraz zabudową i jej otoczeniem mówi Bolesław Stelmach.

¹⁴ Więcej na ten temat w rozmowie z Markiem Stasiakiem.





Przedwojenny Lublin od wschodu. Fragment pocztówki z kolekcji Zbigniewa Lemiecha.

「Dzwonki wozów stałyby się trwałym składnikiem gwaru ulicy, a kolorowe stylowe wozy, niczym w Lizbonie, płynęłyby przez wąskie ulice.」

Marcin Jan Waciński

Tramwaj w Lublinie

100 lat nieistniejącej budowy

Lublin z jego wzgórzami tworzy wprost fantastyczną przestrzeń. Chwilami załuję, że tak mało wiem o jego historii, która do istniejącego krajobrazu dopisuje niejako drugie tło. Drzewa, tworzące morze zieleni, różnorodność budynków, jakaś trudna do opisanego aura, która zawsze mi towarzyszy, ile razy idę przez Bramę Krakowską, Traktem Królewskim, by popatrzeć z placu po Farze na dolinę Bystrzycy, kościół św. Agnieszki ponad Słomianym Rynkiem

i dalej, gdzie mgiełka na horyzoncie okrywa jedną z moich ulubionych tras spacerowych – wzdłuż Bystrzycy, do ruin w Jakubowicach Murowanych. Kiedy jadę do nowych dzielnic położonych bardziej na zachód, wąwozy, drzewa tworzą krajobraz na tyle różnorodny, że nie czuję znudzenia. To sprawia, że na tle innych miast Lublin wydaje mi się niezwykły. Z drugiej strony, brakuje mi w nim wielu nieważnych na pozór rzeczy, które pozwoliłyby lepiej i god-

niej żyć ludziom mniej wrażliwym na piękno, a bardziej nastawionym na prozę codziennego życia.

Jedną z takich rzeczy są pojazdy szynowe, które mogłyby usprawnić lubelską komunikację publiczną. Chciałbym skupić się na roli, jaką w rozwoju miasta spełnia i mogłaby spełnić kolej, ponieważ od dzieciństwa jestem miłośnikiem wszystkiego, co toczy się po szynach. Zawsze bolało mnie, że kolej ominęła Lublin, prześlizgnęła się po nim, wspierając nieco przemysł, głównie w dzielnicy Piaski i Tatary, by podążać dalej na wschód. Inaczej niż w Krakowie, gdzie po krótkim spacerze z Dworca Głównego mogłem osiągnąć Rynek czy którąkolwiek z ulic wokół niego, by usiąść w kawiarni i wzorem Piotra Skrzyneckiego chłonąć atmosferę ulicy. Z jednej strony mamy wspaniałe miasto, które aż prosiłoby się o dworzec kolejowy gdzieś opodal centrum, a z drugiej strony bagnistą dolinę rzeki i owe trzy wiorsty od miejskich granic, gdzie usytuowano pierwszą stację kolejową.

Niestety, rozdział miasta i kolei, którego nie zlikwidowało wybudowanie linii z Lublina do Łukowa, bo także ominęła miasto, trwa nadal, dzięki czemu demon motoryzacji rozplenił się i pełni dalej w postaci potrzebnych skądinąd dróg. Chwilami, patrząc na wiadukt Poniatowskiego, myślę, czy Lublin będzie kiedyś przypominał Los Angeles, duszące się w pętach niekończących się autostrad? Co widzimy, patrząc z Placu po Farze albo z dziedzińca zamkowego, stojąc obok Kaplicy Świętej Trójcy? Węzły drogowe: Aleję Unii Lubelskiej, Trasę W-Z, jej połączenie z ulicą Lwowską czy ruchliwe okolice dworca autobusowego, gdzie tylko najwytrwalsi poszukiwacze historii odnajdą ślady dzielnicy naszych starszych braci w wierze. Drogi, samochody nie są czymś złym, bo umożliwiają życie i rozwój miastu oraz jego mieszkańcom, tylko dlatego nie dano szansy najmniej uciążliwemu

środkowi transportu, jakim jest kolej? Czemu na przykład nie połączono miasta i dworca tramwajem?

Ten nieznany w Lublinie środek transportu, który usiłują zastąpić trolejbusy, był pierwszą rzeczą, którą chciałem jako bardzo młody człowiek przenieść z Krakowa do Lublina. Tramwaj jedzie równo i spokojnie nawet w najgorszych korkach, tymczasem trolejbus to ciągle autobus, tyle że na prąd, uzależniony od woli innego kierowcy, który akurat zmienia pas albo zajeżdża drogę. O szybkości nie piszę, lecz wiedzą coś na ten temat pasażerowie pokonujący trasę z Majdanka na Węglin. Jak się okazuje, byli jednak kiedyś ludzie, którzy potrafili myśleć perspektywicznie. Pierwsza wzmianka o tramwaju, a właściwie drodze żelaznej, pojawia się 2 lutego 1897 roku, kiedy to magistrat zaproponował przeprowadzenie takiej drogi od dworca kolejowego po ulicach Zamojskiej, Królewskiej i Krakowskie Przedmieście do Ogrodu Saskiego oraz targu za Ratuszem ulicami Świętoduską i Lubartowską.

Trakcja miała być konna lub mechaniczna, pociągi miały kursować co 10 minut. Dziś niewiele linii autobusowych, stanowiących kręgosłup sieci komunikacyjnej miasta, może poszczycić się taką częstotliwością kursowania pojazdów. Zadziwia dalekowzroczność naszych przodków, którzy w mieście dużo mniejszym i mniej ludnym potrafili planować rozwiązania dla aglomeracji rodem z XXI wieku. Na początku dwudziestego wieku słynna firma Siemens i Halske, która budowała pierwsze sieci tramwajowe, zawarła nawet z miastem umowę przewidującą budowę elektrowni i sieci tramwajowej, lecz do realizacji projektu nie doszło. Brak elektrowni był podstawową przeszkodą, z powodu której nie przystąpiono do realizacji tego ambitnego planu.

Jakże uroczo wyglądałyby ulice Bernardyńska czy Królewska ze wstęgą

Tramwaj w Lublinie

tramwajowych szyn. Dzwonki wozów stałyby się trwałym składnikiem gwaru ulicy, a kolorowe stylowe wozy, niczym w Lizbonie, płynęłyby przez wąskie ulice. Wszak kolejni zgłaszający się do magistratu inwestorzy nie określali ściśle rozstawu szyn, wielkości czy rodzaju taboru. W mieście tak zróżnicowanym jak Lublin bez problemów mogłyby współistnieć dwie lub nawet trzy sieci tramwajowe o bardzo zróżnicowanym taborze, który tylko dodawałby miastu kolorytu. Niestety, w gęsto zaludnionym mieście trudno byłoby wyobrazić sobie inny rodzaj napędu niż elektryczny, tymczasem istniejące wówczas w Lublinie źródła energii zabezpieczały tylko potrzeby ich bezpośrednich użytkowników: cukrowni, hoteli, młynów i browarów. O nadwyżkach trudno było mówić. Niestety, również narzucający się sam przez się pomysł, by widoczną na planach bocznice do młyna braci Krauze przedłużyć np. przez Kalinowszczyznę w okolice ul. Lubartowskiej, nigdy nie wszedł w życie. Zatem pozostało już tylko liczyć na tramwajowe połączenie miasta ze stacją. Dlaczego takie rozwiązanie? – spyta ktoś, obserwując równy

asfalt fragmentu Trasy Zielonej obok obiektów MOSiR. Skąd pomysł budowy tramwaju?

Jak wiadomo, nawet wybrukowane ulice miasta były często nie do przebycia jesienią i zimą, co zresztą odzwierciedlało ogólny stan dróg w kraju. Trzeba też pamiętać o sporych wzniesieniach. Aby dostać się do jednego z hoteli czy zajazdów w mieście, pasażer pociągu musiał korzystać z dorożki czy wynajętego wozu. Niewielu pamięta jazdę po drodze wybrukowanej tzw. „kocimi łbami”. Samochodem, który ma amortyzację i gumowe opony, jedzie się po nich mało komfortowo, a wozem konnym podróżowało się dużo gorzej.

Musimy jednak pamiętać, że obok ludzi nie mniej ważny był transport towarów. Od terminowych dostaw węgla czy materiałów do dziesiątków małych warsztatów przy ulicy Zamojskiej, Przemysłowej bądź Lubartowskiej zależał byt ich mieszkańców, a oni z kolei pozwalali na funkcjonowanie szkół czy teatrów.

O takich pociągach towarowych, uruchamianych w nocy celem zaopatrzenia zakładów przemysłowych, mówi m.in. „Projekt warunków budowy i eksploatacji tramwaju, oświetlenia i dostosowania energii elektrycznej” z 4 grudnia 1917 roku. Zakładał on przeprowadzenie linii tramwajowej od dworca kolejowego przez most ulicami: Zamojską, Królewską, Krakowskie Przedmieście aż do ulicy prowadzącej na Wieniawę, a oprócz tego ulicami: Św. Ducha, Lubartowską, Ruską do cmentarza żydowskiego na Kalinowszczyźnie, być może aż do Słomianego Rynku. Dwa lata po sporządzeniu planów budowy towarowej linii tramwajowej, na początku kwietnia 1919 roku, z alternatywną propozycją zwróciła się do władz miasta firma Austro-Daimler Akcyjne Towarzystwo Motorowe z Genewy. Zaoferowała ona zbudowanie tramwaju bezszynowego! Najprawdopodobniej

Plac Katedralny w Lublinie. Fot. M. Skrzypek.



była to pierwsza oferta uruchomienia w Lublinie znanych dziś trolejbusów, które wówczas w Europie zaczynały się upowszechniać. Władzom miasta pomysł tramwaju bez szyn, jak wtedy nazywano trolejbus, musiał wydać się co najmniej dziwny, dlatego zasłaniając się brakiem dostatecznej wiedzy, ofertę odrzucono.

Aby zapewnić sobie kontrolę, a w przyszłości możliwość rozwoju sieci tramwajowych, infrastruktura tramwaju przejść miała na własność miasta. Bazą przyszłej elektrowni i zajezdni miały być zbieg ulic do osady Wieniawa i szosy warszawskiej lub tereny na Kośminku przy szosie zamojskiej, obecnej Drodze Męczenników Majdanka, gdzie niedaleko przebiegała bocznicą kolejowa, było zatem jak dowieźć węgiel do elektrowni, a pobliska Czerniejówka mogła dostarczyć niezbędnej wody. O planach elektryfikacji i budowy tramwaju musiało być głośno, bo lawinowo zaczęły się zgłaszać zainteresowane nią firmy zagraniczne mające swe biura w Warszawie. Niezrażone towarzystwo Austro-Daimler argumentowało, że koszt budowy trolejbusu jest dużo niższy, bo odpadają wydatki na budowę toru, i prosiło o wszelkie dane techniczne potrzebne do przygotowania szczegółowego projektu, takie jak: plan przewidywanej sieci komunikacyjnej, długość planowanych linii tramwajowych, wysokość wzniesień, żądana moc elektrowni. Z podobnymi pytaniami występowały firmy Granne z Francji, Tramways Electricité en Russie z Brukseli czy lubelski oddział osławionego towarzystwa Siła i Światło, które elektryfikowało niejedno miasto w Polsce.

W protokole złożonym w kwietniu 1920 roku przez towarzystwo Siła i Światło w Ministerstwie Kolei Żelaznych znalazła się informacja, że jednym z głównych kierunków rozwoju miasta będzie oś biegnąca wzdłuż ul. Namiestnikowskiej, dziś Narutowicza.

Właśnie Namiestnikowską w kierunku projektowanych w przyszłości dzielnic mieszkaniowych miała pobiec jedna z linii tramwajowych. Wizja ta częściowo ziściła się w latach 60. dwudziestego wieku, kiedy to za ulicą Narutowicza zaczęto wznosić osiedla Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Dziś trolejbusy jeżdżą tylko po odcinku ul. Narutowicza między ul. Lipową i Głęboką, niemniej, tak jak przewidywano wówczas, jest to jedna z najruchliwszych arterii Lublina. W drugim etapie prac przewidywano budowę linii tramwajowych ulicami: Kapucyńską, obecną Lubartowską, Ruską i Kalinowszczyzną. Niestety, dopiero uruchomienie w 1928 roku elektrowni na Kośminku, zbudowanej dzięki pomocy towarzystwa Ulen & Co. z Nowego Jorku, pozwoliło na kontynuowanie planów budowy tramwaju. Kryzys z 1929 roku zahamował szereg cennych inicjatyw, a ożywienie gospodarcze, które miał zainicjować, na co wszyscy liczyli, powstający niedaleko Lublina Centralny Okręg Przemysłowy i zakłady z nim współpracujące, takie jak np. fabryka samolotów Plagego i Łaskiewicza, przerwał wybuch II wojny światowej.

To, że dość szybko uruchomiono po wojnie elektrownię, bynajmniej nie przyspieszyło budowy linii tramwajowych. Trolejbusy, wprowadzone w latach pięćdziesiątych, traktowane jako doraźne zaspokojenie problemów komunikacyjnych miasta (nie potrzebowały paliwa), okazały się rozwiązaniem długofalowym i trudno wyobrazić sobie dziś Lublin bez owego „tramwaju bezszynowego”, o którym 20 lat wcześniej pisała firma Austro-Daimler. Linii przybywało, rozbudowywano też tabor autobusowy, a tramwaju jak nie było, tak nie ma. Ciekawa koncepcja budowy linii tramwajowych pojawiła się w latach 80., niestety, mało odpowiadała realiom kryzysu, jaki trwał aż do przemian po 1989 roku. Czy ktoś przypomina sobie

Tramwaj w Lublinie



Rondo „na klinie”. Pajęczy-
na trakcji trolejbusowej
tworzy specyficzną poety-
kę. Fot. M. Skrzypek.

pomysły na „szybki tramwaj”, jak wtedy pisano, czy właściwie już kolej miejską, z tunelem po ulicą Lipową i prawdopodobnie wiaduktem nad trasą W-Z do ulicy Kompozytorów Polskich? Brzmi to dziś szokująco, ale takie były plany. Te i inne propozycje, pojawiały się w prasie, szczególnie w okolicach świąt 1 maja albo 22 lipca. Przedłożono je także na konferencji Stowarzyszenia Techników i Inżynierów Komunikacji, która odbyła się w Lublinie w początkach lat osiemdziesiątych. Niestety, kryzys lat 80. szybko rozwiął marzenia o szybkim i ekologicznym środku komunikacji. Z większych inwestycji udało się oddać do użytku trasę W-Z z węzłem drogowym koło obecnie istniejącej hali „Makro” i kilka innych ulic.

Po przebudowie ulicy Krakowskie Przedmieście i powstaniu tzw. „deptaka” sieć trolejbusowa skurczyła się, chociaż

co i raz słyhać, że warto byłoby wydłu-
żyć linię. Lublin to zielone miasto, sporo
robi się dla poprawy stanu środowiska,
zatem warto, by linii trolejbusowych
przybyło. Niestety, szybkość i komfort
jazdy trolejbusem nijak się ma do jazdy
tramwajem. Co roku na lubelskich uli-
cach przybywa też samochodów. Należy
więc oczekiwać, że w końcu i trolejbu-
som zrobi się ciasno. Przemiany poli-
tyczne i gospodarcze po 1989 roku ob-
nażyły bezlitośnie żałosny stan finansów
publicznych i chroniczny brak fundu-
szy na jakiejkolwiek większe inwestycje.
Z biedą dokończono wiadukt Poniatow-
skiego i zaplanowano kilka niezbędnych
dla ruchu kołowego tras, które powinny
być otwarte już dawno. Ze smutkiem za-
uważyłem, że jakoś nic nie słyhać o pla-
nach wytyczenia linii tramwaju czy też
kolei miejskiej, tymczasem zabudowuje
się beztrasko wolną przestrzeń i niedługo
poprowadzenie ewentualnej trasy tram-
wajowej, będzie wymagało dużo więcej
przygotowań niż obecnie. Zapobiegliwi
Anglicy często zostawiali w projektowa-
nych dzielnicach wolne pasy terenu wła-
śnie pod korytarz komunikacyjny: kolej,
drogę, szlak rowerowy. Tak dzieje się
w wielu miastach, ale jakoś trudno to za-
obserwować w Lublinie. Póki co, tram-
waju ani kolei miejskiej w planach na
najbliższe lata nie ma. Jedna z lubelskich
gazet w krótkiej notce dwa lata temu po-
dała rok 2025 jako termin rozpoczęcia
budowy szybkiego tramwaju. Zatem na
dzwonek wozu tramwajowego czy jęk
syreny pociągu kolei miejskiej przyjdzie
nam jeszcze długo poczekać.

Na następnej stronie:
tekst tytułowej piosenki
z pierwszej płyty Marka
Andrzejewskiego.
Więcej: [www.lfb.lublin.pl/
marek.htm](http://www.lfb.lublin.pl/marek.htm)

Marek Andrzejewski

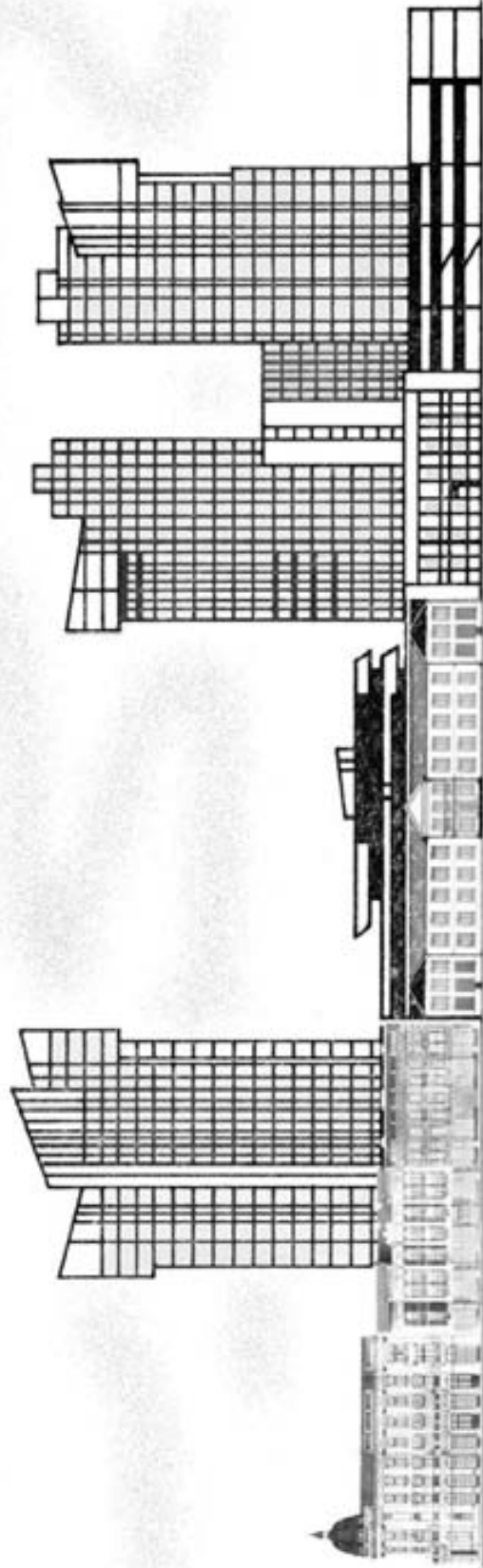
Trolejbusowy batyskaf

W noc miasto się zanurza
jak w toń ciemnego oceanu
wszystko zamarło śpią podwórza
i płynie ostatni według planu
trolejbusowy batyskaf
trolejbusowy batyskaf

Caffe-bary jak za burtę
wyrzucają zakochane pary
jutro w prasie przeczytamy
że są nowe napadów ofiary
i płynie świecąc w okna wystaw
trolejbusowy batyskaf
trolejbusowy batyskaf

W jego szyby księżyc patrzy
wielkim okiem głębinowej ryby
wokół miasto jak ruiny
zagubionej dawno Atlantydy
tak płynie cały w elektrycznych błyskach
trolejbusowy batyskaf
trolejbusowy batyskaf

CENTRUM LUBLINA



I nagroda w konkursie na centrum Lublina 1968, proj. arch. arch. Stanisław Juchnowicz i Andrzej Skoczek

W krajobrazie miejskim istotne jest
nie tylko to, co się widzi,
ale też to, co się wie i odczuwa.

Na sąsiedniej stronie:
wizja centrum Lublina
(w: Przemysław Szafer,
Nowa architektura polska.
Diariusz lat 1966-1970,
Warszawa 1972, s. 214) ze
szczegółami fasad uwi-
docznionymi przez Roma-
na Zwierzchowskiego.

Wiedzieć, by widzieć

Rozmowa z urbanistą Romualdem Dylewskim

Marcin Skrzypek: Jak możemy zdefiniować krajobraz miejski?

Romuald Dylewski: Pojęcie „krajobraz” jest wieloznaczne. Inaczej rozumieją je przyrodnicy, inaczej geografowie, inaczej architekci czy urbaniści. W naszej rozmowie chodzi raczej o krajobraz w rozumieniu urbanisty bądź po prostu bardziej wrażliwego mieszkańca miasta. Tak rozumiany „krajobraz miejski” to, upraszczając, wszystko, co się widzi: natura i architektura. Analogicznie jak poza miastem, z tą może różnicą, że krajobraz miejski odbiera się częściej „w czasie”, to znaczy chodząc lub jeżdżąc. Możemy mówić o krajobrazie miejsca zamieszkania, pracy, krajobrazie centrum miasta czy terenów otaczających, ale nie odbieramy ich osobno, statycznie, lecz we wzajemnych relacjach, jakby „czasoprzestrzennie”.

Na percepcję krajobrazu miasta mają wpływ również czynniki w tym kontekście pozornie bez znaczenia, takie jak warunki życia, komunikacji i rozmaite inne okoliczności. Istotna jest też świadomość struktury miasta jako bazy krajobrazu. Jeżeli widzę budynki dookoła i jestem świadom, że za nimi znajduje się na przykład zieleń, patrzę na nie inaczej, niż kiedy jestem doświadczony tym, że zabudowa praktycznie się nie kończy. Wtedy pojawia się zjawisko klaustrofobii przestrzeni miejskiej, którą Anglicy przeżyli na początku ubiegłego wieku i nazwali „potopem cegły i zaprawy”. Dlatego też, jako mieszkaniec miasta, mogę dookoła widzieć same budynki, ale muszę być przekonany, że łatwo mogę się znaleźć gdzieś, gdzie ich nie ma.

A więc nie da się krajobrazu miejskiego po prostu namalować.

Romuald Dylewski – wybitny lubelski urbanista, praktyk i teoretyk, m. in. wieloletni kierownik lubelskiego Zakładu Instytutu Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej w Warszawie, wiceprzewodniczący ds. konsultacji naukowej Wojewódzkiej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej, członek Państwowej Rady Gospodarki Przestrzennej w Rządowym Centrum Studiów Strategicznych. Wykładowca kilku uczelni w kraju i za granicą. Główny projektant pierwszego po wojnie *Planu Miasta Lublina* (nagrodzonego I nagrodą państwową), *Planu rozwoju miasta i aglomeracji Bagdadu*, a także m. in. planów miast w Syrii i Libii. Autor wielu prac naukowych i popularizatorskich z dziedziny planowania miast i regionów.



Plac Wolności. Takie „okno”, nieoczekiwana daleka perspektywa z widokiem zieleni w samym centrum miasta, podnosi atrakcyjność krajobrazu, a sama świadomość jego istnienia korzystnie wpływa na percepcję wszystkich okolicznych uliczek. Fot. M. Skrzypek.

Nie da się o tyle, że w istocie nie jest on tylko tym krajobrazem, który się widzi, ale także tym, który człowiek sobie uświadamia. Na przykład może sobie uświadamiać, że za rogiem jest coś pięknego albo że z Lublina łatwo dojechać do Kazimierza. To podnosi jakość środowiska miasta i pomaga znieść jego różne mankamenty.

Na przykład to, że ktoś mieszka przy dwupoziomowym skrzyżowaniu, które cichnie tylko w nocy.

Dźwięki również są częścią krajobrazu. Jeżeli okno jest zamknięte, widzimy inny krajobraz, niż kiedy je otworzymy i usłyszymy huk jadących samochodów. Przystajemy go lubić. Nawet ładne

domy przestają być ładne, jeżeli towarzyszy im hałas czy smród spalin. To kolejny przykład, że w krajobrazie miejskim istotne jest nie tylko to, co się widzi, ale też to, co się wie i odczuwa. Samochód we współczesnej przestrzeni miejskiej wymaga zresztą dodatkowego komentarza, ponieważ do niedawna budził on pozytywne reakcje jako coś niezwykłego, inspirującego, a dziś wręcz

przeciwnie. Pracując kiedyś w Londynie, zajmowałem się przebudową fragmentu dzielnicy East End. Przyjechawszy z Polski, z PRL-u, gdzie samochodów było niewiele, traktowałem je jako coś wizualnie pozytywnego, więc zaprojektowałem parking przylegający do ciągu pieszego. Zdumiewało mnie, że wszyscy, zarówno fachowcy, jak i mieszkańcy, mieli mi potem za złe, że parking jest niczym nieosłonięty i znajduje się tak blisko chodnika. Pamiętam, że nie mogłem zrozumieć, po co im ta osłona, czego oni właściwie chcą. W końcu pojąłem, że samochód jest dla nich czymś innym niż dla mnie. A oni po prostu z samochodami przeżyli ten sam „potop”, co wcześniej z zabudową i na tym tle mieli już swoją „fobię”. Owszem, używali samochodów, ale woleli ich nie oglądać, kiedy nie musieli. Obecnie większość samochodów jest raczej ładna, a jednak we współczesnym pejzażu miasta i u nas coraz bardziej uważa się je za element negatywny.

Czy istnieje jakieś metodyczne podejście do kryteriów oceny krajobrazu miejskiego?

Zajmowałem się kiedyś tym problemem w swojej pracy doktorskiej, badając kryteria oceny jakości środowiska miasta, a więc krajobrazu w szerszym znaczeniu, o którym mówiliśmy. Wybrałem ten temat, by jako projektant lepiej orientować się, co jest dobre i dlaczego. Okazało się, że kryteriów jest wiele, ale ogólnie można je sprowadzić do tego, że miasto jest dla człowieka dobre, jeżeli spełnia jego potrzeby.

Potrzeby te rozwijają się hierarchicznie – można je podzielić na niższe i wyższe. Niższe to np.: „dach nad głową”, czyli mieszkanie, praca, dojazd, infrastruktura. W miarę zaspokajania tych elementarnych potrzeb nasilają się potrzeby wyższe: chcemy mieć lepsze warunki mieszkania i pracy, ale również ładniejsze otoczenie, kontakt z przestrzenią otwartą, zielenią, naturą... Okazuje się bowiem, że człowiek nie

Ul. Kowalska u stóp Starego Miasta. Fot. M. Skrzypek



może żyć bez obszarów naturalnych, przestrzeni otwartej, niezabudowanej. Zaczyna odkrywać w sobie potrzebę równowagi między architekturą i naturą; tym, co jest *man-made* i *God-made*, jak mówią Anglicy. I tu zaczynają się problemy, bo miasto ze swej istoty separuje człowieka od natury. W utrzymaniu więzi z nią może pomagać choćby rosnące za oknem drzewo, ale człowiek musi też mieć poczucie, że w każdej chwili bez trudności może znaleźć się w otoczeniu w miarę naturalnego krajobrazu, np. wśród drzew, pól, w ciszy... Nie tak, jak to bywa obecnie w niektórych amerykańskich miastach, że do natury już niemal w ogóle nie można się dostać, ponieważ trzeba by jechać godzinami w korkach, żeby w ogóle wydostać się z terenów zabudowanych.

Jeżeli więc pytamy o jakość środowiska w miastach, to faktycznie pytamy, jak zaspokaja ono nasze potrzeby niższe i wyższe. I tu dochodzimy do sedna problemu. Gdyby zadał Pan to pytanie człowiekowi z Polski i np. z Anglii, to odpowiedzi byłyby zapewne różne, ponieważ pod tym względem między naszym krajem a bardziej doświadczonym i dojrzałym urbanizacyjnie Zachodem zachodzą istotne różnice. Kiedyś prof. Jan Turowski z KUL-u, czołowy polski socjolog miasta, prowadził badania na nowym wówczas osiedlu Mickiewicza na LSM-ie, pytając mieszkańców m.in. o to, co im się podoba, a co nie podoba w ich środowisku zamieszkania. Wyniki były dla nas zaskakujące: podobał się np. duży metraż, wygodne schody i to, że dzięki centralnemu ogrzewaniu w mieszkaniu jest ciepło. A co się nie podobało? Na przykład „krzaki”, czyli zieleń, z której dziś jesteśmy tak dumni. Na te opinie miały niewątpliwie wpływ wcześniejsze doświadczenia respondentów: jeden przeprowadził się z zawilgoconej sutereny, drugi wchodził po drabinie na poddasze, a trzeci całe życie musiał wycinać zarośla wokół swojej



chałupy. Oczywiście, następne pokolenie miało już zupełnie inne wymagania i poglądy, ale ta ankieta pokazała, że trzeba pokoleń, żeby potrzeby dotyczące życia w mieście jakościowo się rozwinęły. Dziś w Polsce mamy na ogół lepsze warunki niż dziesięć czy dwadzieścia lat temu, ale ciągle jesteśmy jeszcze na etapie zaspokajania potrzeb raczej elementarnych. Mieszkańcy Zachodu natomiast mają ten etap już dawno za sobą. Jest to szczególnie kłopotliwe dla nas, urbanistów. Musimy bowiem budować miasta nie tylko według standardów dzisiejszych potrzeb, ale też tych, które wystąpią w przyszłości.

„Obecnie większość samochodów jest raczej ładna, a jednak we współczesnym pejzażu miasta również u nas coraz bardziej uważa się je za element negatywny.” Ul. Kowalska, podnóże Starego Miasta. Fot. M. Skrzypek.

Z klatki schodowej bezpośrednio na parking. Przekład przestrzeni w której pieszy czuje się zagrożony przez samochody – również w sensie fizycznym – zaraz po wyjściu z domu. Ul. Jesienna, fot. M. Skrzypek.



Wiedzieć, by widzieć

Według potrzeb, których na razie nikt nie bierze poważnie pod uwagę?

Otóż to. W swojej pracy muszę ciągle stawać wobec dylematu między potrzebami dzisiejszymi, a tym, czego jestem pewien, że lublinianie będą żądać w następnym pokoleniu, a czego nie będzie można im dać, jeżeli dziś nie podejmiemy odpowiednich, często trudnych decyzji. Nie można jednak generalizować, że te wyższe potrzeby są obce wszystkim. Niektórzy ludzie w naszym kraju mają już tak rozwinięte wycucie jakości środowiska, są tak wrażliwi, że ich potrzeby i wymagania stoją na poziomie nie niższym niż na Zachodzie. Ich też trzeba brać pod uwagę. Poza tym, całość społeczeństwa jest w ciągłym rozwoju i to stosunkowo szybkim, więc poziom naszych wymagań stale się podnosi. Niestety, ponieważ żyjemy w demokratycznym państwie, decyzje podejmuje większość, a wybierana przez nią rada miejska czy gminna nie kieruje się potrzebami elit – w dobrym tego słowa znaczeniu – lecz raczej opinią „większości wyborców”, a więc przede wszystkim potrzebami niższymi.

Na to chyba nie ma rady. Trzeba poczekać, aż społeczeństwo dojrzeje, doksztalci się, wzbogaci.

Nie, nie można czekać, bo decyzje przestrzenne są z reguły długowieczne i trzeba w nich uwzględniać nie tylko potrzeby dzisiejsze, doraźne, ale też te długookresowe, perspektywiczne, a więc bardziej rozwinięte jakościowo. Na tym tle dochodzi do ogromnej liczby konfliktów. Czasem mam wrażenie, że jest to nasz polski, czy w mniejszej skali, lubelski dramat. Ponieważ odbiliśmy się od socjalistycznego, raczej niskiego standardu, ludzi w gruncie rzeczy stale jeszcze interesuje głównie własna działka, jej metraż – im większy, tym lepiej. Jaka to jest działka, jakie ma otoczenie czy powiązania – to sprawy drugorzędne. Gdybyśmy dziś zapytali właścicieli terenów w Lublinie, łącznie z terenami zielonymi, na co chcieliby je przeznaczyć, to okazałoby się, że wyłącznie na działki i to pod domki jednorodzinne. Dlatego, że się najłatwiej sprzedają. Gdy pojawia się pytanie, czy jakiś teren przeznaczyć na park czy pod zabudowę, większość jest za zabudową, bo prze-

Rondo Krwiodawców, tzw. „rogatka warszawska” – w lewo kierunku na Rzeszów, prosto na Warszawę, w prawo na Białystok i Zamociszów... „Dlatego też przewidywano w tym miejscu szczególny akcent, dominantę typu: świątynia, okazały budynek użyteczności publicznej itp. – obiekt godny Bramy Krakowskiej umieszczony na przeciwnym, zachodnim krańcu osi Lublina.” Obecnie nie ma tam nic: z lewej widać stację Stacjonar, z prawej jak lodowice posuwa się zabudowa mieszkaniowa. Zdjęcie zrobione z pasa zieleni między przeciwnymi pasami ruchu ze Śródmieściem za plecami. Widok rogiatki od strony Rzeszowa: patrz str. 47. Fot. M. Skrzypek.



cież to jest „dla ludzi” – tak jakby park nie był dla ludzi. Kategorie wyższych potrzeb, które znajdą swoją rację bytu w przyszłości, nawet tej nieodległej, kategorie dobra publicznego z trudem do nich docierają i nie można się temu dziwić. W tej sytuacji, gdyby nie stosować siły zakazów, wszystkie tereny zielone znikłyby w zabudowie i budowalibyśmy miasto-slums.

Na Zachodzie takie zakazy nie są potrzebne?

Tam jest inne nastawienie. Dostyc często bywam w Londynie. Jedna z nowych dzielnic mieszkalnych w tym mieście, nawet wcale nie ekskluzywna, przypomina nieco Wenecję, bo zbudowano ją na dawnych bagnach. Jej cechą charakterystyczną są kanały, jeziorka i ogromne tereny zielone, po prostu łąki. Uderzyło mnie to, ponieważ melioracja na pewno była kosztowna, a wiadomo, jak cenny jest teren w Londynie. Dla mnie jako urbanisty polskiego, mimo że doświadczonego również w skali międzynarodowej, było to intrygujące. Poszedłem więc do miejscowych urbanistów, by dowiedzieć się, czy zostawili te łąki na

zawsze – „No oczywiście”. Spytałem wobec tego, czy nie ma zainteresowania ich wykupem, czy miasto nie chce ich zabudować. Mój rozmówca był zdziwiony: „Nie. Dlaczego? Przecież ludzie muszą mieć zieleń”. W ogóle nie widział problemu i patrzył na mnie, jakbym spytał, czy w mieszkaniu są potrzebne okna. Zdałem sobie sprawę, że u nich rada dzielnicowa czy miejska nie zadaje takich pytań, urząd miejski nie wywiera presji. Podczas kiedy my musimy stale jeszcze ratować tereny zielone, oni je tworzą.

Z czego to wynika?

Z tego, że oni już przeżyli miasta bez zieleni, a my jeszcze nie.

A musimy to przeżyć?

Wręcz przeciwnie, za wszelką cenę powinniśmy się uczyć na ich doświadczeniach.

Jak duży jest niedostatek tej edukacji?

Ogromny. Dramat naszych urbanistów polega na tym, że właśnie w młodych

Szczególnie kłopotliwe dla nas urbanistów jest to, że musimy budować miasta nie tylko według potrzeb dzisiejszych, ale też tych, które wystąpią w przyszłości.



Wiedzieć, by widzieć



Dolina za górką saneczkową „Globus” (z prawej) przy skrzyżowaniu ul. Filaretów i Zana... „Wiążąca widokowo »Centrum Zana« z Bystrzycą, miała być niezwykle waleorem tego rejonu, podnosząc jego kulturową rangę. A czym się skończyło? Postępującą, nieskoordynowaną zabudową doliny: monstrualną rozbudową hali sportowej, parkingami, przypadkowymi budynkami, dla których owa dolina zdaje się być raczej przeszkodą, niż szansą.” Widok z biurowca ZUS.
Fot. M. Skrzypek.

krajach demokratycznych ów problem jest najostrejszy. Paradoksalnie, często łatwiej realizować przyszłościowe plany w krajach niedemokratycznych, bo w nich władca reprezentuje na ogół nieco wyższy standard potrzeb niż decydująca większość mieszkańców kraju o młodej demokracji. Naszym problemem jest to, że demokracja w Polsce jest wciąż jeszcze niezbyt dojrzała, a gospodarka rynkowa, podstawa naszego systemu, mająca ogromny wpływ na przestrzeń, przypomina bardziej Amerykę Południową niż Europę Zachodnią. Kiedy byłem w Anglii na początku lat dziewięćdziesiątych, mój przyjaciel, ekonomista z Oxfordu, cieszył się razem ze mną ze zmian ustrojowych w Polsce, ale przestrzegając: „Tylko nie dopuście, żeby wasz kraj przekształcił się w demokrację typu południowoamerykańskiego”. Było to dla niego aż tak istotne, że wpisał mi tę

uwagę do notatnika, co mnie wówczas dziwiło. Dziś już nie.

W tym naszym obywatelsko niedojrzałym społeczeństwie są przecież tacy, którzy te niższe potrzeby mają zaspokojone – ludzie majątni i wpływowi. Co się z nimi dzieje? Jak widzimy, osiedlają się poza miastem. Następuje rozwarstwienie i dyslokacja społeczeństwa: ci, którzy na rozwój miasta mogliby mieć największy i pozytywny wpływ, zaspokajają swoje wyższe potrzeby na przedmieściach. Tam obcują z naturą i w ciszy odpoczywają po pracy. Wewnątrz miasta natomiast zwiększa się procent osób mniej majątnych, którzy marzą o samochodzie i większym mieszkaniu i to oni kształtują oblicze miasta.

Majątność i wpływy nie są równoznaczne z dojrzałością cywilizacyjną, ale rzeczywiście owa dyslokacja przestrzenna społeczności miejskiej jest faktem i niezwykle poważnym problemem. Podobne zjawisko występowało i do pewne-



go stopnia występuje nadal w Stanach Zjednoczonych i w Zachodniej Europie. Określa się je mianem „żywiolowego rozlewania się miast” (*urban sprawl*). Jest to zjawisko na dłuższą metę samobójcze dla miast i ich mieszkańców np. dlatego, że w pewnym momencie dojazd do centrum staje się niemożliwy, a pozostaje koniecznością, bo niekontrolowana zabudowa przedmieść nie tworzy własnych, niezależnych ośrodków miejskich – ich mieszkańcy muszą więc dojeżdżać do miasta centralnego. Jeżeli nie mogą, miasto przestaje funkcjonować.

By ograniczyć tę patologię, w krajach Europy Zachodniej stosuje się różne narzędzia prawne. Na przykład dopuszcza się osiedlanie tylko tam, gdzie dojedzie autobus publiczny. Nie można zostawiać ludzi na pastwę samochodu, jednocześnie blokując im dostęp do miasta. W Wielkiej Brytanii wyznacza się wokół miast strategiczne obszary ich racjonalnego rozwoju, a resztę terenów obejmuje tzw. „zielonymi pierścieniami” (*green belts*), których celem jest nie tylko tworzenie „zielonych płuc” miasta, ale przede wszystkim blokowanie żywiolowej ekspansji zabudowy. Póki

co, w Polsce jeszcze panuje pod tym względem absolutna wolność, wręcz prymitywny liberalizm. Jeżeli rolnikowi zachce się rozparcelować ziemię i sprzedać pod zabudowę, a ma dojsć do sołtysa lub wójta, zrobi to bez żadnych problemów, bo gminie zależy na wyższych wpływach z podatków. Co więcej, można budować nawet na terenach nierozparcelowanych. W myśl obecnej ustawy, obok niemal każdego istniejącego domu może stanąć nowy dom. Oznacza to, że jeśli ten pierwszy stoi w nieodpowiednim miejscu, to stawiane obok budynki pogłębiają zło w majestacie prawa

W jednej z gmin lubelskich robiliśmy tzw. „studium rozwoju”, którego celem jest m.in. znalezienie obszarów pod zabudowę. Wskazaliśmy tereny o powierzchni wielokrotnie większej, niż gmina potrzebowała, ale racjonalnie skoncentrowane. Projekt spodobał się radnym, lecz jeden z nich zauważył, że jego pole nie jest pokolorowane „pod zabudowę”. „Jak to?– spytał.

Przestrzenie strategicznych miejsc i terenów jest w mieście, niestety, coraz mniej, a to przecież właśnie od nich zależy atrakcyjność przyszłego Lublina.



– To mój syn nie będzie mógł zbudować domu na mojej ziemi?” I rada wbrew urbanistom przegłosowała dopisek, że dodatkowo wzdłuż każdej drogi każdy może wybudować dom na swojej działce. Czyli praktycznie cała próba wyhamowania niekontrolowanej zabudowy gminy wzięła w łeb. Stawianie domów wzdłuż dróg, zwłaszcza wylotowych z miast, określone terminem „zabudowy wstęgowej”, wydaje się nam zjawiskiem naturalnym i nieszkodliwym, ale Anglicy zakazali go już w 1935 roku. Rok później wprowadzili ustawę o „zielonych pierścieniach”.

Z tego wynika, że na decyzje dotyczące przestrzeni ma wpływ m.in. to, gdzie mieszkają, mieszkali lub zamierzają mieszkać podejmujący je ludzie. Z perspektywy własnego ogrodu problemy miasta wydają się bardzo odległe. Radnemu lub urzędnikowi, który dojeżdża do pracy własnym samochodem, może być trudno zrozumieć rowerzystę czy pasażera MPK, chyba że sam będzie musiał przesiąść się na rower lub do autobusu.

Kiedyś w Anglii zaczęto się zastanawiać, jak to jest, że większość pieniędzy wkłada się w rozwój dróg i komunikacji, mimo że istnieje tyle innych ważnych potrzeb. Okazało się, że działa się tak, ponieważ po tych samych drogach jeździli ludzie zarówno z klas niższych, jak i wyższych: bogaci, deputowani, a nawet królowa, a więc ludzie wpływowi. Dobre drogi były ich osobistą potrzebą. Takie są często motywacje, które rządzą rozwojem miast.

Wstyd dla miasta!

Według jakich kryteriów planuje się dziś? Czy są szanse, by Lublin stał się miastem pięknym?

Lublin jest miastem o wielkim potencjale piękna. Wynika to z jego zachowanej spuścizny historycznej, kultury, ale także, a może przede wszystkim z jego unikalnej rzeźby terenu. Umiejętne planowanie przestrzeni w tych warunkach może sprawić, że Lublin – już obecnie

niebrydki w wielu fragmentach – może stać się miastem naprawdę pięknym. Mówię to z pełnym przekonaniem i bez żadnej przesady. Co więcej, nawiązując do wspaniałej tradycji historycznego narastania miasta (szlaku: zamek, miasto średniowieczne, ciąg Krakowskiego Przedmieścia), od wielu dziesięcioleci krystalizuje się wizja współczesnego rozwoju Lublina. Już w latach dwudziestych ubiegłego wieku Lublin był w czołówce krajowej z punktu widzenia planowania przestrzennego. Już wtedy powstawały śmiałe koncepcje jego rozwoju przestrzennego, o dużym wycuciu specyfiki terenu i potencjału kształtowania struktury miasta. Idee te rozwijane były po wojnie, w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, na podstawie szeroko rozumianych kryteriów europejskich. To wówczas plan rozwoju przestrzennego miasta Lublina uzyskał ogólnokrajowe, a nawet ponadkrajowe uznanie, został wyróżniony pierwszą nagrodą państwową, był też publikowany w renomowanych czasopiśmie architektonicznych Zachodniej Europy. Do dziś ogólne założenia tego planu są w zasadzie realizowane. Gorzej ze szczegółami.

Ma Pan na myśli jakieś konkretne przykłady?

Oczywiście, wiele nowych fragmentów Lublina cieszy. Są jednak popełniane błędy, których można było i należało uniknąć, a w każdym razie, o których trzeba mówić, choćby po to, by zapobiec podobnym błędom w przyszłości. Wartości rozwojowe Lublina, wynikające z jego unikalnych walorów przestrzennych, nie są nieograniczone i dlatego muszą być dostrzeżone, docenione i odpowiednio wykorzystane jako wielka szansa miasta, której nie można zmarnować. Jeżeli zaś chodzi o konkretne negatywne przykłady, to jest ich niestety wiele. Choćby tzw. „rogatka Warszawska”, tj. rejon skrzyżowania Al. Racławickich z Al. Kraśnicką i Al. War-

„Mamy kawałek współczesnego centrum miejskiego o niezwykłej urodzie – niestety, tylko kawałek. Deptaka nie powiązano całą szerokością, jak należało, z Placem Litewskim, tworząc historycznie zasadne i przestrzennie wspaniałe, wielkomiejskie założenie (oś Brama Krakowska – pomnik Unii Lubelskiej).” Pomnik Unii Lubelskiej leży dokładnie na osi deptaka. Fot. M. Skrzypek.



szawską. Jeszcze w przedwojennych planach zauważono ranę tego rejonu. Uznano go za zamknięcie centralnej osi miasta, biegnącej od Bramy Krakowskiej poprzez ul. Krakowskie Przedmieście i Al. Raławickie. Dlatego też przewidywano w tym miejscu szczególnie akcent, dominantę typu: świątynia, okazały budynek użyteczności publicznej itp. W każdym razie miał to być obiekt godny Bramy Krakowskiej umieszczony na przeciwnym, zachodnim krańcu osi Lublina. Myśl tę wprowadzono do współczesnych planów ogólnych miasta, ale co zobaczymy w tym miejscu dziś? Powstała przed kilku laty stacja benzynowa. Piękna i cenna dla Lublina idea została stracona.

Takich ważnych, przestrzennie strategicznych miejsc i terenów jest w mieście, niestety, coraz mniej, a to przecież właśnie od nich zależy piękno i atrakcyjność krajobrazowa przyszłego Lublina. Należy do nich zaliczyć np. piękne lubelskie doliny, ich zbocza, osie widokowe. Powinniśmy je zidentyfikować i chronić przed zniszczeniem następnymi stacjami benzynowymi czy byle jaką „kubaturą”. Zagospodarowanie tych terenów powinno być kształtowane z najwyższą wrażliwością, bo tworzą one unikalną tożsamość miasta. Ma ona bardzo konkretną wartość, ponieważ podnosząc atrakcyjność miasta, przyciąga ludzi i w efekcie sprzyja jego rozwojowi. Jest więc silną kartą przetargową w rosnącej konkurencji międzymiejskiej, międzyregionalnej, warunkowanej m.in. jakością środowiska miejskiego.

Innym przykładem miejsca, które zostało w Lublinie bezpowrotnie zniszczone, jest piękna dolina tuż obok miejsca, gdzie siedzimy – wzdłuż ul. Zana, od tzw. „Globusa” aż do doliny Bystrzycy. Wiążąca widokowo „Centrum Zana” z Bystrzycą, miała być ona niezwykłym walorem tego rejonu, podnoszącym jego kulturową ranę. A czym się skończyło? Postępującą, nieskoordynowaną



zabudową doliny: monstrualną rozbudową hali sportowej, parkingami, przypadkowymi budynkami, dla których owa dolina zdaje się być raczej przeszkodą niż szansą. Do tej pory nie zadbano o stworzenie jakiejś spójnej wizji jej zagospodarowania perspektywicznego, zabudowywana jest od przypadku do przypadku. Podobnie jest z dolinami, wąwozami na Czubach, na Czechowie...

Szczególną kompromitacją dla miasta może się zakończyć sprawa tzw. „Górek Czechowskich”. Wspaniały teren, z jedynym względnie zachowanym wąwozem, który przetrwał niezabudowany, bo był przez wiele lat poligonem

Zakręt oddzielający deptak od Pl. Litewskiego i pomnika Unii. Układ bruku pokazuje kierunek przebiegu Deptaka. Fot. M. Skrzypek.

Ten sam zakręt od strony Placu. Fot. M. Skrzypek.



„Centrum Zana”. We wnętrzu przestrzeń budynków sąsiaduje bezpośrednio z przestrzenią, w której uprzywilejowane są samochody. Przypomina to nieco Wenecję, gdzie prosto z drzwi domu wsiada się do łodzi. Wynikiem takiego myślenia są amerykańskie wynalazki typu usługa McDrive czy kino dla zmotoryzowanych. Czyżby inwestorzy i projekanci „Centrum Zana” stali u progu przeniesienia tych pomysłów do sklepów meblowych, biur i banków? Fot. M. Skrzypek



wojskowym. Przewidując, że wojsko go opuści, od lat pięćdziesiątych teren ten był wskazywany w planach miasta pod wielki ogólnomiejski park krajozabrazowy i rekreacyjny, których w porównaniu ze standardami zachodnimi mamy stały deficyt. Miał on być unikalną szansą podniesienia atrakcyjności miasta, jako odpowiednio wielki teren otwarty, powiązany z doliną Czechówki, ogrodem botanicznym, a nawet skansenem. Wielki zespół kulturowy, na miarę metropolii. Niestety, i ta szansa została, jeśli nawet jeszcze nie stracona, to poważnie zagrożona. Kiedy ten wyjątkowo cenny dla miasta obszar był opuszczany przez wojsko, miasto, zamiast przejąć go, dopuściło, by został sprzedany prywatnemu biznesmenowi, który kupił go jako tani teren „zielony” i teraz dosyć cynicznie usiłuje „zrobić na nim pieniądze”, wykorzystując pod zabudowę według swoich planów. Pociągające jest, że radni miejscy, jak dotąd, konsekwentnie bronią tego obsza-

ru, zgodnie z planami miasta, nie chcąc dopuścić do jego zabudowy. Sam ich upór świadczy, że jako społeczność dojrzewamy do standardów europejskich. Oby się udało!

Obszarami strategicznymi w kulturowej strukturze przestrzennej Lublina są również – a może nawet przede wszystkim – centralne ośrodki usługowe, w tym Śródmieście, a ostatnio też „Centrum” przy ulicy Zana. One także powinny być przedmiotem nadzwyczajnej troski miasta. Stanowią bowiem niewątpliwie o jego obliczu, świadczą o kulturze przetrwałej i obecnie tworzonej. Nie jest to bez znaczenia szczególnie teraz, gdy miasto pretenduje do rangi europejskiej metropolii. A jak to wygląda w praktyce? W Śródmieściu nie ma już wiele pola do inwencji inwestycyjnej – większość terenów jest już zagospodarowana. Ale może tym bardziej to, co pozostało, powinno być zagospodarowywane w sposób szczególnie przemyślany, a więc planowy i to planowy perspektywicznie, nie tylko doraźnie. Warunkiem takiego podejścia jest jednak perspektywiczna wizja tego rozwoju, konkretniej – perspektywiczny plan rozwoju przestrzennego. A planu takiego, o odpowiedniej szczegółowości i aktualności, jak dotąd nie ma. Decyzje inwestycyjne podejmuje się w istocie na podstawie doraźnych pomysłów czy propozycji inwestorów. Można to uznać za podejście pragmatyczne, ale też grożące utratą ostatnich już potencjałów i szans w tym kluczowym dla przyszłości miasta obszarze.

Zdjęcie z chodnika przy ul. Zana na przeciwległym końcu „Centrum Zana”. Brak połączenia z widocznym prześwitem. Chodnik przy wystawach zredukowany do minimum. Fot. M. Skrzypek.



Przykładem utraconej szansy była wspomniana wyżej lokalizacja na „Rogacie Warszawskiej” stacji benzynowej zamiast budowli prestiżowej dla struktury miasta. Innym przykładem jest samo serce miasta: zespół deptak Krakowskiego Przedmieścia – Plac Litewski. Oczywiście, to, że deptak ten został utworzony w latach dziewięćdziesiątych, to wielka zasługa władz Miasta. Wyłączenie ruchu kołowego z tak neoromantycznej ulicy nie było łatwą decyzją, ale udało się. Mamy kawałek współczesnego centrum miejskiego o niezwykle urodzie – niestety, tylko kawałek, a mogło być więcej. Deptaka nie powiązano całą szerokością, jak należało, z Placem Litewskim, tworząc historycznie zasadne i przestrzennie wspinające, wielkomiejskie założenie (oś Brama Krakowska – pomnik Unii Lubelskiej). A było to wówczas łatwe: wystarczyło inaczej ukształtować przebudowywany wtedy zakręt Krakowskiego Przedmieścia w ulicę Kapucyńską. Nie zrobiono tego podobno z błahego powodu – studzienki kanalizacyjnej, która stanęła na drodze. Zdaje się to świadczyć o braku wizji i niedocenianiu wartości, jakie stwarzają wielkie założenia przestrzenne. Miejmy nadzieję, że kiedyś, kolejne ekipy decydentów miasta do sprawy tej wrócą. Jeszcze są możliwości.

Gorzej jest z „Centrum Zana”. Tu wprawdzie istnieje od dawna względnie szczegółowa koncepcja i plan zagospodarowania, ale realizacja idzie swoim torem, znów wynikającym raczej z doraźnej, w tym przypadku nawet prymitywnej pragmatyki niż racjonalnej koncepcji. Cieszy fakt powstania kilku względnie udanych obiektów usługowych (np. Leclerc czy zespół Banku Śląskiego), ale zarazem irytują popełnione błędy strukturalne, które zdewaluowały całą koncepcję. Miało być imponujące, europejskie centrum usługowe – jest zespół praktycznie niepowiązanych ze sobą i z otoczeniem obiektów. Obraz

braku elementarnej koordynacji planistycznej, ale też, niestety, niezrozumienia sensu współczesnej koncepcji centrum usługowego, co nie powinno mieć miejsca w mieście o takich ambicjach, jak Lublin. Dwa główne błędy strukturalne w dotychczasowej realizacji „Centrum Zana” to: zaniechanie budowy głównego pasażu pieszego oraz zablokowanie powiązań „Centrum” z Parkiem Rury.

Idea była następująca: obiekty usługowe staną wzdłuż ulicy Zana i od strony tej ulicy będą dostępne dla ruchu kołowego, natomiast cały ruch pieszy i dojsčia, a więc „fronty” obiektów, znajdują się od strony przeciwnej, gdzie miały powstać główne pasaże piesze – „deptaki”. Oddzielenie ruchu pieszego od kołowego i stworzenie bezpiecznego, atrakcyjnego środowiska dla pieszego użytkownika jest powszechnie przyjętą zasadą struktury współczesnych centrów usługowych. I właśnie ów główny pasaż, kluczowy element struktury, nie powstał. W konsekwencji „Centrum Zana” staje się karykaturą współczesnego centrum: jego budynki nie mają w ogóle powiązań pieszych między sobą. By przejść od jednego obiektu do drugiego, choćby sąsiedniego, trzeba kluczyć między samochodami wjeżdżającymi lub parkującymi, deptać trawniki itd. Użytkownik pieszy, który powinien być w strukturze centrum szczególnie uprzywilejowany, został tu



„Centrum Zana”. Ścieżka do Leclerca będąca rezultatem braku konsekwencji między układem chodnika po obu stronach wjazdu na parking. Fot. M. Skrzypek.

„Idea »Centrum Zana« było, że obiekty wzdłuż ul. Zana będą dostępne dla ruchu kołowego, natomiast ruch pieszy i dojsčia, a więc »fronty« obiektów, znajdują się od strony przeciwnej, gdzie miały powstać »deptaki«. Oddzielenie ruchu pieszego od kołowego i stworzenie bezpiecznego, atrakcyjnego środowiska dla pieszego jest powszechnie przyjętą zasadą struktury współczesnych centrów usługowych.” Na zdjęciu: ścieżka z Media Markt do sklepu meblowego – skrajny przykład braku pieszego powiązania między budynkami. Fot. M. Skrzypek.





„Centrum Zana”. Układ ścieżek wzdłuż chodnika przy ul. Zana wskazuje na wysiłek pieszych w celu wydeptania spójnego pasażu łączącego „Centrum” w jedną całość. Fot. M. Skrzypek.

po prostu wyeliminowany, wtłoczony w ciąg przeznaczony dla samochodów. Wstyd dla miasta! Podobnej rangi błędem strukturalnym jest wybudowanie wielkiego parkingu samochodów przy Media Markt, w miejscu, gdzie Park Rury miał wiązać się ze strukturą „Centrum”, tworząc sektor parkowo-rekreacyjny i podnosząc jego atrakcyjność, a tym samym, przyciągając mieszkańców nie tylko biznesem i handlem, ale też kulturą i rekreacją. Tak się programuje współczesne centra usługowe. U nas też takie miało być, ale go nie będzie. Można jeszcze dodać, że wiele obiektów „Centrum” z usługowych zamieniono w realizacji na mieszkalne, markując jedynie usługi w parterach. Tak zubożyliśmy programowo i zepsuliśmy strukturalnie piękną ideę, która miała szansę i powinna promować miasto, być wyrazem jego kultury.

Na szczęście mowa tu tylko o pierwszej, zrealizowanej części „Centrum”, tzw. sektorze południowym. Może sektor północny, jeszcze niezrealizowany (stoi tu m.in. budynek ZUS), stanie się okazją do rehabilitacji decydentów i planistów lubelskich? Nie należałoby też godzić się z obecnym stanem w części południowej. Powinny być prowadzone prace nad przywróceniem jej choćby części utraconych walorów. Warto i należy prace takie podjąć.

Dlaczego takie błędy są popełniane ?

Ponieważ lekceważy i zaniedbuje się u nas to, co anglosasi nazywają „urban design”, czyli szczegółową koncepcję czy szczegółowy plan zagospodarowania terenu miejskiego (jeszcze inaczej: plan urbanistyczno-architektoniczny lub plan architektury krajobrazu). Trzeba bowiem przypomnieć i podkreślić, że mówimy tu w istocie o błędach szczegółów zagospodarowania miasta. Ogólna jego struktura rozwija się w zasadzie poprawnie. Nie wszystkie też szczegóły, jak widzieliśmy, trzeba oceniać negatywnie, jednak każdy

szczegół kształtowania miasta z reguły nie jest sprawą błahą i dlatego te negatywne przypadki warto napiętnować, bo ich skutki dla miasta będą fatalne.

W Lublinie pracuje za mało doświadczonych i utalentowanych urbanistów w stosunku do skali i rangi miasta. To powoduje, że zbyt wiele spraw jest traktowanych ogólnikowo, powierzchownie. Gdyby lokalne społeczeństwo było bardziej dojrzałe, tak jak to bywa na Zachodzie, niejako samo z siebie nie dopuszczałoby do złych rozwiązań, ale tak nie jest: społeczność Lublina nie jest jeszcze wystarczająco dojrzała, doświadczona, zwłaszcza w sensie urbanistycznym. Przecież – jak już wcześniej wspominałem – większość mieszkańców naszego miasta to do niedawna mieszkańcy mniejszych miasteczek i wsi, a lata PRL-u nie rozwijały w ludziach wycucia kultury przestrzeni miejskiej. Tym większa odpowiedzialność spoczywa więc na samych urbanistach, a tych jest za mało nie tylko w Lublinie, ale i w ogóle w Polsce. Przyczyna? Może się to wydawać zaskakujące, ale w gruncie rzeczy nie było dotąd w naszym kraju uczelni urbanistycznej. Kiedy niemal na całym świecie wyspecjalizowane studia kształciły planistów przestrzeni, w Polsce istniał tylko zawód architekta, do którego „przyklejały się” inne specjalności: geografowie, ekonomiści, socjologowie. Co więcej, studia architektoniczne były zdominowane przez tak zwaną „kubaturówkę”, czyli projektowanie budynków. Urbanistykę traktowano tam raczej marginalnie, jako mało atrakcyjny i mało płatny kierunek. Ja osobiście byłem w nieco szczęśliwszej sytuacji, ponieważ gdy studiowałem architekturę w Krakowie, działali jeszcze wyśmienici przedwojenni profesorowie: Tadeusz Tołwiński, Gerard Ciołek, Zygmunt Novak. Oni to zachęcili mnie, by pójść w tym „niechcianym” kierunku.

Wracając do problemów naszego miasta, w sytuacji, jaka jest, myślę, że

„Centrum Zana”. Ścieżka przez środek reprezentacyjnego trawnika przed Media Markt. To nie brak kultury, tu piesi mają rację. Fot. M. Skrzypek.



mogłoby być lepiej. W końcu jest to miasto o wielkim potencjale intelektualnym, akademickim. Można by oczekiwać, że problemy rozwoju miasta, jakości jego środowiska nie powinny być tym kręgom obojętne. Tymczasem jakoś tego nie widać. Nie ma, jak dotąd, jakichkolwiek środowiskowych, merytorycznych dyskusji na temat rozwoju przestrzennego Lublina. Co więcej, nawet gdy pojawiają się inicjatywy w tym kierunku, są one utracane, blokowane, by nie przeszkadzały... W krajach Europy Zachodniej każda poważniejsza decyzja przestrzenna, nim zostanie podjęta, staje się przedmiotem szerokiej społecznej i profesjonalnej dyskusji. Tak dzieje się nawet w niektórych większych polskich miastach. A u nas?

Kto konkretnie powinien dyskutować?

Nie jest problemem, kto. Najpierw musi być wola, żeby to w ogóle robić. Kiedy po wojnie odbudowywano Warszawę, w Biurze Odbudowy Stolicy (potem: Biurze Urbanistycznym Warszawy) wszystkie ważniejsze projekty musiały zdobyć aprobatę wieloosobowej Komisji Lokalizacyjnej, która składała się z przedwojennych polskich urbanistów, wówczas należących do najlepszych w Europie, oraz reprezentantów społeczeństwa i zaproszonych gości. A u nas, mimo presji jednostek, wszystko robi się po cichu, aby tylko podjąć decyzję najprostszym sposobem, wybudować, a potem „jakoś to będzie”. Każda próba dyskusji traktowana jest jako wotum nieufności dla decydentów i środowisk politycznych, które reprezentują. To w moich oczach najbardziej dyskwalifikuje środowisko lubelskie i przynosi szkody miastu, które ma ambicje być europejską metropolią.

Na koniec wróćmy do spraw ogólnych. Patrząc przez pryzmat potrzeb człowieka, jakie jeszcze czynniki, obok obecności zieleni, przestrzeni otwartych i samochodów, mają wpływ na nasz odbiór przestrzeni?

Jednym z nich jest historia lub inaczej: „znaczenie”. Nie chodzi tylko o to, czy



budynek jest brzydki czy ładny, ale też, co on znaczy w życiu miasta, co znaczy dla mnie: może urodził się w nim ktoś szczególny, może miało miejsce jakieś inne istotne wydarzenie? Na przykład warszawski Umschlagplatz, skąd wyruszały transporty Żydów do obozów śmierci, niczym nie wyróżnia się z otoczenia, ale jest bardzo ważnym miejscem w krajobrazie Warszawy. Z przykładem znaczenia o innym charakterze mamy do czynienia w przypadku Osiedla Mickiewicza. Osobście bardzo je cenię, ponieważ wiem, iż było projektowane i budowane przez wyjątkowych ludzi – architekta Feliksa Haczewskiego, inżyniera ogrodnika Józefa Maciejewskiego, ówczesnego prezesa i twórcę Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej Stanisława Kukurykę i wielu innych. Są oni dla mnie dodatkowym czynnikiem przywiązania do tej dzielnicy. Tak więc mój stosunek do niej opiera się nie tylko na tym, co widzę – lepszym

Plan zagospodarowania Lublina z 1959 r. przewidyujący strukturę funkcjonalną miasta w 1980 r. Autorzy: Zespół Pracowni Urbanistycznej MRN pod kier. Romualda Dylewskiego. Widoczny wieniec centrów dzielnicowych, z których zostało się tylko „Centrum Zana”. Źródło: H. Gawarecki, Cz. Gawdzik *Lublin. Krajobraz i architektura*, Warszawa 1964, s. 79.

lub gorszym – ale też na tym, co wiem o jej korzeniach: sercu, pasji i mądrości ludzi tworzących każdy fragment tego miejsca. Większość z nich już nie żyje, ale wciąż wyczuwam w tych osiedlach ich ducha. Poprzez nich cieszy mnie ten krajobraz, choć ktoś obcy, kto widzi tylko jego zewnętrzny obraz, może mieć inne zdanie. Ja widzę genezę, tło, narodziny, ten entuzjazm, który był związany z budowaniem pierwszej takiej dzielnicy.

No właśnie, muszę się przyznać, że myślałem, iż tak zasłużony urbanista nie mieszka w bloku, ale raczej w jakiejś willi...

Mieszkam na LSM-ie i sobie to chwalebę, również dlatego, że byłem inicjatorem – w sensie urbanistycznym – idei utworzenia tych zachodnich dzielnic Lublina.

Kiedy przed laty zostałem oddelegowany z Warszawy do Lublina, żeby zrobić plan miasta, tu, gdzie teraz siedzimy, planowano pozostawienie pól i utworzenie nowego cmentarza, bo uznano, że „teren jest zbyt górzysty” pod zabudowę. Jako główne obszary rozbudowy miasta wskazywano tylko Czechów,

Kalinowszczyznę, Tatary i Bronowice. A przecież zachodnie przedmieścia Lublina były wspaniałe: malownicze, blisko centrum, wprawdzie trudniejsze, ale, omijając większe spadki, doskonałe do zagospodarowania. Przyszłość potwierdziła tę ideę. Od tego czasu obserwuję, jak ta inicjatywa rozwija się w realizacji i w życiu.

Muszę przyznać, że pozycja takiego twórcy-obszawatora jest nie do pozazdroszczenia, jako że nie wszystko potoczyło się zgodnie z planami. Widzę piękno tej dzielnicy, ale postrzegam ją również jako zbiór niewypałów i niepowodzeń – także moich błędów, wynikających z niewiedzy, wymuszonych przez życie, rozmaite układy itd. Sprawia

mi to przykrość, a nawet daje poczucie winy wobec mieszkańców, użytkowników tej przestrzeni. Ale też pogłębia rozumienie zależności między planem a życiem. Ostatnio najbardziej niepokoi mnie los „Centrum Zana”, bo jest ono tak ważne dla dzielnicy i miasta, a stale jest w budowie i nie wiadomo, czy w końcu będzie sukcesem... Zdaje się ono przerażać możliwości Lublina. Kiedyś wskazałem ten teren w planie jako miejsce na przyszłe centrum i przez wiele lat razem z innymi broniłem go przed zabudową niezgodną z tym planem. W owym pierwszym powojennym planie Lublina z końca lat pięćdziesiątych zakładaliśmy, że tego typu centra znajdują się w każdej nowej dzielnicy. W każdej z nich zarezerwowaliśmy na nie tereny, jednak tylko na LSM-ie, dzięki konsekwentnej postawie władz Spółdzielni, udało się je zachować. Oby ta szansa, która wciąż istnieje, nie została zmarnowana.

Więc jednak, mimo porażek, jest i satysfakcja?

Dobrze że ta dzielnica w ogóle jest! Dzielnica mieszkaniowa niemal wzorcowa, do niedawna zaliczana do pierwszych w kraju, a i teraz jedna z najlepszych. W początku lat dziewięćdziesiątych właśnie ze względu na nią przyjechali do Lublina profesorowie i studenci z Massachusetts Institute of Technology (MIT) w Bostonie na warsztaty na temat modernizacji polskich „blokowisk”. Byli pozytywnie zaskoczeni strukturą LSM, możliwościami, jakie stwarzał niezabudowany jeszcze wówczas obszar pod centrum. Zrobili wiele koncepcji jego zabudowy. Na widok zaś osiedla Mickiewicza powiedzieli: „Kto by pomyślał – Polacy budują domy w parku”.

Tych zalet chyba już nie docenia się tak powszechnie, jak kiedyś?

Myślę, że bardziej niż z obiektywnych przyczyn wynika to z obecnej mody na negowanie tych tzw. „blokowisk”.

Opinia na ich temat jest chyba uzasadniona?

„Centrum Zana” to obraz niezrozumienia współczesnej koncepcji centrum usługowego, co nie powinno mieć miejsca w mieście o takich ambicjach, jak Lublin.

Ale nie można generalizować, wrzucając wszystkie tego rodzaju struktry do jednego worka ze „spuścizną PRL-owską”. Wtedy podobne blokowiska budowano w całym cywilizowanym świecie, notabene na wzór amerykański. Lubelska Spółdzielnia Mieszkania wa nie była wyjątkiem, ale ma też dobre osiedla – zwłaszcza te budowane wtedy, kiedy projektanci mogli jeszcze projektować według własnych pomysłów. Potem dopiero przestał mieć znaczenie wygląd domu czy jego usytuowanie, a najważniejsze stało się, aby zmieścić jak najwięcej ludzi na jak najmniejszym obszarze, a na dodatek w tzw. „budynkach typowych”, które zostały zaprojektowane dla całej Polski, żeby mieszkania były jak najtańsze. To zjawisko pojawiło się jednak dopiero później, pod koniec PRL-u.

Do listy kryteriów jakości krajobrazu moglibyśmy więc dodać pojęcia mody i stereotypu. Jeżeli zewsząd słyszymy, że mieszkamy na nieładnym osiedlu, to faktycznie jego krajobraz w naszych oczach brzydnie... I na odwrót, mam nadzieję.

Moda w architekturze jest problemem sama w sobie, bo na ogół architektura ma dłuższy żywot niż moda na jakiś „styl”. Kiedy moda mija, budynek stoi nadal i ważne staje się tylko to, czy spełnia związane z nim potrzeby. Staram się więc nie oceniać mód ani pozytywnie, ani negatywnie. Nie każde blokowisko jest złe, ale też i nie każda tradycyjna zabudowa ulicowa jest dobra.

Chyba dobrze ilustruje to moda na kościoły w formie ceglanych „origami”, które nie grzeszą urodą. Zupełnie inne podejście do budowy świątyń można spotkać na Ukrainie. Tamtejsze cerkwie nie są może oryginalne, ale za to ładne.

Wygląd polskich współczesnych kościołów nie do końca jest wynikiem mody. Można go tłumaczyć jako efekt odreagowania ograniczeń związanych z budownictwem „typowym”. Kościoły dały architektom szansę stworzenia

wreszcie czegoś innego, unikalnego. Dopiero kiedy celem projektu stawał się nie tyle kościół, co wyrażenie własnej swobody twórczej, powstawały dziwolągi. Trzymanie się tradycji jest w tym przypadku chyba słuszniejsze, bo bardzo trudno jednostce stworzyć alternatywę dla dorobku setek lat myśli twórczej.

Oczywiście, można ją, a nawet trzeba w sposób wrażliwy „unowocześnić”, zmieniać, dostosowywać do naszych czasów, ale nie niszczyć w niej ducha wielkiej tradycji. W dziewiętnastym wieku do kontynuacji tradycji historycznej zniechęciły rozmaite „neo-style”, bo były tworzone właśnie poprzez prymitywne, bezduszne naśladownictwo, dalekie zarówno od ducha pierwowzoru, jak i wrażliwości na ducha współczesności, która jest warunkiem każdej dobrej adaptacji tradycji.

Poprzez wiedzę o kryteriach jakości krajobrazu możemy ów krajobraz na nowo odkrywać, a wręcz „budować” lub „niszczyć”. Na przykład, jeżeli mieszkańcy podchodzą do architektonicznych mód w sposób świadomy i dojrzały albo po prostu znają projektantów swoich mieszkań i szanują ich, mieszka się im przyjemniej, jak to jest w Pana przypadku. Edukacja może być więc ciekawym i tanim narzędziem polepszania jakości przestrzeni, co prawda w wymiarze subiektywnym, ale o ten wymiar nam przecież również chodzi.

Istnieje idea kształtowania krajobrazu i w ogóle miasta w bezpośredniej współpracy z ludźmi, mieszkańcami. W czasie swojego pobytu w Lublinie profesorowie z MIT zaprosili twórcę tej metody z Anglii. Zorganizował on kilka „spektakli”, podczas



Każda współczesna ukraińska cerkiew jest ładniejsza od większości współczesnych polskich kościołów, mimo że współczesna ukraińska architektura wydaje się pozostawać w tyle za polską. Wyższość architektury cerkiewnej nad kościelną wynika prawdopodobnie stąd, że swoboda twórców architektury sakralnej na Wschodzie jest ograniczona planem krzyża greckiego i kopułami. Fot. M. Skrzypek.



których mieszkańcy LSM przy pomocy klocków pracowali nad kształtowaniem zabudowy. Uważam, że jest to rzeczwiście rzecz bardzo cenna, ale efektywna w społeczeństwie nieco bardziej dojrzałym niż nasze, z dłuższym doświadczeniem urbanistycznym. Polski użytkownik np. „Centrum Zana” nie specjalnie martwi się, że musi przechodzić przez trawnik, parking czy jezdnię, idąc od jednego sklepu do drugiego. Będzie przeciskał się między samocho-

Samochody z czasem wypełniają każdą udostępnioną im przestrzeń, więc usprawnianie ich ruchu nie zdaje egzaminu. Trzeba go po prostu ograniczać.

dami, bo nie widzi w tym nic złego. Co innego Anglik czy Niemiec. U nas myśli się, jak ułatwić ruch samochodów, a w bardziej cywilizacyjnie dojrzałych krajach po prostu się go likwiduje na rzecz użytkownika pieszego, rowerzysty czy komunikacji publicznej. Jest udowodnionym faktem, że samochody z czasem wypełniają każdą udostępnioną

im przestrzeń, a więc na dłuższą metę usprawnianie ich ruchu „za wszelką cenę” nie zdaje egzaminu, trzeba go po prostu ograniczać. Ale nam się wydaje, że nas to nie dotyczy.

A więc nie ma sensu konsultowanie rozwiązań przestrzennych we współpracy z polskim społeczeństwem?

Jest sens, niezależnie od stopnia naszej dojrzałości cywilizacyjnej, ale może nie zawsze w aż tak szerokim zakresie, jak na Zachodzie.

Wystarczy taki kontakt ze społeczeństwem, jaki przewidują obecne procedury akceptacji projektów?

Nie. Ponieważ to jest fikcja, wprowadzanie ludzi w błąd. Ścieżki podejmowania decyzji są tak sformalizowane, że w zasadzie chodzi w nich jedynie o „odfajkowanie” sprawy – że był kontakt, ludzie widzieli, coś powiedzieli, a my i tak nie zwracamy na to uwagi, bo mówią bzdury i utrudniają decyzje. A to nieprawda, bo jak mówiłem na początku, społeczeństwo nie jest jednolite, a czasem nawet ci o znikomym doświadczeniu urbanistycznym mają godne uwagi pomysły, na które projektant sam by nie wpadł. Tylko trzeba umieć słuchać. Naszym nagłym problemem jest, jak w warunkach polskich urealnić i zwiększyć ten kontakt ze społeczeństwem w procesie twórczym, jak w pełni uspołecznić proces planowania, aby mieszkańcy, środowiska profesjonalne i twórcze mogły realnie, efektywnie, ale i pozytywnie wpływać na kształtowanie środowiska, bez wydłużania procedur, negocjowania wartości publicznych i forsowania prywaty. Trzeba też uznać hierarchię wartości: priorytetem jest jakość środowiska tworzonego, wizja jego racjonalnego, zrównoważonego, trwałego (w sensie perspektywicznym) rozwoju, a sprawą wtórną – choć również istotną – sprawność realizacji. Nie odwrotnie, jak to u nas z reguły bywa. Ale to jest też sprawa szersza, sprawa naszego systemu planowania i gospodarki przestrzennej. Nie jest on obecnie dobry, odbiega daleko i negatywnie od praktyki krajów bardziej doświadczonych i rozwiniętych. Wymaga on pilnego uzdrowienia, choćby tylko po to, by spełnić rosnące oczekiwania i wymagania Unii Europejskiej. W tym też nadzieja dla polskiej przestrzeni.

Jaką politykę przestrzenną
chcemy w ogóle prowadzić?

Pytania o wizje

Rozmowa ze Stanisławem Lichotą, architektem i urbanistą, projektantem „Centrum Zana”. Jakie są mechanizmy kształtowania przestrzeni ulic, placów i centrów handlowych, z których codziennie korzystamy? Czy czujemy się podmiotem tych zmian? Zobaczmy, jakie są przyczyny tego, że o swoim mieście, dzielnicy czy osiedlu myślimy z dumą lub ze wstydem.

A miało być tak pięknie

Marcin Skrzypek: Pretekstem do naszej rozmowy jest projekt „Centrum Zana”, który wraz z zespołem zrobił Pan w roku 1995. W Urzędzie Miejskim w Lublinie można oglądać makietę jego północnej części, która w większości czeka na realizację. Przeciwna strona ulicy Zana jest już zabudowana, ale niezgodnie z Pana zamysłem. Na czym on polegał?

Stanisław Lichota: Głównym założeniem projektu było stworzenie przestrzeni publicznej w formie czterech placów i ciągów pieszych połączonych w kwadrat kładkami nad ulicą Zana. Aby ich użytkownik czuł się bezpiecznie, samochody zostały usunięte na niższy poziom, a wyższy zajęły pasáže handlowo-usługowe. Każdy z zaprojektowanych na rogach kwadratu placów miał być inny, o innej funkcji, co czyniło cały układ urbanistyczny czytelnym

i łatwym w odbiorze. Podobne rozwiązanie zastosowano w centrum Sztokholmu, a także w warszawskim pasażu domów towarowych „Junior”, „Sawa” i „Wars”, czyli tzw. „Ścianie Wschodniej” między Alejami Jerozolimskimi a ulicą Świętokrzyską. Nasz projekt nie ograniczał się jednak tylko do propozycji, co zbudować, ale też jak. Postulowaliśmy stworzenie funkcji koordynatora, który mógłby dostosowywać plany do zmieniających się uwarunkowań oraz interesujących, słusznych propozycji inwestorów.

Jak wygląda „Centrum Zana” dziś?

Strona północna jest zabudowywana mniej więcej w zgodzie z planem, ale w sposób nieprzesądający o dalszym losie ciągów pieszych. Strona południowa jest w większości zabudowana niezależnymi od siebie budynkami. Nie tworzą one całości i nie wszystkie archi-

Stanisław Lichota – architekt, urbanista, ur. w 1944 r. w Braciejowicach. Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Od 1972 r. zawodowo związany z Lublinem. Główny projektant planu Lublina i Świdnika (edycja 1986 r.) i planu dzielnicy mieszkaniowej Rudnik i osiedla Lipniak w Lublinie. Centralny Projektant Lublina w latach 1990-1995. Uczestnik i laureat konkursów architektonicznych, w tym na ośrodek parafialny i kościół pw. M. M. Kolbego (zrealizowany) i kościół pw. M. B. Różańcowej w Lublinie (w realizacji). Wyroźnienia i nagrody m.in. w konkursach na dworzec PKP-PKS w Lublinie, dzielnicę mieszkaniową w Zamościu i Centrum Pragi w Warszawie. Wiceprezes i prezes minionych kadencji Stowarzyszenia Architektów O/Lublin. Główny projektant zagospodarowania „Centrum Zana” w Lublinie (1996 r.). Od 1994 r. główny specjalista w Instytucie Gospodarki Przestrzennej i Mieszkalnictwa w Warszawie. Od 1993 r. projektuje we własnej pracowni architektury i urbanistyki. Wybrane realizacje: salon samochodowy Seat (Al. Warszawska), salon samochodowy Chevrolet (ul. Północna), centrum usługowe przy Al. Andersa, zespół mieszkaniowy i domy w osiedlu Lipniak.

Prawem nie da się zadekretować jakości

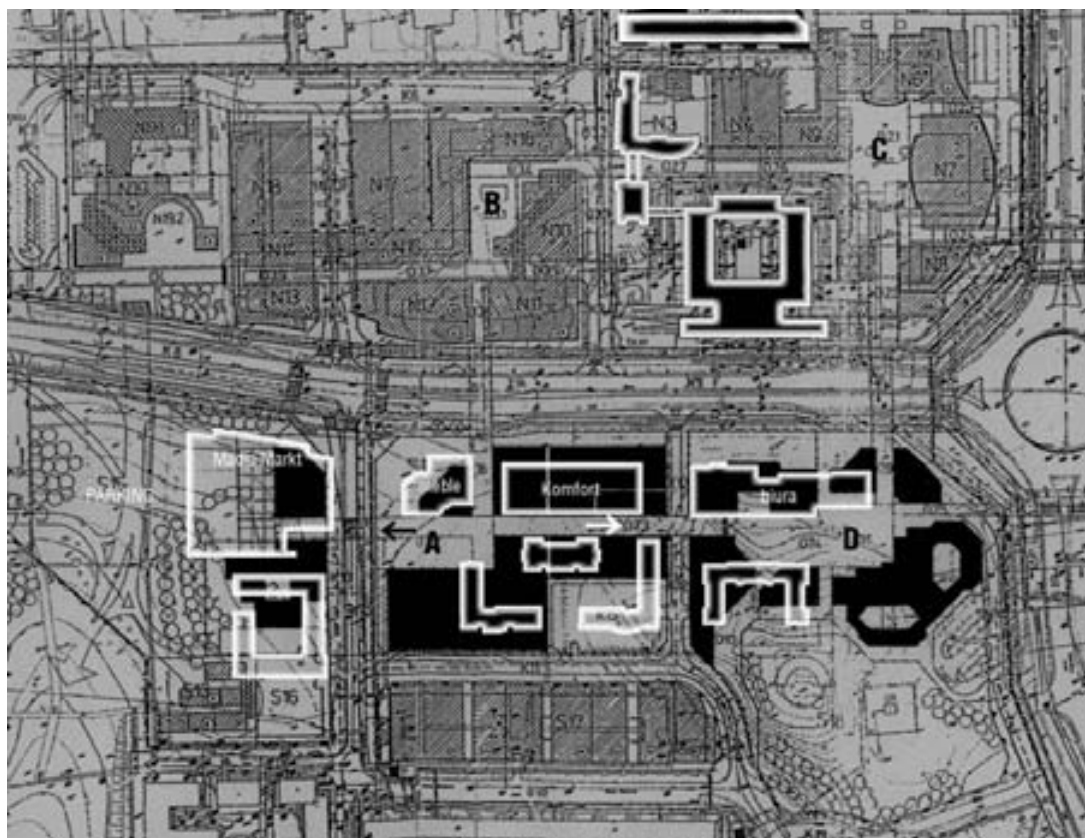
Projekt „Centrum Zana” z 1995 r. (kolor czarny) i jego realizacja (kolor biały). Literami oznaczono projektowane place. Czarna strzałka wskazuje zakładane w projekcie wyjście do parku. Biała strzałka wskazuje miejsce i kierunek wykonania zdjęcia na sąsiedniej stronie. Montaż M. Skrzypek.

tektonicznie stoją powyżej przeciętnej. Na pewno nie powinien tam stanąć taki budynek, jak „Komfort”, który jest przykładem taniej, prowizorycznej architektury stosowanej w miejscach nie-reprezentacyjnych, a więc raczej na peryferiach, a nie w centrum. Jeżeli chodzi o inne obiekty, główną niezgodnością z zamysłem projektu jest fakt, że miejsce lokali usługowych zajęły mieszkania. Ciąg między budynkami, który miał być pasażem handlowym, pełni rolę drogi dojazdowej na zaplecza sklepów i nie zachowuje poziomu, skutkiem czego niektóre wejścia do planowanych wcześniej lokali znajdują się na wysokości pierwszego piętra. Perspektywę pasażu od strony zachodniej miała zamykać zieleń, która

sygnalizowałaby wyjście z zatłoczonego centrum do parku, odnogi wąwozu Rury. Miejsce parku zajmuje dziś parking, natomiast zamknięcie pasażu stanowi zaplecze dostawcze pawilonu Media Markt. Nieodwracalna zmiana na gorsze i to za sprawą obiektu, którego architektura wyróżnia się korzystnie na tle innych obiektów. Zagospodarowywanie tego terenu jest obecnie w takim punkcie, że projekt można jeszcze uratować albo trzeba się z nim definitywnie pożegnać.

Kto porówna projekt z istniejącym chaosem urbanistycznym, zrozumie, ile już straciłmy. Dlaczego w tym przypadku lepsze zostało wyparte przez gorsze?

To długa i skomplikowana historia. Koncepcja „Centrum Zana” istniała od lat 60. Początkowo miało być ono



sercem tylko jednej z dzielnic. Później dostrzeżono, że może mieć znaczenie również dla całego miasta. Jednak na początku lat 90. zmieniły się uwarunkowania. Część ziemi należącej do spółdzielni przejął samorząd, a w stosunku do niektórych działek pojawiły się roszczenia osób prywatnych. Zarówno dla nas, jak i dla władz miejskich stało się jasne, że tak duży projekt nie może już zostać zrealizowany przez jednego inwestora. Pojawił się pomysł, aby wobec tego wypróbować nowe podejście do szczegółowego planu miejscowego, które pozwoliłoby realizować tak złożone założenie urbanistyczne fragmentami. Chodziło o wypracowanie instrumentów nadzoru pozwalających, aby realizacje poszczególnych inwestorów, działających osobno we własnym interesie, złożyły się w logiczną całość służącą interesowi publicznemu.

Mając świadomość, że musi się to odbić na jednorodności architektonicznej, uważaliśmy, że trzeba w projekcie uwzględnić konieczność koordynacji inwestycji, aby uniknąć parcelacji gruntu i jego zabudowy osobnymi, odizolowanymi od siebie budynkami, jak to jest w osiedlach jednorodzinnych, na zasadzie „wolność Tomku w swoim domu”. Czyli najpierw wizja układu przestrzennego miała zostać przełożona na nowe uwarunkowania inwestycyjne, a potem na warunki dla inwestorów. To była bezpośrednia przyczyna sporządzenia opracowania pt. *Koncepcja planu ośrodka usługowego dzielnicy Rury*, która teraz stanowi dla nas punkt odniesienia. Zostało ono co prawda przyjęte przez władze, ale czy ze wszystkimi naszymi тезami? Nie, bo jedna z nich brzmiała, że poprzeczka dla inwestorów powinna być postawiona wysoko, nawet jeżeli odstraszałoby to słabszych. Wystarczyłoby, gdyby plan zagospodarowania był prawem lokalnym, bo wtedy inwestor musiałby go respektować. Stało się jed-

nak odwrotnie: to właśnie zmuszanie inwestora do czegokolwiek było niezgodne z prawem, bo koncepcja nie jest prawem.

Dlaczego projekt „Centrum Zana” nie stał się prawem lokalnym?

Nie potrafię odpowiedzieć wprost na to pytanie. W roku 1989 wiceminister gospodarki przestrzennej architekt-urbanista Adam Kowalewski przestrzegał, że głównym zagrożeniem gospodarki przestrzennej po zmianie ustroju będzie duża aktywność lobby spekulacyjno-gospodarczego, starającego się wykazać, że planowanie przestrzenne hamuje rozwój gospodarczy kraju. Te przepowiednie się spełniły. Urbanistyczna wolność kroczyła w kierunku anarchii. Mówiono, że nie jest sztuką stwarzać ograniczenia, lecz przyciągnąć inwestorów, być dla nich przyjaznym. Takie podejście wynikało jednak – i często dalej wynika – z bardzo naiwnego rozpoznania ich potrzeb.

Rzeczywiście, istnieje spekulacyjny kapitał, który inwestuje tam, gdzie stawia mu się najmniej barier. Znam przypadek inwestora z Wielkiej Brytanii, który chciał zbudować w Lublinie coś w rodzaju Disneylandu pod warunkiem, że stanie on właśnie przy ulicy Zana. Są jednak również poważni inwestorzy, którzy nie boją się ograniczeń i chcą przede wszystkim mieć jasność, co się im pozwala na danym terenie zrobić. Chcą być pewni,



Zaplecze, które wg projektu miało być pieszym pasażem. Widoczna ściana Media Markt blokująca przedłużenie ciągu w kierunku parku. Fot. M. Skrzypek.

Wizualizacja jednego z pasażi, gdyby – mimo zaistniałych już odstępstw od projektu – zdecydowano się dziś na jego budowę. Fot. i grafika S. Lichota.





Widok na fragment wąwozu Rury (po prawej), który w planach miał być połączony z „Centrum Zana”, oraz blokujący go parking przy Media Markt. Fot. M. Skrzypek.

Panorama „Centrum Zana” ze stycznia 2005. W dali po prawej kontynuacja „Centrum” w postaci budynków mieszkalnych ze sklepami oraz hipermarketu Leclerc. Fot. i kolaż M. Skrzypek.

że w trakcie planowania czy budowy nie wystąpią jakieś nieprzewidziane okoliczności, które spowodują dodatkowe koszty. Żeby przyciągnąć inwestorów, nie trzeba więc koniecznie likwidować ograniczeń. Można się skoncentrować na ich wyraźnym artykułowaniu.

Prawo i sens

Czyli jak to w życiu – trzeba mieć swoją godność. Wtedy dobrze wychodzą na tym obie strony. Bo przecież uporządkowane i ładne „Centrum Zana” byłoby cenniejszym miejscem dla inwestorów, niż jest teraz.

Łatwo to sobie wyobrazić. Ale jak już sugerowałem, sztywne procedury nie

wystarczają do osiągnięcia rozwiązań wysokiej jakości. Dobry plan powinien z jednej strony zabezpieczać istotne elementy ukształtowania przestrzeni, a z drugiej być względnie otwarty na potrzeby i propozycje inwestora. Nie ma jednej recepty, jak to osiągnąć. Osobą najwłaściwszą do korekt planu jest na pewno jego autor, który wie od początku, co jest istotne i gdzie nie można ustąpić, a gdzie można dać swobodę inwestorowi, który wnosi nowe wartości. Dla „Centrum Zana” taką rolę miał pełnić koordynator projektu. Ostatecznie nic z tego nie wyszło i zabrakło nawet nadzoru autorskiego. Nie uczestniczy-





łem w rozmowach z inwestorami, nie mogłem zrobić nic, aby pomóc w realizacji projektu.

Romuald Dylewski, w latach 50. i 70. generalny urbanista miasta, przygotowywał bardzo szczegółowe wymagania dotyczące zagospodarowania terenu, wychodząc z założenia, że dobremu architektowi ustąpi, jeżeli będzie taka potrzeba, a zły przynajmniej zrealizuje warunki urbanistyczne. To jednak była metoda pracy odpowiednia dla ludzi, którym prawo daje władzę adekwatną do ich merytorycznych kompetencji. Odnoszę wrażenie, że dziś, choć mamy demokrację, przepisy tworzone są na

zasadach braku zaufania do fachowca, jego inteligencji i dobrej woli. To prawo chce uregulować wszystkie przypadki i nie zostawia nic do negocjacji. Prawem nie da się jednak zadekretować jakości. Mogą ją zapewnić tylko fachowcy. Dobra przestrzeń może być ujęta w złe formuły prawne i odwrotnie: dobry z prawniczego punktu widzenia przepis może stać na straży brzydoty i niewygody.

Jeżeli teraz odpowiemy sobie na pytanie, kto ma więcej pieniędzy na prawników, gmina czy inwestor, wnioski nasuną

Północna część „Centrum Zana”, zabudowywana jak na razie zgodnie z urbanistycznymi założeniami projektu, choć niezbyt ciekawa architektonicznie. Fot. M. Skrzypek

Pierwszym przymusem planistycznym są dla gmin inwestycje, a nie potrzeba ładu przestrzennego.





Fotografie na tej i na sąsiedniej stronie przedstawiają skutki braku planowania przestrzeni miejskiej: budynki ciekawe architektonicznie i warte oglądania ukrywają się między zabudowaniami, a obiekty nieładne postawione są w eksponowanych miejscach. Powyżej budynek centrali Pierwszego Komercyjnego Banku w Lublinie przy ul. Boczna Lubomelskiej. Projekt biuro Stelmach-Jabłoński. Realizacja w 1996 r. Pierwsza nagroda w konkursie „Życie w architekturze” za najlepszy projekt budynku użyteczności publicznej. Poniżej – jedyny widok budynku z daleka. Fot. M. Skrzypek.



Sklep „Komfort”, część „Centrum Zana”. Budynek o tej architekturze powinien znaleźć się na obrzeżach miasta, a nie w centrum. Fot. M. Skrzypek.



się same. Czy jest na to jakaś rada?

Sensowne z merytorycznego punktu widzenia rozwiązania mogą być łatwo uznane za korupcyjne. W pewnym duńskim mieście projektowano fragment ośrodka usługowego. Za-

danie było na tyle trudne, że po kilku podejściach zdecydowano się ogłosić konkurs, ale okazało się, że zwycięski projekt nie jest zgodny z planem miejscowym. Uznano jednak, że wnosi on wartość, o którą chodziło i wdrożono przyspieszoną procedurę zmiany planu, aby móc ów projekt zrealizować. Ten przykład pokazuje, że jeżeli ma się świadomość, co jest wartością nadrzędną naszych działań, sprawdzają się również procedury pozornie dające zbyt dużo swobody. Niestety, w naszym kraju myślenie idzie w inną stronę. U nas rady na korupcję szuka się w uszczegóławianiu przepisów. W Wielkiej Brytanii najwyższym rozjemcą w sprawach gospodarki przestrzennej, od którego decyzji nie ma odwołania, jest fachowiec, a u nas sąd.

A więc cała władza w ręce fachowców!

Mimo wszystko bałbym się takiego hasła. W myśl obecnych przepisów samodzielni fachowcy od planowania nie muszą mieć umiejętności kształtowania przestrzeni, nie muszą być nawet architektami. Jest ich w Polsce około 1 500. Sześćdziesiąt procent z nich to geodetowie, inżynierowie sanitarni, ekonomiści... każdy, kto zdobył uprawnienia. W latach 1995-2003 za gospodarkę przestrzenną była odpowiedzialna tzw. „ustawa proceduralna”, która nie wska-

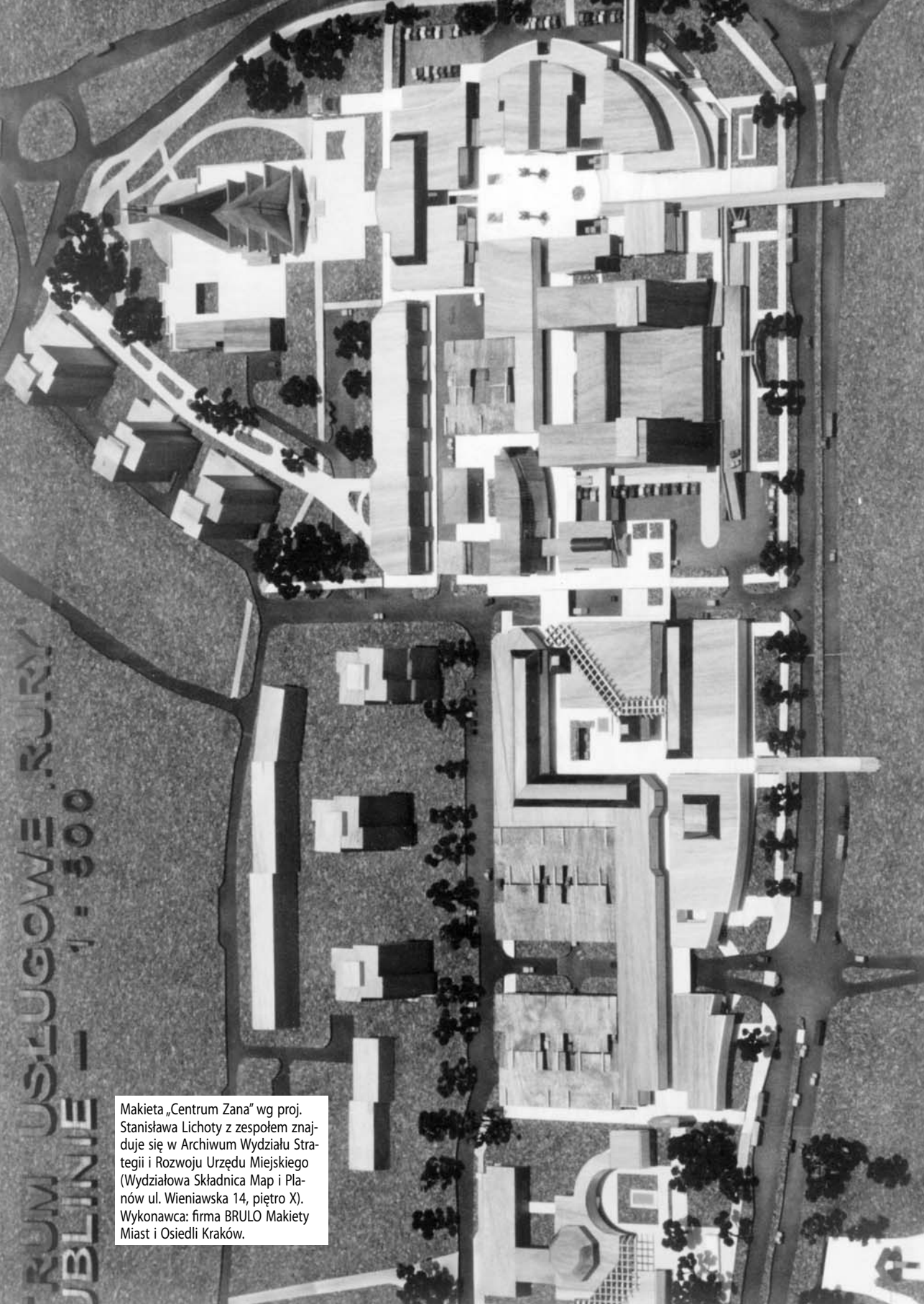
zywała, jak powinno się robić plan dobry pod względem merytorycznym, ale jakim procedurom należy poddać plan, aby on się stał prawem lokalnym. Nie trudno zgadnąć, że w tych warunkach najlepiej czuły się osoby niezainteresowane jakością przestrzeni. Planowanie w ich wykonaniu polegało głównie na zmianie przeznaczenia terenu, na ogół z rolniczo na „pod inwestycje”. A dalej – hulaj dusza.

Mam wrażenie, że architekt czy urbanista z poczuciem misji jest w naszym kraju narażony na silną frustrację i zniechęcenie.

Waga, jaką przykłada się do kształtowania przestrzeni, na pewno ma wpływ na motywację do działania. W Gdańsku jest kilkudziesięciu architektów pracujących na rzecz miasta, w Lublinie kilku. To nie jest tylko kwestia odgórnego przydziału etatów. Gdyby miasto zapewniło sobie większy wpływ merytoryczny na projekty inwestycyjne, urbanisci i architekci bardziej by się garnęli do służby publicznej, która nie byłaby dzięki temu tak słaba w stosunku do potrzeb, jak jest teraz.

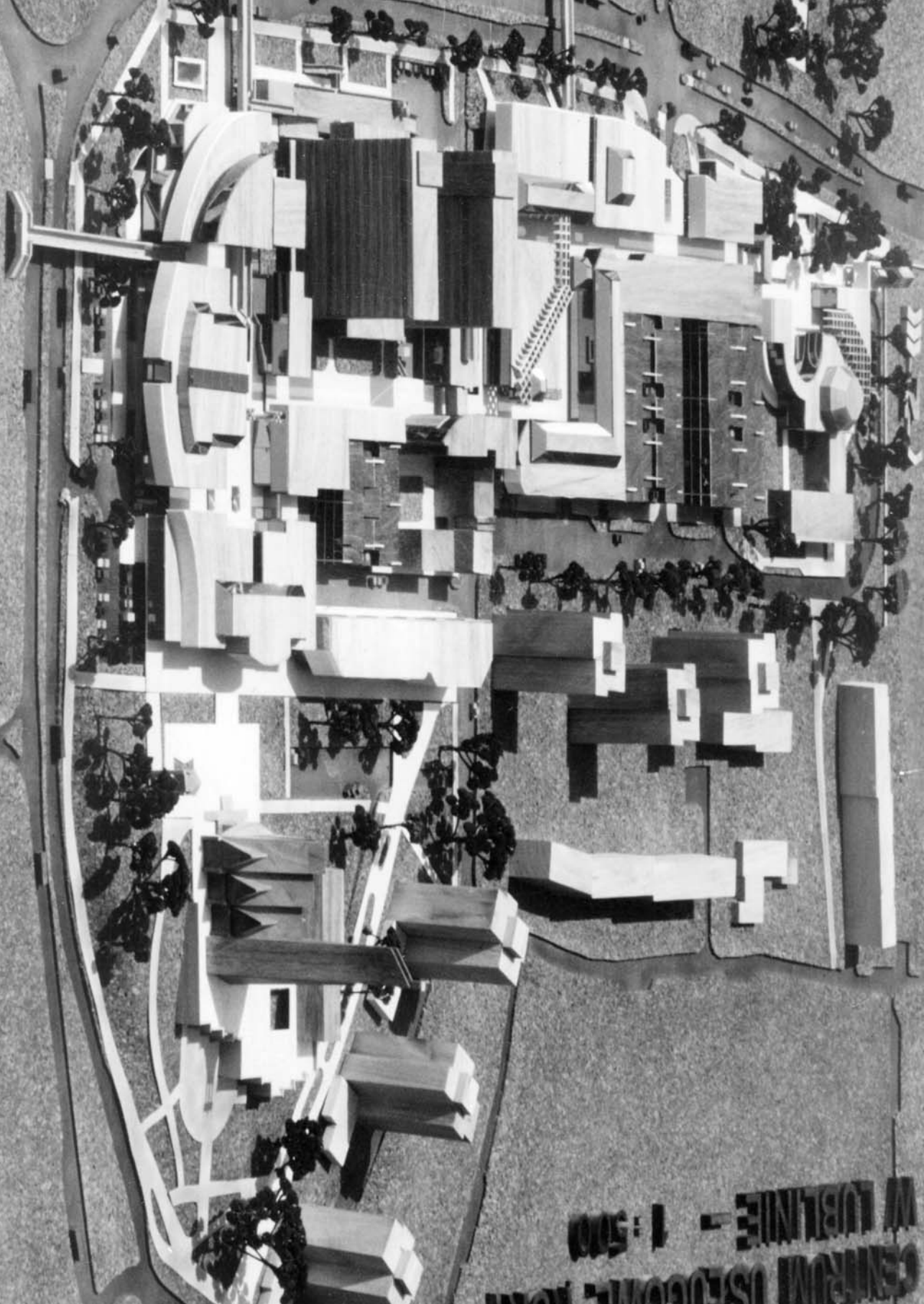
Ilu architektów i urbanistów potrzebuje Lublin?

To zależy, do czego się dąży. Nierazko widzi się, że wspaniała architektura skrywa się w głębi zabudowań, a jej przeciwieństwo eksponowane jest w jakimś reprezentacyjnym miejscu. Czyli rządzi tym przypadek. Pytanie, czy nam to przeszkadza? Jeżeli tak, to warto zdać sobie sprawę, że na krajobraz zurbanizowany możemy patrzeć podobnie, jak na naturalny. Zauważymy w nim miejsca ciekawsze i mniej ciekawe, bardziej wartościowe i mniej. Należy je właściwie odczytać i zagospodarować. Sztuka polega na tym, żeby nasze wymagania umiejętnie różnicować. Na osiedlu domków jednorodzinnych istotny jest tylko układ ulic, skwerów, punktów usługowych, podział na działki itp., ale tam, gdzie występują swego rodzaju kulminacje układu przestrzennego,



Makieta „Centrum Zana” wg proj. Stanisława Lichoty z zespołem znajduje się w Archiwum Wydziału Strategii i Rozwoju Urzędu Miejskiego (Wydziałowa Składnica Map i Planów ul. Wieniawska 14, piętro X). Wykonawca: firma BRULO Makiety Miast i Osiedli Kraków.

TRUM USŁUGOWE RURY
UBLINIE — 1 : 500



CENTIM OS 500000:1
W LUBLINE - 1:500

trzeba myśleć już innymi kategoriami. Jeżeli są w mieście miejsca bardzo ważne, powinno się je odpowiednio wcześniej dostrzec, uznać i pielęgnować. Na początku tej drogi stoją właśnie miejscy architekci i planiści. Ich zadaniem jest ciągle studiowanie przestrzeni. Istnieją bowiem metody parametryzowania jej walorów oraz rozwiązań właściwych i niewłaściwych dla jakiegoś jej wycinka. Jeżeli tego nie robimy, brak nam rozeznania i wszystko nas zaskakuje. Świadomość dotycząca tych problemów cały czas się zmienia, czasem na lepsze, czasem na gorsze, ale jedno pytanie pozostaje aktualne: jaką politykę przestrzenną w mieście chcemy w ogóle prowadzić?

Odpowiedź na to pytanie na pewno można znaleźć w jakichś dokumentach.

Deweloperzy w odniesieniu do mieszkań mówią: „po pierwsze lokalizacja, po drugie lokalizacja i po trzecie lokalizacja”, a więc lokalizacja, czyli ważność miejsca, powinna decydować o problematyce i szczegółowości opracowania planistycznego. Tymczasem wszystkie plany Lublina wykonywane są w skali 1 : 2 000, co oznacza, że zakłada się, iż wszędzie przestrzeń ma tę samą wartość.

A więc faktycznie taka polityka nie istnieje. W jakim stopniu gminy same decydują, jaką politykę przestrzenną chcą prowadzić?

Do roku 1995 miasta miały obowiązek opracowywania planów generalnych (albo inaczej ogólnych) o statusie prawa miejscowego dla całego miasta oraz stojących niżej w hierarchii planów szczegółowych dla jego części. W 1995 roku nowa ustawa o zagospodarowaniu przestrzennym zniósła hierarchię planów i obowiązek pokrywania nimi całego obszaru gminy, a zamiast planu generalnego wprowadziła *Studium uwarunkowań i kierunków rozwoju przestrzennego*, które jest ogólniejsze niż plan generalny i nie staje się automatycznie prawem miejscowym. W rezultacie teraz, jeżeli gmina nie chce, nie

musi robić żadnych planów. Wtedy jednak groziłby jej paraliż inwestycyjny, a więc można powiedzieć, że pierwszym przymusem planistycznym są dla gmin inwestycje, a nie potrzeba ładu przestrzennego.

Jeżeli chodzi o Lublin, po raz pierwszy od wielu dekad nie ma on planu generalnego, a jedynie dość uproszczone studium w skali 1: 25 000. Około 30% miasta pokryte jest planami w skali 1: 2 000. Obowiązują więc bardziej szczegółowe plany oparte na mniej zobowiązującym studium. Czyli jest tak, jakby ustawy państwowe zostały sformułowane na podstawie konstytucji mającej charakter listu intencyjnego. Moim zdaniem, sprzyja to niszczeniu wyjątkowych fragmentów przestrzeni urbanistycznej. Warto podkreślić, że miasto funkcjonuje jako całość, np. w zakresie komunikacji czy infrastruktury, ale po 1995 roku nie potrafiło zapewnić sobie pozycji koordynatora całościowych zmian urbanistycznych w stopniu adekwatnym do potrzeb. Ujmę to inaczej: ta koordynacja oczywiście istnieje, ale leżą odłogiem pewne tematy i fragmenty Lublina szczególnie wrażliwe na różnego typu ingerencje. Jeżeli nie wypracujemy instrumentów merytorycznych i prawnych, aby wygrać te przestrzenie dla miasta, to albo przypadkowo, albo nawet pod hasłem szczytnych intencji i dobrej woli, przestrzenie te mogą nie tylko nie zostać wygrane, ale wręcz zniszczone.



Apartamentowiec przy ul. Bema. Mimo nowoczesnej linii pasuje do okalającej zabudowy, a jasna elewacja optyczna poszerza wnętrze ulicy. Autorzy: Maria Balawejder-Kantor i Andrzej Kasprzak. Nominacja do nagrody głównej w konkursie „Życie w architekturze” w kategorii domów wielorodzinnych (najlepsze realizacje architektoniczne Lublina 1989-1999) za „umiejętnie wpisanie budynku (...) w kontekst ulicy oraz za umiar i konsekwencję formalną” Fot. M. Skrzypek.



Mało reprezentacyjny budynek z pocz. lat 90. przy roгатce warszawskiej, jednym z najbardziej reprezentacyjnych skrzyżowań Lublina. Ale mogło być gorzej: w tym miejscu wcześniej planowano zwykłe bloki. Fot. M. Skrzypek.



Pytania o wizje

Które miejsca ma Pan na myśli?

Na przykład przedpole panoramy Starego Miasta od strony Bystrzycy, czyli pas wzdłuż Alei Unii Lubelskiej i dalej, aż do dworca PKP. Te tereny powinny być szczegółowo badane w różnych skalach i wariantach, a niektóre fragmenty opracowywane poprzez konkursy architektoniczne. Zobaczmy, jak brzydko wygląda teraz podnóże Wzgórza Staromiejskiego. Podobnie przy dworcu, który jest z definicji reprezentacyjny, dziś panuje niesamowity bałagan. Nie spotkałem się z żadnym opracowaniem, które stworzyłoby tam jakąś nową jakość. Nie chodzi o pomysły budowania pojedynczych obiektów, np. hali targowej w Parku Ludowym, ale o to, że dla tego terenu nie ma projektów rozwiązań całościowych. Tam, podobnie jak w przypadku „Centrum Zana”, bez odpowiednich narzędzi nie da się zagwarantować wysokiej jakości zagospodarowania całego obszaru.

Myślenie urbanisty czy architekta jest myśleniem optymisty, który zawsze projektuje świetlaną przyszłość, a przynajmniej coś lepszego, niż jest, co jednak nie oznacza, że dany projekt jest najlepszym rozwiązaniem z możliwych. Wydaje się, że hala targowa w Parku Ludowym nie ma złej lokalizacji, ale czy nie mogłaby

mieć dużo lepszej lub czy ta lokalizacja nie byłaby lepsza dla jakiegoś innego budynku, bardziej potrzebnego?

Tego nie wiemy. Czy bryła szkoły rzucająca się w oczy u stóp Starego Miasta miałyby tak architektonicznie wątpliwy kształt, gdybyśmy wcześniej w planach odpowiednio uwzględnili widokowy walor panoramy? Bez odpowiedniego planu z okolicami dworca może być podobnie. Kiedy masa krytyczna ich atrakcyjności

zostanie przekroczona i znajdą się inwestorzy, którzy zaczną proponować swoje projekty, nie będzie innego wyjścia, jak je przyjąć. To miałem na myśli, mówiąc, że bez studiów przestrzeni dajemy się zaskoczyć sytuacji.

Czego więc brakuje w naszym myśleniu?

Wizji, czyli czegoś, co pozwala nam się przenieść w wyższą „sferę jakościową”, jeżeli tak można powiedzieć. We właściwym urzędzie na pewno dowie się Pan, że nie ma sprawy, bo wszystko, co trzeba, jest. Ale pytanie, czy to ma po prostu być, czy to ma być wizja rozwoju? Parę lat temu odbyły się konsultacje pewnej fazy studium zagospodarowania przestrzennego Lublina, w których koreferentem był profesor Zbigniew Zuziak z Politechniki Krakowskiej. Docenił on bogatą dokumentację studium, ale pytał: gdzie jest wizja rozwoju Lublina? Od tego by można zacząć. Rozumiem, że prof. Zuziak w powstającym studium nie dostrzegł myśli, która zapowiadałaby, że coś spektakularnego, coś pięknego nastąpi w rozwoju miasta. Skąd wynikają osiągnięcia innych, które nam wydają się niedostępne? Może zabrzmi to łopatologicznie, ale jeżeli chce się jakiś cel osiągnąć, trzeba go sobie najpierw postawić. Teoretycznie wizja rozwoju Lublina istnieje, ale jeżeli wszyscy robią, co mogą, żeby ją zrealizować, a efektów nie widać, to znaczy, że jej nie ma. A jeżeli nie ma, to trzeba się zastanowić, kto i jak powinien ją stworzyć.

Gdzie moglibyśmy szukać inspiracji do takiej wizji?

Mówiliśmy tutaj sporo o przestrzeniach publicznych. Warto na przykład spytać, czym one są w kontekście Lublina, jak powinny być organizowane, jak powinny się rozwijać. Na przykładzie wspomnianego ciągu od Zamku do dworca wiadomo, że kulminacja tej przestrzeni powinna być przy dworcu, ale nie wystarczy tego stwierdzić. Trzeba jakoś określić wyznaczniki sukcesu, czyli

Ta ścieżka rowerowa przy ul. Męczenników Majdanka, jedna z nielicznych w Lublinie, ma około 200 m długości i jest odizolowana od innych ścieżek. Podobne kurioza pojawiają się przy modernizacji niektórych chodników, ale nic nie wskazuje na to, że kiedyś połączą się one w przemyślaną sieć tras rowerowych promujących dwa kółka jako alternatywę dla samochodu. Fot. M. Skrzypek.



jakie warunki powinny być spełnione, żeby tę kulminację z powodzeniem wykorzystać. Można to opisać albo wręcz zaprojektować. Elementy takiej wizji istnieją, ale brak scalającej myśli przewodniej. Czasem wystarczy niewiele. Mamy przykład wizji „deptaka” na Krakowskim Przedmieściu, która się sprawdziła. Ale było to rozwiązanie dość proste, wymagające jedynie pewnej odwagi decyzyjnej i wyobraźni. Inaczej jest z okolicami dworca, które wymagają znacznego przetworzenia.

Dalej: dolina Bystrzycy. Czy nie wydaje się Panu nieporozumieniem, że w górze rzeki mamy zaporę, a w dole wały przeciwpowodziowe? Jestem przekonany że jest to spadek po „Polsce resortowej”, gdzie jeden resort budował wały, a drugi zalew. Ale czy dziś nie moglibyśmy Bystrzycy odkryć na nowo? Jeszcze w latach 60. w centrum miasta działała przystań kajakowa. Dlaczego dziś rzeka ma być odgradzona od miasta wałami?

Następna sprawa to rowery. Roweryści jeżdżą w sposób tak nieuporządkowany, że zagraża to bezpieczeństwu przechodniów. W latach 1994-1998 jako ekspert komisji Rady Miejskiej do spraw rozwoju urbanistycznego prawie na każdym posiedzeniu powtarzałem, że sprawę ruchu rowerowego trzeba potraktować priorytetowo i rozwiązać ją całościowo. W końcu zaczęto patrzeć na mnie jak na nawiedzonego. Dziś mam wrażenie, że wszystko robi się odwrotnie niż powinno. Na przykład projektuje się rowerowe ścieżki rekreacyjne, nie mając uregulowanego ruchu rowerów w przestrzeniach codziennego użytku czy między osiedłami. To tak, jakby budować autostradę bez dróg dojazdowych. Uważam, że tę oczywistą kwestię Lublin przegrał.

Sprawa ruchu rowerowego czy przyłączenia Bystrzycy do miasta to pytania o wizję, a ścieżka rowerowa wzdłuż rzeki to działanie jednorazowe i na małą skalę – potrzebne, ale doraźne. Czasem takie rozwiązania



przysłaniają sedno problemu, z którym tak naprawdę nikt nie chce mieć do czynienia.

Obok mnie za ścianą znajduje się jedyny działający poza Warszawą Zakład Instytutu Gospodarki Przestrzennej i Mieszkalnictwa, branżowej naukowo-badawczej instytucji państwowej, która cierpi na brak zadań. Zakład funkcjonuje jak każde prywatne biuro, czyli musi starać się na rynku o zlecenia, co nie jest złe, ale przecież nie na tym polega jego rola. Nie powstał on w celach komercyjnych, lecz aby realizować zlecenia służące interesowi publicznemu. Instytut mógłby testować projekty ustaw, monitorować ich działanie, mógłby wykonywać szczegółowe studia urbanistyczne, np. dotyczące polepszania przestrzeni wielkopłytowych osiedli. Tymczasem władze państwowe i regionalne, którym miał służyć, nie formułują w stosunku do niego żadnych potrzeb badawczych, czyli takich potrzeb po prostu nie do-

Doskonałym wskaźnikiem kulminacji przestrzennych i widokowych jest lokalizacja obiektów o znaczeniu komercyjnym, takich jak stacje paliwowe, supermarkety, reklamy. Powyżej stacja Statoil przy jednym z głównych skrzyżowań Lublina, usytuowana obok klasztoru Salezjanów, u stóp wzgórza Grodzisko, na którym znajduje się kilkusetletni kirkut. Fot. M. Skrzypek.

Szkoła u stóp Wzgórza Staromiejskiego, położona w zaniedbanym i wrażliwym na zmiany przestrzenne pasie wzdłuż alei Unii Lubelskiej. Obiekt o tak wątpliwej architekturze nie powinien siasiadować z zabytkową zabudową Starego Miasta. Fot. M. Skrzypek.



strzegają. Na zachodzie ocenia się, że gospodarka przestrzenna to 80 % zadań i budżetu samorządu. U nas jakoś tego nie widać.

Czy powinniśmy oczekiwać tego od samorządu?

Przedzie wszystkim powinniśmy oczekiwać, że interes publiczny związany z gospodarką przestrzenną będzie w pełni uwzględniony. Wiadomo, że skutki

zmian w przestrzeni publicznej nie są dla nikogo obojętne. Każdy nowy budynek zmienia jej kształt i dla wszystkich ma znaczenie, czy jego wygląd jest harmonijny czy nie, ładny czy brzydki. W niektórych krajach ta świadomość stoi na bardzo wysokim poziomie. Na przykład Francja traktuje architekturę jako część kultury materialnej,

a ponieważ ma ambicje kulturowego przewodnictwa wśród narodów, dba o jakość przestrzeni już na poziomie polityki państwa, stosując odpowiednie ustawodawstwo. Im większa inwestycja, tym wyższe wymagania co do selekcji rozwiązań architektonicznych. Francuzi nie traktują architektury wyłącznie jako dziedziny zaspokajającej niższe życiowe potrzeby człowieka, lecz jako dziedzinę sztuki, która ma kształtować samego człowieka. Bo czy można czysto werbalnie polepszyć czyjąś wrażliwość na piękno, jeżeli naokoło widać brzydotę?

Francuskie przepisy weszły częściowo do przepisów unijnych, w czym jest szansa i dla nas. Oczywiście, możemy założyć, że teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie niż tworzenie dobrej architektury i urbanistyki, a kiedy w przyszłości osiągniemy inny poziom rozwoju, to nadrobimy stracony dy-

stans, ale to jest myślenie bardzo socjalistyczne. Nie wszystko da się naprawić. Według mnie problem polega na czym innym: czy robimy wszystko, co możemy w danych warunkach, przy naszych środkach i możliwościach, czy sobie odpuszczamy?

Dobrze, że wspomniał Pan o ambicjach, bo apelowanie o wizję traktuję trochę jak wołanie na puszczy. Co jednak robić, jeżeli ambicje są chore albo towarzyszy im zły gust?

Konkursy. Są różne ich rodzaje. Jedne z nich to konkursy realizacyjne, z których wyłania się projekty do budowy. Ogłasza się je, kiedy jest już rozpoczęta inwestycja, są środki, lokalizacja, warunki zabudowy, program użytkowy, wymagania inwestora itp. Drugi rodzaj, który nas bardziej interesuje, to konkursy studialne lub ideowe. Mają one bezpośredni udział w tworzeniu wizji. Mówią ludziom, czym ona jest, dostarczają jej przykładów, zarażają problemem szerokie kręgi społeczeństwa i wpływowe środowiska, czyli, krótko mówiąc, pełnią funkcję popularyzatorską i promocyjną. Jakiś czas temu zasugerowałem organizację konkursu burmistrzowi Biłgoraja, obiecując, że będzie miał z niego same plusy: dowiedzą się obywatele i środowisko, prasa opíše. Zgodził się bez wahania, a efekty przerosły oczekiwania, bo na podstawie materiałów konkursowych powstała praca dyplomowa z architektury, która zdobyła międzynarodową nagrodę. Skoro organizuje się konkursy w Biłgoraju czy w innych miastach, jeżeli są one powszechne w Unii, to dlaczego nie ma ich w Lublinie? Jesteśmy pod tym względem typową prowincją.

Konkurs dla środowiska architektonicznego jest świętem, a dla władzy sprawdzianem, na ile rozumie demokratyczne mechanizmy gospodarki przestrzenną i swoją służebną rolę wobec obywatela. Poprzez organizację konkursu wyraża się wolę, aby dany problem został zobiektywizowany przez fachow-

Skoro organizuje się konkursy architektoniczne w Biłgoraju i są one powszechne w Unii, to dlaczego nie ma ich w Lublinie?

Paradoks Lublina: Bystrzyca przepływa przez środek miasta, omijając je szerokim łukiem. Fot. M. Skrzypek.



ców. Jednak władza jest zależna od opinii publicznej. Przy niskim poziomie świadomości wyborców politycy mogą się obawiać konkursów studialnych, gdyż pociągają one za sobą koszty, a nie przynoszą spektakularnych efektów. Dla tego typu konkursów trzeba by stworzyć odpowiedni klimat społeczny, aby nie było posądzeń o wyrzucanie pieniędzy w błoto. Podczas swojej wizyty w Lublinie prof. Zuziak opowiadał o mieście w Europie Zachodniej, w którym organizuje się konkursy na wszystkie miejsca o szczególnym znaczeniu dla przestrzeni publicznej. Zdarza się, że konkurs nie przynosi zadowalających efektów i wtedy się go nie rozstrzyga, tłumacząc, że widocznie rozwiązanie danego problemu wiąże się z tak wysokimi wymaganiami, że nie jest łatwo je spełnić. U nas podobny przypadek uznano by co najmniej za kompromitację. Tam jednak ludzie myślą na innym poziomie i dlatego podobne decyzje nie budzą kontrowersji.

Jak dojść do ich poziomu?

Jeszcze raz powtórzę: trzeba zacząć od pytania, czy w ogóle dziedzina gospodarki przestrzennej jest dla nas istotna, czy jako obywatele chcemy, by programy rozwojowe Lublina były przedmiotem dyskusji, czy to w ogóle w warunkach lubelskich jest możliwe? W latach 70., jako młody architekt pracujący nad planem Lublina, z przejściem zaangażowałem się w opracowywanie tez rozwojowych miasta. Mój szef był do tego nastawiony sceptycznie: „A kogo to interesuje?” Jak się okazało, miał rację. A przecież w tym samym czasie w Krakowie nie można było przez dwa lata uchwalić studium zagospodarowania przestrzennego, bo tak zażarcie nad nim dyskutowano. Widocznie Kraków już wtedy funkcjonował na innym poziomie. Może właśnie dzięki ambicjom? Może przez jeszcze austro-węgierskie tradycje samorządowe?

Muszę przyznać, że rozmowa z Panem bardzo obniżyła moje morale, jako osoby starającej się zmienić coś na lepsze w naszej

gospodarce przestrzenią. Uwarunkowania rządzące nią przypominają mi rzeczywistość Zamku Kafki. Pomijając korupcję czy działania podejrzanych grup nacisku, wydaje się, że wszyscy uczestnicy procesu kształtowania przestrzeni grają według ustalonych reguł, ale ich działania nie sumują się dla pożytku użytkowników przestrzeni. Brakuje kogoś w rodzaju rzecznika interesu publicznego, który odnajdywałby w tym wszystkim sens.

Cóż, żyjemy w demokracji, która ma swoje instytucje i metody działania. Można je wykorzystać do osiągnięcia dowolnych celów. Gospodarka przestrzenią będzie lepsza, jeżeli wyborcy zażądają tego od polityków.

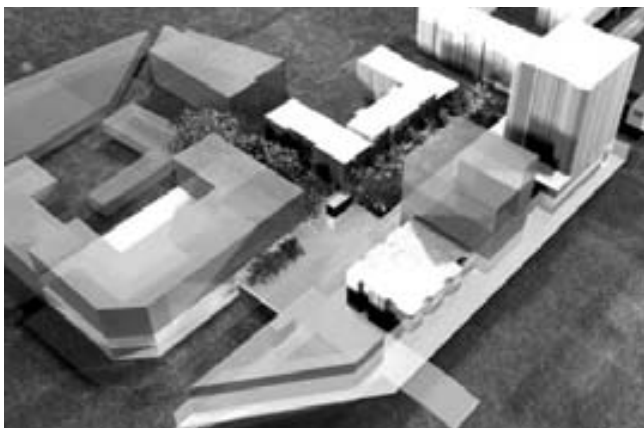
Na pewno, ale to frazes. Żądania w stosunku do polityków objawiają się niską frekwencją przy urnach. Czy w tej sprawie inicjatywa nie powinna należeć raczej do co odważniejszych polityków?

Bardzo dobrym przykładem połączenia polityki z kształtowaniem przestrzeni był jeden z postulatów wyborczych Pawła Bryłowskiego, czyli budowa „deptaka”. Teraz ktoś mógłby postąpić podobnie, obiecując na przykład, że z rejonu przydworcowego zrobi wizytówkę miasta.

Wystarczyłoby podpowiedzieć politykom możliwość użycia takiego „narzędzia wyborczego”.

A fachowcy doradzą, co zrobić, żeby to przyrzeczenie spełnić.

Wizualizacja pomysłu na ratowanie idei pasażu pieszego w południowej części „Centrum Zana”. Projekt: Stanisław Lichota.



Tysiące przechodniów nie zdaje sobie sprawy,
że mija zabytki zachowane
jako fragment przestrzeni miejskiej.

Kamil Nieścioruk

Palcem po planie

Dla wielu osób plan miasta jest jedynie źródłem informacji o tym, gdzie znajduje się ulica i jak tam dojechać. Oko odpowiednio usposobionego czytelnika potrafi jednak dostrzec na nim wiele innych interesujących rzeczy.

Patrząc na dawny plan, nawet sprzed zaledwie kilkunastu lat, dostrzeżemy zmiany w przestrzeni miasta, o których często zapominamy, przyzwyczajeni do obecnego kształtu ulic. Prawdziwie interesujące historie odkryją się przed nami, gdy spojrzymy na plan sprzed kilkudziesięciu lat, a najlepiej kilka planów z różnych wieków, co pozwoli na studia porównawcze. Lublinianin, który chciałby pokusić się o takie badania, musiałby się wybrać do kilku instytucji: Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego, Archiwum Państwowego, Muzeum Historii Miasta Lublina oraz do bibliotek lubelskich uczelni (KUL i UMCS). Na marginesie można zaznaczyć, iż szkoda, że Lublin nie doczekał się jeszcze publikacji zbierającej wszystkie dawne plany miasta w jedną całość, a zaledwie jeden (i to stosunkowo mało atrakcyjny) plan został wydany w formie reprintu.

Najstarsze plany miasta znajdziemy w Bibliotece im. H. Łopacińskiego. Przechowywane jest tam opracowanie geometry Karola Bekiewicza, wykonane w połowie XVII wieku. Niestety, plan ten w części został spalony, nie znamy zatem jego oryginalnego zasięgu. Zachowany fragment przedstawia okolice Bramy Krakowskiej. Z roku 1716 pochodzi najstarszy plan przedstawiający całość miasta: *Plan de la ville et fauxbourgs de Lublin* C. d'Örkena (imię nieznane). Nie miał on dotychczas szczęścia do opracowań i oceniany był dość nisko, nie wspominając o błędnym odczytywaniu nazwiska autora. Rzeczywiście, można mieć zastrzeżenia, co do dokładności opracowania, jednak jego wartość jako dokumentu historycznego rekompensuje z nawiązką inne niedostatki. Na planie zwraca uwagę zwłaszcza linia ciągnąca się na zachodnim krańcu mia-

sta, od doliny Bystrzycy po dolinę Czechówki. Opisana jest jako fortyfikacje i faktycznie znajdują się na niej elementy o kształtach przywodzących na myśl umocnienia (ryc. 1). Kto jednak z mieszkańców Lublina słyszał o fortyfikacjach miasta? To duża niespodzianka zachowana dla nas przez ten plan, a potwierdzona przez inne, m.in. *Plan miasta Lublina* Feliksa Bieczyńskiego z 1829 roku.

Jeszcze większą niespodzianką jest, że fortyfikacje te istnieją w szczątkowej formie do dziś. Tysiące przechodniów nie zdaje sobie sprawy, że mijają zabytki zachowane jako fragment przestrzeni miejskiej. Zabytki na pozór mało spektakularne, bez malowideł, bez strzelistych wież, ale jednak zabytki, które, choć schowane i opuszczone, odcisnęły swój ślad na współczesnym wyglądzie miasta. Gdzie zatem są owe resztki fortyfikacji? Spójrzmy raz jeszcze na plan d'Örkena. Skrajna linia umocnień to obecna ulica Lipowa, natomiast trójkątne elementy zaznaczone na planie to dzisiejsze skwery i place zachowane dzięki temu, że przez wiele lat, zapewne jako grunty miejskie, wyłączane były spod zabudowy. Jednym z nich jest skwerek przed Gimnazjum nr 9, drugim plac przy bramie cmentarza. Trzeci zachowany fragment fortyfikacji to znajdująca się w Ogrodzie Saskim górnica obok przejścia na ul. Bieczyńskiego, patronuje jej wspomniany autor planu, inżynier miejski i inicjator założenia Ogrodu Saskiego. Plan d'Örkena unaocznia, że ul. Lipowa powstała jako droga pod wałami, stanowiąc aż do dziś granicę centrum miasta. Stąd też w trakcie badań miejskich fortyfikacji miasta określono ją mianem „Lubelskich Plantów” i zasugerowano utworzenie wzdłuż niej trasy zwiedzania pozostałości siedemnastowiecznych umocnień.

Młodszy o ponad sto lat plan Bieczyńskiego prezentuje nam już znacznie zmieniony obraz miasta. Przy omówionej powyżej linii fortyfikacji pojawia



się cmentarz założony ponad dwadzieścia lat przed powstaniem planu. Same umocnienia (opisane jako „dawne okopy wojenne”) nadal są czytelne i stanowią wyraźną granicę zabudowy miasta od zachodu. Od wschodu ograniczają je łąki i staw. W ich sąsiedztwie odrębny od miasta organizm tworzy Przedmieście Kalinowszczyzna, znacznie gęściej zabudowane niż pozostałe widoczne na planie przedmieścia Wieniawa i Piaski (ryc. 2). Charakterystycznym elementem Kalinowszczyzny jest rozszerzający się ku wschodowi duży plac – Słomiany Rynek, istniejący w zredukowanej formie do dziś. Obecnie jednak sam plac, jak i jego okolica ma zupełnie inną rangę niż dwieście lat temu. Niegdyś ważne przedmieście, „brama” do Lublina, na skutek zmiany układu komunikacyjnego stało się dzielnicą położoną na uboczu, choć tuż obok głównej drogi. Dzięki temu na ulicy Kalinowszczyzna odnajdziemy jeszcze wiele z dawnego Lublina – zabudowę, której próżno szukać w innych częściach centrum.

Ryc. 1. Fortyfikacje miejskie wzdłuż linii obecnej ul. Lipowej. Fragm. planu Lublina wg planu d'Örkena z 1716 r. w: H. Gawarecki, Cz. Gawdzik, *Lublin. Krajobraz i architektura*, Warszawa 1964, s. 34. Wybór ilustracji do tekstu: Autor (z wyjątkiem ostatniej). Podpisy: Autor i redakcja.



Ryc. 2. Przedmieście Kalinowszczyzna. Fragm. planu Bieczyńskiego z 1829 r. z zaznaczonym kościołem św. Agnieszki.

Na planie Bieczyńskiego widać też, nieobecną u d'Örkena, główną oś centrum – ul. Krakowskie Przedmieście oraz Plac Litewski, centralny plac współczesnego Lublina. Widoczny na planie kształt przybrał on zaledwie kilka lat wcześniej. W obrazie miasta autorstwa d'Örkena w miejscu tym znajduje się rozszerzenie traktu, na którym zwraca uwagę kościół bonifratrów, rozebrany w 1820 roku. O istnieniu tego kościoła w obrębie obecnego placu wie niewielu mieszkańców. Znacznie więcej osób zdaje sobie sprawę z tego, że w tych

okolicach stała cerkiew, wybudowana w latach siedemdziesiątych XIX wieku, a rozebrana w 1925 roku. Cerkiew ta znajduje się na kilku planach miasta, warto tu zaprezentować pochodzący z przełomu XIX i XX wieku efektowny graficznie plan, którego autorem jest W. Griznow, przedstawiający obiekty związane z prawosławiem. Opracowanie utrzymane jest w tonacji sepii, umieszczono na nim cztery ilustracje (m.in. właśnie ową cerkiew) i jest jednym z najładniejszych lubelskich planów „do oglądania” (ryc. 3).

Ryc. 3. Centrum i widok cerkwi na Pl. Litewskim. Fragm. planu Griznowa. Pl. Litewski widoczny na planie w lewym górnym rogu.



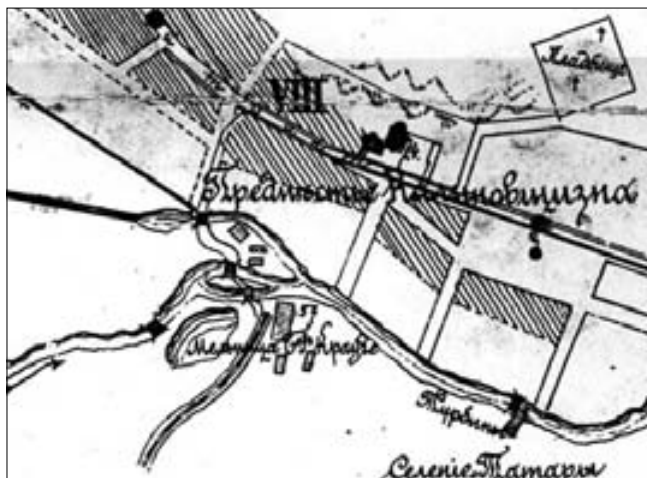


Ryc. 4. Plan Lublina z 1875 r.

Pozostając przy temacie kościołów, warto zauważyć, że plany miasta pozwalają nam śledzić dzieje lubelskich świątyń. Zwłaszcza dwie z nich podlegały ciekawym zmianom. Przy ulicy Zielonej znajduje się kościół pw. św. Jozafata. Budowli tej nie ma na planie d'Örkena, gdyż powstała dopiero w 1790 roku jako kościół greckokatolicki, wybudowany ze składek kupców greckich. Właśnie jako „kościół obrządku greckiego” opisana jest ta świątynia na planie Biecznińskiego z 1829 roku, jednak już cztery lata później zostaje ona przebudowana i zamieniona na cerkiew prawosławną, co widoczne jest np. na planie Griznowa. Obecnie jest to kościół katolicki, ale jeszcze kilka lat temu był użytkowany także przez lubelską parafię greckokatolicką, która dziś korzysta w skansenie z cerkwi, przeniesionej z Tarnoszyna spod granicy polsko-ukraińskiej. Jeszcze większych zmian doświadczył kościół franciszkanów przy ul. Kalinowszczyzna, przy sta-

rym kirkucie. Na planie d'Örkena budynek ten oznaczony jest jako świątynia, ale u Biecznińskiego jest to już fabryka sukna, a wcześniej jako zniszczony kościół był wojskowym magazynem, składem i szpitalem. W drugiej połowie XIX wieku budynek nadal był fabryką, tym razem mydeł i świec. W 1913 roku obiekt zakupił Żyd Tadeusz Weisberg, który po konwersji na katolicyzm w roku 1927 przekazał budynek salezjanom. Odbudowali oni świątynię, dzieląc ją dwoma stropami. Powstał w ten sposób oryginalny kościół piętrowy, zachowany w tej formie do dziś.

Druga połowa XIX wieku to okres, w którym powstają w Lublinie liczne zakłady przemysłowe. Impulsem do ich rozwoju było m.in. otwarcie lubelskiego dworca kolejowego i połączenia z Warszawą w 1877 roku. Linię kolejową naniesiono już na planie, który datowany jest na rok 1875 (ryc. 4). Plan ten, wydany przez znane wydawnic-



Ryc. 5. Młyn Kraussego. Fragm. planu Tosio z 1892 r.

Ryc. 6. Różnice w układzie ulic centrum i nowych dzielnic. Fragm. planu z 1931 r. z naniesionymi dodatkowo oznaczeniami niektórych miejsc. Al. Zgody, jak również park i targ w dzielnicy Dziesiąta nie istnieją.

two Stanisława Arcta, został dołączony do przewodnika po Lublinie. Warto tu wspomnieć, że przebieg linii kolejowej zawdzięczamy Feliksowi Bieczyńskiemu, który jako alternatywne usytuowanie dworca proponował również północne krańce miasta. Z czasem niezabudowane tereny przedmieścia Piaski, Bronowic i Dziesiątej w okolicach linii kolejowej zaczęły obrastać w liczne zakłady. W 1881 roku powstał nad Bystrycą młyn wodno-parowy Krausse-

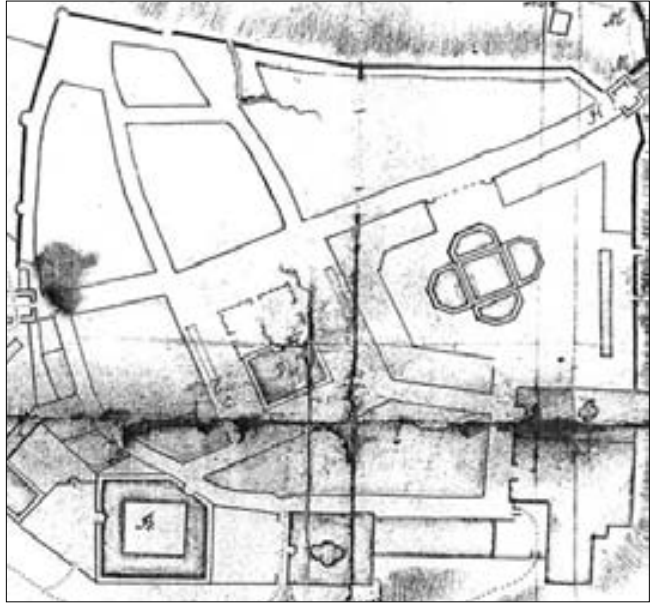
go, do którego doprowadzona została bocznicą kolejowa, co widać na planie L. Tosio z 1892 roku (jest to plan z rewirami policyjnymi, choć zawiera 70 opisanych obiektów – ryc. 5). Na ilustracji zwraca uwagę fakt, iż młyn znajduje się na prawym brzegu Bystrzyca, choć obecnie położony jest na lewym, co jest efektem powojennych regulacji rzeki. Jeszcze ciekawszą pozostałością po owej kolejowej bocznicy i po innym przebiegu koryta Bystrzyca jest teren przemysłowy w okolicach ul. Działkowej i młyna. W otoczeniu działek wydaje się całkowicie nie na miejscu, okazuje się jednak, że jest świadectwem zmian w układzie przestrzennym Lublina.

Jeżeli chodzi o zakłady przemysłowe, należy podkreślić, że Lublin miał dużo szczęścia, co do ich lokalizacji. Spoglądając na współczesny plan, zauważymy, że znakomita większość zakładów znajduje się na wschodzie miasta i na prawym brzegu Bystrzyca. Wobec przeważających w Polsce zachodnich kierunków wiatrów nie jest to bez znaczenia. Prawy brzeg rzeki jest także niższy, bo nienadbudowany warstwą lessu, co stanowi barierę dla zanieczyszczeń. Dodatkowo panorama lubelskiego Starego Miasta, położonego na krawędzi Płaskowyżu Nałęczowskiego, nie jest w żaden sposób zakłócona fabrycznymi kominami. Takie usytuowanie terenów przemysłowych wynikało z przebiegu linii kolejowej, a częściowo było rezultatem decyzji administracyjno-planistycznych po I wojnie światowej. W 1922 roku opracowano plan regulacyjny miasta, który przewidywał, że jego zachodnia część będzie miała charakter administracyjno-reprezentacyjny, natomiast południowa i częściowo wschodnia – przemysłowy. Niecałe dziesięć lat później musiano zweryfikować tę koncepcję na skutek włączenia w 1931 roku w obręb miasta dzielnicy Dziesiąta.



Zaplanowano ją jako „dzielnicę-ogród”, wzorcową dzielnicę domków jednorodzinnych. Ową modelowość widać do dziś. Ulice rozchodzą się promieniście od skrzyżowania ul. Kuniczkiego z ul. Zemborzyczą, inne ulice spinają te dwie łukami. Nadal jest tu wiele zielonych, przydomowych ogródków. Regularnością siatki ulic, choć dziś znacznie słabiej dostrzegalną, odznaczały się też dwa inne obszary zagospodarowane w dwudziestoleciu międzywojennym, a mianowicie teren między Kośminkiem i Bronowicami (dzisiejsze Maki) oraz okolice Alei Zgody (obecnie ul. Radziszewskiego). Te trzy fragmenty miasta i ich wspomniane cechy są bardzo dobrze widoczne na najładniejszym planie z czasów Drugiej Rzeczypospolitej – *Planie wielkiego miasta Lublina* wydanym w 1931 roku na zlecenie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego (ryc. 6). Wyróżnia się on kolorystyką (np. bładoniebieskie łąki), dostrzec na nim można także wspomnianą „ogrodowość” Dziesiątej: sektory czerwonej zabudowy wypełnione zielenią ogródków. Dobrze widoczna jest również omówiona przy okazji obiektów przemysłowych bocznica kolejowa, prowadząca do młyna i przecinająca ówczesne stare koryto Bystrzycy.

Od wspomnianej regularności dróg nowych dzielnic odróżnia się lubelskie centrum, które cechuje gęsta zabudowa i wąskie ulice dopasowane do ukształtowania terenu. Najłatwiej zauważyć to oczywiście na Starym Mieście, gdzie uliczki układają się w charakterystyczny wachlarz, a nie typową kratownicę. Jest to cecha, która czyni nasze Stare Miasto wyjątkowym, o czym warto pamiętać, gdy przychodzi ochota utyskiwać na jego małe rozmiary i związaną z tym pozornie niewielką atrakcyjność. To właśnie owa nieregularność sprawiała problemy autorowi najstarszego prezentowanego tu planu. D'Örken przedstawił Rynek jako równoległoboczny, w kon-



sekwencji zaburzając układ ulic i „nie trafiając” nimi we właściwe miejsca. Na przykład uliczka biegnąca z południowo-wschodniego narożnika Rynku na jego planie nie prowadzi do bramy pod obecną Wieżą Trynitarą (ryc. 7).

Na koniec należy jeszcze wspomnieć o zastosowaniu archiwalnych planów do śledzenia zmian w nazewnictwie. Niech za przykład posłużą nam trzy lubelskie ulice i ich obraz na siedmiu dawnych planach, w skład których, oprócz omawianych już materiałów kartograficznych, wchodzi trzy nowe: pochodzący z 1912 roku plan Witolda Cholewińskiego, o którego reпринцие wspomniano na początku artykułu, ciekawy niemiecki plan z 1939 lub 1940 roku, wykonany na polskim podkładzie i dlatego zawierający jeszcze polskie nazwy ulic, oraz niemiecki plan z maja 1944 roku. Pierwsza z interesujących nas ulic to ul. Narutowicza, która na planach z 1829, 1875 i 1912 roku nosi nazwę Namiestnikowskiej na cześć generała Za-

Ryc. 7. Układ ulic Starego Miasta. Fragm. planu d'Örkena z 1716 r.

Na planie z 1944 roku ulica ta podpisana jest: „Piłsudski-Allee”. Dopiero po wojnie Piłsudskiego „zastąpił” Świerczewski.



Dzielnica Dziesiąta – w przedwojennych planach „przedmieście-ogród”. Ul. Mochnackiego z nowym budownictwem i bez zieleni (z lewej) oraz ul. Dziesiąta ze starym budownictwem i z zielenią (z prawej). Fot. M. Skrzypek.

jączka, namiestnika Królestwa Polskiego. Obecna nazwa pojawia się na planie z roku 1931 i zmienia się tylko na czas okupacji, kiedy to nazywa się Theaterstraße. Faktem mało znanym jest natomiast, że wcześniej ulica ta nosiła nazwę „Panny Marii” – od kościoła pw. Matki Boskiej Zwycięskiej – a jej pozostałością jest nazwa ulicy bocznej „Dolna Panny Marii”, która często budzi zdziwienie, bo mało kto wie, gdzie szukać tej „górnej”.

Druga ulica o ciekawej historii to Aleja Piłsudskiego, która powstała jako droga do dworca kolejowego i na planie Cholewińskiego figuruje właśnie pod taką nazwą. Starsi lublinianie jednak do tej pory czasem mówią o niej „Nowa Droga”, bo tak nazywała się, zanim przed wojną jej patronem został Piłsudski. Zaskakujące jest, że na planie z 1944 roku ulica ta podpisana jest: „Piłsudski-Allée”, co oznacza, że przez cały okres okupacji Niemcy nie zmienili jej nazwy.

Dopiero po wojnie Piłsudskiego „zastąpił” Świerczewski. Trzeci przykład dotyczy „wędrującej” nazwy „Ogrodowa”, którą na planie z 1875 roku nosi obecna ul. I Armii Wojska Polskiego. U Cholewińskiego nazywa się ona Powiatowa, a jej dotychczasową nazwę przejmując odchodząca od niej prostopadle obecna ul. Ogrodowa. Powiatowa staje się po wojnie ul. I Armii Wojska Polskiego.

Jak widać, analiza planów nie jest tylko domeną historyków kartografii, ale może zainteresować również historyków, urbanistów, regionalistów, językoznawców, przyrodników i wielu innych badaczy. Oczywiście, nie tylko badania naukowe upoważniają nas do sięgnięcia po historyczne materiały kartograficzne. Każdy, kto chce dostrzec oblicze własnego miasta, w ujęciu nieco innym od typowego, przewodnikowego, także powinien sięgnąć po dawny plan. Mam nadzieję, że udało mi się do tego zachęcić.

WYKORZYSTANE PLANY:

- Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego:
F. Bieczynski, *Plan miasta Lublina*, skala 1 : 8 000, 1829.
C. D'Orken, *Plan de la ville et fauxbourgs de Lublin*, skala ok. 1 : 3 400, 1716.
Plan Lublina, skala 1 : 20 000, Wyd. S. Arcta 1875.
Verkehrsplan Lublin, skala 1 : 1 5 000, 1939 lub 1940.
- Reprint: W. Cholewiński, *Plan m. Lublina*, brak skali, Lublin 1992.
- Archiwum Państwowe w Lublinie: *Lublin*, skala 1 : 15 000, 1944
L. Tosio, *Plan g. Lublina*, skala ok. 1:8 400, 1892.
- Biblioteka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego:
Plan wielkiego miasta Lublina, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze 1931.
- Muzeum Historii Miasta Lublina:
W. Griznow, *Plan goroda Lublina*, skala ok. 1 : 8 200, przełom XIX i XX w.

„Pani inżynier! Chce pani zobaczyć?
Pomalowałem sobie!”

Modne słowo na „re”

Rozmowa z Ewą Kiptą, specjalistą w dziedzinie rewitalizacji, między innymi o tym, dlaczego troska o przestrzeń jest formą solidarności społecznej.

Rewitalizacja i modernizm

Marcin Skrzypek: Co kryje się pod pojęciem rewitalizacji? Zakładam, że jest ono już czytelnikom częściowo znane.

Ewa Kipta: Nie jest znane z powodu wielkiego szumu informacyjnego na ten temat. Re-witalizować, czyli ogólnie: „przywracać do życia”, można na wiele sposobów, podczas gdy rewitalizacja miejsc opiera się na konkretnej koncepcji miasta jako organizmu. Urbanisci modernistyczni pojmowali miasto w sposób technokratyczny – jako sterowaną odgórnie „maszynę do mieszkania”, będącą sumą składających się na nią elementów, które można łatwo wymieniać. Użycie terminu „rewitalizacja” zakłada natomiast, że traktujemy miasto jak żywy twór, który nie ma struktury addytywnej, jest dużo bardziej skomplikowany i wrażliwy na zabiegi „chirurgiczne”. Są to jedynie modele, więc nie należy się spierać, w któ-

rym z nich jest więcej racji, ale to właśnie z przyjęcia jednego z nich wynika wybór metody kształtowania miasta: czy będziemy w tym celu stosować ciężką chirurgię, czy raczej terapię i metody nieinwazyjne. Wszystko zależy od przyjętych założeń funkcjonowania miasta, których często sobie nie uświadamiamy.

Kiedy zaczęło się myślenie w kategoriach rewitalizacji?

W Ameryce w latach 70.-80., bo tam miasta przechodziły bardzo szybki rozwój dzięki nowym możliwościom technologicznym i komunikacji samochodowej. W latach 60. w Baltimore rozpoznano pierwszy przypadek centrum, które wymagało natychmiastowej interwencji, bo okazało się, że są w nim same biurowce i margines społeczny. To spowodowało zwrócenie uwagi na centra miast. Inny przypadek zdarzył się w Bostonie, w którym rozwój trans-

Ewa Kipta – architekt, urbanista; absolwentka Wydz. Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Studia podyplomowe i szkolenia: z zakresu urbanistyki (Politechnika Krakowska 1994-95 r.), zarządzania rozwojem miast (Leicester Polytechnic 1991 r., Rutgers University 1992 r.) i partnerstwa publiczno-prywatnego w procesach rewitalizacji (Harvard University 1993 r.). W latach 1980-90 zatrudniona w pracowni projektowej PP PKZ O/Lublin. W latach 1990-2000 pracuje w Lubelskiej Pracowni Urbanistycznej przy Urzędzie Miejskim (opracowywanie planów miejscowych, projektów zagospodarowania i dokumentów strategicznych dla dzielnic zaniedbanych i dla zespołu staromiejskiego). Prowadzony przez nią Program Inicjatyw Lokalnych dla dzielnic zaniedbanych został uznany na konferencji UNCHS „HABITAT II” w Istambule za „Best Practice” w dziedzinie poprawy warunków życia w 1996 r. Od 2000 r. pracuje w Wydziale Strategii i Rozwoju UM, przygotowując inwestycje dofinansowywane ze środków UE, w tym projektu „Renowacja Starego Miasta”. Członek-założyciel ogólnopolskiego Stowarzyszenia „Forum Rewitalizacji”. Koordynator zespołu opracowującego Lokalny Program Rewitalizacji dla M. Lublina, przyjęty przez Radę Miasta w 2005 roku. Konsultant podobnego programu dla Lubartowa.

portu kontenerowego doprowadził do opustoszenia portu o bardzo długiej linii brzegowej. Na zachodzie Europy myślenie w kategoriach rewitalizacji pojawiło się wraz ze skutkami boomu finansowego lat 60. i 70., kiedy to lekką ręką wydawano pieniądze na nie zawsze udaną urbanistykę. W latach 80. pojawiły się już pierwsze projekty rewitalizacyjne, np. Kreutzbergu w Berlinie. Zamiast terminu „rewitalizacja” stosowano też termin *rejuvenation*, czyli „odmładzanie”. U nas zaczęto myśleć w kategoriach rewitalizacji w latach 80., kiedy okazało się, że modernistyczne pomysły na mieszkania nie sprawdzają się, a dodatkowo pojawiły się możliwości remontowe pozwalające uniknąć wyburzania.

Chodzi o blokowiska? A więc nie były one produktem socjalizmu tylko modernistycznych idei „zgniłego Zachodu”?

Blokowiska są masą upadłościową zarówno po modernizmie, jak i komunizmie. Modernizm zgrzeszył nadmiernym optymizmem, że jest w stanie wszystko zracjonalizować i zrealizować w dużej ilości. Na Zachodzie wprowadzanie tych idei w życie było hamowane stanem własności gruntu i poziomem inwestycji, natomiast my „łyknęliśmy” je zupełnie bezkrytycznie w czasach wczesnego Gierka. Komunizm, brak demokracji, praw własności gruntu i rynku pozwalał w naszym kraju na realizację koncepcji modernistycznych z rozmachem większym niż gdzie in-

dziej – jako przestrzennego aspektu naszego „jedynie słusznego” systemu. Odgórny i bezdyskusyjny sposób podejmowania decyzji oraz ich realizacji umożliwiał wprowadzanie w życie dowolnych koncepcji. Na podobną skalę, jak Hodża w Albanii realizował pomysł państwa bez miast, a Ceaușescu bez wsi, tak u nas wmówiono ludziom, że spełnieniem ich marzeń będzie mieszkanie w betonowych blokach. Całe szczęście, że wielu Polaków jeszcze potrafi w nich żyć, bo na przykład w byłym NRD blokowiska przegrywają z resztą oferty mieszkaniowej i mimo utopienia w nich wielkich pieniędzy socjalistyczne osiedla wciąż pozostają problemem. W krajach demokracji ludowej modernizm był wprowadzany na niespotykaną skalę, bo poprzedni system nie miał mechanizmów samoregulujących. Demokracja i rynek jednak potrafią same naprawić usterki. Czasem jest to bolesne, ale jest, natomiast za czasów PRL-u można było bezkarnie popełniać dowolnie poważne błędy.

Nie byłbym takim optymistą w stosunku do demokracji i rynku, skoro pozwalają one, żeby teren o walorach rekreacyjnych czy krajobrazowych był bezmyślnie parcelowany pod chaotyczną zabudowę.

Nie mylmy demokracji z samowolą. Ostatnio przeczytałam w gazecie pouczające uzasadnienie jakiegoś wyroku, iż „wolność słowa nie oznacza, że można mówić kłamstwa”. Podobnie jest z demokracją. Fakt, że dała ona komuś możliwość podejmowania decyzji, nie oznacza, że ma on zawsze rację. Jeżeli podmiot broniący interesu publicznego jest w takich sporach niedoreprezentowany lub sztucznie osłabiony, oznacza to ułomność mechanizmu, a nie demokrację.

Wracając do modernizmu, wydaje się, że w dziedzinie budownictwa „dla ludzi” postmodernizm jest bardziej przyjazny człowiekowi niż np. w literaturze czy filozofii, gdzie kojarzony bywa z nihilizmem i chaosem.

Przykład współczesnego budownictwa mieszkaniowego: osiedle „wojskowe” przy ul. Weteranów i Spadochroniarzy. Jego architektura doskonale wykorzystuje estetykę modernistycznych kamienic międzywojennych, jakimi zabudowane są sąsiednie ulice. Warto zauważyć, że bryła i ściany budynku rozłożone są na segmenty. Dzięki temu jednokowe okna w zasadzie nie powtarzają się więcej niż trzy razy i każde mieszkanie posiada własną tożsamość. Gdyby jeszcze głównym elementem podwórka nie był śmietnik i to w zupełnie innym stylu... Fot. M. Skrzypek.



Dlatego, że modernizm był bardzo niehumanitarny. Tak zachłysnął się techniką, że poza fizjologią nie dostrzegał innych potrzeb człowieka. Le Corbusier, uważany za głównego twórcę tego kierunku, zaprojektował na przykład tzw. „jednostkę marsylską”, budynek, który umożliwiał życie bez wychodzenia na zewnątrz. Wszystko było w nim wygodnie dostępne i byłoby bliskie ideału, gdyby nie wielka liczba samobójstw wśród mieszkańców. I to jest odpowiedź, w jaki sposób modernizm traktował człowieka. Fakt, że mamy do czynienia z kryzysem zaufania do architektury, jest też zasługą modernizmu. W tej sytuacji trudno się dziwić, że postmodernizm rzeczywiście został w architekturze przywitany z ulgą. Modernizm operował bryłami, z których funkcji i formy dopiero wynikał kształt i charakter przestrzeni. Postmodernizm przywracał detal i kompozycję przestrzeni, a więc podstawowe pojęcia, które zawsze były sensem architektury.

Rewitalizacja i nierewitalizacja **Skąd wiadomo, że proces ożywienia się rozpoczął? Jakie są wyznaczniki sukcesu rewitalizacji?**

Po pierwsze, jest to ilość inwestycji, rozmaitych przedsięwzięć i kroków podejmowanych przez różne podmioty, szczególnie nieinstytucjonalne. Najszybciej i najczęściej pojawiają się skutki małoskalowe podejmowane przez indywidualne osoby. Na przykład na początku rewitalizacji Bronowic [dzielnica Lublina – przyp. red.] sygnałem, że „coś się dzieje”, był fakt, że wielu mieszkańców wzięło się za malowanie swoich domów. Symptodem ożywienia jest powstawanie drobnej przedsiębiorczości czy zahamowanie ucieczki mieszkańców. Wszystko zależy od miejsca. Nie są natomiast miarą sukcesu inwestycje podmiotu, który prowadzi rewitalizację, czyli np. jeżeli miasto wydaje pieniądze na remont ulic.



A budowa supermarketu?

To jest raczej konsumpcja witalności. Supermarkety budowane są w miejscach cieszących się na tyle dużą żywotnością, żeby zapewnić im klientów. W rewitalizacji chodzi natomiast o generowanie przedsięwzięć, które budują lokalną zamożność i poprawiają wizerunek miejsca.

A spadek przestępczości?

To jest raczej dalszy skutek, niekoniecznie trwały i niekoniecznie związany bezpośrednio z rewitalizacją. Wystarczy oświetlić ulice, żeby poziom przestępczości spadł. Podobne wskaźniki służą ocenom postępu rewitalizacji, ale w dalszej perspektywie. Zakładanie ich na samym początku oznacza stawianie wozu przed koniem. Mówiąc najkrócej, założeniem rewitalizacji jest to, żeby w danym miejscu ludzie chcieli mieszkać, umieli zapewnić sobie satysfakcjonujące warunki życia i znaleźć jego cel. Żeby nie czuli się, że mieszkają tam „za karę” lub tymczasowo.

Jakie są błędne użycia słowa „rewitalizacja”?

Chyba najczęściej powtarzaniem ostatnio błędem jest nazywanie rewitalizacją zwykłego remontu budynku. Renowacja czasem musi być elementem rewitalizacji, ale jej nie zastąpi. Dla uniknięcia nieporozumień warto by było to mod-

Ul. Pana Balcera 1. Malowanie ścian socjalistycznych „mrówkowców” w geometryczne wzory działa trojako: ożywia krajobraz, zastępując szarość grą kolorów, zmniejsza budynki optycznie i rozbija ściany okien na wiele możliwych do ogarnięcia fragmentów, dzięki czemu właściciel danego okna w mniejszym stopniu czuje się częścią „masy”. Fot. M. Skrzypek.

Założeniem rewitalizacji jest to, żeby w danym miejscu ludzie chcieli mieszkać, umieli zapewnić sobie satysfakcjonujące warunki życia i znaleźć jego cel.



Renowacja fasady bez innych zmian w sąsiedztwie jeszcze nie wpływa na ożywienie miejsca. Po prawej kamienica na rynku Starego Miasta, w której mieści się przedszkole. Fot. M. Skrzypek.

ne słowo na „re-” zamienić na „ożywienie”. Ale z drugiej strony modne słowa na „re-” lepiej się sprzedają.

W mediach najlepiej sprzedają się rewitalizacje opustoszałych budynków lub terenów przemysłowych. Zamiast klasztoru – ośrodek artystyczny, zamiast fabryki – centrum rekreacji. Wydaje się, że wystarczy mieć ruinę i zwiariowany pomysł. Czy to jest rewitalizacja?

Tak – która inaczej ustawia partnerów tego procesu. W układzie miejskim zwykle mamy do czynienia ze zdegenerowanym technicznie obszarem zamieszkanym przez zamierającą ekonomicznie społeczność, która z definicji staje się sojusznikiem rewitalizacji, bo poza nią nie ma po prostu żadnej szansy. Wtedy wystarczy dobrze zdefiniować problemy i wyznaczyć każdej ze

Pierwsze skutki rewitalizacji nie muszą być bardzo efektowne. Ul. Dobra, Kościelnik. Fot. M. Skrzypek.



stron cele, a procesy nabierają własnej dynamiki. Jeżeli natomiast mamy do czynienia z budynkami lub terenami, które całkowicie utraciły swoją funkcję, wszystkie podmioty muszą pochodzić z zewnątrz. Sam start techniczny wydaje się tu dużo łatwiejszy, ale trudniej o wysiłek inwestycyjny, który przekroczy punkt krytyczny funkcjonowania takiego miejsca. Często jako pierwsze takie miejsca zagospodarują środowiska artystyczne, powiedzmy „awangardowe”, które znajdują na zaniedbanym obszarze jakiegoś ciekawego dla siebie możliwości i własnym rękami doprowadzają poszczególne budynki do porządku. Czasem bywa i tak, że dzięki ich wysiłkowi okolica staje się bardzo atrakcyjna i czynsze wzrastają do tego stopnia, że autorów sukcesu nie stać już na mieszkanie w niej. Wówczas przychodzą ci, którzy chcą się wprowadzać na gotowe i mają na to pieniądze, jak to się stało w London Docklands.

Przykładem interesujących zmian urbanistycznych jest Bruksela, która od mniej więcej dziesięciu lat ulega intensywnej przebudowie. Większość starych dzielnic mieszkalnych została zastąpiona nowoczesnymi budynkami. Zmiany te osiągnęły taki poziom, że ukuto dla nich nowy termin: „brukselizacja” (*bruxellisation*). Czy ma on coś wspólnego z rewitalizacją?

Nie, to jest po prostu wyburzanie i budowanie od nowa. W PRL-u stosowano tę metodę, kiedy jakiś decydent chciał postawić sobie pomnik. Wtedy niszczył stare centrum i budował nowe, jak w Katowicach. W Lublinie również były podobne pomysły, ale na szczęście to miasto nigdy nie cieszyło się na tyle dużą atencją władz, żeby starczyło pieniędzy na ich realizację. Dzięki temu Lublin posiada walor w postaci niezepsutego, czytelnego i ładnie narastającego centrum. Idąc teraz drobnymi krokami, dbając o każdą nieruchomość, jesteśmy w stanie dorożyć się bardzo wartościowej przestrzeni miejskiej, o wysokim stopniu tożsamo-

Duchowy korzeń miasta

Plac po Farze jest jedną z najbardziej tajemniczych przestrzeni Lublina. Według przekazu Długosza w 1282 r. Leszek Czarny ufundował w tym miejscu kościół p.w. św. Michała na pamiątkę proroczego snu, w którym Archanioł Michał przepowiedział mu zwycięstwo nad Jądzwingami. Podanie mówi, że ołtarz stanął w miejscu rosnącego tu wcześniej dębu. Tyle wiemy o genezie lubelskiego kościoła farnego, a więc o najstarszej i najważniejszej świątyni miasta, jego „duchowym korzeniu”. Znaczenie kościoła miało swoje odzwierciedlenie w przestrzeni. Fara była najwyższym obiektem Lublina, eksponowanym, często nawet wyolbrzymianym w ikonografii. Jej wieża była ponoć widoczna z odległości 10 km. Dopiero 1819 r. wybudowano obok katedry Wieżę Trynitarską, która przewyższyła dzwonicę kościoła św. Michała.

W latach 1852-1855 farę rozebrano, a plac po niej przeznaczono na skwer. Decyzja została podjęta z braku nadziei na fundusze, które mogłyby podnieść kościół z ruiny. Ważniejszą świątynią była już wówczas nieodległa katedra – większa i stojąca w bardziej reprezentacyjnym miejscu. Był to czas powolnego degradacji Starego Miasta. Znalazło się ono na uboczu po wyznaczeniu nowych traktów biegnących przez centrum Lublina. Próby zagospodarowania placu po farze przez budowę skweru okazały się nietrwale, ponieważ miejsce to po prostu przestało funkcjonować w przestrzeni publicznej. Sytuacja opisana w zamieszczonym poniżej gazetowym cytacie z 1926 r. wcale nie poprawiła się po wojnie. Z tamtych czasów Plac po Farze utkwił w pamięci ludzi m.in. jako miejsce „załatwiania potrzeb fizjologicznych”. Uporządkowanie Placu oraz wiedzy na temat kościoła udało się dopiero półtora wieku po rozbiórce. W 2002 r. uczytelniono relikty fary wg projektu Urszuli i Jacka Ciepelińskich (oni też zaprojektowali lubelski Deptak) poprzez nadbudowanie fundamentów, położenie posadzki, iluminację i uporządkowanie otoczenia. W 2004 roku staraniem Towarzystwa Naukowego KUL ukazała się pierwsza monografia kościoła autorstwa Jadwigi Kuczyńskiej pt. „Kościół św. Michała w Lublinie”, z którego pochodzą historyczne ilustracje zamieszczone obok.

Obecny stan Placu po Farze można oceniać różnie, w zależności o przyłożonych kryteriów. Na pewno jest co pokazać turystom, ale niestety realizacja projektu (również ze względu na zastosowane oszczędności) nie przywołuje obecności dawnego kościoła w zadowalającym stopniu (natomiast całkowicie przykrywa zabytkową tkanę). Przy okazji widać, na czym polega trudność i niebezpieczeństwo lakonicznej prezentacji wnętrza krajobrazowych na płaszczyźnie. Wizualizacja projektu z lotu ptaka (z tej perspektywy był on prezentowany również w prasie), choć poglądowa i ciesząca oko, nijak się ma do rzeczywistości, ponieważ ludzie oglądają plac z poziomu ulicy. Galeryjka widokowa niewiele pomaga przechodniom w ocenie rozmiarów i kształtu kościoła, gdyż umieszczona jest w odległym punkcie placu, nie po drodze.

Niezależnie jednak od obecnego wyglądu placu po Farze, zamieszczone tu ilustracje wydają się wyrażać jakąś intuicyjną ludzką potrzebę, aby w tym miejscu wydarzyło się coś specjalnego i wyjątkowego. Można odnieść wrażenie, że Pustka po Farze wywiera na ludzi dziwne ciśnienie, które nie tylko rozpala wyobraźnię plastyków, ale też zmusza do zapełniania jej różnymi działaniami. Należą do nich misterium „Jedna Ziemia – Dwie Świątynie” oraz „Misterium Dzwonu”, o których tekście Marta Kubiszyn (zorganizowane przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” wg pomysłu Tomasza Pietrasiewicza) oraz „Prześilenie”, którego wspomnienie znaleźć można na kolejnych stronach (zorganizowane przez lubelskiego plastyka i performerę Jarko Koziańkę we współpracy z Ośrodkiem w 1999 r.). Wydaje się, że Plac po Farze może „uspokoić” jedynie zapełnienie go czymś godnym obiektu, który tu kiedyś stał. Godnym tak pod względem materialnym jak i niematerialnym, o symbolicznym znaczeniu dla miasta. Wydaje się, że tylko coś takiego – opartego na śmiałej wizji, przekraczającego konwencje i wyobrażenia – znajdzie rezonans z duchem tego miejsca i miejsce to ożyje. A może jego życie polega właśnie na prowokowaniu Pustką?

Marcin Skrzypek

1 Zarys Starego Miasta i Placu po Farze. Fot. dzięki uprzejmości Jacka Wardy.

2 Fragment obrazu Pożar Lublina z 1719 r. w kościele ojców Dominikanów w Lublinie (w: Jadwiga Kuczyńska, Kościół farny św. Michała w Lublinie, kolorowa wklejka).

3 Kościół św. Michała na rysunku Adama Lerue z ok. 1844 (kościół był już wtedy w ruinie; w: Jadwiga Kuczyńska, Kościół farny św. Michała w Lublinie, s. 14).

4 Odtworzenie wyglądu fary w XVIII w. przez niezidentyfikowanego autora opublikowane w 1859 r. (w: Jadwiga Kuczyńska, Kościół farny św. Michała w Lublinie, s. 17).





Klatki z filmu-wizualizacji nt. fary i modernizacji Placu po Farze. Animacja: Jan Kłosowski. Dzięki uprzejmości Jacka Wardy.

Plac po Farze po modernizacji w 2002 r. Fot. M. Skrzypek.



O poszanowanie pamiętek przeszłości

Otoczmy troskliwą opieką plac po kościele św. Michała ufundowany przez Leszka Czarnego

(...) Lublin posiadał może więcej niż inne miasta (...) owych widomych znaków, z którymi wiąże się tradycja dziejów historycznych Polski. Między innymi najstarszym bodaj wspomnieniem z przeszłości jest miejsce po rozebranym kościele św. Michała (...). Społeczeństwo miejscowe za mało docenia ten miły zakątek miasta, przylegający do konwiktu z jednej strony i dawnych murów klasztoru księży Misjonarzy, obecnie zajętych na szkołę miejską żydowską – z drugiej. Plac na którym stał ów historyczny kościół św. Michała jest ogrodzony i na nim od paru miesięcy stoi krzyż kamienny, ufundowany kosztem Lub. Tow. Opieki nad Zabytkami. Obecnie, za zgodą Magistratu, urządzają się rabaty i klomby w kształcie dawnego kościoła. Prace te prowadzi z całą pieczołowitością kierownik ogrodów miejskich, p. Filipowski.

Smutnym zjawiskiem jest fakt, że miejsce to, dla serc polskich tak drogie, było zbiorowiskiem śmieci i zgnilizny, o czym się jeszcze dziś przekonać można. Nie jest to winą Magistratu, który robił wszystko, aby utrzymać ów plac w poszanowaniu, lecz niestety okoliczni mieszkańcy, przez brak poszanowania i czci dla świętego miejsca, tak go zeszpecili, że dali sobie świadectwo niekulturalnych obyczajów i lekceważenia pamiętek przeszłości. Toteż od dnia dzisiejszego miejmy nadzieję, że to się nadal nie powtórzy, że zarówno starsi jak i młodzież w pobliżu mieszkająca nie zhańbi tego miejsca wyrzucaniem śmieci, pomnąc, że Bóg często sam wymierza karę stokroć silniejszą niż ludzie. Odzywamy się również z apelem do kierownictwa okolicznych szkół żydowskich, by pouczyli młodzież szanować zarówno swoją jak i cudzą świętość – jeśli z nich mają wyrosnąć godni szacunku i praw obywatela Kraju. K. T.

„Głos Lubelski. Pismo Codzienne”, nr 130, 13.05.1926.

Symulacja wyglądu kościoła św. Michała w panoramie Starego Miasta od wschodu. Autor: Roman Zwierchowski, zwolennik budowy w tym miejscu obiektu, który widokiem i rangą mógłby zastąpić farę.





Wierzba na Placu po Farze (jej zniknięcie było inspiracją „Przesilenia”) podczas przygotowań do „Nocy Świętojańskiej” w 1999 r. Widoczne słupy i „retorty” Jarka Koziary. Fot. Marta Kubiszyn, autorka nocnych zdjęć na kolejnej stronie.

„Przesilenie” – inspiracje

Inspiracją happeningu „Przesilenie” było kilka: wiosenne zrównanie dnia z nocą, chęć ożywienia lubelskiego Starego Miasta (najbliższego otoczenia Ośrodka „Brama Grodzka-Teatr NN”), plastyczno-teatralne eksperymenty Jarka Koziary z ogniem i wodą... Najważniejszą jednak i niewątpliwie bezpośrednią inspiracją przedsięwzięcia był Plac po Farze – miejsce, z którego tchnie Brak i Nieobecność.

Nieobecność wpisana jest już w samą nazwę tego placu. Stała tam kiedyś Fara, czyli pierwsza i najważniejsza w danym mieście świątynia. Podkreślają to wyraźnie autorzy rycin dawnego Lublina.

Budowniczym kościoła był Leszek Czarny. Według legendy w 1282 roku spał on w tym miejscu pod dębem oczekując rychłej bitwy z Jadrzyngami. We śnie ukazał mu się Archanioł zwiastujący zwycięstwo. Na pamiątkę tego wydarzenia powstał kościół. Podobno jego ołtarz został postawiony na pniu legendarnego dębu, a całe miejsce uchodziło za święte jeszcze za czasów pogańskich. Z wydarzenia tego pozostała tylko legenda i fundamenty – jesienią w błocie, wiosną w trawie – świadczące, że „kiedyś coś tam było”.

Nieobecność na Placu po Farze przypominała o swoim istnieniu kilka miesięcy temu, za sprawą anonimowych sił komunalnych, które zrobiły coś wprost przeciwnego, niż Leszek Czarny. Z ich przyczyny pewnego dnia zniknęła cicho rosnąca tam od wielu lat wielka i piękna wierzba, odsłaniając w ten sposób kolejny Brak.

Nic nie zwiastowało jej zniknięcia – ani bujne liście, ani te kilka suchych gałęzi. Przecież nawet jeżeli drzewo jest chore, współczesna technika potrafi przedłużyć jego życie o kilka dziesięcioleci. Tym bardziej jeżeli drzewo jest stare, ważne, jedyne, jeżeli na jego miejscu nie wyrosnie drugie – a takimi są wszystkie drzewa na lubelskim Starym Mieście.

Dzisiaj Plac to przede wszystkim niebo, jedna pozostała jeszcze wierzba, fundamenty oraz Nieobecność po Farze i Brak Wierzby – brak świeży, wytwarzający siłę ssącą, która chce, aby ową nieuchwytną nieobecność – ów brak – czymś zapełnić. Tym czymś w niedzielny wieczór 21 marca 1999 będzie happening „Przesilenie”.

Marcin Skrzypek

Jarosław Koziara (artysta plastyk, performer i pomysłodawca przedsięwzięcia) o „Przesileniu” i Placu po Farze:

To jest miejsce magiczne, bo tutaj zamykają się pętle czasu. Tutaj coś się zaczyna, coś kończy. Taka jest natura świata i ten plac jest najlepszym miejscem, aby to zmanifestować w dzień tak symboliczny. Przesilenie jest zapowiedzią dłuższego dnia, zapowiedzią lata po ziemi, zapowiedzią życia, zieleni, traw. Dzień przesilenia i „Przesilenie” nie są za kimś ani przeciw komuś. Są ponad. Imprezę dedykujemy drzewu, wielkiej i pięknej wierzbie, rosnącej tu od lat samotnie, której korzenie wrosły w skryte pod ziemią fundamenty fary, jednemu z niewielu drzew na Starym Mieście, nagle bez sensu ściętemu, teraz już nieważne, przez kogo i dlaczego. To też koniec czegoś i początek czegoś innego. I symbol dbałości o Stare Miasto.

(fragmenty tekstu promującego widowisko)

Poniżej z lewej: symulacja wyglądu kościoła św. Michała w panoramie Starego Miasta od północy. Autor: Roman Zwierzchowski. Po prawej: Plac po Farze po modernizacji w 2002 r. Ujęcie z galerijki widokowej. Fot. M. Skrzypek.





ści, czyli takiej, która będzie „nie do pomylenia” z żadną inną. Trzeba jednak zaznaczyć, że każdy przypadek wyburzenia i budowania od nowa należy rozważać osobno, bo czasem przynosi to pozytywne rezultaty. Europa ma bogate tradycje recyklingu przestrzeni, kiedy to stare, podupadłe dzielnice czy domy zastępowano z dobrym skutkiem nowymi. Przykładami takiego przetwarzania tkanki miejskiej są Schody Hiszpańskie i założenie Bazyliki św. Piotra. Przebudowę tego typu, najczęściej bez intencji zachowania ciągłości poprzedniego zagospodarowania lub wręcz z intencją jego zmiany, nazywa się w Europie rekompozycją, a w Ameryce *urban renewal* – co w Europie z kolei oznacza czasem renowację.

Którą z kolei, jak już wiemy, czasem błędnie bierze się za rewitalizację. Wyjaśniliśmy już chyba wszystkie słowa na „re-” z wyjątkiem rewaloryzacji.

Termin „rewaloryzacja” oznacza doprowadzanie budynku do lepszego sta-



nu i zwiększenia jego wartości. Zaczął być używany po wojnie, żeby odróżnić takie działanie od rekonstrukcji, czyli budowania czegoś zupełnie od nowa według starych planów. Przykładem rekonstrukcji jest warszawska Starówka.

A jak nazwać zagospodarowanie lubelskiego placu po Farze? Czy to jest rewitalizacja, rewaloryzacja czy może renowacja?

Raczej rekompozycja, aranżacja przestrzeni. Trudna próba zdefiniowania

Meandry rewitalizacji. Przedwojenna fabryka eternitu z malowniczą wieżą przy ul. Firlejowskiej, objętej rewitalizacją w latach 90., Bronowice Stare. Miała tu powstać dyskoteka z klatkami dla tancerzy, największa w Lublinie i okolicy. Pracowało nad tym dwóch właścicieli. Dziś budynek służy wielu małym, ale działającym interesom. Fot. M. Skrzypek.

Brukselizacja

W rezultacie zmian spowodowanych zaniedbaniami i podejrzanymi praktykami spekulacyjnymi powstał w Brukseli smutny architektoniczny miszmasz. Na każdej niemal ulicy można spotkać wyniosłe nowoczesne biurowce o anonimowych fasadach, wciśnięte między średnowieczne kościoły i apartamentowce z lat 60., wetknięte między arcydzieła architektury z początku XX wieku. Dla nazwania tego zjawiska powstał nawet specjalny termin: „brukselizacja”. Według Raphaëla Rastellego, prezesa organizacji „Petitions-Patrimoine: Bruksela Przeciw Brukselizacji”, oznacza on „ignorowanie historii i zezwolenie deweloperom na wykorzystywanie słabości systemu politycznego”.

Złożony system polityczny Belgii rzeczywiście jest w dużym stopniu odpowiedzialny za tę sytuację. Kiedy po wojnie Belgowie sformalizowali separację regionu francusko- i flamandzkojęzycznego, wciąż nieokreślony pozostał status stolicy, co poskutkowało pozostawieniem jej na lata bez efektywnej władzy samorządowej. Francuskojęzyczna Bruksela, położona we flamandzkojęzycznym regionie, nie cieszyła się sympatią ani odpowiednim finansowym wsparciem reszty kraju. Bogaci prywatni deweloperzy wypełnili tę lukę i byli nawet mile widziani przez władze jako sposób na podreperowanie publicznych finansów. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja Paryża i Amsterdamu, które są szczerze dotowanymi stolicami scentralizowanych i zdecydowanie rządzonych krajów. W obu miastach występują strefy ograniczenia wysokości zabudowy, jakich nie posiada Bruksela. W Amsterdamie chroni się około 8 000 obiektów zabytkowych, podczas gdy Bruksela ma ich tylko 427, wobec dalszych 5 000, które organizacja Raphaëla Rastelli chciały taką ochroną objąć.

Fragment artykułu Williama Echiksona pt. *A Fine Old House v.s. Bulldozers* zamieszczonego w „Businessweek Online” z datą 10.09.2001 pod nagłówkiem „List z Brukseli”. Pełną wersję tekstu w języku angielskim można znaleźć pod adresem: http://www.businessweek.com/magazine/content/01_37/b3748146.htm

Tłum. Marcin Skrzypek

przeźreni, której już nie ma. Uczytelnienie nieobecności Fary.

Próba udana?

Ma ona bardzo długą historię, bo nigdy tak naprawdę nie było pomysłu, co z tym placem zrobić. Kiedyś zaproponowałam, żeby zbudować tam rusztowanie będące modelem Fary w skali 1:1, a na nim puścić bluszcz, który z czasem zamieniłby je w zieloną bryłę w kształcie kościoła. Jego wieży trochę brakuje w panoramie Starego Miasta, ale nie istnieje wystarczająco dobra ikonografia, żeby próbować rekonstrukcji Kościoła. Proponowany przeze mnie projekt na pewno byłby bardzo drogi w eksploatacji i na razie nas na niego jeszcze nie stać, ale myślę, że dobrym krokiem w jego kierunku jest to, co na Placu po Farze możemy oglądać

dziś, czyli podwyższenie fundamentów Fary według projektu Jacka Ciepłińskiego. Przy tej realizacji poczyniono pewne oszczędności, więc nie wszystkie rozwiązania dobrze funkcjonują. Na przykład zrezygnowano z zieleni, która pomagałaby w ocenie odległości. Obecny zarys kościoła św. Michała jest po prostu nieczytelny. Idąc ulicą Grodzką, nie czuje się jego przestrzeni, tylko widzi murki, które zasłaniają się nawzajem i nie bardzo wiadomo, co przedstawiają. W przyszłości można by pomyśleć o jakimś „dodefiniowaniu” Fary, ale najważniejsze, że póki co, to miejsce przestało straszyć. Ludzie tam się spotykają, umawiają i raczej nie spodziewałabym się więcej po takim placu, może tylko żeby był bardziej zielony. Kiedyś będzie nas stać na więcej. Zostawmy coś następnym pokoleniom.

Rewitalizacja na przykładach

Na czym polega rewitalizacja, którą Pani się zajmuje?

Z grubsza na tym, że wiele stron, zwanych „aktorami”, zgadza się, że jakiś

fragment miasta trzeba ożywić i ma zamiar współdziałać w tym kierunku. W jaki sposób partnerzy będą uczestniczyć w procesie, zależy tylko od ich wspólnej pomysłowości. Na przykład Szwedzi, którzy również mieli pewne problemy z osiedłami budowanymi w latach 60. i 70., stosowali do ich rozwiązania dwie szkoły. Jedna polegała na przesiedleniu na stałe dotychczasowych lokatorów, remontowaniu mieszkań na wysoki poziom i ponownym ich wynajmie lub sprzedaży. Inny sposób został wykorzystany w Karlskronie, gdzie dogadano się z mieszkańcami, jak chcą mieć wyremontowane mieszkania i tylko na czas remontu wyprowadzono ich gdzie indziej. Okazało się, że ten drugi sposób jest o 30% tańszy, a satysfakcja mieszkańców większa. Myślenie w kategoriach partnerstwa jest warunkiem rewitalizacji, bo, po pierwsze, daje możliwość rozpisania kosztów na różne źródła finansowania, a po drugie, daje gwarancję użyteczności wprowadzonych zmian.

Porozumienie partnerów może mieć formę pisemną lub instytucjonalną, ale równie dobrze może sprowadzać się do jednej decyzji, jak w przypadku Krakowskiego Przedmieścia w Lublinie, której w pewnym momencie groziło całkowite zajęcie przez banki i biura. Wystarczyło jednak znieść blokadę żywotności tego miejsca w postaci intensywnego ruchu drogowego, a pożądane zmiany nastąpiły samoczynnie. Po zamknięciu dojazdu część firm przeniosła się, robiąc miejsce usługom dostępnym pieszo. Ciekawostką może być fakt, że kiedy w 1995 roku ogłoszono konkurs na „deptak”, jury nie bardzo chciało uwierzyć, że będą tam potrzebne drzewa, ławki i parasole, tak silnie Krakowskie Przedmieście kojarzyło się z ruchem samochodowym. Był to jeden z tych szczególnych „przeskoków”, które mają zasadnicze znaczenie dla ożywienia przestrzeni publicznej.

Mieszkańcy obszarów
wymagających
rewitalizacji próg
swoich możliwości
widzą dokładnie w tym
miejscu, gdzie są.



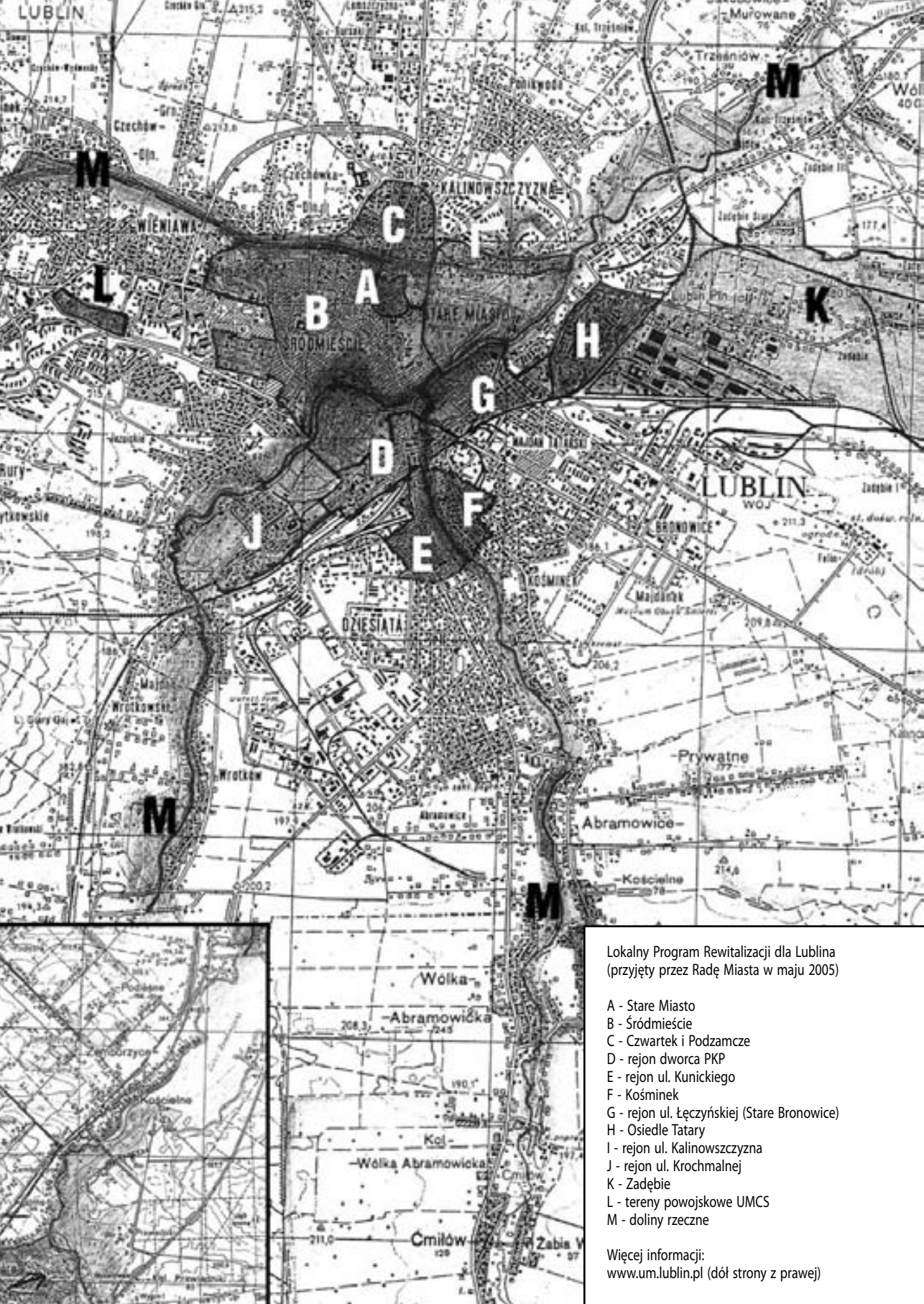
Krakowskie Przedmieście przed i po budowie Deptaka, narzędzia jego rewitalizacji (wg proj. Urszuli i Jacka Cieplińskich). Pierwsze zdjęcie w: *Lublin trzech pokoleń*, Lublin 1987, s. 17, fot. Eliza Kwaśniewska. Drugie fot. M. Skrzypek.



Po lewej: budowa apartamentowca na Kośminku (fot. M. Skrzypek) jako symptom, że proces rewitalizacji przyniósł pożądany efekt. Pojawili się inwestorzy, którzy zakładają, że otoczenie budynku, jeżeli nie przyciąga, to przynajmniej już nie odstrasza przyszłych mieszkańców apartamentów. Po prawej: remonty kolejnych kamienic na Starym Mieście jako proces dążenia do „masy krytycznej” rewitalizacji (fot. M. Skrzypek). Po jej osiągnięciu opłacalność inwestycji powinna raptownie wzrosnąć.



Ul. Sosnowa przed (fot. E. Kipta) i po rewitalizacji (fot. M. Skrzypek). Pierwsze wrażenie: miejsce zrewitalizowane przestaje być przygnębiające.



Lokalny Program Rewitalizacji dla Lublina
(przyjęty przez Radę Miasta w maju 2005)

- A - Stare Miasto
- B - Śródmieście
- C - Czwartek i Podzamcze
- D - rejon dworca PKP
- E - rejon ul. Kunickiego
- F - Kośminek
- G - rejon ul. Łęczyńskiej (Stare Bronowice)
- H - Osiedle Tatarski
- I - rejon ul. Kalinowszczyzna
- J - rejon ul. Krochmalnej
- K - Zadębie
- L - tereny powojenne UMCS
- M - doliny rzeczne

Więcej informacji:
www.um.lublin.pl (dół strony z prawej)

Czy obecnie są w Lublinie jakieś inne miejsca, gdzie ludziom równie trudno uwierzyć, że możliwe są podobne zmiany?

Tak jest właściwie w każdej zaniedbanej dzielnicy. Właśnie dla obszarów wymagających rewitalizacji charakterystyczne jest, że ich mieszkańcom czy właścicielom nieruchomości trudno sobie wyobrazić, że może być tam dużo lepiej i że sami mogą do tego doprowadzić. Próg swoich możliwości widzą dokładnie w miejscu, gdzie są. Dlatego jednym z symptomów upadku dzielnicy jest ucieczka jej mieszkańców.

Jak się ją zatrzymuje?

Zasadnicze zmiany nie są łatwe, bo mamy tendencję do oceniania przestrzeni pod kątem tego, co widzimy w danym momencie. Nawet bankom, które kredytują jakąś inwestycję w zaniedbanej części miasta, bardzo trudno rozliczyć jej opłacalność, ponieważ po remoncie dana kamienica zyska na wartości nie sama w sobie, ale dopiero kiedy pewna masa krytyczna okolicznych nieruchomości będzie wyremontowana. Czyli nie zależy ona od samej siebie, lecz od całości otoczenia.

Spotkałem się ze zdaniem, że rewitalizacja przypomina pod tym względem układanie kostki Rubika.

Rzeczywiście, wymaga to dopasowania do siebie wielu elementów. Moż-

na je sprowadzić do trzech najważniejszych, które są zgodne z koncepcją rozwoju zrównoważonego: ekonomii, czynnika społecznego i czynnika środowiskowego, ale nie tylko w sensie ekologicznym, lecz ogólnie stanu przestrzeni. Muszą one ze sobą współdziałać, zażębić się i tym zajmowałam się przy okazji rewitalizacji Starych Bronowic i Kośminka w Lublinie. Dzielnice te były w opłakanym stanie. Od końca lat pięćdziesiątych wmawiano ich mieszkańcom, że ich domy nie nadają się do niczego poza wywłaszczeniem. Plany miejscowe (czyli prawo lokalne) przewidywały wyburzenie starej zabudowy, w związku z czym obowiązywał zakaz jej utrwalania. Nie remontowano nawet infrastruktury, bo projektowane osiedla miały mieć nową. Dzielnice biedniały.

Po pewnym czasie okazało się jednak, że gęstość zaludnienia była w nich tak duża, że gdyby wybudować tam bloki, to np. na Kośminku powstałoby tylko pięć mieszkań więcej niż było do tej pory, co się w ogóle nie opłacało. Jest to o tyle ważna obserwacja, że przez lata wmawiano ludziom coś dokładnie odwrotnego – że wysoka zabudowa pozwala na bardziej ekonomiczne wykorzystanie przestrzeni. Był to jeden z bardziej fałszywych mitów wczesnego Gierka. Istnieją bowiem normy, które regulują

Panorama Czechowa. W Polsce wieżowce muszą stać wystarczająco luźno, żeby zapewnić mieszkańcom odpowiednie nasłonecznienie. Dlatego pod względem liczby mieszkań w przeliczeniu na powierzchnię są one porównywalne z typową zabudową jednorodzinną. Fragm. fot. Jana Wielopolskiego z albumu: R. Dunin i H. Gawarecki, *Lublin*, Lublin 1979, s. 47.



odległość między budynkami w zależności od ich wysokości, co jest związane z zapewnieniem mieszkańom odpowiedniego nasłonecznienia. W naszym klimacie budynki muszą stać na tyle rzadko, że nie ma aż tak znacznej różnicy, czy są one dwupiętrowe, czy dwudziestopiętrowe. Wysokie budynki po prostu stoją proporcjonalnie dalej od siebie. W roku 1990 było już jasne, że nikt z zewnątrz z pieniędzmi nie przyjdzie. Inwestorami musieli się stać sami mieszkańcy, którzy na szczęście byli przynajmniej właścicielami działek.

Choć ludzie ci w większości pozostawali na marginesie życia, dzięki „chodnikowej” mikroprzedsiębiorczości część z nich było już wtedy stać na pewne wydatki. Należało przede wszystkim przestać im w tym przeszkadzać poprzez stworzenie planu miejscowego, dopuszczającego jakiegokolwiek, nawet najmniejsze inwestycje. Kolejnym krokiem było pozwolenie mieszkańcom na otwieranie działalności gospodarczej, żeby mogli się wzbogacić. Początkowo skupili się na tworzeniu miejsc pracy i samozatrudnieniu. Wśród mieszkańców było sporo ludzi starszych, których dzieci wyprowadziły się do nowych osiedli, ale ich wnuki zaczęły wracać, ponieważ rodziców nie było stać na kupowanie im nowych mieszkań. Za-

leżnie od możliwości podejmowali różne działania, ale najważniejsze, że wracali, co oznaczało, że okolica przestała być miejscem bez nadziei.

Rolą miasta była pomoc w uzbrojeniu terenu, który nie należał do mieszkańców. Przez pewien czas chodziło jeszcze o uporządkowanie terenów nadrzecznych i stworzenie ścieżki rowerowej. Potem pozostało już tylko nie przeszkadzać ludziom w zaspokajaniu potrzeb za swoje ciężko zarobione pieniądze. Obecnie siłą napędową zmian są już tylko mieszkańcy. W tej chwili nie ma tam ani jednej ulicy, na której nic by się nie działo.

Brzmi to prosto i logicznie. Ile lat trwa planowanie rewitalizacji?

Samo podjęcie takiego programu wymaga nie tyle czasu, co przede wszystkim współpracy większości zainteresowanych. Dla rewitalizacji Bronowic i Kośminka kluczowe znaczenie miał fakt, że zmiany prawa lokalnego powstawały w ścisłym kontakcie z mieszkańcami. Wcześniej w polskiej praktyce podobne konsultacje społeczne miały dość fasadowy charakter. Na przykład we Frampolu, w Tychach czy na Ursynowie rozmowy z mieszkańcami co prawda prowadzono, ale decyzje i tak nadchodziły przez telefon z góry. W naszym przypadku narzucanie ludziom modelu rozwoju nie wchodziło w grę. Należało ich włączyć w proces planistyczny, bo było wiadomo, że żaden święty Mikołaj nie przyjdzie inwestować za nich. Takie postępowanie dawało ludziom świadomość reguł gry, które jednocześnie – co ważne – nie doprowadzały do kolizji interesów. Zasady planu miejscowego były tak dobrze znane mieszkańcom, że zdarzało się, iż nawet samowole budowlane okazywały się z nim zgodne. Ale budowanie wzajemnego zaufania aktorów i ustalanie zasad współpracy bywa czasochłonne. W naszych warunkach ograniczonego zaufania konkretny plan działań na ogół powstaje nie krócej

Ul. Drenwniana, Bronowice Stare. Tutaj skutki rewitalizacji są widoczne gołym okiem. Fot. M. Skrzypek.



niż w ciągu dwóch lat. Można jednak ten proces rozłożyć na etapy.

Rewitalizacja i ludzie

Jak przebiegają konsultacje z mieszkańcami? Na teren dzielnicy wchodzi parlamentarzysta z białą flagą i mówi, że jest taka akcja, rozdaje ulotki...

Przed wszystkim, najpierw trzeba publicznie postawić problem, że źle się dzieje. Następnie poszukać, kto jest tym problemem dotknięty i kto ma szansę uczestniczyć w jego rozwiązaniu. Nie należy przy tym nikogo wykluczać z decydowania, żeby nie nabrał odruchów obronnych. Nawet starszki, które raczej nie będą aktywnie uczestniczyć w procesie zmian, powinny czuć się włączone w decydowanie o przyszłości swojego otoczenia. Kiedy w trakcie dyskusji społeczność określa, co się jej nie podoba, co jest uciążliwe itd., bardzo ważne jest, żeby osiągnąć porozumienie w definiowaniu tych problemów. Przypomina to konsylium lekarzy formułujących diagnozę – konsylium użytkowników przestrzeni wspólnie diagnozujących jej stan, co ma potem podstawowe znaczenie przy wyborze terapii, którą następnie rozpisuje się na głosy. Ktoś, kto chce i może założyć przedsięwzięcie, mówi, jakie napotyka przeszkody. Ktoś inny stwierdza, że mógłby wyremontować dom, ale najpierw musi zniknąć ryzyko jego wyburzenia. Kiedy działania rozpisze się na konkretne zadania, można zacząć monitorowanie, która grupa je wypełnia, a która jeszcze nie może. Jest to proces „miękki”, nie można go zadekretować i potem egzekwować. Wypracowane ustalenia mają dokładność listu intencyjnego, który pokazuje kierunki zmian.

Ciekawy jestem, jak to wyglądało w praktyce, np. na Bronowicach. Trzeba było znaleźć jakąś salę, gdzie można było się spotkać z tymi wszystkimi przysłowiowymi siniakami...



Przepraszam, ale uważając ich za „siniaków”, w ogóle nie ma co się z nimi spotykać. Albo Pan traktuje ludzi jak ludzi i wtedy się Pan z nimi spotyka, albo chce Pan ich traktować „przysłowiowo” i wtedy co najwyżej nadają się na pamflet. Takie założenie to błąd podstawowy. Po tem jest się już we własnej pułapce.

Zgadzam się. A więc mieszkańcy przyszli do sali, gdzie odbyło się coś w rodzaju „burzy mózgów”...

W tym konkretnym przypadku pomogli nam księża z bronowickiej parafii, o której wcześniej wiedziałam, że dobrze się spisała podczas stanu wojennego. W czasie wizyt po kolędzie księża roznosili an-

Ul. Grodzka. Nowy bruk i kosz na śmiecie – tyle na Starym Mieście mogą zrobić władze. Kto zajmie się resztą? Według stereotypowego myślenia w tym miejscu powinna powstać kolejna kafejka, galeria lub biuro... Fot. M. Skrzypek.

...Ale wyżej mieszkają ludzie i ich obecność jest potrzebna temu miejscu. Kamienice przy ul. Grodzkiej. Fot. M. Kubiszyn.



Nawet staruszki powinny czuć się włączone w decydowanie o przyszłości swojego otoczenia.

Róg ul. Skibińskiej i Zgodnej na Starych Bronowicach po rewitalizacji. Zaraz obok jest Drewniana. W rewitalizacji kamienic czynszowych występuje wielu aktorów, więc trudniej znaleźć im wspólny interes i połączyć siły. W tej sytuacji zmiany na lepsze następują wolniej i nawet „pomalowanie sobie” np. balkonu można odebrać jako akt cywilnej odwagi. Fot. M. Skrzypek.



kiety i informacje. Pierwsze spotkanie odbyło się w kościele w bardzo żywiłowej atmosferze, a następne w szkole, bo mieszkańcy chcieli mieć większą swobodę wypowiedzi. Na trzecim mieszkańcy wyznaczyli już przedstawicieli ulic. Te pierwsze spotkania pełniły rolę „ściany płaczu”. Ludzie chcieli mieć pewność, że wiemy, co im doskwiera. Było to trudne, ale konieczne. Przeważnie mieszkańcy mówili o rzeczach oczywistych i widocznych. Zaskakiwała jednak skala tych uciążliwości. Zażalenia i pretensje powtarzały się, ale każdy miał do opowiedzenia swoją historię i to było istotne.

Terapia grupowa?

Terapia jest złym słowem, bo kojarzy się z czymś sztucznym, a to było normalne oczyszczenie się z zapiekłych uciążliwości życia. Psycholog mógłby tu mówić o „terapii”, ale potoczny język redukuje znaczenie tego słowa. Kiedy wyłonili się przedstawiciele ulic, dawaliśmy im tematy do dyskusji, a oni już sami organizowali lokalne spotkania i właśnie na nich wypracowywaliśmy metody „leczenia” – jakie rozwiązania są możliwe, gdzie miasto musi dać gwarancję itd. Wszystko było mówione w sposób bardzo racjonalny. Utarło się sądzić, że mieszkań-

cy zaniedbanych dzielnic to menele bez wykształcenia, ale każdy z nich jest ekspertem, jeżeli chodzi o ocenę warunków swojego życia. Nie można żadnego z nich lekceważyć, nawet jeśli przez pół życia chodzi nietrzeźwy. Trzeba pamiętać, że ich stan jest jednym ze skutków sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Spotkałem się z poglądem, że istnieją dwa Lubliny: jeden zadbane i bogaty, a drugi wymagający rewitalizacji. Mieszkańcy drugiego mówią o mieszkańcach pierwszego „oni”.

Myszę, że ten podział jest bardziej mentalny niż materialny i tworzą go akurat ci niby lepsi – to jest ta łatwość zaliczania innych do meneli, to poczucie wyższości. Wydaje im się, że ludzie dzielą się, jak u Huxleya, na obywateli alfa, beta i gamma, bo sami chcieliby być alfa. Po pierwsze, trzeba jednak pamiętać, że Huxley nie traktował tego podziału jako postulatu, lecz jako przestroge. Po drugie, myślenie w takich kategoriach nie jest li tylko konstatacją faktu, ale ma realnie zły wpływ na rzeczywistość, a konkretnie na to, czy i jakimi metodami chcemy ją zmieniać. Zaczęliśmy o tym mówić, kiedy wspomniał Pan o „przyszłowiowych siniakach”. Teraz jest okazja, żeby rozwinąć ten temat.

Weźmy na przykład lubelskie Stare Miasto, które wciąż widzi się przez pryzmat kilku osób stojących po bramach. Bardziej niż w rzeczywistości, są one obecne przez wytykanie palcem, co, nawiasem mówiąc, wcale nie pomaga im przestać być „siniakami”. Powinniśmy pamiętać, że część ludzi, których tak nazywamy, została na Starym Mieście osadzona odgórnymi decyzjami, bo standard mieszkań był tam stosunkowo niski. Byli taką samą ofiarą systemu, jak wszyscy inni, którzy mieszkali nie tam, gdzie chcieli. W roku 1970 powiedziano im, że jest to teren do „przebudowy społecznej”, czyli w domyśle, że nie są dość dobrzy, żeby tam mieszkać, ale póki stan kamienic jest jeszcze kiepski, to niech mieszka-

ją. Nic dziwnego, że mieli mniej powodów, aby traktować to miejsce jako swoje i czuć się za nie odpowiedzialnymi.

Ten socjalistyczny sposób myślenia wciąż pokutuje i, co ciekawe, jest najbardziej widoczny wśród dziennikarzy. Mają oni bardzo pocztówkową wizję Starego Miasta. Chcą, żeby było ładne, do pokazywania. Patrzą na nie z perspektywy turysty, a nie mieszkańców, a to zniechęca do podejmowania rozmów z najbardziej zainteresowanymi, aby wspólnie wymyśleć jakieś rozwiązanie. W związku z tym propozycje rozwiązań się nie pojawiają i jedyną perspektywą pozostaje docelowe wykwaterowanie obecnych mieszkańców, co jest doskonałym pretekstem do umycia rąk i wstrzymania się od jakichkolwiek działań, ponieważ praktycznie rzecz biorąc, wykwaterowanie na taką skalę jest niewykonalne. Mamy oto przykład sposobu myślenia będącego całkowitym zaprzeczeniem rewitalizacji ze wszystkimi tego skutkami.

Nie da się wymyśleć żadnego rozwiązania bez udziału mieszkańców?

Doświadczenia innych krajów pokazują, że nie. Praga i Wilno remontowały kamienice na swoich starówkach od A do Z, a potem musiały czekać 2-3 lata, aż zjawi się ktoś, kogo będzie stać na zakup lokalu choćby po cenie kosztów. Podobnie było z zabytkowym centrum Zamościa, które miało być „zrobione” w roku 1980 na rocznicę założenia miasta, połączoną z krajowymi dożynkami. Wyprowadzono mieszkańców z kamienic przy rynku, żeby je odrestaurować, a w nowych projektach przewidziano mieszkania tylko dla prominentów. Skutek był taki, że później trzeba było wydać nakaz zapalania w kamienicach świateł, żeby po zmroku okolica nie wyglądała na wymarłą. Raczej należy się pogodzić z myślą, że Stare Miasto salonem Lublina na razie również nie będzie. Najpierw musi zacząć być normalnym miastem.

Co to znaczy „normalne miasto”?

Takie, w którym mieszkają ludzie. Przy czym nie mówimy o bogaczach, tylko o ludziach z dochodami w okolicach średniej. We Francji i innych krajach, które mają te doświadczenia za sobą, obliczono, że remontów starych, zdekapitalizowanych budynków nie można zamknąć w krótkoterminowym planie ekonomicznym. Rozwiązaniem nie są więc całościowe inwestycje, ale dofinansowania dla tych, którzy chcą tu mieszkać i inwestować w swoje mieszkania z finansowym wsparciem miasta. Owszem, część mieszkańców i tak zostanie w ten sposób wyeliminowana, ale będzie to selekcja naturalna, a nie odgórnie wymuszona.

Prawda, że na Starym Mieście odnowiono całą infrastrukturę ulic, rozwinęła się drobna przedsiębiorczość oraz działalność turystyczna, społeczna i kulturalna, która w wielu przypadkach weszła w symbiozę z biznesem. Nierozwiązany pozostaje jednak problem poprawy warunków mieszkaniowych. Pozornie Stare Miasto kwitnie, bo powstało w nim wiele nowych knajp, ale one nie są w stanie zagospodarować drugiego i trzeciego piętra. Podręcznikowo wygląda to tak, że jeżeli założymy, iż dla tego typu działalności parter ma wartość 100%, to piwnica ma 80%, pierwsze piętro 50%, a reszta pięter nie sięga 10%. Ile jeszcze restauracji i kawiarni zmieści się na tym małym obszarze i co zrobić z wyższymi piętrami? Jedyne rozwiązanie jest udostępnienie tej przestrzeni jako mieszkań dla osób średnio zamożnych. Istniejące rozwiązania prawne tego nie ułatwiają.

Kiedy władza lub media stawiają na ludziach krzyżyk, ich samoocena musi bardzo spadać.

Jeżeli uważa się ludzi za „siniaków”, w ogóle nie ma co się z nimi spotykać. Takie założenie to błąd podstawowy. Potem jest się już we własnej pułapce.

Zdecydowanie tak. To powoduje, że jeżeli mają jakiekolwiek możliwości zrobienia czegokolwiek, to najbardziej realną perspektywą staje się pójście na wódkę. Ale podam przykład odwrotny. Kiedyś przyjechali do nas konsultanci z Harvardu oglądać postępy rewitalizacji na Starych Bronowicach. Staliśmy dużą grupą na rogu Zgodnej i Skińskiej, kiedy podszedł do nas jeden z miejscowych mieszkańców i pyta: „A wy tu co? Kto wam pozwolił tutaj łązić?” Wysłałam na przód, żeby wyjaśnić sprawę, bo zaczepka brzmiała groźnie, a on, widząc mnie, uśmiechnął się od ucha do ucha: „Pani inżynier! Chce pani zobaczyć? Pomalowałem siebie!”

Rewitalizację dzielnic poprzedza więc rewitalizację godności ich mieszkańców.

Jest to jej niezbędne!

Z tego wniosek, że czynnikiem bardzo wpływającym na jakość życia jest nadzieja. Jeżeli dać ludziom nadzieję, wierę w swoje możliwości...

Pod warunkiem, że nie jest to nadzieja fałszywa, bo fałszywa nadzieja tych ludzi na darmowe mieszkania zamieniła się w czekanie na Godota.

Tak, chodzi o odpowiedzialność, poczucie sprawczości...

Nadzieja to jest kapitał, normalny kapitał. I to nawet ważniejszy niż pieniądze.

Podnosi zadowolenie z życia, choć praktycznie nic się w tym życiu nie zmienia.

I ostatecznie przesądza o jego jakości. Pod koniec lat 90. badałam dla Fo-

rum Rewitalizacji, jak mieszkańcy dbają o swoje mieszkania w dwóch kwartałach Starego Miasta, jednym starym, a drugim odbudowanym po wojnie, który oferował lepsze warunki. Okazało się, że w latach 1993-1998 w obu przypadkach mieszkańcy zrobili poważne remonty w 30% lokali – za swoje pieniądze, choć nie w swoich mieszkaniach. To są dane mówiące o gotowości do uczestniczenia w procesie renowacji. Jedyną zachętą był odpis remontowy i on wystarczył do obudzenia w ludziach nadziei na lepsze życie, mimo że zwykle przy remontach starej zabudowy stosuje się dużo intensywniejszą pomoc. Inny przypadek: ocena stanu zasobów mieszkaniowych na początku lat 90. wykazała, że 10% z nich jest zagrożonych zawaleniem w ciągu kilku lat. Wkrótce okazało się, że wyłącznie metodą własnych inwestycji mieszkańców całe to zagrożenie niemal się rozplynęło. Trzeba więc pamiętać, że mieszkaniowiec nie jest tylko meblem do zasiedlenia zasobów mieszkaniowych. To jest partner.

Rewitalizacja ulic handlowych i blokowisk

Jakie inne rejony Lublina potrzebują, Pani zdaniem, rewitalizacji?

Na przykład ulica Zamojska. Jest ona miejscem przedsiębiorczości trochę bardziej prowizorycznej, niż wynika to z jej lokalizacji. Można powiedzieć, że interesy są tam bardziej stabilne niż

Ul. Zamojska: „...interesy są tam bardziej stabilne niż forma ich uprawiania i prezentacji. Dobrze by było, gdyby ich właściciele zainwestowali w swoje otoczenie i poprawę standardów technicznych mieszkań”. Fot. M. Skrzypek.





forma ich uprawiania i prezentacji. Dobrze by było, gdyby ich właściciele za-inwestowali w swoje otoczenie i poprawę standardów technicznych mieszkań. Drugim takim obszarem jest ulica Lubartowska i Podzamcze. Widąc gołym okiem, że ten teren jest bardzo witalny, ale jakość przestrzeni blokuje mu rozkwit. On się wręcz dusi swoją witalnością. Żaden z interesów nie może się rozwijać, bo zaraz obok jest następny, więc unika się inwestycji na rzecz rozwiązań prowizorycznych. Jest to w dużym stopniu wina zabudowy. Patrząc na przedwojenne zdjęcia czy makietę żydowskiego Podzamcza, widać, że kiedyś było tam o wiele lepiej. Dziś można byłoby zabudować ten teren o wiele ekonomiczniej na starych układach i z zachowaniem starej skali zabudowy, maksimum trzy kondygnacje. Architektura nie musiałaby udawać historii, ale powinna pasować do Starego Miasta.

Rewitalizacja takiego miejsca byłaby chyba czymś zupełnie innym niż rewitalizacja zamieszkałej dzielnicy?

Itak, i nie. Sytuacja jest podobna, bo również tu wszyscy posiadacze nieruchomości i biznesmeni muszą się wspólnie zgodzić na jakąś wizję zmian i na ich scenariusz, na pewne zyski i na pewne koszty. Bez tego plany rewitalizacji pozostaną na papierze. Również tu nie można robić wielkiego placu budowy, lecz trzeba działać małymi krokami. Różnica polega

zaś na tym, że los tego miejsca jest związany z terenami w innej części miasta – przy dworcu głównym PKP, z którym sąsiaduje dworzec połączeń miejscowych PKS. Tam według „Studium uwarunkowań i kierunków rozwoju miasta Lublina” mógłby zostać przeniesiony właśnie z Podzamcza dworzec główny PKS, tworząc razem z PKP przyszły węzeł komunikacyjny związany z centrum obsługi biznesu, które na tym terenie mogłoby powstać. Byłaby to więc również rewitalizacja, ale odbywająca się poprzez stworzenie zupełnie nowej oferty dla miasta.

Czy w przypadku Podzamcza można ominąć zasadę rewitalizacji i powodować zmiany nakazami?

Nie, bo tu wchodzi w grę cudza własność. Nakazy mogą tylko zaszkodzić. Poza tym na Podzamczu mamy do czynienia z dużą grupą małych przedsiębiorców, dla których obecna forma działalności stanowi elementarną gwarancję przeżycia, więc będą jej bronili za wszelką cenę. Ale popatrzmy na ten problem z innej strony: ci przedsiębiorcy będą przecież potrzebni do wykorzystania przestrzeni, którą się tam wybuduje. Jeżeli tylko uzgodni się z nimi warunki przeprowadzenia zmian, nie tylko nie będą protestować, ale włączą

Fragment Podzamcza dawniej (dzielnica żydowska) i dziś. Strzałka na pierwszym zdjęciu (ze zbiorów Jakuba Kamińskiego) wskazuje kierunek wykonania zdjęcia drugiego (for. M. Skrzypek).

Kiedy władza lub media stawiają na ludziach krzyżyk, to powoduje, że jeżeli już mają oni możliwości zrobienia czegokolwiek, najbardziej realną perspektywą staje się pójście na wódkę.

się do współpracy, co znacznie zmniejszy ryzyko inwestycji.

Czy rewitalizacja jest częścią gry interesów ludzi bogatych?

Jest w samym jej środku, ale najczęściej rewitalizacja jest potrzebna w miejscach, gdzie korzyść, a więc interesowność, nie jest oczywista. Można powiedzieć, że dobrze prowadzona rewitalizacja jest uczciwą grą uczciwych interesów i na dodatek bez wykluczania jakichkolwiek aktorów. Z tych też powodów, przynajmniej na początku, jest to proces trudny, żmudny i wymagający podjęcia pewnego ryzyka, ale na szczęście jest ono rozproszone.

A więc rewitalizacja broni się przed nadużyciami z założenia, bo odbywa się w ekonomicznych „dołkach”, dotyczy rzeczy, których nikt nie chce robić?

Tak, ale martwy sezon na rewitalizację już się skończył. Rozpoczęliśmy te działania w roku 90., bo wtedy brakowało środków, więc trzeba było robić coś, co nie wymagało dużych nakładów. Potem środki się pojawiły i zaczęły się liczyć bardziej spektakularne cele. Teraz zaś pozyskanie środków strukturalnych Unii zależy od tego, czy będą prowadzone programy rewitalizacji, a fachowców w tej dziedzinie jest około 30, prawie wszyscy należą do stowarzyszenia „Forum Rewitalizacji”.

Nie wspomniała Pani o metodach ożywiania blokowisk. Myślę, że one najbardziej kojarzą się laikowi z potrzebą rewitalizacji.

60% mieszkańców Lublina mieszka w blokowiskach, ale na szczęście wiadomo, co z nimi robić. Na pewno trzeba uniknąć błędów naszych niemieckich sąsiadów, którzy zastosowali rozwiązania będące przykładem działań podjętych w dobrej wierze w interesie mieszkańców. Działania te okazały się jednak działaniami pozornymi. Za ogromne federalne pieniądze wzięto się za osiedla byłego NRD: zhumanizowano je, zmodernizowano, wprowadzono zieleni, stworzono w nich miejsca pracy itd. Jednym słowem: zrobiono bardzo dużo, po czym i tak okazało się, że ludzie się stamtąd wyprowadzają. Zasadnicza różnica między dawnym NRD a nami polega na tym, że mieszkańcy NRD mają się dokąd wyprowadzać, a my nie mamy, w związku z czym jesteśmy zmuszeni, aby pozostać na tych osiedlach i dbać o nie.

Nie musimy ich pomysłów stosować na taką skalę ani działać w pośpiechu. Poza tym nasze osiedla, a lubelskie w szczególności, są z reguły dużo lepsze od niemieckich i jest to opinia nie moja, ale niemieckiego profesora, który zajmował się tym tematem przez całe życie. Nasze osiedla są mniejsze i często przyzwoicie zaprojektowane. Lubelskie osiedla oferują niezłą jakość życia, tro-

Nadzieja to jest normalny kapitał. I to ważniejszy niż pieniądze.

Malowanie domów jako pomysł na oswojenie przestrzeni zbudowanej: po lewej odgórne (Bronowice Nowe), po prawej spontaniczne (ul. Pawia, Kośminek). Fot. M. Skrzypek.



chę też nasączyły się usługami. Wkracza tam zatrudnienie, więc przestają być tylko sypialniami. Spółdzielnie robią, co mogą, żeby je kolorowo pomalować, więc przestają być całkiem anonimowe. Fakt, że zmiany te dzieją się ponad głowami mieszkańców i to jest pewien problem, bo utwierdza się przekonanie, że łatwiej jest zdobyć wpływ na swoje otoczenie, jeśli się coś zniszczy niż stworzy.

Może być odwrotnie?

Trzeba nad tym pracować. Koleżanka z Sheffield pokazywała mi swój projekt osiedla komunalnego. Domki dwupiętrowe, ceglane, nic szczególnego, ale lokatorzy sami dobierali kolor stolarki okiennej, przy czym lufcik musiał być inny niż reszta, więc osiedle robiło dość wesołe wrażenie. Obok domów zaprojektowała m.in. sięgające kolan płotki z drewna i pergole z pnączem. Okazało się, że osiedle to nie było w żaden sposób dewastowane, choć całe Sheffield miało problemy z wandalizmem. Dlaczego? Sztuka polegała na tym, że w projektowanie osiedla na etapie wykańczania zostali włączeni mieszkańcy, którzy mieli wpływ na wygląd wyróżniających się szczegółów czy urządzenie zieleni. To był ten czynnik osławiania przestrzeni, dzięki któremu ludzie nie pojawiali się w niej jak desant z powietrza, ale mogli ją kształtować i poczuć, że jest „ich”. Dobrze, jak coś jest ładne, ale to musi jeszcze być trochę moje. Same pieniądze nie mają mocy osławiania przestrzeni.

Co zrobić, aby podobny efekt osiągnąć na naszych blokowiskach?

Dochodzimy do tego samego problemu, co w innych zaniedbanych dzielnicach, że pójście na wódkę czy chuli-gaństwo jest o wiele bliższą perspektywą niż zrobienie czegoś sensownego. Podstawowym elementem poprawy tej sytuacji są wszelkie programy socjalne i kulturalne. Ważne, aby dawały ludziom możliwość pozostawienia jakie-

goś trwałego śladu na ziemi. Na jednym z kolorowych i dopieszczonych osiedli niemieckich widziałam plac zabaw wybudowany przez same dzieci z niewielką pomocą dorosłych. Podczas gdy na osiedlu wszystko było „schön und praktische”, miejsce zagospodarowane przez dzieci stała w kompletnej opozycji do otoczenia: ściany krzywe, kolory inne, przestrzeń poplątana, ale „przytulna”. Jest to jedna z metod, żeby młodzi nie czuli się w takich miejscach jak w kaftanach bezpieczeństwa. Ale i tak nasze problemy z blokowiskami są umiarkowane, na pewno nie większe niż gdzie indziej. Miejmy trochę pokory w przyznawaniu sobie pierwszego miejsca we wszystkich katastrofach.

Działania kreatywne z udziałem lokalnej społeczności mają na Zachodzie długą tradycję, ale ich stać na takie fanaberie.

Najważniejszy jest pomysł. Potem na podstawie tego, co się wymyśliło, można szukać dostępu do pieniędzy. Kiedy robiłam projekt rewitalizacji osiedla w Łęcznej, cały czas przewijało się pytanie: no dobrze, ale skąd będą na to pieniądze. Zawsze odpowiadałam: nie skąd, tylko na co. Pomysł jest gwarantem uzyskania pieniędzy; a nie na odwrót. Unia ma pieniądze na rzeczy społecznie potrzebne. Kryteria oceny wniosków są znane, nasze potrzeby też. Teraz wystarczy się i porządnie wszystko obmyślić.

Rewitalizacja i drogi

Zarówno kiedy mówiliśmy o Starym Mieście, jak i wtedy, kiedy dyskutujemy o blokowiskach, ludzie byli najważniejszym czynnikiem rewitalizacji. Tylko w ożywieniu Krakowskiego Przedmieścia zadecydowało co innego: zamknięcie ruchu samochodowego.

Co prawda budowy deptaka nie można traktować jako dosłownego przykładu

Dobrze, jak coś jest ładne, ale to musi jeszcze być trochę moje. Same pieniądze nie mają mocy osławiania przestrzeni.

du rewitalizacji, ale rzeczywiście przebieg dróg czy szlaków handlowych ma dla tego procesu wielkie znaczenie. Popatrzmy na zabytki Starego Miasta, które świadczą, że obszar ten cieszył się kiedyś dużą witalnością – dlaczego ona zniknęła z miejsca będącego przecież w centrum miasta? Na pewno zaważyły na tym wojny, najazdy i zabory, ale jak się okazuje, również przeprowadzenie nowej drogi tranzytowej przez miasto. Kie-

dy na początku dziewiętnastego wieku drewniany most na Bystrzycy zastąpiono murowanym, wytyczono nowy trakt zamojsko-lubartowski i cały ruch w kierunku północ-południe oraz wschód-zachód zaczął omijać Stare Miasto. Mimo że krzyżował się pod samą Bramą Krakowską, spowodował jego izolację, rozpoczynając proces zarastania Starego Miasta z dzielnicą żydowską.

Tak po prostu? Mimo że Bramę Krakowską tylko rzut kamieniem dzieli od ratusza, czyli administracyjnego serca Lublina?

Odległość nie ma bezpośredniego przełożenia na relacje między dzielnicami. Większe znaczenie odgrywa ukształtowanie przestrzeni i uwarunkowania historyczne. Zwarta zabudowa i obronny charakter Starego Miasta zawsze wyodrębniały je z otoczenia. Jak wiadomo, dbało też ono o separację od dzielnicy żydowskiej, ale jedną z przyczyn tego był fakt, że Żydzi płacili inne podatki, podobnie jak szlachta i duchowieństwo. Mieszczanie niechętnie wpuszczali za bramy przedstawicieli wszystkich tych grup, ponieważ ze względu na małe rozmiary Starego Miasta nie było ich stać na luki w dochodach. Poza tym musieli oni konkurować nie tylko z dzielnicą żydowską, ale również z przedmieściami i okolicznymi jurydykami szlache-

kimi i duchownymi. Miasto nie było więc jednorodnym organizmem, ale raczej systemem kilku podmiotów, które rozwijały się bądź słabły we wzajemnej zależności od siebie i od wpływów z zewnątrz. Na początku dziewiętnastego wieku te procesy dawno już wygasły, ale zostały po sobie historyczne uwarunkowania. Wytyczenie nowych szlaków nałożyło się na nie i gwałtownie zmieniło układ sił pomiędzy częściami Lublina. Przy obronnym charakterze Starego Miasta ruch uliczny przebiegający wzdłuż jego granic stworzył jakby dodatkową barierę, która spowodowała, że „zblżyło” się ono do biedniejszej dzielnicy żydowskiej, podczas gdy reszta miasta zaczęła ciążyć w kierunku nowych ośrodków władzy w okolicy Krakowskiego Przedmieścia i Placu Litewskiego.

Ten stan rzeczy utrzymywał się do lat 80. XX wieku, kiedy wybudowano dwupasmową trasę, obecnie zwaną Aleją Unii Lubelskiej, przenoszącą ruch północ-południe na drugą stronę Wzgórza Staromiejskiego. Zanim to nastąpiło, Stare Miasto sprawiało wrażenie obronnej enklawy. Kiedy przyjechałam po raz pierwszy do Lublina w 1979, wchodziło się tam jak do innego świata. Przed Bramą Krakowską krzyżowały się trzy ruchliwe ulice, a za Bramę nagle robiło się cicho i pusto. Nie da się odwrócić biegu historii, ale udało się skierować gdzie indziej ruch oddzielający Stare Miasto od śródmieścia, a potem zamknąć dla samochodów Krakowskie Przedmieście i w ten sposób ostatecznie ponownie połączyć Stare Miasto z centrum.

Nawiasem mówiąc, dziewiętnastowieczna przebudowa dróg spowodowała upadek nie tylko Starego Miasta, ale również przedmieścia lwowskiego, czyli Kalinowszczyzny. Wcześniej do Zamościa jechało się przez Kalinowszczyznę, obok cerkwi i ulicą Ruską, czyli starym traktem wiodącym na wschód. Nieprzypadkowo właśnie tam zbudowano

Mamy więcej przejść
granicznych niż
mostów na Wiśle.
To z czym mamy się
integrować? Granica
z województwem
kieleckim jest równie
ważna, jak z Ukrainą
i Białorusią.



Fragm. utworzonego w latach 1819-1821 nowego traktu kierującego ruch tranzytowy przez centrum, między Starym Miastem i Krakowskim Przedmieściem (fragm. pocztówki z kolekcji Zbigniewa Lemiecha) oraz współczesne zdjęcie pokazujące początek Al. Unii Lubelskiej (z prawej), której zadaniem jest m.in. zmniejszyć ruch pod Bramą Krakowską (przez ominięcie Starego Miasta z prawej strony). Z lewej widoczny na zdjęciu zamknięty most – jeden ze „sprawców” upadku Starego Miasta. Fot. M. Skrzypek.

Lublin 1819-1821 – wybrane wydarzenia

– Generalna zmiana i uproszczenie przebiegu dróg wjazdowych do miasta. Wszystkie podmiejskie odcinki traktów utwardzono żwirem (niektóre fragmenty wybrukowano) i obsadzono szpalerami szybko rosnących topoli włoskich. Nowy przebieg traktów pozostawił na uboczu Stare Miasto, przez które uprzednio z trudem przeciskał się ruch tranzytowy, a bardzo zwiększył znaczenie dawnego placu przedbramnego (przed Bramą Krakowską – Pl. Łokietka). Na placu tym zbiegały się główne drogi – ulice, dzięki którym stał się on głównym, centralnym węzłem komunikacyjnym miasta.

– Przeprowadzenie odcinka głównego traktu wiodącego przez Zamość na Ukrainę, z pominięciem Starego Miasta, ulicami Królewską i Bernardyńską.



W wyniku działalności władz centralnych i wojewódzkich Lublin ulega przebudowie. [...] Z przedłużenia ulicy Nowej powstał nowy trakt lubartowski (zamiast gościńca dyskiego koło Czwartku), a po wyburzeniu wypalonych zabudowań pojezuickich powstała ulica Królewska i trakt zamojski [obecnie ul. Zamojska – przyp. red.]. [...] Nowe trakty pozostawiły na uboczu stare miasto, stwarzając nowy układ urbanistyczny miasta z punktem centralnym na Krakowskim Przedmieściu. [...] Miasto dzieliło się w tym czasie na dwa cyrkuły. Cyrkuł I, czyli tzw. miasto chrześcijańskie, obejmował stare miasto, ul. Królewską, Zamojską, Krakowskie Przedmieście z przyległymi doń ulicami. Część ta, położona na obszernych wzgórzach przechodzących w dolinę rzek Bystrzycy i Czechówki, miała dość luźną zabudowę (poza Starym Miastem), a znajdujące się na tym terenie liczne pałace, dworki i klasztory były otoczone ogrodami i sadami. Tu skupiały się gmachy urzędowe, tu mieszkali wszyscy niemal bogatsi mieszkańcy miasta. Bardziej upośledzony był II cyrkuł, czyli tzw. miasto żydowskie. Obejmowało ono Podzamcze oraz przedmieścia: Czwartek, Kalinowszczyznę, Sierakowszczyznę, Piaski. Zamieszkiwała ten cyrkuł głównie ludność żydowska oraz wyrobnicy i drobni rzemieślnicy na przedmieściach.

Kultura miejska w Królestwie Polskim, cz. I, 1815-1875, Warszawa-Kalisz-Lublin-Płock, red. A. M. Dexlerowa, Warszawa 2001, s. 167.

Stanisław Tworek, Rozkwit miasta. Renesans, w: Dzieje Lublina, t. I, red. zespół pod kier. J. Mazurkiewiczą, Lublin 1965, s. 202.



Pl. Łokietka przed Bramą Krakowską (wejściem do Starego Miasta) w 1981 r. i w 2005 r. Na pierwszym zdjęciu (w: Lublin trzech pokoleń, Lublin 1987, s. 27, fot. Eliza Kwaśniewska) widać, jak radykalnie rondo izolowało kiedyś Stare Miasto. Na drugim zdjęciu (fot. M. Skrzypek) zwraca uwagę wysiłek włożony przez projektantów Deptaka (U. i J. Ciepliński), żeby również wizualnie zaznaczyć fakt przyłączenia Starego Miasta do Krakowskiego Przedmieścia. Z perspektywy pieszojezdna jest prawie niewidoczna, natomiast dzięki pasowi ciemniejszego bruku Brama Krakowska wydaje się oczywistą kontynuacją Deptaka.



Złożoność lubelskiego zespołu miejskiego w Polsce stanowej XV i XVI wieku.

W obrębie Lublina toczyła się walka nie tylko między pospólstwem i Radą, ale także między mieszczanami Lublina a przedmieszczanami. Walka między tymi dwoma grupami prowadzona była tak o rozszerzenie przywilejów handlowych, jak też o udział w wyborze władz miejskich, zwłaszcza rajców. [...] W interesującym nas okresie płaszczyzna walki mieszczaństwa lubelskiego objęła również swoim zasięgiem i szlachtę. W XV jeszcze wieki zamożniejsi mieszczaństwo mogli przedostać się w szeregi szlacheckie czy to dzięki stosunkom pokrewieństwa, czy też posiadanej ziemi. [...] Mimo tych wzajemnych kontaktów i związków, szlachta niechętnym wzrokiem patrzyła na bogacenie się mieszczan i nabywanie przez nich dóbr ziemskich. [...] Po wielu wsiach nabytych przez miasto w XV wieku [...] w roku 1570 nabył także Lublin wieś Wrotków. Proces więc nabywania przez miasto nowych ziem, mimo sprzeciwów szlachty, postępował dalej. W roku 1535 [...] do wójtostwa lubelskiego zostały inkorporowane i przeniesione na prawo magdeburskie wsie: Konopnica i Bronowice. [...]

Ale jednocześnie wraz z nabywaniem nowych ziem przez miasto, obserwujemy w tym okresie proces odwrotny, utraty wielu ziem nadanych miastu przywilejem Władysława Łokietka (100 łanów ziemi uprawnej i nieuprawnej). Wiele z niej przeszło w posiadanie różnych klasztorów (jezuitów, brygidek) lub też w ręce zamożnej szlachty, która na ziemiach miejskich pobudowała swe pałace i kamienice. [...] Skargi mieszczan przed lustratorami królewskimi i wcześniej zaszonose wprost do króla nie dawały widocznie żadnych efektów, jeśli nie liczyc zakazów królewskich (będących odpowiedzią na skargi), z którymi szlachta chyba nie bardzo się liczyła. Jeszcze w roku 1535 Zygmunt Stary zabronił szlachcie i duchowieństwu nabywania domów w mieście. [...] Walka toczona przez miasto ze szlachtą i starostą była tylko dalszym ciągiem walki toczonej w XIV i XV wieku. Mimo wysiłków nie udało się szlachcie pozbawić miasta prawa posiadania dóbr ziemskich. Lublin nie tylko utrzymywał stare, ale nabywał coraz to nowe wsie. Nie udało się również w wielu sprawach narzucić miastu jurysdykcji starościńskiej.

Przedmiotem wybujałych antagonizmów szlachecko-mieszczańskich były również tzw. jurydyki szlacheckie i duchowne. Lublin ze względu na swoją rolę gospodarczą i polityczną stał się miastem, gdzie magnateria i szlachta chętnie mieszkała i nabywała grunty, ogrody i place. Wcześniej tu również ujawniły się tendencje do tworzenia jurydyk, tj. organizowania, niezależnie od władz miejskich Lublina, magistratów z wójtami na czele uzależnionych tylko od feudalnych właścicieli gruntów. Jurydyki rozciągały się zasadniczo na peryferie gruntów miejskich Lublina. Mieszkańcy objęci zasięgiem jurydyk trudnili się przede wszystkim różnego rodzaju rzemiosłem. Oprócz rzemieślników spotykamy tu również mieszkańców zajmujących się rolnictwem, prowadzących karczmy i zajezdnie.

Niewątpliwie tego rodzaju konkurencja, jaką jurydyki stanowiły dla miasta, była niezwykle niewygodna. Toteż miasto, gdzie tylko mogło, zaznaczało swoje negatywne stanowisko wobec jurydyk oraz mobilizowało swoje siły do ich zwalczania. Nic dziwnego, że istniał taki stan rzeczy. Rzemieślnicy jurydyk stanowili wielką konkurencję dla wyrobów rzemiosła miejskiego, a jurydyki dla handlu. Oprócz tego nie ponosiły one żadnych ciężarów i świadczeń na rzecz miasta. Rozwój i wzrost jurydyk miał, poza innymi przyczynami, wpływ na upadek Lublina w połowie XVII wieku.

Cytat ilustruje, jak złożonym tworem było kiedyś to, co dziś nazywamy Lublinem. Kilka wieków temu jego dzisiejsze dzielnice konkurowały między sobą jako osobne jednostki administracyjne należące do przedstawicieli różnych stanów o często rozbieżnych interesach. Długofalowe skutki tego współzawodnictwa możemy obserwować do dziś np. w postaci upadku Starego Miasta, o czym wspomina Ewa Kipta. Cytat pochodzi z książki wydanej w 1965 roku, kiedy podkreślanie walki klas było obowiązkiem historyka, ale w tym przypadku można chyba założyć, że to ideologiczne skrzywienie nie przekłamało historii. [Przyp. red.]

S. Tworek, *Rozkwit miasta. Renesans*, s. 90-93.

klasztor salezjanów i augustianów. Dalej przeprowadzano się przez bród na Bystrzycy i dopiero za nim był skręt na południe. Cały trakt został odcięty przez wybudowanie mostu na Bystrzycy, łączącego miasto z przedmieściem Piaski.

Czy są takie miejsca, których zrewitalizować się nie da?

Jednym z nich jest miejscowość Gołąb z pięknym renesansowym kościołem. Kiedyś to miasteczko kwitło dzięki przeprowadzie przez Wisłę. Potem rzeka zmieniła bieg, przeprowada przeniosła się gdzie indziej i ustała tym samym przyczyna rozwoju miasta. Dziś nie da się go zrewitalizować, można najwyżej postarać się o turystów.

Historyczne przyczyny rozwoju Lublina też chyba ustały.

Ależ przeciwnie, właśnie stoi on przed perspektywą odzyskania geopolitycznych możliwości, które miał 300 lat temu. Jest to związane z integracją europejską, która już się dokonała i która jeszcze może się dokonać na wschód. Do zagospodarowania pozostaje też historyczny handlowy szlak północ-południe.

Nawet mimo budowy autostrad z pominięciem Lublina?

Myślę, że kiedyś to się zmieni. Problem polega w tym, że łatwo jest obli-

czyć opłacalność autostrady, kiedy zastępuje się nią istniejące drogi, jak się to robi w Europie Zachodniej. Gorzej, kiedy za pomocą autostrady chcemy stworzyć nową relację, która bez niej nie istnieje. A takich potrzeb mamy wiele, nie tylko jeżeli chodzi o drogi. Ten kraj jest pęknięty na linii Wisły i lekko przyfastrygowany w Warszawie i Krakowie. Mosty poza tymi dwoma miastami można policzyć na palcach jednej ręki. Mamy więcej przejść granicznych niż mostów na Wiśle. To z czym mamy się integrować? Województwo lubelskie nie odzyska swojego zapisanego w historii potencjału, jeżeli nie dojdziemy do wniosku, że granica z województwem kieleckim jest przynajmniej równie ważna jak z Ukrainą i Białorusią. Jestem jednak optymistką.

Zauważyłem. W pani myśleniu jest obecne to rozumowanie w kategoriach organizmu – że co prawda powoli, ale jednak wszystko idzie ku dobremu.

Nie umiem myśleć w kategoriach różnych efektów. Może dlatego, że długo żyłam w beznadziejnych czasach i daleki dystans był jedynym sposobem na posiadanie nadziei.

Ma pani cierpliwość.

Ale ona jest ciężko wypracowana.



- Czy Pan proponuje ochronę pustki?
- Pamięci.
- Ale reprezentowanej przez brak śladów.
- Proponuje objęcie ochroną pewnej przestrzeni mentalnej.

Krajobraz nie widzialny

Rozmowa z Markiem Stasiakiem, specjalistą w dziedzinie krajobrazu kulturowego.

Marcin Skrzypek: Jak można zdefiniować krajobraz kulturowy?

Marek Stasiak: Najprościej mówiąc, jest to krajobraz, który powstaje w wyniku działalności człowieka zarówno w mieście, jak i na wsi. Zaliczamy do niego architekturę, drogi, groble, łąki, pola... Myślę, że warto zatrzymać się nad pojęciem krajobrazu w ogóle. Za Zygmuntem Nowakiem możemy powiedzieć, że jest to „obraz kraju”, a więc obraz jakiegoś określonego terytorium, okolicy, miejscowości, które zamieszkujemy lub tylko oglądamy. Od krajobrazu nie można uciec. Otacza nas ze wszystkich stron. Dotyczy to również człowieka niewidomego, który odbiera krajobraz dźwiękowy okolicy. Krajobraz zatem, idąc za prof. Januszem Bogdanowskim, jest zewnętrznym wyrazem środowiska, na które składają się istniejące w przestrzeni systemy przyrodnicze i kulturowe, systemy, które się wzajemnie przenikają.

Wyodrębnienie pojęcia krajobrazu kulturowego ma charakter pomocniczy, definiujący wyszczególnioną część problematyki związanej z opisem i badaniami krajobrazu w ogóle. Pojęcie to odnosi się do tej sfery krajobrazu, która została zmieniona w wyniku działalności człowieka. Krajobraz, którego nie dosięgły działania antropogeniczne, określa się jako krajobraz naturalny. W otaczającej nas przestrzeni zajmującej nas przetrzeźni zajmującej charakter ma krajobraz zmieniony antropogenicznie. Zmiany te mogą następować zgodnie z prawami natury lub wbrew tym prawom, z wyraźnym zaznaczeniem dominacji człowieka. Przykładem tych ostatnich mogą być krajobrazy terenów zurbanizowanych, zwłaszcza z okresu urbanizacji w ostatnim stuleciu. Krajobraz kulturowy, jak zauważa Zbigniew Myczkowski, może mieć również postać historyczną, nace-

Marek Stasiak – ur. w 1953 r. w Lublinie, historyk sztuki, absolwent KUL. W latach 1978-1991 – pracownik Przedsiębiorstwa Państwowego Pracownie Konserwacji Zabytków O/Lublin w Pracowni Badań Architektonicznych. W latach 1991-1997 – Miejski Konserwator Zabytków w Lublinie. Od 1998 r. pracuje jako inspektor w Lubelskiej Pracowni Urbanistycznej w Wydziale Strategii i rozwoju Urzędu Miejskiego w Lublinie.

Na sąsiedniej stronie symulacja wyglądu kościoła farnego św. Michała w miejscu Placu po Farze. Autor: Roman Zwierchowski.

Krajobraz niewidzialny



Budynek Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Lublinie przy ul. Skłodowskiej jest za duży w stosunku do otoczenia. Jego proporcje zostały prawdopodobnie dopasowane do godności urzędu, ale skutek jest taki, że przechodzień może się poczuć przytłoczony tym „wysokim sądem”. Architektura budynku, mimo że nowoczesna, nie jest na tyle oryginalna, żeby zrekompensować tę wadę. Fot. M. Skrzypek.

chowaną różnorodnością wartości historycznych i estetycznych o różnym stopniu zachowania. Z oboma tymi postaciami – zurbanizowaną i historyczną – mamy do czynienia w Lublinie, czego przykładem jest obraz Starego Miasta i Śródmieścia w otoczeniu współczesnych dzielnic mieszkaniowych.

Co stanowi o pięknie lub brzydocie krajobrazu kulturowego?

Nie ma jednoznacznej i stałej definicji piękna. To pojęcie się zmienia. Dziś nawet brzydota bywa postrzegana w kategoriach wartości. Poza tym krajobraz kulturowy nie jest wyłącznie kwestią piękna, ale również użyteczności, a także treści czy znaczeń nadawanych świadomie lub nieświadomie. Z własnego doświadczenia wiemy jednak, że krajobraz stworzony przez naturę – choć może wywoływać różne emocje – rzadko oceniamy jako brzydki, w przeciwieństwie do krajobrazu przekształconego przez człowieka. Złe zagospodarowanie, naruszające równowagę w naturze, znajduje prędzej czy później odzwierciedlenie w krajobrazie i brzydota powstająca w wyniku takich błędów jest nie do ukrycia. Jeśli krawiec niewłaściwie skroi ubranie, to również łatwo to zauważyć. Leopold Kohr w swojej książce *The Breakdown of Nations* stwierdził, że „kiedykolwiek coś jest złe, to jest za duże”. W odniesieniu do krajobrazu słowa te oznaczają, że o jego pięknie lub brzydocie decy-

duje równowaga lub jej brak we współistnieniu środowiska przyrodniczego (ekosystemów) i środowiska kulturowego („byto-systemów”, według Marii Łuczyńskiej-Bruzdy).

Jakie wartości – obok tych głównych cech piękna i brzydoty – możemy wyróżnić w krajobrazie kulturowym?

Krajobraz harmonijny odbieramy jako piękny, zaś dysharmonijny uznawany jest za brzydki. Przykładem tego pierwszego jest panorama Starego Miasta w Lublinie, a tego drugiego tereny dworca PKS przy Wzgórzu Zamkowym. Generalnie są to wartości materialne i niematerialne. Te pierwsze wydają się dość oczywiste – wybudowanie miasta, domu czy kościoła, zagospodarowanie terenu ma swoją cenę i tworzy pewną wartość ekonomiczną. Podobnie jest z polem czy lasem. Jaką jednak mają one wartość nie jako nieruchomości, lecz elementy krajobrazu? Na to pytanie można odpowiedzieć, ale przy użyciu dość skomplikowanych metod. Wartości niematerialne są jeszcze trudniej uchwytne, bo jak oszacować wartość legendy, nazwy, historii, symboli czy znaczeń poszczególnych obiektów i miejsc w krajobrazie? Wartości niematerialne odnoszą się głównie do tradycji i kultury miejsca, do tego, czy możemy rozróżnić jego dawną i nową tożsamość. Nawiasem mówiąc, sądzę, że myśl Kohra można rozumieć nie tylko w odniesieniu do materialnej strony odbieranej formy, ale także w aspekcie jej wartości niematerialnych, np. treści, znaczeń czy symboliki.

W krajobrazie kulturowym możemy mieć do czynienia z wielką wartością w aspekcie materialnym i niewielką w niematerialnym i na odwrót. Na przykład osiedle mieszkaniowe służące za sypialnię we współczesnym mieście może mieć dużą wartość materialną, ale niewielką niematerialną i w sumie jego wartość kulturowa może się okazać znikoma. Z kolei ruina dworu czy zamku,



stanowiących składniki tożsamości jakiegось miejsca, ma zwykle niewielką wartość materialną, ale np. może być świadectwem genezy danego ośrodka osadniczego lub miejscem urodzinkogoś znaczącego dla społeczności lokalnej czy narodu. W ten sposób urastara ranga zarówno miejsca, jak i jego obrazu. Poza wspomnianymi dwoma kategoriami wartości krajobrazu można wskazać również inne, bardziej szczegółowe, jak wartość estetyczna, historyczna, informacyjna, integracyjna, symboliczna i ekonomiczna. O części z nich już wyżej napomykałem, ale ich objaśnienie wymagałoby zapewne odrębnej rozmowy.

Miasto Żydowskie i inne pustki
W Lublinie miejscem o krajobrazie kulturowym szczególnie trudnym do wartościowania jest Podzamcze, obszar dawnej dzielnicy żydowskiej. W zasadzie nie jest to nawet ruina, lecz zagospodarowane miejsce po niej. Wartość niematerialna tego obszaru, związana z jego historią, jest ogromna, ale nie do końca uświadomiona przez społeczność lokalną. Jak chronić krajobraz kulturowy, którego wartości materialne i niematerialne przyjmują tak skrajne proporcje?

To trudne pytanie. Nie ma prostej recepty, jak zaznaczyć w przestrzeni fakt istnienia czegoś, czego na dobrą sprawę prawie już nie ma. Można to porównać do sytuacji, kiedy staramy się zachować w pamięci obraz osoby, która odeszła, obraz ostatnich spędzonych z nią chwil. Próby oznaczenia przestrzeni po materialnie nieobecnej dzielnicy żydowskiej przez wyznaczanie szlaków turystycznych czy umieszczanie tablic pamiątkowych są zbyt nieśmiałe. Ciągle zapominamy, jak istotną część Lublina stanowiła dzielnica żydowska. To było wręcz drugie miasto, ze specyficznym sposobem zagospodarowania, zwyczajami i przede wszystkim z ludźmi. Dla mnie ten obszar jest szczególnie właśnie dlatego, że znikło z powierzchni ziemi

małe miasteczko razem z jego mieszkańcami. Oczywiście, można to zbagatelizować, mówiąc, że podobnych przypadków w dziejach było wiele, ale akurat do tego miejsca mam stosunek osobisty, bo dotyczy historii miasta, w którym żyję. Ono określa moją tożsamość, wskazuje na moją przynależność – tu się urodziłem i stąd jestem.

Często tamtędy przechodzę i za każdym razem mam świadomość, że otacza mnie przestrzeń totalnie zmieniona i w żaden sposób nienawiązująca do przeszłości; przestrzeń, która dalej jest przekształcana, nie zawsze w dobrym kierunku. Sposób jej zagospodarowania jest prawdopodobnie użyteczny dla miasta, chociaż nie kreuje dobrego wizerunku Lublina. Biorąc pod uwagę kulturową wartość tego miejsca – w jakimś sensie cmentarzyska – można uznać, że zagospodarowano je w sposób sprzeczny z pamięcią o jego dawnych mieszkańcach. Co więcej, w jakiś przedziwny sposób odcięto się tu od przeszłości, traktując ten składnik tożsamości Lublina nie jako integralny jej element, lecz jako coś, co ma charakter obcy i zbędny. Pomyślmy, jak byśmy się czuli, gdyby ktoś postąpił tak z podob-

Przestrzenne „znaki pamięci” winny wskazywać nie tylko kierunek zwiedzania, ale także kierunek myślenia.

Widok Starego Miasta, który otworzył się w 1954 r. po wybudowaniu Placu Zamkowego. Plac wraz z otoczeniem powstał na miejscu dawnych żydowskich ulic: Szerokiej, Nadstawnej i Zamkowej. Fot. M. Skrzypek.





Miejsce po Wielkiej Synagodze, jednej z największych i najważniejszych budowli przedwojennego Lublina, upamiętnionej dwoma tablicami widocznymi z lewej, pod kępką jałowców. Poniżej tablice z bliska. Fot. M. Skrzypek.



Porównanie przedwojennej (pocztówka, fot. E. Semadini) i powojennej przestrzeni Podzamcza (fot. M. Skrzypek). Widok ze wzgórza Czwartowego. Powiększone panoramy można znaleźć w „Scriptores” nr 27.

nym miejscem związanym z losem Polaków. Przykład naszych wschodnich nekropolii jest chyba wystarczająco pouczający.

Z drugiej strony, trzeba powiedzieć, że jednocześnie ze zniknięciem zabudowań żydowskiego Podzamcza odkryte zostały walory zabytkowej przestrzeni staromiejskiej, które raczej nie byłyby dostępne, gdyby Miasto Żydowskie nadal istniało. Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli mówimy o zmianach w przestrzeni, to trzeba brać pod uwagę wszystkie ich skutki – nawet te, które są wynikiem tragicznych wydarzeń. Waloryzowanie tych zmian w kontekście utraty życia czy domu nie ma sensu, ale nie da się tych zmian nie zauważyć. Podkreślając wartość nowego widoku Starego Miasta, jesteśmy zobowiązani zachować pamięć, wskutek jakich wydarzeń on powstał, i dać temu wyraz. Obraz Starego Miasta bez znaku tej pamięci u jego stóp jest obrazem niepełnym.

Dla kogo ten znak miałby być przeznaczony?

Jest on potrzebny zarówno gościom odwiedzającym nasze miasto, jak i nam samym, stałym mieszkańcom Lublina. Należy bowiem podkreślić, że nie chodzi tu wyłącznie o pamięć w sensie informowania o tragedii, która tu się wydarzyła, ale także o stan naszej „pamięci własnej”, która dzisiaj w tej części przestrzeni miasta ziele pustką. W tym miejscu istnieje rodzaj zbliznowacenia w krajobrazie miasta, które wyraża się w sposobie zagospodarowania. Dla jednych jest ono wymowne, ale dla innych jest zwyczajnym miejscem, bez tak głębokiego znaczenia, o jakim możemy tu mówić¹. Szlak turystyczny czy tablica to tylko informacja, która w takim wydaniu daje słabe wyobrażenie o historii i obrazie tego miejsca. Oczywiście, gdyby jej nie było, już nic nie poruszałoby naszej pamięci o tym miejscu, po którego wnętrzach zachowała się raptem studnia przy ul. Ruskiej, latarnia przy ul. Podwale, ul. Kowalska czy Cyrylicza. Jednak przestrzenne „znaki pamięci” winny wskazywać nie tylko kierunek zwiedzania, ale również prowokować do myślenia, inspirować zarówno do poszukiwań historycznych, jak i tych bardziej osobistych, poszukiwań w głębi siebie, bo przecież lekcja płynąca z przeszłości tego miejsca ma głęboko



ki sens, dotyka istoty naszego bytu. Kamień wskazujący miejsce lokalizacji synagogi czy inny, wskazujący plan Miasta Żydowskiego, wydają się dzisiaj jedynie jakąś wstydliwą namiastką pamięci, a nie pełnym jej wyrazem.

Co w takich sytuacjach robi się gdzie indziej w Polsce czy na świecie?

Najlepszy przykład to pusta przestrzeń po World Trade Center – wielka dyskusja, jak zatrzymać w pamięci wydarzenie i jednocześnie spróbować stworzyć w tym samym miejscu jakąś nową wartość. A więc z jednej strony mamy poszanowanie pamięci ludzi, którzy tam zginęli, a z drugiej podejście racjonalne, bez podporządkowania tej pamięci absolutnie wszystkiego, choć przecież

były i takie pomysły, aby zagłębienie po World Trade Centre pozostawić w stanie nienaruszonym. Są obszary, gdzie to drugie podejście jest uzasadnione. Na przykład jeden ze sposobów ochrony przestrzeni Oświęcimia czy Majdanka polega na wytyczeniu wokół nich strefy ochronnej, w której zakazuje się zabudowy lub wyraźnie określa jej intensywność, wysokość, formę, kolor czy materiał. Istnieje więc całe spektrum sposobów na przestrzenne upamiętnienie wydarzeń związanych z miejscem: od pozostawienia terenu w formie nienaruszonej, zakonserwowanej, do nadania mu nowej formy i wartości, przy założeniu, że forma ta będzie nie tylko użytkowa, lecz nabierze szczegól-

P o m n i k i

P o l e m i k i

Pomnik Józefa Piłsudskiego na Placu Wolności w Lublinie

„Gazeta Wyborcza Lublin” nr 258, 05.11.2001

Marszałek jak wóz Drzymały

(...) Uroczyste odsłonięcie konnego pomnika Marszałka na placu Litewskim zaplanowane jest w przeddzień Święta Niepodległości 10 listopada. Jednak na jego postawienie na placu nie godzi się Wojewódzki Konserwator Zabytków, negatywną opinię wydał również ekspert Generalnego Konserwatora Zabytków. Zwolennicy budowy pomnika znaleźli na to sposób. – Betonową podstawę pod cokół położyliśmy na folii. W ten sposób nie będzie związana z gruntem. Kiedy będzie gotowy nowy plan zagospodarowania placu, pomnik przeniesiemy we wskazane miejsce – wyjaśniał „Gazecie” po mszy wiceprezydent Lublina i przewodniczący Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Zbigniew Wojciechowski. I zapewniał: – Prezydent Pruszkowski wydał zgodę na postawienie pomnika, działamy więc zgodnie z prawem. Nie wiem, o co chodzi jego przeciwnikom. Pomnik Marszałka stanie, bo tego oczekują mieszkańcy miasta. Nas nie da się już powstrzymać. (...) – O tym, że na placu Litewskim pojawiła się podstawa pod pomnik Marszałka, dowiaduję się od dziennikarzy – mówi Dariusz Kopciowski, przedstawiciel Wojewódzkiego Oddziału Służby Ochrony Zabytków w Lublinie. – Będę w poniedziałek szedł do pracy, to sobie go obejrzę. (...)

Rafał Panas, AGDY

„Gazeta Wyborcza Lublin” nr 259, 06.11.2003

Rozmowa ze Zbigniewem Wojciechowskim

Rafał Panas: Czy Związek Piłsudczyków i Społeczny Komitet legalnie buduje pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego na placu Litewskim?

Zbigniew Wojciechowski: Oczywiście. Związek Piłsudczyków poprosił prezydenta Andrzeja Pruszkowskiego o zgodę na tymczasowe postawienie pomnika Marszałka na placu Litewskim. Prezydent nie wyraził sprzeciwu na rozpoczęcie robót budowlanych, pod warunkiem, że będzie przestrzegane prawo. Dlatego pomnik nie będzie na trwałe połączony z gruntem i jeśli trzeba, przed upływem 120 dni od daty rozpoczęcia budowy przesuniemy go w inne miejsce.

W jakie miejsce?

Na razie nie myślimy o tym. Teraz szykujemy się na wielką uroczystość odsłonięcia pomnika przypadającą 10 listopada. Później oczekamy na nowy projekt zagospodarowania placu Litewskiego. Ale zapewniam, że Marszałek pozostanie na placu. (...) Tylko przykro, że Piłsudski to taka wielka i zasłużona dla kraju postać, a my musimy stawiać mu zaledwie tymczasowy pomnik.

I to korzystając z fortelu. Nie czuje Pan niesmaku, że pomnik Piłsudskiego stanie w atmosferze sporu?

Na budowę tymczasowego obiektu nie potrzebujemy zgody konserwatora. W ogóle dziwiu mnie te wszystkie niezrozumiałe protesty. Tu chodzi albo o czyjeś ambicje, albo po prostu konserwator występuje przeciwko ideom reprezentowanym przez Józefa Piłsudskiego. Robił tak, kiedy proponował nam stawiać pomnik na terenie prywatnym przed klubem garnizonowym, w krzakach przed Teatrem w Budowie albo przy stacji benzynowej. (...)

Marszałek nie chciał pomników

Rafał Panas: Józef Piłsudski zasłużył na pomnik w Lublinie.

Maciej Sobieraj [historyk wojskowości]: Z pewnością. Inna sprawa, że atmosfera, w jakiej stawia mu się pomnik na placu Litewskim, uwłacza jego pamięci. (...)

Przed wojną w Polsce żywy był kult Marszałka. Czy wtedy stawiano mu pomniki?

Bardzo rzadko. Prawdę mówiąc, pomniki traktowano jako ostateczność. Piłsudski był skromnym człowiekiem, dlatego jego pamięć czczono w sposób użyteczny. W 1936 r., czyli rok po śmierci Marszałka, Wojewódzki Komitet Uczczenia Pamięci Marszałka Piłsudskiego napominał, by tworzyć „...rzeczy godne pamięci wodza narodu, a nie ograniczyć się do form zdawkowych, mających zaspokoić ambicje regionalne, względnie niezdrowe ambicje jednostek.” (...) Stawiano murowane szkoły im. Piłsudskiego, na samej Lubelszczyźnie wybudowano kilkanaście takich obiektów. Poza tym fundowano stypendia dla zdolnej, ale ubogiej młodzieży, otwierano świetlice i domy żołnierza. Wszystko to pod patronatem marszałka Piłsudskiego. W Lublinie od 1933 r. do dziś funkcjonuje okazały Dom Żołnierza jego imienia. (...)

Pomnik „Zapory” na Placu Zamkowym w Lublinie

(o Hieronimie Dekutowskim ps. Zapora czytaj w przypisie na stronie 110)

„Gazeta w Lublinie” z dn. 11-12.10.2003

Koparka nie lubi pamiętać

Na placu Zamkowym koparka ścięła fragment nasypu, po którym biegnie ulica Zamkowa. Od strony placu Zamkowego stanie tu pomnik polskich patriotów pomordowanych na Zamku w czasie II wojny światowej i tuż po niej. Ulica Zamkowa dziś robi wrażenie sztucznie zrobionego nasypu łączącego Stare Miasto (Bramę Grodzką) ze Wzgórzem Zamkowym. Przed wojną (...) okolica ta tworzyła rozłożone wokół Zamku tzw. miasto żydowskie. (...)

Podczas robót ziemnych, w miejscu gdzie stanie cokolwiek pomnika, koparka odsłoniła dobrze zachowane piwnice i fragmenty murów. W takim przypadku inwestor powinien przerwać prace i zawiadomić archeologów, którzy muszą zgodzić się na wznowienie prac. Tymczasem ekipa z firmy inżyniersko-budowlanej Henpol samowolnie zburzyła odkryte fragmenty dawnej kamienicy. Gdy archeolodzy interweniowali, spotkały ich inwektywy. – Nie chcę nawet powtarzać, co oni mówili. Kiedy odchodziliśmy, powiedzieli ze śmiechem: szalom! – relacjonuje archeolog Andrzej Matyaszewski, którego można spotkać wszędzie tam, gdzie rozkopywany jest Lublin. W końcu prace wstrzymano. (...)

„Gazeta Wyborcza Lublin” z dn. 13.10.2003

List otwarty

(...) Wiele pisało się o symbolicznych miejscach Lublina, ale okazuje się, że wciąż niewiele, o czym świadczy fakt, który zdarzył się 10 października. W trakcie prac budowlanych związanych z lokalizacją pomnika ofiar Zamku Lubelskiego na Placu Zamkowym odkryto fundamenty i piwnice domu Szeroka 1. Odkryto – i niefrasobliwie zniszczono, a uczyniono to równo w 60. rocznicę wyburzenia dzielnicy żydowskiej w Lublinie. (...) Ufundowanie pomnika ofiarom Zamku jest ze wszech miar chwalebny pomysł, ale wybór miejsca pod ten pomnik już raczej nie. Właśnie teraz, gdy wiemy, że można tam znaleźć materialne ślady po innych ofiarach, wciąż, mimo wszystko, nie do końca opłakanych i należycie wspominanych. (...) Chcielibyśmy zwrócić uwagę, że należy bardzo ostrożnie ingerować w przestrzeń placu Zamkowego czy całego Podzamcza. Chcielibyśmy zwrócić się z pytaniem do kompetentnych instytucji i osób, czy zachowane zostały wszystkie przewidziane prawem procedury związane z inwestowaniem w przestrzeni historycznej, objętej nadzorem konserwatorskim? Dlaczego wcześniej, dużo wcześniej, nikt nie zastanowił się, że jest to także fragment zabytkowej substancji miasta, która wymaga takiego samego udokumentowania, jak np. Stare Miasto? Dlaczego nic nie wiemy o pomniku, jaki ma stanąć w tak centralnym i symbolicznym miejscu Lublina, a jego lokalizacja została przesądzona bez szerokiej dyskusji społecznej?

Podpisano: prof. **Monika Adamczyk-Garbowska** (UMCS), **Robert Kuwalek** (Muzeum na Majdanku), **Adam Kopciowski** (historyk), **Grzegorz Linkowski** (dyr. Akademickiego Centrum Kultury UMCS, „Chatka Żaka”), **Bartłomiej Michałowski** (artysta malarz), prof. **Władysław Panas** (KUL), **Tomasz Pietrasiewicz** (dyr. Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”, **Bolesław Stelmach** (architekt).

„Antysocjalistyczne Mazowsze” <http://mazowsze.kraj.com.pl/1069085741,54471,,shtml>

Pomnik dla „bandyty”

(...) Nawet w III RP „Zapora” nie wszystkim się podoba. „Gazeta Wyborcza” w relacji z odsłonięcia pomnika napisała: „Podczas budowy pomnika na placu Zamkowym budowlancy uszkodzili odsłonięte podczas prac fundamenty starej żydowskiej kamienicy. W obronie pozostałości po zniszczonym przez hitlerowców tzw. mieście żydowskim stanęli profesorowie, artyści, archeolodzy. W opublikowanym w »Gazecie« liście zastanawiali się, czy partyzanci zamordowani na Zamku Lubelskim właśnie tam nie powinni mieć swojego miejsca. Natomiast plac Zamkowy winien być zarezerwowany dla ofiar getta”. Cóż, ludzie „Wyborczej” mają swoją historię i swoich bohaterów. (...)

Tadeusz M. Płużański

nej treści, przemówi znaczeniami reprezentującymi w przestrzeni wartość niematerialną, związaną z danym wydarzeniem.

Chyba doszliśmy do właściwego sformułowania problemu: sposób uporządkowania Podzamcza po wojennych zniszczeniach w ogóle nie ujawnia wartości niematerialnej związanej z jego żydowską historią i tragedią jej zerwania.

Fragment dawnej dzielnicy żydowskiej, a właściwie przestrzeni po tej dzielnicy, jest objęty ustawową formą ochrony, to jest wpisem do rejestru zabytków województwa, jako część zespołu urbanistycznego śródmieścia Lublina. Obejmuje on między innymi Plac Zamkowy i rejon ulic Furmańskiej i Cyruliczej. Tym samym dostrzeżono tradycję kulturową tego miejsca i uznano wszelkiego rodzaju ślady jego historii za część naszego lokalnego dziedzictwa kulturowego. Wpis nie obejmuje jednak historycznego obszaru całej podzamczekiej dzielnicy żydowskiej, który w tkance materialnej miasta i w jego środowisku kulturowym ma wielkie znaczenie. Uznanie tego obszaru za dziedzictwo kulturowe, ale kompleksowo i w sensie ponadlokalnym, a nie tak, jak ma to miejsce dzisiaj, stworzyłoby, w moim przekonaniu, dobrą podstawę do podjęcia działań na rzecz uznania całego historycznego Lublina – Starego Miasta, Zamku i właśnie „przestrzeni pamięci” po Mieście Żydowskim – za wartość istotną dla światowego dziedzictwa kulturowego. W końcu to, co tu się wydarzyło, ta pustka po ludziach i przestrzeń, w której żyli, jest materialnym znakiem Holokaustu. Jest swoistego rodzaju śladem i dowodem.

Czy Pan proponuje ochronę pustki?

Pamięci.

Ale reprezentowanej przez brak śladów.

Proponuje objęcie ochroną pewnej przestrzeni mentalnej – pamięci w ramach przestrzeni, której ta pamięć dotyczy. Nie szkodzi, że z przeszłości w jej



wymiarze materialnym zachowało się tak niewiele, bo jeżeli mówimy o czymś: „było i nic z tego nie pozostało”, ukazujemy cały dramatyzm sytuacji. Zwłaszcza że w tym przypadku nie idzie o niszczące działanie czasu, lecz barbarzyńskie działania ludzi. Z drugiej strony, to nieistnienie dzielnicy żydowskiej jest nieistnieniem tylko w pewnym aspekcie. Na dobrą sprawę, jeżeli mówimy o Mieście Żydowskim, to znaczy, że jednak ono w jakiś sposób nadal istnieje. Dobitnie świadczą o tym działania Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” i np. esej profesora Władysława Panasa pt. *Oko cadyka*², który w sposób oczywisty odwołuje się do istnienia dzielnicy żydowskiej i pokazuje niesamowitą, choć niezamierzoną wartość symboliczną socrealistycznego placu Zamkowego.

On go wręcz odkrywa.

Rzeczywiście, myślę, że nikt przed nim nie zastanawiał się, że szczegóły

Obszar muzeum byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku to przede wszystkim ogromna pustka przestrzeń – anomalia w przestrzeni miasta reprezentująca anomalię w historii ludzkości. Mimo tej izolacji, pozwalającej na wyciszenie i samotność, względna bliskość budynków mieszkalnych i tak szokuje niektórych zwiedzających. Widok spod pomnika. Fot. M. Skrzypek.

Pustka jako dziedzictwo, ale zauważalne dla nielicznych. Skwer w miejscu po żydowskich ulicach: Krawieckiej i Podzamczu. Zagospodarowanie tego terenu jest zgodne z intencjami hitlerowców: po Żydach nie ma śladu. Fot. M. Skrzypek.



Panorama Lublina historycznego od wschodu – z miejsca przebiegu przyszłej „trasy zielonej”. Fot. M. Skrzypek.

Fragment „zbliznowacenia” po dzielnicy żydowskiej. Powojenna struktura urbanistyczna tej części Lublina „nie zrosła się” z dawną tkanką. Widoczna na pierwszym planie dwupasmowa trasa przecięła jak nożem ulicę Lubartowską... i tak już zostało. Fot. M. Skrzypek.



ukształtowania tej przestrzeni można powiązać w taki sposób i wciąż niewiele osób ma możliwość skonfrontowania przedwojennego placu z obecnym i np. uświadomienia sobie, że pod kopcem z kamiennym lwem stała kiedyś przy Szerokiej 28 kamienica sławnego cadyka, Widzącego z Lublina³. Wszystko to sprawia, że Miasto Żydowskie ma i jednocześnie nie ma swojej materialnej postaci. Nie istnieje zewnętrzny wyraz tej części miasta, jednakże nadal istnieje jej tradycja i kultura. Nie istnieje jej struktura urbanistyczna i formy architektoniczne, które ją niegdyś określały, ale pozostało miejsce. Nie przestała istnieć ziemia, na której niegdyś zbudowano Miasto Żydowskie. Nie zaniknęły niektóre z charakterystycznych elementów materialnie świadczących o tożsamości tego miejsca, np. rzeka Czechówka czy przywoływane już fragmenty ul. Kowalskiej i Cyruliczej, studnia przy ul. Ruskiej i latarnia przy ul. Podwale. Co więcej, istnieje kontekst krajobrazowy tej dzielnicy Lublina, a więc jej zewnętrzne, obrzeże jej „odcisku” w krajobrazie. Mam tu na myśli przede wszystkim wzgórza: Zamkowe, Staromiejskie, Czwartek i Grodzisko wraz z zagospo-

darowaniem, w dużej mierze zachowującym cechy historyczne, a także teren dawnego Wielkiego Stawu Królewskiego i ul. Sienną. Trzeba znaleźć sposób, żeby pamięć o Mieście Żydowskim wyraźnie wyartykułować w przestrzeni. Bez tego nasza tożsamość będzie już zawsze obarczona zbliznowacaniem, a więc zniekształceniem zdrowej tradycyjnej i nowej tkanki miasta, i to zarówno w sensie materialnym, jak i niematerialnym – w przestrzeni fizycznej i w pamięci.

To wymaga dużej pomysłowości, wrażliwości i odwagi twórczego myślenia.

Ochrona krajobrazu kulturowego zasadniczo nie lubi terminu „kreacja”, ale w tym przypadku rzeczywiście trzeba mieć jakiś pomysł. Pewnie, że można zastosować standardowe środki i pozostać przy tym, co już jest. Gdybyśmy jednak chcieli pustkę po żydowskiej dzielnicy potraktować jako bardzo ważny element historycznej przestrzeni Lublina, to potrzeba by było działań niebanalnych. Na dziś nie wiem, jak to zrobić, nie jestem twórcą. Zastanawia mnie tylko, że prawie nikt nie zwrócił uwagi na wysoką niematerialną wartość tego terenu, np. symboliczną czy semantyczną – pustka jako znak Zagłady. Przy odpowiednim uzasadnieniu mógłby on być naszym atutem w próbie wpisania Lublina na światową listę dziedzictwa. Nie jest pewne, czy taka próba zakończyłaby się sukcesem, ale na pewno byłaby świetną okazją do promocji miasta, angażującą lublinian, także tych rozproszonych w Polsce i za granicą. Co więcej, można byłoby takie przedsięwzięcie powiązać z bardziej szczegółowymi badaniami historii miasta. Byłaby wreszcie okazją do ponownego pochy-

lenia się nad pamięcią i tożsamością całego Lublina.

Są w niej jakieś białe plamy?

Raczej szare plamy. Literatura na temat genezy miasta jest co prawda dość obszerna, ale bazuje na ograniczonych źródłach historycznych i archeologicznych. Nowe wizje początków Lublina są kolejnymi interpretacjami tych samych faktów. Wzgórze Czwartkowe badano na przełomie lat 60. i 70. i tylko w niewielkim zakresie. Wzgórze Zamkowe w ogóle nie było objęte szerokim programem badań. Wzgórze Staromiejskie jest co prawda objęte dozorem archeologicznym, ale nie ma on charakteru badań programowych. Mamy bardzo skąpą wiedzę na temat okresu przedlokacyjnego, początku lokacji i początków jurydyki podzameckiej, gdzie osiedleni zostali Żydzi. Wiemy, że działo się to już w wieku piętnastym, ale czy działo się również wcześniej? Za 12 lat będziemy obchodzili okrągłą rocznicę aktu wydanego przez Władysława Łokietka, zwanego – chyba niesłusznie – aktem lokacji Lublina⁴. Na te kilkanaście lat moglibyśmy zaplanować program badawczy angażujący miejscowy potencjał naukowy i unijne pieniądze. Poszerzenie obszaru pretendującego do miana światowego dziedzictwa kultury bardzo by pomogło w ułożeniu tych planów i ich realizacji. Według mojej orientacji turyści kojarzą Lublin głównie z Kaplicą Świętej Trójcy i Majdankiem. To mało. Przesadą byłoby lansowanie Lublina jako miasta rangi Krakowa, ale ma on swój urok i wartość jako prowincja w dobrym tego słowa znaczeniu, z bardzo charakterystycznymi cechami, i dobrze, aby takim pozostał – aby

pozostał Lublinem, a nie siódmą wodą po Londynie czy Paryżu.

Nieobecne Polaków rozmowy

Jak Pan ocenia rolę publicznych dyskusji na temat ochrony zabytków?

Ubolewam nad tym, że takiej dyskusji praktycznie nie ma, chociaż patrząc wstecz, trzeba przyznać, że wielkich publicznych debat, odnoszących się np. do pomników czy całych obszarów miasta, nigdy u nas nie było. Być może ostatnio coś zaczyna się zmieniać, o czym świadczy dyskusja prowadzona na łamach „Gazety w Lublinie” na temat Teatru Starego i Starego Miasta, z niezwykle interesującym i rozsądnym punktem widzenia reprezentowanym przez prof. Bogusława Szmygina. Kiedyś jako urzędnik-konservator zapraszałem przedstawicieli poszczególnych środowisk do dyskusji nad różnymi problemami związanymi z działaniami w obszarze historycznego Lublina. Stąd wiem, że takie rozmowy bardzo pomagają urzędnikowi, który, jeśli chce, może dzięki nim popatrzeć na daną sprawę z różnych punktów widzenia i tym samym starać się uniknąć złych rozstrzygnięć, rozstrzygnięć obarczonych subiektywną oceną, zwłaszcza w sytuacji, gdy brak jest uregulowań o charakterze prawa miejscowego.

Dzięki takim rozmowom ludzie mogą z kolei popatrzeć na daną sprawę z punktu widzenia urzędnika.

Oczywiście. Urząd powinien pracować przy otwartej kurtynie, bo działa z legi-

Lublin ma swój urok i wartość jako prowincja w dobrym tego słowa znaczeniu i dobrze, aby pozostał takim Lublinem, a nie siódmą wodą po Londynie czy Paryżu.

Widok w prawo od panoramy z poprzedniej strony – Kalinowszczyzna.

Plac Zamkowy zamyka kłamra dwóch pomników. Po prawej widoczny pomnik „Zaporczyków” (postawiony na ruinach żydowskiej kamienicy przy ul. Szerokiej 1), a po lewej na wzniesieniu pomnik ufundowany w 75. rocznicę odzyskania niepodległości i obrony Lwowa (dokładnie w tym miejscu, przy Szerokiej 28 mieszkał cadyk Widzący z Lublina). Miasto żydowskie reprezentuje widoczna na następnej stronie tablica, będąca częścią Szlaku Pamięci Lubelskich Żydów, i nieczytelna marmurowa płyta stanowiąca akcent przestrzenny wielkości kosza na śmieci. Fot. M. Skrzypek.

tymacji społecznej i w imieniu społeczeństwa. Nie powinien bać się dyskusji publicznej, chyba że ma coś do ukrycia.

Wtedy głos zabierają media.

Media mają tu do spełnienia szeroko rozumianą rolę informacyjną, edukacyjną i kontrolną, ale zbyt często szukają taniej sensacji i opisują fakty z niepotrzebnym zaciętrzewieniem, co czasem zamazuje rzeczywistość, akurat wtedy, kiedy potrzeba rzeczowej, konstruktywnej wymiany myśli, która może coś zmienić. Dzisiaj można postawić w mieście obojętnie co i nikt się tym specjalnie nie interesuje. Nie ma zwyczaju, żeby rozmawiać ani przed tym faktem, ani po. Takiej publicznej debaty powinno wymagać prawo. Brak szerokiej i wyczerpującej dyskusji o lokalizacji pomnika Piłsudskiego zaowocował konfliktem⁵. Myślę, że gdyby jakieś rozmowy na ten temat odbyły się wcześniej, być może udałoby się wyważyć różne racje i nie musiałoby dochodzić do tak drastycznych działań, jakie miały miejsce. Jeżeli chodzi o przestrzeń miasta, zwłaszcza przestrzeń publiczną, wszyscy powinniśmy współpracować, aby jej jakość była jak najwyższa. Oczywiście, niemal każda proponowana zmiana z założenia

wzbudza sceptycyzm mieszkańców, ale nie wyobrażam sobie, żeby można było ich ignorować i projektować zagospodarowanie otaczającej nas przestrzeni zza biurka, bez rzeczywistego udziału w tym procesie właścicieli i użytkowników.

Pojawia się problem, jaką metodą wypracowywać zgodę społeczną dla rozwiązań proponowanych przez specjalistów.

Tą metodą jest zwykła, prawdziwa współpraca. Nie musi się ona od razu układać dobrze, ale inicjatorzy zmian powinni pamiętać, że to do nich należy pierwszy ruch, to oni mają większe szanse na przygotowanie się do dyskusji. Współpracy trzeba się uczyć. Potrzeba do niej: dobrej woli, wspólnego tematu, który nas jednakowo wciąga, wspólnych celów, w miarę zbieżnych interesów i wspólnych działań. To są podstawowe założenia.

Często współpraca nie wychodzi, bo jeden z partnerów nie zdaje sobie sprawy, że brak mu woli współpracy lub że ma zupełnie inne cele niż drugi partner.

A tu chodzi po prostu o wspólne tworzenie. Kiedy pracuje się razem nad projektem, poznaje się miejsce i ludzi, którzy na początku nawet nie muszą zdawać sobie sprawy ze wszystkich swoich



potrzeb. Suma tej wiedzy daje możliwość stworzenia takiej przestrzeni, która najlepiej, jak to możliwe, spełnia wymogi stawiane przez jej użytkowników. Odnosi się to zarówno do pomników, jak i osiedli mieszkaniowych.

Czasem ludzie protestują tylko dlatego, że chcą być zauważeni. Kiedy daje się im głos, oddają go specjalistom. W ten sposób pojawia się sprzężenie zwrotne społecznego zaufania i solidarności.

Taki sposób kształtowania przestrzeni ma nawet swoją nazwę – urbanistyka społeczna. W pewnym niemieckim mieście władze przygotowały plan zagospodarowania przestrzennego terenu poprzemysłowego w pobliżu osiedla. Ludzie plan oprotowali, ale władze stanęły na wysokości zadania i zamiast wchodzić w konflikt, zaprosiły do współpracy specjalistów zajmujących się urbanistyką społeczną. Ci na spornym terenie rozstawili wielkie namioty, do których zaprosili między innymi oponentów projektu, proponując im, aby zechcieli wyrazić w dowolnej formie własną wizję tego miejsca. W ten sposób powstała cała gama różnych pomysłów, które zostały przekazane architektom i urbanistom, a oni na ich podstawie stworzyli nową wersję planu. Po kilku takich konsultacjach osiągnięto porozumienie. Oczywiście, rzadko kiedy udaje się osiągnąć stuprocentową akceptację, ale chodzi o to, aby proponowane rozwiązanie było raczej zgodne niż niezgodne z życzeniami większości i żeby nie budziło jakichś zasadniczych wątpliwości.

Gdzie w Lublinie przydałyby się takie konsultacje?

Konsultacje społeczne są potrzebne wszędzie tam, gdzie w ogóle zajmujemy

się planowaniem przestrzennym. Ważne, żeby obszar, który poddaje się planowaniu, był stosunkowo niewielki, możliwy do ogarnięcia w szczegółach oraz aby współpracować z określoną grupą ludzi, np. w granicach osiedla czy małej dzielnicy. Po uwzględnieniu wszystkich korekt wyjdzie kilku niezadowolonych, ale większość oprócz zadowolenia będzie miała poczucie: „No proszę – to my zaprojektowaliśmy, to jest nasze, my się z tym identyfikujemy i będziemy o to dbać”. Planowanie tą drogą przynosi lepsze skutki i dla krajobrazu, i dla ludzi. Tyle że jest i druga strona medalu – społeczność lokalna w dużej części nie ma zielonego pojęcia, o czym tu w ogóle rozmawiamy. Potrzeba więc pozytywistycznej „pracy u podstaw”, budowy świadomości co do granic indywidualizmu posiadacza prawa własności działki czy nieruchomości. W warunkach społeczeństwa demokratycznego wolność to przede wszystkim odpowiedzialność, w tym za wspólną przestrzeń.

Czyżby właśnie taką argumentacją – że „społeczność lokalna w dużej części nie ma zielonego pojęcia, o czym tu w ogóle rozmawiamy” – kierowali się inicjatorzy pomnika Piłsudskiego czy „Zaporczyków”⁶, którego montażowi również towarzyszyły niesmaczne sytuacje?

Każdy pomnik jest znakiem, czasem symbolem, który ma przypominać o jakimś wydarzeniu, człowieku, sprawie. Obecnie istnieje wielkie zapotrzebowanie na takie znaki, bo przez ponad pół wieku pewne obszary naszej narodowej pamięci były zakazane, przekłamywane lub zamazywane. Zapotrzebowanie to jest tym bardziej zrozumiałe, że świadkowie owej nie tak dawno zakazanej hi-



Współczesny handel nie potrzebuje dominant krajobrazu. Zamiast nich tworzy centra handlowe, małe miasteczka, gdzie jest wszystko oprócz funkcji mieszkaniowej.

Pomnik Józefa Piłsudskiego na Placu Litewskim. Po lewej w głębi dwa inne pomniki: Nieznanego Żołnierza (poziome płyty) i Uchwalenia Konstytucji 3 Maja (orzel na postumencie). Pomnik Unii Lubelskiej znajduje się pod przeciwnej stronie placu (za plecami patrzącego).
Fot. M. Skrzypek.

storii są u schyłku swojego życia i mają poważne obawy, czy ktoś w przyszłości będzie pamiętał o ich dziełach i ofiarach. Co prawda mamy wolność, społeczeństwo się rozwija, ale często brakuje pieniędzy na pomniki. Okazuje się, że społeczeństwo nie jest zainteresowane ich fundowaniem, choć po tylu latach niewoli wydawałoby się, że powinno być inaczej. Pojawiają się więc obiekty, których estetyka, lokalizacja lub okoliczności powstania czasem stoją w sprzeczności z ideą upamiętniania. Na przy-

kład niezupełnie rozumiem sens wtłoczenia pomnika „Zaporczyków” w skarpe Wzgórza Zamkowego – to zaprzeczenie samej idei pomnika. Widać po prostu, że jest on tam postawiony „na siłę”. To miejsce jest też dla mnie trudne do zaakceptowania w sensie symbolicznym i historycznym, bo kiedyś była w tej okolicy fosa, czyli przestrzeń miasta, którą często wykorzystywano do wyrzucania śmieci. Jeśli już podjęliśmy decyzję, że w sąsiedztwie Zamku, miejscu martyrologii lubelskiej społeczno-

ści, będzie pomnik, warto było poszukać dla niego bardziej eksponowanego miejsca⁷. Tym ludziom się to należało.

A ile pomników może jeszcze się zmieścić w najbardziej eksponowanym miejscu Lublina, czyli na Placu Litewskim?

W tej chwili jest tam ich cztery: pomnik uchwalenia Konstytucji 3 Maja, pomniki Nieznanego Żołnierza, Józefa Piłsudskiego i Unii Lubelskiej. Plac stał się swoistego rodzaju panteonem pamięci o wymiarze narodowym. Wydaje się, że nie powinien się tam pojawić już żaden nowy pomnik. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że Lublin nie jest dużym miastem. W jego reprezentacyjnym centrum nie mamy zbyt wielu miejsc, gdzie można byłoby lokować monumenty na wyniesieniu, z dużym marginesem przestrzeni niezabudowanej, o dobrych warunkach ekspozycji. Dyskryminowane są nowe dzielnice. Im odmawia się prawa do posiadania znaków i symboli pamięci. A szkoda.

Tym bardziej należy na ten temat rozmyślać. Dlaczego w tym tak małym, jak Pan mówi, Lublinie centralne miejsce zajmuje pomnik Piłsudskiego, który nie jest aż tak bardzo związany z historią miasta?

Piłsudski był w Lublinie i jest to fakt historyczny.

Czyli jego pomnik ma na celu mówić: „Tu byłem – Piłsudski”?

Myszę, że fundatorom chodziło o oddania hołdu nie tyle człowiekowi związanemu z miastem, ile osobie symbolizującej odzyskanie niepodległości. Powstanie tego pomnika z punktu widzenia historycznego było nieuchronne. Nie budził on powszechnej akceptacji, o czym pisała prasa, ale jego idea była bardzo popierana w kręgach ludzi starszych, którzy pamiętają czasy przedwojenne i wojenne. W czasie odsłonięcia pomnika widziałem, że wielu z nich płakało. Biorąc pod uwagę wszystkie uwarunkowania historyczne, w których żyjemy, myślę, że należy go uznać za adekwatny wyraz naszych uczuć patriotycznych. Nigdy na-



tomiast nie zastanawiałem się, czy jakaś inna lokalizacja byłaby dla niego lepsza. Jak już powiedziałem, w tej chwili na Placu Litewskim istnieje rodzaj panteonu ukazującego nasz stosunek do własnej historii i jest to jak najbardziej zgodne z logiką rozwoju placu. Patrząc na jego historię, widać, że podlegał on ciągłym zmianom, stając się miejscem coraz bardziej zintegrowanym i reprezentacyjnym, w którym łączą się działania wyrażające nasz stosunek do historii, przede wszystkim narodowej. Nie ma innego miejsca w Lublinie o takiej randze i charakterze. I bardzo dobrze, że takie miejsce – rodzaj publicznego drogowskazu i przypomnienia – istnieje. Nic przecież nie jest nam dane na zawsze, a pusta przestrzeń nie tak odległego przecież Miasta Żydowskiego wymownie świadczy, jak nieprzewidywalne i dramatyczne są ludzkie losy.

Walka sensów

Mam przed sobą okazałych rozmiarów opracowanie Pana autorstwa, sygnowane przez Urząd Miasta w Lublinie – Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury – Lubelska Pracownia Urbanistyczna. Tytuł: *Studium ochrony wartości kulturowego krajobrazu i środowiska miasta Lublina (opracowanie dla potrzeb „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego miasta Lublina”).* Podtytuł: *Katalog zasobów kulturowych miasta Lublina. Jaka rolę spełnia to opracowanie?*

Studium opiera się na przepisach ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym. Ma ono wskazywać politykę gminy w zakresie: ochrony środowiska przyrodniczego, zabytków i krajobrazu kulturowego, sposobów zagospodarowania i przeznaczenia terenów, kształtowania zabudowy, rozdysponowania dróg. To *Studium* zostało uchwalone w 2000 roku i stanowi podstawowy materiał do tworzenia planów zagospodarowania przestrzennego, czyli do tworzenia prawa miejscowego.



Czy w Katalogu zasobów kulturowych miasta Lublina znajdziemy takie zabytki, których nie widać, „na pierwszy rzut oka”?

Tak, np. układ dróg i pól w mieście i jego sąsiedztwie. Pod tym względem dobrze zachowały się całe fragmenty dzielnicy Dziesiąta, Abramowic, Wrotkowa czy Zemborzyc, a wokół miasta np. wsie Sławin czy Jakubowice Murowane. Droga badań dają się jeszcze obserwować w ich obrębie elementy dawnego osadnictwa w postaci siedlisk, działek czy dróg, które np. pokrywają się z dawnymi miedzami. Wiele innych terenów zostało już w taki sposób przekształcone, że ich historyczność, a przynajmniej wczesna faza rozwoju czytelna jest tylko na podstawie analiz układów własnościowych lub przez pryzmat dokumentów kartograficznych. Poza tym w *Katalogu* odnotowane są m.in. historyczne nazwy dzielnic i ulic, a także wydarzenia religijne różnych wyznań.

A więc te zabytki przedstawiają wartość raczej tylko dla naukowców?

Nie, dla nas wszystkich. Na przykład wieś Czechów jeszcze po wojnie zachowywała układ pól o proveniencji średniowiecznej. Nie podlegał on ochro-

Przedmieście „Czechówka” (reprodukcja przedwojennej pocztówki – reprint Wydawnictwa L-print, zestaw nr 9), a poniżej współczesny widok tej okolicy. Fot. M. Skrzypek.





nie i dziś Czechów to osiedle pozbawione jakichkolwiek pozostałości historycznego zagospodarowania, może poza głównymi traktami komunikacyjnymi. Historyk poprzez źródła dotrze do przeszłości tej dzielnicy, ale jej krajobraz jest całkowicie zmieniony. Ani śladu przeszłości Czechowa, jakby on nigdy wcześniej nie istniał, a przecież najwcześniejsza wzmianka o tej wsi pochodzi z 1326 roku. Wiemy, że Lublin ma swoją historię i zabytki, ale niecały kilometr od centrum nie ma śladu po równie historycznym miejscu. Zabytki są znakami naszej tożsamości, np. lokalnej. Są zatem ważne nie tylko jako przedmiot badań, ale także jako znaki przynależności do określonego kręgu kulturowego, religijnego czy miejsca.

Czy wieś Czechów przetrwałaby, gdybyśmy te kilka dekad temu troszczyli się o krajobraz kulturowy tak, jak dziś?

Raczej nie, bo czy można spetryfikować krajobraz? Czy jego ochrona może doprowadzić do sytuacji, że miasto nie może się rozwijać? Na pewno źle się stało, że miasto wchłonęło Czechów i całkowicie go przekształciło. Na pewno źle, że przynajmniej nie zdokumentowano tych terenów w odpowiednim stopniu. Pewnych procesów nie da się jednak zatrzymać i dlatego w ochronie krajobrazu często chodzi głównie o umiejętnie wkomponowywanie historycznych elementów w tkankę rozwijającego się miasta. Nadziały średniowiecznych pól mogą znaleźć wyraz w planowaniu przestrzennym, w układzie dróg czy podziale na działki budowlane w taki sposób, że kartograf czy historyk, po latach przyglądający się danemu obszarowi, może powiedzieć, że tutaj zostały zachowane w sposób świadomy pewne cechy, ukazujące związki z dawnym osadnictwem, a więc i w jakimś sensie znaki tożsamości tego obszaru. Dzisiaj dominuje tu nowa tożsamość, jakby to miejsce pozbawione było historii i tradycji.

Gdyby stało się, jak Pan mówi, otrzymalibyśmy od naszych dziadków spadek w postaci hierarchii wartości – to, co ważne, zostało świadomie zachowane dla nas i przyszłych pokoleń. A przy okazji miasto byłoby ładniejsze.

Gdyby nie próbowano walczyć z tradycją i historią, gdyby nie zakładano, że mamy prawo do swobodnego przekształcania krajobrazu, w którym się rodzimy – co zresztą uważa się często i dziś – to pewnie dziś na skraju doliny Czechówki nie mielibyśmy wielkiej zabudowy z betonowych klocków, które gładko łączą się w jeden ciąg z panoramą Starego Miasta. Podobną narzucającą się obecność współczesnych budynków możemy zaobserwować, patrząc w stronę Kalinowszczyzny z ulicy Grodzkiej.

Urbaniści tego nie przewidzieli?

Krajobraz kulturowy kształtują również ideologie, czego dobitnym przykładem jest dla mnie panorama Kalinowszczyzny, w której wieżowce górują nad kościołem św. Agnieszki. Ten widok jest symbolem tamtych czasów, symbolem, który nabiera treści może nawet bardziej dzisiaj niż kiedyś. Zanim wybudowano wieżowce, nad okolicznym krajobrazem dominował kościół. Był on jednak nie tylko dominantą przestrzenną, ale też treściową i symboliczną. Sam kościół wyznaczał miejsce sacrum w tej części miasta. Opatrzność Boża, wyrażana przez obecność kościoła, miała otaczać opieką najbliższą okolicę. Słomiany Rynek i trakt komunikacyjny – patrząc z drugiej strony – stanowiły odpowiedni kontekst dla pojawienia się w tym miejscu obiektu o charakterze sakralnym. Jedno pasowało do drugiego. Być może więc nawet świadomie postawiono te wieżowce za kościołem, aby pokazać, że nastały nowe czasy, znaczenia i nowe symbole. Współczesny krajobraz nie jest przecież pozbawiony treści i różnych sensów.

Czy można je jakoś porównywać i wartościować?

Można, ale jest to dość skomplikowane. Na pewno powinniśmy unikać generalizowania. Na Czechowie, który w pewnym sensie jest krajobrazem chorym, można znaleźć np. osiedle Chopina, w którego układzie widać sensowną myśl urbanistyczną. Jeżeli jednak miałbym mówić o swoich odczuciach, to wydaje mi się, że tradycyjne ukształtowanie miasta daje człowiekowi o wiele większe poczucie bezpieczeństwa, daje się lepiej „opanować” z punktu widzenia jednostki ludzkiej niż rozproszona zabudowa blokowisk.

Jak ją można określić? Chaotyczna, trudna do wyobrażenia?

Tak. Może przesadzam, ale czasem, kiedy oglądam tego typu zabudowę

na mapie, odnajduję wielkie analogie ze strukturą tkanki nowotworowej. Kiedy patrzy się na układ dziewiętnastowiecznego miasta, jeszcze widać w nim jakiś sens i porządek, jakąś hierarchię ważności przestrzeni. Nawet te niewielkie układy osiedlowe projektowane w latach 60. i 70., np. tzw. Zory Zachód czy Bronowice Nowe, są uporządkowane, widać w nich tradycyjną myśl urbanistyczną. Istnieją w Lublinie również doskonałe przykłady zabudowy przedwojennej, na których można się wzorować, np. zabudowywane w latach trzydziestych końcowy odcinek ul. Szopena od strony ul. Narutowicza czy okolice ul. Strażackiej i Ochotniczej. Można tam znaleźć naprawdę dobre rozwiązania: zabudowa skupiona, ładnie skomponowane elewacje, dobre mieszkania, duże, trójdzielne okna. Były też tam przewidziane tereny pod zielenią. Blokowiska natomiast są nie tylko chaotyczne, ale też zawsze cierpiały na atrofie funkcji usługowych czy rekreacyjnych. Dziś przestrzenie, które mogłyby być dla tych funkcji adaptowane, są zajmowane przez parkingi. Ale to też jest jakiś znak w krajobrazie.

Zdjęcia na poprzedniej stronie ukazują kolejne widoki towarzyszące spacerowiczowi idącemu od Bramy Krakowskiej do Grodzkiej. Użycie standardowych parasoli (zaprojektowanych w celach reklamowych, a więc tak, aby rzucały się w oczy) powoduje zasłonięcie wnętrza ulic od wiosny do jesieni. Aby zminimalizować ten efekt, prawdopodobnie trzeba byłoby zaprojektować specjalne zadaszenia dedykowane indywidualnie poszczególnym miejscom. Na ostatnim zdjęciu widać bloki Kalinowszczyzny wystające znad Bramy Grodzkiej. Fot. M. Skrzypek.

Makieta Czechowa w: H. Gawarecki, Cz. Gawdzik, Lublin. *Krajobraz i architektura*, Warszawa 1964, s. 75.





Główne „wejście” na osiedle ZOR przy ul. Męczenników Majdanka. Przykład sprawdzającej się do dziś urbanistyki lat 60. Mieszkania nie są nowoczesne, ale na „ludzką skalę” i układ budynków oraz zieleni należy ocenić bardzo pozytywnie. Po odnowieniu tynków przy okazji ocieplania osiedle zaczyna sprawiać niezwykle korzystne wrażenie. Fot. M. Skrzypek.

Panorama Lublina przy węździe od strony Zamościa. W oglądaniu Wzgórza Staromiejskiego trochę przeszkadzają lampy, ale nie zasłania go jeszcze widoczny w oddali nowy budynek. Staje się to jednak nieco dalej, na wysokości ronda (zdjęcie na sąsiedniej stronie). Fot. M. Kubiński i M. Skrzypek.



Czy można powiedzieć, że krajobraz kulturowy tak naprawdę jest zbudowany z sensów, znaczeń, w których zapisane są nasze hierarchie wartości, normy moralne, ideały, marzenia?

Jest on zbudowany również z tych elementów. Ale pełny wymiar krajobrazu to jego materialna forma i wszystkie wartości zgromadzone w sferze niematerialnej.

O układzie pól tylko się wie – nie widać ich okiem nieuzbrojonym w wiedzę. Jest to więc w pewnym sensie krajobraz „niewidzialny”.

Niekoniecznie. Układy pól można obserwować – ich szachownice i wstęgi często przecież opisywane były w naszej poezji i literaturze. Do ich identyfikacji, klasyfikacji i opisu potrzebna jest już pewna wiedza, ale nie zgodziłbym się z tym, że jest to krajobraz niewidzialny. Raczej staje się krajobrazem zanikającym z powodu postępującej urbaniza-

cji i zmian w sposobach uprawiania ziemi, o czym mogą świadczyć wielkoobszarowe gospodarstwa z uprawami monokulturowymi.

Myszę, że ta różnica zdań między nami wynika ze specyfiki naszej pracy. Pan często zajmuje się rozwiązywaniem problemów z materialną „substancją zabytkową” krajobrazu kulturowego, natomiast moja praca polega głównie na kształtowaniu bytów intencjonalnych, budowaniu świadomości, nadawaniu miejscom znaczenia. Dlatego wygodnie jest mi widzieć w krajobrazie kulturowym pejzaż obiektów subiektywnych i niewidzialnych. Wracając do naszej rozmowy, jako klucz do rozszyfrowywania owej niewidzialnej strony krajobrazu służy często jego dominanta, jaką był kiedyś kościół św. Agnieszki. Wieża zamkowa, dzwonnica kościoła, ratusz, komin fabryczny czy wreszcie współczesny biurowiec wyrażają – również poprzez koszty związane z ich budową – najważniejsze wartości danej epoki. Zgodnie z tym założeniem mieszkalne wieżowce oznaczają, że w czasach, kiedy powstawały, najważniejsze było dobro obywateli.

Jeśli chodzi o elementy wysokościowe, to rzeczywiście w wielu polskich miastach przeważają budynki o charakterze mieszkalnym, które koncentrują się w osiedlach mieszkaniowych, ale ich znaczenie nie jest tak oczywiste. Lokalizacja dominanty zwykle pokrywa się bowiem z istnieniem miejsca sacrum lub centrum odgrywającego z jakiegoś powodu ważną rolę w życiu mieszkańców. Tymczasem wieżowce, choć czelnie identyfikują cały obszar osiedla, to wcale nie pomagają w odnalezieniu jego obszaru najważniejszego. Nie wiemy, czy jest nim plac z piaskownicą czy sklep spożywczy. Brak miejsc centralnych na osiedlach często wynikał ze względów czysto ekonomicznych. Przy dużym zapotrzebowaniu na mieszkania nie starczało pieniędzy na budowę budynków usługowych. W związku z tym obszary osiedli są, można powiedzieć, niedookreślone. Nie mają tych

tw. „landmarks”, tak charakterystycznych dla obszarów historycznych, gdzie kościoł, ratusz i inne budynki publiczne grupują się w centrum albo nawet wokół jednego placu, wskazując, które miejsca przestrzeni publicznej są najważniejsze, najbardziej reprezentacyjne.

Pejzaż blokowisk można więc odbierać jako „nieszczery”, jest w nim jakaś fałszywa nuta. To by się nawet zgadzało z naturą Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, która nie była ani polska, ani pospolita – chyba że w pejoratywnym znaczeniu – ani ludowa. Władzy nie zależało na podkreślanu przestrzeni publicznej. A jakie dominanty krajobrazowe obowiązują dziś?

Kiedyś, na początku przemian ustrojowych, jadąc przez Warszawę, zobaczyłem wielki maszt Coca-Coli. Później zaczęły pojawiać się inne maszty i proporce. To skojarzyło mi się z chorągwiemi w obozach rycerskich, oznaczającymi jakby przejście miejsca w posiadanie. Hipermarkety są w gruncie rzeczy rodzajem targowisk, takich „obozów handlowych”, dlatego nie pną się w górę. Współczesny handel nie potrzebuje dominant wysokościowych w krajobrazie. Wielkie markety-hale dominują rozległością i przestrzeniami parkingów. Ale pojawiają się już nowe tendencje w postaci wielkich centrów handlowych, czegoś na kształt swoistych miasteczek, gdzie jest wszystko oprócz funkcji mieszkaniowej.

A więc to handel tworzy współczesne dominanty krajobrazowe. Nie uwidacznia się on jednak tradycyjnie, w sposób wertykalny, w krajobrazie rzeczywistym, lecz tworzy własne przestrzenie i krajobrazy. Idąc dalej tym tropem, ich wartości niematerialnych trzeba by szukać w reklamach. Jak się dobrze zastanowić, taka wizja przyprawia od dreszcze.

Handel zawsze potrzebował przestrzeni – chociażby w postaci wielkich placów rynkowych. Nie potrzebował natomiast dominant w formie wielkich budowli, to raczej elementy charakterystyczne dla władzy. Światem rządzi pieniądź, stąd też dzisiejsze formy architektoniczne w postaci wysokościowych dominant, wyrażających współczesny pęd do władzy, zostały zagarnięte głównie przez instytucje związane z pieniądzem i biznesem.

Ochronić nienamacalne

Wróćmy do ochrony krajobrazu kulturowego. Szczególnie interesuje mnie problem ochrony panoramy Starego Miasta, w którą zaangażowały okoliczne wieżowce.

Krajobraz można chronić wtedy, kiedy dysponuje się świadomością i odpowiednimi narzędziami w postaci przepisów prawa. W przypadku panoramy Starego Miasta plan zagospodarowania przewiduje nie tylko ochronę konkretnych obiektów architektonicznych



Imponująca „brama” do Kiszyniowa, stolicy Mołdawii, od strony lotniska. Przykład świadomego myślenia o przestrzeni miasta i widowiskowego wykorzystania jego walorów krajobrazowych. Choć komunistyczny rozmach i fantazja tej kompozycji mogą razić, to jej znaczenie może wkrótce okazać się jak najbardziej kapitalistyczne. Fot. M. Skrzypek.



Krajobraz niewidzialny

np. w Śródmieściu, ale także widoku, mającego swoje tło czy przedpole, składające się z wielu działek, i wymagającego ochrony wielkopowierzchniowej. W niektórych kierunkach trzeba by objąć ochroną kilometrowe kołnierze, w obrębie których nie powinny powstawać wysokie budynki, aby nie ingerować w historycznie uformowany rytm panoramy wyznaczony wieżami kościołów i dawnych bram miejskich. Na dzisiaj takich przepisów jeszcze nie ma i dopóki nie staną się one prawem miejscowym, dopóty takie obiekty będą mogły powstawać.

Ochrona wielkopowierzchniowa może być łatwo uznana za kaprys specjalisty, który za bardzo przejmując się swoją rolą. Jaką wartość mają panoramy?

Łatwo to sprawdzić. Najpierw trzeba sobie zadać pytanie, czym jest dla miasta taka panorama – czy ma ona jakąś wartość, czy nie? Jeżeli okaże się, że ma, i to może nawet bardzo konkretną, należy ją chronić. A więc, jeżeli ma wartość, to jej ochrona nie jest już kaprysem, tylko potrzebą. Teraz wyobraźmy sobie, że usuwamy tę panoramę z krajobrazu. Co zostaje, kiedy zniknie z wizerunku miasta? Możemy w jej miejsce stworzyć nowe obiekty, które dadzą nowy widok, nową tożsamość miasta, ale będzie ona inna i młodsza o kilkaset lat. Panorama to czytelny i łatwo dostępny naszym zmysłem zapis przeszłości. Takie zapisy istnieją w archiwach i takie zapisy istnieją także w przestrzeni. I jedno, i drugie powinny

podlegać ochronie. Kształtowanie przestrzeni powinno być świadome, ale nie tylko w kierunku jej estetyki czy funkcjonalności. Musi mieć również związek z przeszłością, która zawsze gdzieś istnieje. Może ona być zapisana na różne sposoby: albo zabytkiem, albo jakąś właściwością naturalną krajobrazu, np. przez zieleń. To nam uświadamia, że nie jesteśmy tu pierwsi i nie ostatni.

Czy ogródki działkowe i nieużytki to dobry sposób zagospodarowania przedpola Starego Miasta? Czy nie czas, jak napisała pewna dziennikarka, aby wreszcie zacząć na tym widoku zarabiać?

Zależy, z jakiego punktu widzenia patrzymy. Z punktu widzenia działkowców, ogródki spełniają bardzo ważne funkcje, czasem życiowe, a więc mieszkańcy już od dawna wyciągają z tego miejsca korzyści, choć pieniądze nie przepływają przez kasę miasta czy fiskusa. Z punktu widzenia obecności tych działek obok obiektu zabytkowego, to znów zależy – jeżeli nie mamy żadnych innych pomysłów na zagospodarowanie tych terenów, dobre są i działki. Lepsze one niż jakieś kolejne centrum handlowe. Dają nam czas na przemyślenie, „dopiechnięcie się” finansowe i kulturowe. Pośpiech w tej sprawie jest bardzo niewskazany. Stare Miasto nie kończy się na murach, lecz funkcjonuje w jakimś kontekście krajobrazowym. Jeśli zmienimy charakter tego kontekstu, zmienimy również charakter Starego Miasta. Na przykład, jeżeli wprowadzilibyśmy na terenie dawnej dzielnicy żydowskiej wysoką zabudowę zasłaniającą zbocza dolin, zgubilibyśmy percepcję tego obszaru jako

Panorama miasta to czytelny i łatwo dostępny naszym zmysłem zapis przeszłości.

Panorama historycznego Lublina od południa, od ul. Rusalka. Ciągną się tu nieco zapomniane i zaniebane tereny między rzeką a Śródmieściem. Powoli jednak miejsce to coraz bardziej zaczyna należeć do centrum miasta. Co się z nim stanie, kiedy postawią o nie zadbać inwestorzy? Fot. M. Skrzypek.



całości i mogłoby się okazać, że przestajemy rozumieć istotę lokalizacji miasta.

Czy zdarzają się przykłady odwrotne – że jakaś przestrzeń kulturowa zyskuje na przejrzystości?

Na przykład Krakowskie Przedmieście – zawsze miało potencjał salonu miasta, ale funkcjonowało jak „rura”, przez którą życie tylko przepływało. Teraz jest to współczesny rynek, agora, żyjący życiem, jakiego wcześniej w Lublinie nie obserwowaliśmy.

Są w Lublinie jeszcze jakieś inne miejsca widowkowe warte troski?

Na uporządkowanie na pewno zasługuje widok w kierunku Starego Miasta od strony ul. Rusałka z domem księży emerytów, który, nawiasem mówiąc, w tym miejscu wydaje się nieco za duży.

Czy Katalog zasobów kulturowych miasta Lublina zawiera również panoramy?

Nie w sensie widoków i przy najbliższej aktualizacji będzie trzeba od tego wrócić. „Katalog” zawiera jednak wiele innych ciekawych przykładów zabytków związanych z niematerialną substancją miasta. Wśród nich, obok barw miasta, hejnału czy nazw ulic, można znaleźć również np. kultury. W tej sferze nadal mamy do czynienia z wielokulturowością, bo katolicy mają swoje centra kultowe, np. cudowane obrazy w Katedrze i kościele Świętego Ducha, prawosławni mają swoją Madonnę w cerkwi Zbawiciela przy ul. Ruskiej, a z kolei żydzi swojego Widzącego na kirkucie. A więc są w Lublinie miejsca związane z religią, wciąż przyciągające przedstawicieli trzech kultur, które lepiej lub gorzej kiedyś tu ze sobą współżyły.

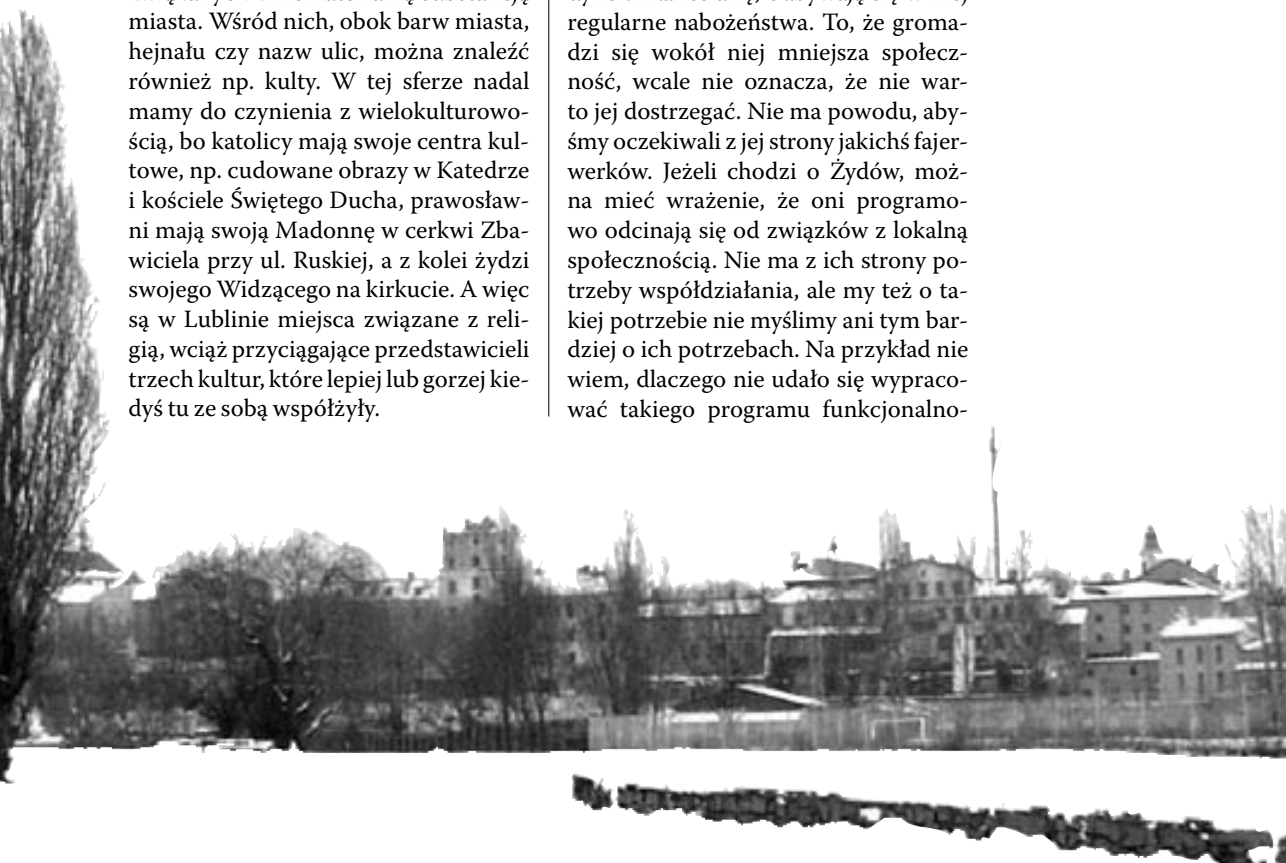
Mamy więc odpowiedź na pytanie, gdzie szukać wielokulturowości Lublina. Zwykle jest to temat trochę krępujący, bo przecież dziś tej wielokulturowości praktycznie nie ma. Pozostaje tylko krajobraz niewidzialny.

Jest on może i trochę niewidzialny, ale znajduje wyraz w bardzo materialnej formie. Obrazy są w kościołach i cerkwi, grobowiec i prochy na cmentarzu.

Materia jest, ale nie ma życia. Mówiąc o wielokulturowości, oczekivalibyśmy raczej popów z brodami i Żydów z pejsami, przechadzających się po ulicach.

Może my czasami za dużo oczekujemy. Zresztą, stary kirkut wcale nie jest taki martwy. Pojawia się tam wiele wycieczek, nie mówiąc już o Majdanku. Cerkiew prowadzi o wiele bardziej ożywioną działalność niż np. 20 lat temu. Ona faktycznie żyje. Odremontowano budynki i kancelarię, odbywają się w niej regularne nabożeństwa. To, że gromadzi się wokół niej mniejsza społeczność, wcale nie oznacza, że nie warto jej dostrzegać. Nie ma powodu, abyśmy oczekiwali z jej strony jakichś fajerwerków. Jeżeli chodzi o Żydów, można mieć wrażenie, że oni programowo odcinają się od związków z lokalną społecznością. Nie ma z ich strony potrzeby współdziałania, ale my też o takiej potrzebie nie myślimy ani tym bardziej o ich potrzebach. Na przykład nie wiem, dlaczego nie udało się wypracować takiego programu funkcjonalno-

Świadectwo, jakie wystawiają sobie właściciele wystawnych posesji, brzmi mniej więcej tak: „Mam dużo pieniędzy i nie wiem, co robię”.



Krajobraz niewidzialny



-przestrzennego terenu przy kirkucie od strony Alei Tysiąclecia, który stanowiłby wsparcie dla żydowskiego ruchu religijno-turystycznego. Za to powstała tuż w sąsiedztwie maszkara w kształcie dworu. To jest właśnie nieumiejętność zagospodarowania i wykorzystania pejzażu kulturowego i tradycji.

Rzeczywiście, wzdłuż dawnego przedmieścia Kalinowszczyzna, przy samej obwodnicy, ciągnie się szereg niepowiązanych ze sobą obiektów, które rzucają się w oczy, a szkoda. Dwory są nawet dwa obok siebie.

To jest dopiero karykatura. Proszę sobie wyobrazić: dwór z funkcją handlową, jak ma to miejsce w przypadku jednego z nich. A więc nie tylko nie zrobiono tam czegoś, co mogłoby podkreślić walory krajobrazowe tego miejsca, ale jeszcze zabudowano przestrzeń ze złym smakiem, nadając jej całkowicie zdezintegrowaną formę i treść.

Stanowi to dość ciekawy przykład myślenia współczesnego o architekturze: ponieważ dziś można wybudować wszystko wszędzie w dowolnym stylu, więc się to po prostu robi. Innymi przykładami są budynki z bali na przedmieściach Lublina.

Jeden z czołowych polskich architektów Romuald Loegler zauważył, że kiedy patrzy się na dwór, wiadomo, że jest to miejsce wyjątkowe i jedyne w okolicy. Każdemu dworowi towarzyszyło odpowiednie otoczenie: park, podjazd, zaplecze, ogród. W takim kształcie architektura dworkowa miała sens. Dziś natomiast, kiedy przekraczamy granicę miasta, widzimy dwór koło dworu. Ich właściciele zapominają, że w ten sposób wystawiają sobie nie najlepsze świadectwo. Brzmi ono mniej więcej tak: „Mam dużo pieniędzy i nie wiem, co robię”. Mamy w sobie tęsknotę do tradycji, ale nie zawsze potrafimy ją wyrazić.

Planowanie dziedzictwa

Na koniec chciałbym spytać, czym jest „planowanie dziedzictwa”? Określenie to z jednej strony wydaje się intuicyjnie logiczne i oczywiste, bo w sumie od początku naszej rozmowy o niczym innym nie mówimy, ale jednak zestawienie tych słów brzmi nieco paradoksalnie.

Dlaczego paradoksalnie? Mamy przecież pojęcie „planowania przestrzeni”, czyli programo-

Komentarz do zdjęć

Widoki przedstawione na sąsiedniej stronie towarzyszą jadącym przez Lublin obwodnicą Zamość-Warszawa. Pokazują one, w jaki sposób na odcinku około kilometra wzdłuż obwodnicy obecne jest w przestrzeni dziedzictwo kultury dawnego przedmieścia Kalinowszczyzna. Dwa pierwsze zdjęcia przedstawiają otoczenie ufundowanego w 1624 r. kościoła św. Agnieszki, a trzecie architekturę komercyjno-dworkową między dwupasmówką a wzgórzem Grodzisko, na którym znajduje się zabytkowy kirkut z najstarszą zachowaną w Polsce macewą wybitnego talmudysty Jakuba Kopelmana ha-Levi z 1541 r. Na prawo od kościoła, widocznego na pierwszym zdjęciu, znajduje się skwer – pozostałość po Słomianym Rynku, centrum dawnej Kalinowszczyzny. Patrząc na tym zdjęciu po swojej prawej ręce ma stadion-targowisko. Z kolei na lewo od „dworków” widocznych na trzecim zdjęciu znajduje się stacja benzynowa położona przy skrzyżowaniu dwóch tras dwupasmowych. Dalej rozciąga się teren Podzamcza. (Fot. Grodziska od stacji benzynowej: patrz str. 49. Plan dawnej Kalinowszczyzny: patrz str. 54-55.)

Pierwsza fotografia pokazuje, że wzniesienie wybrane na budowę kościoła św. Agnieszki przez wieki nie straciło na swej atrakcyjności jako miejsca ekspozycji różnorodnych komunikatów. Znaki krajobrazu kulturowego walczą tu o uwagę mijających je ludzi tak, jak rośliny w dżungli walczą o światło. Pierwotną dominantą tego miejsca był kościół, który później sam został zdominowany przez socjalistyczne wieżowce. Te jednak mają silną konkurencję w postaci wizualnych „chwastów”, jakimi są reklamy.

Środkowe zdjęcie pokazuje, że podobna sytuacja występuje również za widocznym na pierwszym zdjęciu zakrętem. Dwa wątpliwej urody salony-hangary odbierają jadącym szansę rzucenia okiem na mijany zabytek (sytuację tą obrazuje kadr poniżej), który jest widoczny tylko dla jadących z przeciwka sąsiednim pasem, jak to widać na zdjęciu (w nocy pomaga w tym iluminacja kościoła).

Ostatnie zdjęcie ukazuje pseudozabytkowe budynki zasłaniające wzgórze, którego kulturowa treść (m.in. jako żydowskiego cmentarza) pozbawiona jest jakiegokolwiek wizualnej identyfikacji (w postaci np. ogrodzenia czy pomnika). Tylko sam kształt wzgórza sugeruje, że może mieć ono historyczne znaczenie, natomiast chaotyczne, nieprzemyślane zagospodarowanie jego otoczenia świadczy o czymś przeciwnym – że dla miejscowej społeczności wzgórze to nie przedstawia większej wartości w obszarze dziedzictwa kulturowego.

Marcin Skrzypek





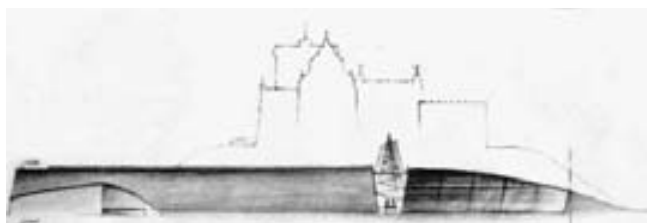
Komentarz do zdjęć

Powyżej: panorama historycznego Lublina, którą widzą jadący obwodnicą Zamość–Warszawa, spoglądając od strony Kalinowszczyzny. Pusta przestrzeń po lewej to obszar dawnego Wielkiego Stawu Królewskiego zajęta przez ogródki działkowe, oddzielone od trasy szerokim, zaniedbanym pasem nieużytków. Poniżej przykłady z prasowej debaty nt. zagospodarowania tego terenu przez firmę Savara, starającą się o budowę w tym miejscu centrum handlowo-rekreacyjnego.

Pierwsza z przedstawionych koncepcji, autorstwa firmy BLM Architekti („Gazeta Wyborcza” z dn. 30.06.1999), to rodzaj sztucznego, trawiastego wzgórza przeciętego ścieżkami i szklanymi dachami, kryjącego obiekt zagłębiony w grunt, by uniknąć widokowej ingerencji w panoramę. Drugą koncepcję autorstwa biura Stelmach i Partnerzy oraz dyskusje wokół niej szczegółowo opisuje artykuł Ewy Czerwińskiej w „Kurierze Lubelskim” z dn. 26.10.2001. W skrócie chodzi w nim o to, że Wojewódzki Konserwator Zabytków nie zgadza się na budowę takiego obiektu, choć, jak utrzymuje inwestor, wszystkie zalecenia konserwatorskie zostały uwzględnione w projekcie.

Warto zajrzeć do tego artykułu, ponieważ ukazuje on kafkowską atmosferę naszego młodego społeczeństwa obywatelskiego. Mimo przedstawienia wnikliwej analizy problemu oraz cytowania opinii wszystkich stron i bezstronnych specjalistów, autorka przyznaje, że sporu nie rozumie. Rzeczywiście, dla czytelnika pewne jest tylko to, że sama autorka uważa, iż „na tym widoku trzeba wreszcie zacząć zarabiać” oraz, że jak widać na ilustracji, patrząc z bliskiego dystansu, obiekt zasłania panoramę. Przygotowując niniejszy numer „Scriptores”, wielokrotnie odczuwałem podobną bezradność – niemożność dotarcia do sedna. Tak się dzieje, kiedy dyskusje na temat przestrzeni publicznej nie toczą się publicznie, lecz między biurkami. Wtedy nikt nie czuje się – bo nie musi się czuć – odpowiedzialny za kryjącą się za nimi prawdę. Nawet dziennikarz ostatecznie rozliczany jest z zebranych informacji oraz z atrakcyjnego dla czytelników tekstu, a nie z prawdy. W rozmowie „Pytania o wizję” Stanisław Lichota powiedział, że niektóre miejsca są szczególnie wrażliwe na różnego typu ingerencje i w związku z tym ich zagospodarowanie wymaga osobnych instrumentów

Wizualizacje autorstwa – kolejno – biura BLM Architekti oraz Stelmach i Partnerzy.



merytorycznych i prawnych. Takim miejscem jest na pewno otoczenie Starego Miasta. Takim instrumentem jest na pewno publicznie jawny i zrozumiały dialog stron biorących udział w jego przekształcaniach. Na marginesie warto dodać, że jeżeli widoczne na zdjęciu pobrzeże obwodnicy będzie zabudowane, to raczej nie obiektami, które w ewidentny sposób zagłuszą historyczny kontekst. Można się jednak spodziewać, że biorąc pod uwagę opłacalność inwestycji, będą one na tyle duże, iż zaczną wizualnie konkurować z sąsiednimi wzgórzami (Stare Miasto, Wzgórze Zamkowe, Czwartek, Grodzisko) i zaburzą naszą percepcję tego obszaru jako miejsca lokalizacji miasta, o czym mówi Marek Stasiak.

Marcin Skrzypek



Rzeczywista wirtualna obecność

Nie znajdziemy dziś w Lublinie żydowskiej społeczności, ale w żydowskiej społeczności znajdziemy Lublin. Mimo upływu 60 lat od zakończenia wojny, pozostaje on żywym punktem na mapie kulturowej tożsamości Żydów na całym świecie. Fakt ten ma większe znaczenie z perspektywy żydowskiej niż nieżydowskiej, ponieważ Żydzi, będąc narodem o kulturze i tożsamości opartej na religii i żyjąc przez wieki w diasporze, wytworzyli wirtualną, jednoczącą ich „przestrzeń”, w której dystans czasowy i geograficzny miał o wiele mniejsze znaczenie niż w przypadku innych narodów. Była to – i wciąż jest – swego rodzaju przestrzeń mentalna, przestrzeń pamięci i tradycji, pozwalająca na współistnienie bardzo nieraz odległych czasowo i geograficznie zdarzeń czy wypowiedzi. Dopiero pod koniec XX wieku, dzięki rozwojowi technik zapisu i komunikacji, pojawiły się środki łatwego opisu tej przestrzeni poprzez porównanie jej do Internetu czy hipertekstu. Techniki te, z drugiej strony, okazały się bardzo użyteczne do dalszego zachowywania i rozwoju żydowskiej tożsamości. Podsumowując, medialna czy też wirtualna obecność Żydów w Lublinie i Lublina w żydowskiej świadomości jest o wiele bardziej rzeczywista i namacalna niż może się to wydawać z perspektywy nieżydów i w tym sensie możemy mówić, że Lublin jest wciąż miastem wielokulturowym.

Na poprzedniej stronie: fotoreportaż ze zjazdu chasydów na światowe uroczystości związane z rocznicą zakończenia *sijum ha-szas*, kolejnego, siedmioletniego okresu czytania Talmudu – tradycji zapoczątkowanej przez Meira Szapiro, założyciela lubelskiej Jesziwy (budynek uczelni widoczny na jednym ze zdjęć). Spotkanie odbyło się w pierwszych dniach marca 2005 roku (Fot. P. Sztajdel i M. Kubiszyn). Rocznicą była obchodzona jednocześnie w kilku punktach globu (główne uroczystości w Medison Square Garden w Nowym Jorku), które miały ze sobą dwustronną, pełną łączność satelitarną (na jednym ze zdjęć widoczny obraz wyświetlany przez rzutnik). Transmisję z lubelskiej uroczystości można było również oglądać w Internecie.

Obok: strony www projektu EPYC (Educational Project on Yiddish Culture, zorganizowany przez YIVO, Żydowski Instytut Naukowy w Nowym Jorku), który ma uczyć żydowską młodzież na całym świecie o kulturze jidysz. Projekt oprócz niezwykle ergonomicznych stron obejmuje 8 książek i płytę CD (dostępne online). Jest wśród nich zarys historii Polski, historia wschodnioeuropejskich Żydów oraz 250-stronicowa monografia Lublina, który pełni dla projektu rolę pilotażową. Pod adresem http://epyc.yivo.org/content/18_2.php znajduje się baner, przez który wejdziemy na stronę z kolażem zdjęć Stefana Kielszki udostępnionych YIVO przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Przesuwając jasną ramkę na makiecie kolażu w górę strony możemy odbyć spacer po Lubartowskiej z 1937 roku. Inicjatorką projektu jest socjolog Adina Cimet, mówiąca w jidysz meksykańska Żydówka, której matka pochodzi z Kowna, a ojciec z Hrubieszowa.

Marcin Skrzypek



wanie zagospodarowania przestrzeni. W podobny sposób możemy myśleć również o zabytku. Planowanie dziedzictwa może ograniczać się do technicznych środków ochrony obiektu lub opierać się na myśleniu holistycznym, obejmującym jego aspekt materialny i niematerialny. Myślenie to zmierza do stworzenia zróżnicowanej oferty skierowanej do różnych inwestorów i odbiorców. Jest to naturalna konsekwencja ewolucji ochrony zabytków. U jej początków chroniło się nawet nie tyle sam obiekt, ile jego elementy. Już we wczesnym średniowieczu papież zabraniał niszczenia rzymskich pozostałości. Następnie ochrona zaczęła obejmować całość budynku ze wszystkimi jego elementami, co zwróciło uwagę na konieczność konserwacji substancji zabytkowej. Potem okazało się, że warto chronić również otoczenie, czyli np. w przypadku dworu, zabudowania gospodarcze czy park. W ten sposób stworzono ochronę zespołów zabudowań, zespołów krajobrazowych i całych miast, co z kolei zwróciło uwagę na konieczność włączenia ochrony zabytków w planowanie przestrzenne. W tym momencie już jesteśmy na etapie ochrony krajobrazu, a przecież nie możemy tego dziedzictwa zakonserwować, lecz powinniśmy jakoś je włączyć w życie. I stąd idea planowania dziedzictwa.

Jak w praktyce wygląda jej realizacja?

W praktyce wiele zależy od mieszkańców, ale żeby ich zachęcić do współpracy, nie wystarczy oznajmić: „Wy tu macie zabytek, więc powinniście o niego dbać”. Po pierwsze, często nie jest on żadnym spektakularnym obiektem. Po drugie, działania mieszkańców powinny dotyczyć szeroko pojętego otoczenia zabytku, czyli nawet własnych obejść, aby w sumie tworzyło to ciekawą całość, aby mieszkańcy poczuli, że nie tylko zabytek jest wartościowy, ale że oni sami wspólnie też tworzą jakąś wartość, której częścią jest zabytek.



Na przykład?

Weźmy miasteczko Głusk na południowych peryferiach Lublina. Częściowo zachowało ono swoje cechy urbanistyczne i substancję architektoniczną, którą warto ratować. Jeżeli pozostawimy je samemu sobie, zostanie wkrótce zabudowane zgodnie z aktualną modą i możliwościami inwestycyjnymi, tracąc wszelkie indywidualne cechy. Jeżeli jednak zastosujemy reguły planowania dziedzictwa, zaczniemy myśleć o Głusku jako o obiekcie zabytkowym, który należałoby wyposażyć w jakąś ideę i potem realizować ją przy współudziale mieszkańców. Realizacja ta zmierzałaby nie tylko do pokazania lokalnej społeczności, że jest to miejsce wartościowe, ale również do przekształcenia go z obszaru wegetującego w rozwijającą się dzielnicę Lublina, zachowującą charakter małego, klimatycznego miasteczka. Innym miejscem o podobnym potencjale jest wzgórze Czwartek, które ma bardzo ciekawe skrzyżowanie ulic Szkolnej i Czwartek – układ małego ryneczku w dawnej osadzie. Umiejętne wyeksponowanie tego charakteru i obudowanie jakimiś dodatkowymi działaniami mogłoby tam stworzyć niezwykły zakątek. Nie chodzi o to, żeby od razu odbudowywać wczesnośredniowieczne osiedle czy targ przedlokacyjny, ale by w przestrzeni miasta stworzyć

Placyk-skrzyżowanie ulicy Czwartek i Szkolnej – miejsce średniowiecznego targu. Zadanie z planowania dziedzictwa dla ludzi z wyobraźnią: jak wykorzystać ten fakt, aby stało się miejscem ważniejszym, niż jest teraz?
Fot. M. Skrzypek.

miejsce o specyficznym klimacie, które będzie ważniejsze niż do tej pory. Takich lokalnych ośrodków, które są cenne w skali np. dzielnicy, jest na pewno więcej.

Realizacja podobnych projektów wymaga wyobraźni, pewnej wizji.

Właśnie. Na skutek braku wizji całkowicie stracono Wieniawę, wymazano ją z powierzchni ziemi. Co stanie się z dawną podlubelską wsią Zadębie z pięknie zachowanym układem działek i placów między nimi? Dookoła mamy co prawda obiekty przemysłowe i koleje, ale wszystko, co jeszcze jest, można wykorzystać dla przeobrażeń pozytywnych, tworzących przestrzeń wysokiej jakości.

I oprzeć je na tradycji krajobrazowej?

Tak – na przykład zamiast rozbudować Jakubowice Murowane, stawiając obok dworu i parku osiedle maszkaronów, można spróbować stworzyć pewną

całość architektoniczno-urbanistyczną na bazie przeszłości.

Nigdy nie myślałem o zwiedzaniu miast pod kątem panoram czy nawiązań do przeszłości, świadomie zachowanych we współczesnej zabudowie, ale widzę, że mogłoby to być fascynujące.

Nie spotkałem wycieczki, która jechałaby pod młyn Krauzego, żeby zobaczyć panoramę Starego Miasta.

A jest stamtąd co oglądać.

Wie Pan, warunki oglądania tej panoramy wkrótce będą mniej związane z tradycją, ponieważ obok młyna powstanie wiadukt nad ul. Witosza. Z punktu widzenia jadących, może to polepszyć ekspozycję Starego Miasta, ale przypadkowe oglądanie go z okna samochodu chyba nas nie do końca satysfakcjonuje. Wiadukt nie jest dobrym miejscem widokowym. Problem leży jednak zupełnie gdzie indziej: za kilka lub kilkanaście lat może się okazać, że innego nie ma.

¹ W powojennym zagospodarowaniu żydowskiego Podzamcza w sposób niezamierzony dominuje niezabudowana, pusta przestrzeń (plac, parkingi, błonia i dwie dwupasmowe arterie) oraz targowisko. Nie powstała dla tego miejsca żadna koncepcja urbanistyczna przywracająca mu dawną rangę w przestrzeni Lublina [wszystkie przypisy pochodzą od redakcji].

² Wyd. UMCS, Lublin 2004.

³ Ilustrację porównującą stan przedwojennego i obecnego zagospodarowania Podzamcza można znaleźć w „Scriptores” nr 27.

⁴ Chodzi o dokument wystawiony w Krakowie przez Władysława Łokietka dnia 15 sierpnia 1317 roku, „w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny”.

⁵ Informacje o Hieronimie Dekutowskim pseudonim „Zapora” (1918-1949) ze wstępu do artykułu „Pomnik dla »bandyty«” Tadeusza M. Płużańskiego: „W czasie niemieckiej okupacji cichociemny, bronił ludność Zamojszczyzny przed represjami, a jako szef Kedywu AK w Inspektoracie Lublin-Puławy przeprowadził 83 akcje bojowe i dywersyjne. Po wojnie

jeden z najsłynniejszych bohaterów antysowieckiej partyzantki. Najbardziej znany i poszukiwany przez szwadrony NKWD i UB żołnierz Lubelszczyzny. Podczas próby przedostania się na Zachód, wskutek zdrady, aresztowany. Po trwającym ponad rok, brutalnym śledztwie, skazany na karę śmierci i 7 marca 1949 r., wraz z sześcioma podkomendnymi stracony w katowni bezpieki na ul. Rakowieckiej w Warszawie. W Lublinie, z inicjatywy Fundacji »Pamiętamy«, związanej z Ligą Republikańską, odsłonięto niedawno pomnik »Zapory«. Źródło: serwis „Antysocjalistyczne Mazowsze”, <http://mazowsze.kraj.com.pl/1069085741,54471,.shtml>.

⁶ Informacje o Hieronimie Dekutowskim, pseudonim „Zapora” (1918-1949), można znaleźć w cytatach prasowych dołączonych do rozmowy.

⁷ Na przykład pewien znany redakcji badacz lubelskiej historii najnowszej i zapalony poszukiwacz militariów zasugerował, że lepszym pomysłem na ten pomnik byłoby po prostu odsłonięcie na Wzgórzu Zamkowym fragmentu schodów przed nieistniejącym już budynkiem administracji więzienia, gdzie rozstrzeliwano więźniów.

Planowanie dziedzictwa miejskiego

„Komodyfikacja”, tj. przekształcanie zabytkowych obiektów i odniesień do przeszłości w nowoczesny produkt dziedzictwa, wymaga współgrania czterech elementów, a mianowicie:

- istniejących zasobów (wybrane obiekty, budynki, symbolika, tradycje ludowe i twórczość artystyczna),
- interpretacji (wybór, kombinacja i tworzenie pakietów z tych zasobów),
- powstania różnorodnych produktów dziedzictwa,
- na koniec, różnych rynków, na potrzeby których tworzy się te produkty.

Prowadzi to do zestawów propozycji, które stanowią główne tezy planowania dziedzictwa.

• Jako że wytwory dziedzictwa z definicji powstają na określone zapotrzebowanie, użytkowanie staje się krytycznym czynnikiem determinującym, a nie, jak w przypadku ochrony, problemem ubocznym i marginesowym. Dziedzictwo jest dosłownie zdeterminowane przez użytkowanie, a nie na odwrót.

• Nie ma istotnych sprzeczności między procesem ochrony a rozwojem. Ochrona dla potrzeb dziedzictwa jest sama w sobie formą rozwoju, który znajduje swoje apogeum w mieście dziedzictwa, zapewniając utrzymanie podstawowych funkcji miejskich.

• Niekoniecznie więc planowanie dziedzictwa oznacza ochronę przed zmianami. Jest to zrozumienie i umiejętność zarządzania zmianami zgodnie z decyzjami co do natury, zakresu i tempa tych zmian. Polityka planowania dziedzictwa jest w tym samym stopniu proaktywna, co reaktywna. Nie jest to ochrona czy nawet odtworzenie dawnego miasta, ale kształtowanie nowego miasta, w którym odniesienia do przeszłości grają istotną rolę we współczesności.

• Wynika więc z tego, że dylemat „forma czy funkcja” jest uniwersalnym elementem kondycji miejskiej. A więc, planowanie dziedzictwa nie jest działaniem, które dotyczy określonych zabytków, miejsc czy dzielnic miast o określonych atrybutach, ale do pewnego stopnia koniecznością we wszystkich częściach wszystkich miast. Nie ma więc rzadkich miast pewnego typu, których dotyczy planowanie dziedzictwa, w przeciwieństwie do „zwykłych” miast, gdzie zastosowanie ma „normalne” planowanie.

• Tak samo więc planowania dziedzictwa nie można oddzielać od planowania miejskiego w innych wymiarach, a tym bardziej nie powinno się go traktować jako rezerwatu dla architektów i historyków, który wykorzystuje się do uzupełnienia istniejących planów, gdy zachodzi potrzeba. Zajmuje ono centralne miejsce w ustalaniu celów i strategii planowania miejskiego oraz w ich realizacji na drodze przemysłanych interwencji.

Jeśli więc planowanie dziedzictwa miejskiego uznaje się za strategię zarządzania, musi się je określać w odniesieniu do innych tego typu strategii, realizowanych zarówno w odniesieniu do formy, jak i funkcji. W szczególności ma to bezpośredni wpływ na trzy typy polityki miejskiej:

• Rehabilitacja urbanistyczna – to znaczy dosłownie nowe użytkowanie. W planowaniu dziedzictwa ma dwa różne znaczenia. Pierwsze to rehabilitacja chronionych budowli przez wprowadzenie nowych sposobów użytkowania w istniejące formy, w celu realizacji współczesnych potrzeb. Drugie to rehabilitacja pewnych obszarów, a nawet całych miast.

• Odnowa miejska – w praktyce oznacza kombinację modernizowania infrastruktury, odnowy budynków i zmian funkcjonalnych w określonych dzielnicach, często z akcentem na potrzeby mieszkaniowe.

• Rewitalizacja miast, tj. tworzenie nowych impulsów funkcjonowania miasta. Dziedzictwo samo w sobie dostarcza zasobów historycznych i estetycznych dla podtrzymywania niektórych funkcji rewitalizujących.

A zatem, całe zdefiniowane tu planowanie dziedzictwa musi obejmować rehabilitację, rewitalizację i odnowę pewnych obszarów.

Poniższy tekst to fragment opracowania Gregory'ego J. Ashwortha pt. „Planowanie dziedzictwa” zamieszczonego w książce *Miasto historyczne. Potencjał dziedzictwa*, wydanej przez Międzynarodowe Centrum Kultury Kraków w 1997 roku (s. 29-30). Ukazuje on planowanie dziedzictwa jako część wspólną ochrony niektórych aspektów budownictwa, ich wykorzystania na potrzeby nowoczesnych funkcji, a w szczególności turystyki, oraz szerszej polityki w dziedzinie planowania miast.

Wielokulturowość Lublina nie wyróżnia nas
zdecydowanie spośród innych miast,
ale z pewnością wyróżnia te z nich,
które ją wykorzystały do promocji.

Paweł Koniak

*Odbudować w wyobraźni rzeczy,
których już nie ma i dopełnić nimi
obraz rzeczywistości – to piękne zadanie.
Spróbujmy.**

Dlaczego Sztukmistrz nie jest z Lublina?

Każda gmina, miasto czy państwo ma swój wizerunek¹, który w marketingu rozumiany jest jako obraz produktu lub przedsiębiorstwa ukształtowany w świadomości nabywcy i składający się z uczuć, sądów i opinii, a także z nastawień i faktów dotyczących danego produktu czy marki.

Gęba przed lustrem

Pojęcie wizerunku obejmuje więc nie tylko rzeczywiste, „materialne” korzyści związane z posiadaniem i użytkowaniem produktu, ale odnosi się także do obszaru emocjonalno-poznawczego – dotyczy produktu zarówno jako obiektu, jak też i stanu przeżywanego i odczuwanego przez klienta². W dzisiejszym świecie taki wizerunek odgrywa niemałą rolę. „Dobry” wizerunek przekłada się na zyski, a „zły” może powodować straty. Nic więc dziwnego, że coraz większą wagę przykłada się do kreowania, czyli celowego

tworzenia i wprowadzania do świadomości odbiorców określonych wizerunków miejsc: gmin, miast czy państw³.

Początkiem kreowania wizerunku powinna być analiza tego, jak:

- widzą nas inni (wizerunek rzeczywisty zewnętrzny),
- widzimy siebie my sami (wizerunek wewnętrzny),
- chcielibyśmy być odbierani (wizerunek pożądaný),
- oraz tego, jak można pogodzić wizerunek pożądaný z realną sytuacją (wizerunek realny)⁴.

* Józef Czechowicz, *Słowa o Lublinie – dawnym mieście*, w: *Koń rydzy*, Lublin 1990, s. 344.

Poniżej chciałbym przedstawić jeden z aspektów pożądanego wizerunku Lublina. Zaczęę jednak od zastanowienia się nad obecnym wizerunkiem zewnętrznym miasta oraz nad jego wizerunkiem wewnętrznym, a konkretnie tym, jaki wizerunek Lublina wyłania się z działań i wypowiedzi ludzi oficjalnie odpowiedzialnych za jego kreowanie.

Na początku roku 2003 w lubelskiej prasie pojawiły się doniesienia o podjęciu działań mających doprowadzić do wykreowania czegoś, co można by nazwać „marką Lublin”⁵. Zlecone przez władze miasta badania pilotażowe wykazały, że Lublin kojarzony jest przez respondentów głównie z: Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, Uniwersytetem Marii Curie-Skłodowskiej, piwem „Perła”, obozem koncentracyjnym w Treblince (tak!) i na Majdanku⁶, samochodami ciężarowymi, zespołami Budka Suflera i Bajm, Unią Lubelską i Manifestem PKWN.

Co z tego wynika? Według opinii specjalistów takie skojarzenia można uznać za co najwyżej neutralne, a niektóre nawet za niekorzystne⁷. O ile dość łatwo sobie wyobrazić, iż rzeczywistość „przyjemnego zabarwienia emocjonalnego”, o które chodzi w marketingu, nie dodają Lublinowi skojarzenia z obozami koncentracyjnymi czy narodzinami PRL-u (choć tu do myślenia daje sukces muzeum socrealizmu w Kozłówce), to nie do końca wiadomo, dlaczego za negatywne należy uznać także skojarzenie z lubelską Fabryką Samochodów Ciężarowych. Dlaczego rozpoznawalne i wciąż popularne „lublinki” nie miałyby działać na korzyść miasta? Już bardziej należałoby się obawiać skojarzeń z upadłą firmą Daewoo, które na szczęście w ankiecie nie wystąpiły.

Łączenie Lublina przez respondentów z dwoma działającymi w nim uniwersytetami jest niewątpliwie sporą szansą, którą należałoby wykorzystać, a do tego czasu chyba nie ma co narzekać, że jest

to skojarzenie „bez szerszego kontekstu, którym mogłoby być np. miasto ludzi młodych, wykształconych, doskonale przygotowanych do pracy zawodowej”⁸. Odpowiednie opracowanie i wykorzystanie takiego potencjału to już zadanie dla urzędników i zaangażowanych w projekt jednostek badawczych. Skojarzenia z piwem „Perła” również można uznać za korzystne i dla samych Browarów Lubelskich, i dla miasta, które ma szansę wypromować się przez popularne markowe produkty z nim związane (należą do nich także np. makarony Lubelli czy zioła Herbapolu). Wiadomo przecież, że wizerunek kraju wiąże się m.in. ze sposobem, w jaki są postrzegane pochodzące z niego produkty. I tak np. Hiszpania przyznaje symbol słoneczka produktom, które zostały uznane za godne jej reprezentowania za granicą, a w naszym kraju podobną rolę spełnia logo „Teraz Polska” oraz znaki marek regionalnych, np. „Dobre bo Podkarpackie”. Przydałby się taki znak i dla Lubelszczyzny⁹.

Makijaż, kompleksy i piękne wnętrza

Jeden z członków zespołu badawczego zajmującego się opracowywaniem wizerunku Lublina stwierdził, że „zarówno Lubelszczyzna, jak i sam Lublin nie mają cech na tyle wyjątkowych, żeby mogły nas odróżnić od innych w sposób zdecydowany”¹⁰. Stwierdzenie to nie zaskakuje, ale zaczyna być niepokojące, gdy pada z ust człowieka współodpowiedzialnego za przyszły wizerunek miasta. Istnieją plany lansowania Lublina m.in. jako „polskiego Oksfordu”, stolicy przygranicznego, ważnego regionu, miasta wysoko wyspecjalizowanych usług, przyjaznego w kategoriach bezpieczeń-



Kukła Jaszy Mazura, „Sztukmistrza z Lublina”, na szczycie Bramy Grodzkiej czeka na swój występ podczas „Nocy Świętojańskiej” 19-20 czerwca 1999 r. Jego przejście po rozpiętej nad głowami widzów linie (możliwe dzięki specjalnemu mechanizmowi) stanowiło eksponowany elementem tego wydarzenia. Celem „Nocy Świętojańskiej”, organizowanej przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” w latach 1997-2001, była promocja przestrzeni Starego Miasta i lokalnego dziedzictwa kultury (wielokulturowości) w magicznym czasie przesilenia letniego. W tę jedyną noc w roku Jasza Mazur powracał do rodzinnego miasta, by stać się gospodarzem widowiska łączącego działania teatralne z koncertem muzyki folkowej. Fot. M. Kubiszyn.

Dlaczego Sztukmistrz nie jest z Lublina?

Meandry ładu przestrzennego jako narzędzia promocji miasta. Budynek na skrzyżowaniu ul. Narutowicza oraz Okopowej i Mościckiego. Przykład „plomby”, która nie uniosła ciężaru odpowiedzialności. Budynek jest przegadany. Cytuje różne elementy z sąsiedztwa, ale w niedopasowanej skali. Bez powodzenia próbuje naśladować szlachetność sąsiedniej kamienicy. Nie wprowadza do przestrzeni nowych wartości. Na następnej stronie „Corner House” na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Kołłątaja wg projektu Biura Architektonicznego Gurbiel. Przykład współczesnej „plomby” dobrze wkomponowanej w otoczenie dzięki swojej prostocie. Niestety, razem z sąsiednią kamienicą tworzy ona obniżenie między reprezentacyjnym gmachem Poczty Głównej (obie kamienie tworzą niesymetryczne, niższe skrzydło tego budynku, widoczne go z lewej) a zabytkowym hotelem z prawej. Można spotkać się z opinią, że to obniżenie wręcz deklasuje Plac Litewski, który zaczyna się po lewej stronie patrząc go. Fot. M. Skrzypek.

stwa i jakości życia, pomostu pomiędzy Wschodem i Zachodem czy też miejsca niezapomnianych wrażeń kulturalnych i rozrywkowych¹¹. Jest więc nad czym pracować.

Być może właśnie myślenie w kategoriach własnych słabości sprawia, że niektóre pomysły na działania promocyjne Lublina są trochę oderwane od rzeczywistości. Jako przykład „nowego myślenia” o sposobach prezentacji walorów miasta zaproponowano wprowadzenie do jednego z seriali „wątku lubelskiego”¹² (w innym miejscu: „skierowanie do Lublina wątku miłosnego głównego bohatera znanego serialu telewizyjnego”¹³). Prawdopodobnie są to już informacje nieaktualne, ale warto się zastanowić, czy podobne działania mogły pomóc Lublinowi w pozbyciu się etykiety miasta prowincjonalnego, na którą wiele osób (być może niesłusznie) narzeka. Czy widzowie tenelowej są najbardziej atrakcyjną dla miasta grupą docelową? Czy zechcą oderwać się od telewizora i przyjechać do Lublina, żeby zobaczyć miasto, w którym toczy się wątek miłosny ich ulubionego bohatera? A może przed półką sklepową przypomną sobie tkliwe „lubelskie” sceny i sięgną po jeden z lubelskich produktów? Ze względu na stereotypowość i schematyzm postaci i miejsc przedstawianych w tego typu serialach powyższy pomysł wydaje się ryzykowny, chyba że sam scenariusz gwarantowałby ukazanie Lublina jako wyróżnia-

jącego się miasta z tradycjami, ważnego ośrodka kulturalnego, naukowego itd. Przedtem należałoby jednak zastanowić się, czy „marka Lublin” ma być marką dobrą i niezależną, czy też zadowolimy się podczepieniem jej pod już gotowy, obcy wizerunek stworzony do zupełnej innych celów – w tym przypadku dla potrzeb telewizji.

Symptomy słabej tożsamości miasta można odczytać z programu dorocznego „Dni Lublina”, które odbywają się pod hasłem „Odkryjmy Lublin”. Co roku pękają one od imprez, ale nie wyłania się z nich żaden spójny i atrakcyjny obraz. Czy może bowiem przyciągać miasto, które chwali się festynami rodzinnymi, wystawami w osiedlowych domach kultury, występami szkolnych zespołów muzycznych czy chociażby lekcją biblioteczną w ogrodzie botanicznym? Czy z życiem kulturalnym w Lublinie jest aż tak źle? Mówimy o szczegółach, ale właśnie szczegóły odgrywają tu ważną rolę. W 2001 roku zorganizowano koncert zespołu Brathanki (połączony z wręczeniem mu medalu za piosenkę „W kinie w Lublinie”) w tym samym czasie, w którym już po raz piąty odbywała się „Noc Świętojańska”, nawiązująca do wielokulturowości regionu i żydowskiej historii miasta. Zasługująca na ochronę inicjatywa oparta na lokalnej kulturze musiała konkurować z komercyjnym koncertem, jednym z wielu, który zaginał w całej masie tego typu imprez w Polsce.

W przywołanych wcześniej skojarzeniach z Lublinem pojawiła się Unia Lubelska. Zakładając, że jest to dla odbiorców znany i pozytywnie odbierany fakt historyczny, należy go uznać za jeden z pierwszorzędných atutów Lublina, który aż się prosi o wykorzystanie marketingowe. Może on przydać miastu splendoru (przy okazji wstąpienia Polski do Unii Europejskiej władze ten potencjał dostrzegły i wykorzystały), ale przede wszystkim unia Polski z Li-



twą jest doskonałym punktem wyjścia do przypomnienia wielokulturowości Lublina i regionu. To właśnie ta wielokulturowość czy związane z nią tradycje wydają się dziś jednym z głównych, aczkolwiek zaniedbywanych atutów miasta. Trudno nie zgodzić się, że region, w którym żyli Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Romowie, Tatarzy i Niemcy jest regionem barwnym, a związane z tą mieszanką kultur tradycje stanowią potencjał, który można albo dobrze wykorzystać, albo zwyczajnie zmarnować. Nie sposób zaprzeczyć, że wielokulturowość Lublina i Lubelszczyzny sama w sobie nie wyróżnia nas „zdecydowanie” spośród innych miast i regionów w Polsce, ale z pewnością wyróżnia te, które ją wykorzystały do swojej promocji, jak Włodawa (Festiwal Trzech Kultur), nie wspominając o Łodzi (miasto zaledwie dziewiętnastowieczne z Festiwałem Dialogu Czterech Kultur) czy Krakowie. Zobaczmy, jak Lublin swoją wielokulturowość wykorzystuje, a jak mógłby wykorzystywać.

nilbul

Szczególne miejsce w historii miasta zajmowali bez wątplenia Żydzi. Żydowski Lublin był miastem znanym na cały żydowski świat, miastem mistycznym, „Żydowskim Oksfordem”, a nawet „Jeruzolimą Królestwa Polskiego” i do dziś jest ważnym miejscem na kulturowej mapie diaspory żydowskiej. Obecnie poprzez swoje działania nawiązuje do jego przeszłości kilka instytucji i stowarzyszeń, np. Ośrodek „Środek Grodzka – Teatr NN”, Państwowe Muzeum na Majdanku, Zakład Kultury i Historii Żydów UMCS, lubelski oddział Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Izraelskiej, Stowarzyszenie Środkowoeuropejskie „Dziedzictwo i Współczesność”, lubelska filia Gminy Wyznaniowej Żydowskiej czy Ziomkostwo Lubelskie. Organizują one spotkania, pokazy filmów, imprezy plenerowe, koncerty, wyda-



ją publikacje. Na pewno skutkiem ich działań jest lansowanie Lublina jako miasta otwartego, o bogatej przeszłości, ale brakuje podmiotu, który kierowałby je do adresatów niejako „w imieniu” Lublina, a także koordynował i wspierał w celu prowadzenia jednej spójnej polityki promocyjnej.

Istnienie takiej potrzeby potwierdza odpowiedź pracowników Lubelskiego Ośrodka Informacji Turystycznej na pytanie o turystykę związaną z żydowską przeszłością miasta¹⁴. Po pierwsze, turystykę taką od razu utożsamili z wycieczkami z Izraela, a przecież „wszelkiego rodzaju wspomnienia po żydowskich sztetlach, synagogach i gettach” interesują również nie-Żydów i turystów z Zachodu¹⁵. Przykładem jest krakowski Kazimierz i tłumy na praskim Josefovie. Po drugie, zdaniem pracowników LOIT, nikt w Lublinie nie zajmuje się organizacją przyjazdów tych wycieczek, a ich głównym celem jest zwiedzanie Majdanka i miejsc związanych z Holocaustem. Nietrudno się domyśleć, jaki obraz Lublina powstaje u uczestników takich wycieczek, którzy często nie wiedzą nic o historii Polski ani nawet o kulturze swoich przodków z Europy. Jest to niewątpliwie złożony problem na skalę ponadregionalną, ale bierność pozbawia Lublin (a tak-

Być może myślenie w kategoriach własnych słabości sprawia, że niektóre pomysły na promocję Lublina są oderwane od rzeczywistości.

Dlaczego Sztukmistrz nie jest z Lublina?

że Polskę) możliwości kontrolowanego kształtowania swego wizerunku wśród bardzo dużej liczby osób (Majdanek notuje rocznie ok. 30 tysięcy odwiedzających, wśród których Izraelczycy stanowią znaczną część¹⁶).

Zdarzają się też grupy nieformalne i turyści indywidualni. Między innymi dla nich przeznaczony jest „Szlak pamięci Żydów lubelskich”¹⁷.

Informacje o nim są zamieszczone w Internecie, a poszczególne przystanki szlaku oznaczono stosownymi i dobrze widocznymi tablicami z opisem. Jest również odpowiedni folder (po wyczerpaniu nakładu przez długi czas niedostępny). Szlak ten niewątpliwie spełnia swoją rolę, ale nie może pokazać więcej niż te 13

punktów, wśród których większość to pomniki lub tablice i niczym niewyróżniające się budynki. To wszystko, co dla niewtajemniczonych i niedociekliwych zostało po kilkusetletniej społeczności, która przed wojną stanowiła 1/3 mieszkańców miasta. W Lublinie istnieją cztery inne szlaki tematyczne. Jeżeli chodzi o pamięć po lubelskich Żydach, zrobiono więc standardowe minimum. Nie można raczej nazwać tego kulturalną promocją miasta i jego żydowskiej przeszłości.

Tworzenie miejsca

Co zrobić, żeby turyści spojrzeli na Lublin przynajmniej w minimalnym stopniu tak, jak ludzie pamiętający go sprzed wojny? Aby odbyli trochę sentymentalną, a trochę refleksyjną przechadzkę, która może skończyć się jak w cytacie: „Oto dom przy ulicy Lubartowskiej, gdzie

się urodziłem, mój dom. Stoi na miejscu! Jest również dawny sklepik pana Proczka, w którym teraz, zamiast wędlin, sprzedaje się odzież. [...] Zdawało mi się, że właściwie nigdy stąd nie odjechałem, że tymi ulicami przechodziłem dopiero co, może wczoraj...”¹⁸

Do tego nie potrzeba wiele. Wystarczy kilka konsekwentnych działań, reszty dokona wyobraźnia. W przypadku wizerunku miasta ważny jest bowiem związany z danym miejscem wymiar emocjonalny, specyficzna atmosfera. Fenomenologia miejsca głosi, że każde z miejsc ma swoją duszę. Jak ją wywołać? Rozwiązanie podpowiada koncepcja „poczucia miejsca”, podkreślająca, że miejsce nie jest prostą sumą oddziaływań własności środowiska. Jest ono przede wszystkim produktem intencjonalnej aktywności ukierunkowanej na „tworzenie miejsca”. W tym tworzeniu można wykorzystywać zarówno elementy niematerialne, jak i materialne. Przykładami miejsc znanych dzięki wartościom niematerialnym może być „miasteczko Bełż” czy „szulcowski” Drohobycz – żeby pozostać przy tematyce żydowskiej – natomiast w sposób skrajnie materialny „stworzono” starówkę we Frankfurcie nad Menem. Z powodzeniem przywrócono jej „klimat miasta”, rekonstruując w formie atrap fasady domów kupieckich, które przed wojną otaczały rynek¹⁹.

Działania niematerialne, promujące Lublin poprzez jego żydowskiej przeszłości, zostały już wspomniane, natomiast w sferze materialnej dobrym pomysłem byłoby odtworzenie lub przynajmniej wytyczenie zarysów fundamentów kilku domów jednej z nieistniejących uliczek. Można by to zrobić np. na podzamkowych błoniach (kiedyś była tam ulica Podzamcze i Krawiecka). Taka rekonstrukcja urozmaiciłaby je, a przede wszystkim doskonale oddziaływałaby na wyobraźnię, będąc jednocześnie konkretną „atrakcją turystycz-

Miejsce nie jest sumą oddziaływań własności środowiska, lecz przede wszystkim produktem intencjonalnej aktywności ukierunkowanej na jego tworzenie.

Sławny „tańczący dom” mógł stanąć w Warszawie, gdyby nie został uznany za zbyt akstrawagancki. Teraz, by się przekonać, na ile warszawscy decydenci mieli rację, musimy jeździć do Pragi. Fot. Katarzyna Sobańska-Józwiak



ną”. W podobny sposób odtworzono niedawno fundamenty fary na Placu po Farze.

Promocji miasta może przysłużyć się również realizacja prostych postulatów wysuwanych przez Monikę Adamczyk-Garbowską, kierownik Instytutu Kultury i Historii Żydów UMCS. Proponuje ona m.in. odremontowanie domu modlitwy przy ulicy Lubartowskiej i zadbanie o stary cmentarz (oba obiekty są częścią szlaków turystycznych). Inny jej pomysł to wprowadzenie w lokalnych muzeach stałych ekspozycji poświęconych kulturze i historii Żydów. Dlaczego nikt tego jeszcze nie zrobił, choć istnieją odpowiednie zbiory, np. ikonografia? Muzea stanowią przecież znaczący element nie tylko w kształtowaniu wizerunku miasta czy kraju, ale także są swego rodzaju świadectwem kulturalnego i intelektualnego rozwoju społeczeństwa. Zwraca się uwagę, że „obraz naszej instytucji muzealnej powinien być odbierany przez cudzoziemca jako obraz instytucji otwartej na świat, która stara się reprezentować nie tylko sposób widzenia świata większości, lecz pamięta też o narodowych mniejszościach” oraz że „w swych ekspozycjach muzeum nie powinno prezentować zjawisk kultury jako zagadnień martwych, przebrzmiałych, bez związków z teraźniejszością”²⁰. Z tym problemem wiążą się kolejne postulaty związane z edukacją i oddziaływaniem na pamięć zbiorową, takie jak wzbogacenie problematyki szkolnej o lokalną tematykę żydowską (działania tego typu podejmuje Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”) czy wydanie utworów pisarzy żydowskich związanych z Lublinem²¹ (np. Anny Langfus, laureatki nagrody Goncourtów²², i Jakuba Głatsztejna²³).

Fikcja i kicz

Dobrym „materiałem” do wykorzystania w kreowaniu wizerunku i promocji Lublina jest postać Jaszy Mazura, „któ-



rego wszędzie poza rodzinnym miastem nazywano Sztukmistrem z Lublina”²⁴. Co prawda akcja *Sztukmistrza* w samym Lublinie toczy się tylko na początku i na końcu powieści (na dodatek miasto jest tam opisywane dość ogólnikowo), ale dlaczego nie wykorzystać faktu, że fikcyjny Sztukmistrz był właśnie z Lublina, a nie z Biłgoraja, Leżajska czy Warszawy? Rozpatrując to w kategoriach marketingowych strategii zmian postaw konsumentskich, można powiedzieć: trzeba zwiększyć przekonanie „konsumentów”, że Lublin ma związki z postacią Sztukmistrza i zwiększyć przekonanie o ważności tej cechy²⁵, stworzyć „potrzebę Sztukmistrza”. Zacytujmy tu radę z jednego z popularyzatorskich podręczników marketingu: „Najcenniejszym kapitałem marki są mity tworzone przez konsumentów. Podsycaj je”²⁶.

Jeden z uczestników konferencji poświęconej kreowaniu wizerunku Polski stwierdził, że Polsce brakuje kiczu, dla którego przyjeżdżaliby tutaj turyści²⁷. Brakuje tego „czegoś”, co należy koniecznie w Polsce zobaczyć lub przeżyć. Nie może to być coś, co przyciąga tylko elity – musi to być propozycja dla wszystkich. Jakimś rozwiązaniem jest promo-

Część wirtualnego spaceru po Lubartowskie A.D. 1937 na stronach edukacyjnego projektu Żydowskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku (YIVO). Fot. Stefan Kielsznia. Opracowanie: YIVO. Spacerujemy, przesuując jasne okno na makiecie kolażu (u góry). Adres baneru wejściowego: http://epyc.yivo.org/content/18_2.php Żydzi sami promują Lublin ze względu na jego żydowskie dziedzictwo kulturalne, ale jako potencjał promocyjny miasta fakt ten jest wciąż niedoceniany. Oprac. M. Skrzypek.

Dlaczego Sztukmistrz nie jest z Lublina?

Chodzi o zapewnienie w Lublinie porcji kiczu dla tych, których on bawi.

„Jednodniowy pomnik” Józefa Czechowicza umieszczony z okazji jego urodzin 15 marca 2001 r. na ścianie domu sąsiadującego z nieistniejącą kamienicą, w której poeta się urodził. Akcja Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”, jedna z wielu promujących lubelskie dziedzictwo kultury w ścisłym połączeniu z miejską przestrzenią. Fot. M. Kubiszyn.

cja kultury popularnej. Francję promuje i Balzak, i komiksowy Asteriks, Wielką Brytanię Szekspir i Beatlesi, a Szwecję nagroda Nobla oraz Muminki i Astrid Lindgren²⁸. Dobrym przykładem umiejętnego promowania miasta z wykorzystaniem zarówno kiczu, jak i kultury wysokiej jest Praga. Czesi do promocji swej stolicy wykorzystują Mozarta i Kafkę obok wojaka Szwejka i Rumcajsa²⁹. Gądzety w postaci koszulek czy kubków z wizerunkiem Kafki są tam spotykane na każdym kroku. Magiczny klimat tego miasta nie wziął się znikąd – dzięki istniejącym zabytkom i postaciom został on starannie wypracowany. Przypadek Pragi jest dla Polaka szczególnie frustrujący zwłaszcza wtedy, gdy czyta, że jedną z atrakcji Pragi jest Tańczący Dom, którego projekt władze Warszawy odrzuciły jako zbyt ekstrawagancki³⁰.

Jednak nie ma co zgrzytać zębami – już lepiej dorzucić do swego miasta porcję turystycznego kiczu. Nie chodzi o uczynienie Lublina kiczowatym (np. poprzez wrzucenie go do telenoweli czy podpięcie się pod przebój sezonu z Lublinem w tytule), ale o zapewnienie w Lublinie porcji kiczu dla tych, których on bawi (w proporcjach strawnych dla pozostałych). Nie zaszkodzi przy tym, jeżeli będzie to również kicz

żydowski. Jako przestrożę potraktujmy opinię o Przemysłu, który „za żadne skarby nie chce pozwolić na żaden kicz, bo upiera się, żeby to był kicz czysto polski”³¹, a z powodzeniem mógłby się promować kiczem ukraińsko-polskim. W Lublinie takim pożytecznym kiczem mogą być np. koszulki z postacią Sztukmistrza czy z wizerunkami dzielnicy żydowskiej. W przyszłości można by pomyśleć np. o ustawieniu na Starym Mieście figury Sztukmistrza, na wzór np. poznańskiego pomnika Starego Marycha (bohatera radiowych felietonów³²), czy pomnika Widzącego z Lublina. Legendę o Widzącym spisał sam Martin Buber³³. Trudno przecenić możliwość marketingowego wykorzystania tego faktu (Buber dla jednych, rzeźby i obrazki dla innych). Promowanie Sztukmistrza czy też Widzącego może być elementem tworzenia wizerunku Lublina jako miasta niezwykłego – na co wskazuje sam tytuł Sztukmistrz z Lublina – magicznego, wręcz mistycznego, a nawet ezoterycznego. Taki wizerunek nie musi być budowany na wyłącznie żydowskich akcentach – również w twórczości Józefa Czechowicza można się doszukać odpowiedniego „zaplecza”³⁴.

Na koniec warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz – „żydowskość” Lublina nie może być „absolutyzowana”.



Jest ona atrakcyjna turystycznie i marketingowo nie tyle sama w sobie, co w zestawieniu z innymi mającymi związek z tym miastem kulturami. To właśnie istnienie obok siebie i przenikanie się tych różnorodnych kultur i obyczajowości powoduje, że wyobrażenia na temat przedwojennego Lublina mają w sobie pewien niezwykły urok. Seweryn Sierpiński pisał w 1839 roku, że w Lublinie obok „właściwego” miasta istniało miasto „dolne, czyli żydowskie”³⁵. Fakt ten mitologizuje fragment prozy Marka Haltera: „Znasz ten ustęp z Genezis? »Jakub poszedł swoją drogą. Spotkali go boscy posłańcy. Jakub zobaczył ich

i rzekł: 'To musi być obóz Boga', i nadał temu miejscu nazwę Mahanajim, czyli Podwójny Obóz.« (...) A wiesz, gdzie leży Mahanajim, Podwójny Obóz? Tu, w Lublinie. Czyż nie mamy tu dwóch miast, jednego żydowskiego i jednego chrześcijańskiego, dwóch obozów Boga?»³⁶ Dziś, kiedy Lublin jest miastem leżącym blisko granicy Unii Europejskiej, wydaje się, że szansa na stworzenie jego atrakcyjnego wizerunku tkwi w tej właśnie wielokulturowości. Czyli na przykład w umożliwieniu turystom przynajmniej symbolicznego przejścia przez Bramę Grodzką z miasta polskiego do żydowskiego i z powrotem.

¹ J. Olszewska, *Podstawy informacyjne i metody kreowania wizerunku gminy*. „Marketing i rynek”/2001 nr 6, s. 23-26.

² Falkowski A., Tyszka T., *Psychologia zachowań konsumenckich*, Gdańsk 2001, s. 181.

³ *Kreowanie obrazu Polski w świecie*, red. A. Kuliński, K. Pawłowska, Nowy Sącz 1999; M. Daszkiewicz, M. Sobocińska, *Kreowanie wizerunku Polski – uwarunkowania, cele, działania*, „Zarządzanie i Marketing” 2002 nr 19.

⁴ Daszkiewicz, Sobocińska, dz. cyt.

⁵ W. Sitko (profesor w Katedrze Zarządzania Politechniki Lubelskiej), *Marka Lublin*, „Kurier Lubelski” z dn. 10 marca 2003 <http://www.kurierlubelski.pl/modules.php?op=modload&name=News&file=article&sid=4203>; rozmowa Ewy Czerwińskiej z Piotrem Semeniukiem (dyrektorem Biura Promocji Miasta), *Jak sprzedać Lublin*, „Kurier Lubelski” (dodatek „Sukces”) z 3 czerwca 2003 <http://www.kurierlubelski.pl/modules.php?op=modload&name=News&file=article&sid=5283>.

⁶ Treblinka leży w województwie mazowieckim, na linii między Warszawą a Białymstokiem. Na Lubelszczyźnie były dwa inne obozy śmierci: w Sobiborze i Bełżcu [przyp. red.].

⁷ Sitko, dz. cyt.

⁸ Tamże.

⁹ Łódź promuje się hasłem (zastrzeżonym) „Dobre miasto Łódź” [przyp. red.].

¹⁰ Sitko, dz. cyt.

¹¹ Tamże.

¹² Czerwińska, dz. cyt.

¹³ *Dni Lublina – odkryjmy Lublin*, ulotka Biura Promocji Miasta, czerwiec 2003.

¹⁴ Informacje ustne uzyskane od pracowników LOIT w czerwcu 2003.

¹⁵ K. Bachmann, *Kreowanie obrazu Polski w świecie*, w: *Kreowanie obrazu Polski w świecie*, s. 255

¹⁶ T. Kranz, *Majdanek – pomnik i miejsce pamięci*, w: *Ścieżki pamięci, Żydowskie miasto w Lublinie –*

losy, miejsca, historia, red. J.J. Bojarski, Lublin–Rishon LeZion 2002, s. 153-158.

¹⁷ Szlak Pamięci Żydów Lubelskich: <http://www.lublin.pl/turystyka/sz/zyd/index.shtml>

¹⁸ I. Carmi, *Powrót do przeszłości, w: Ścieżki pamięci*, s. 89.

¹⁹ A. Bańka, *Spoleczna psychologia środowiskowa*, Warszawa 2002.

²⁰ A. Rottermund, *Kreowanie obrazu Polski w świecie – muzealnictwo*, w: *Kreowanie obrazu Polski w świecie*, Nowy Sącz 1999, s. 192.

²¹ M. Adamczyk-Garbowska, *Wyrwać z zapomnienia*, w: *Ścieżki pamięci*, s. 9-12.

²² E. Rybicka, *A. Regina Sternfinkiel (Anna Langfus), „Scriptores”* 2003 nr 1, s. 168-170.

²³ M. Adamczyk-Garbowska, *Jakub Głaztzejn, „Scriptores”* 2003 nr 1, s. 129-130.

²⁴ I. B. Singer, *Sztukmistrz z Lublina*, przeł. Krystyna Szerer, 1990, s. 5.

²⁵ Falkowski, Tyszka, *Psychologia zachowań konsumenckich*.

²⁶ T. Abler, *Marketing od A do Z*, Kraków 1999, s. 348.

²⁷ K. Bachmann, *Kreowanie obrazu Polski w świecie*, w: *Kreowanie obrazu Polski w świecie*.

²⁸ K. Popowicz, *Irracjonalność – zapomniana siła*, w: *Kreowanie obrazu Polski w świecie*, s. 107-110.

²⁹ K. Olejnik, *Piwo z Kafką*, „Wprost” 2 maja 1999.

³⁰ M. Cieślak, *Praga Europy*, „Wprost” 18 maja 2003.

³¹ Bachmann, *Kreowanie obrazu Polski w świecie*, s. 255.

³² P. Sarzyński, *Odlej to sam*, „Polityka” 2003 nr 32.

³³ M. Buber, *Gog i Magog. Kronika chasydzka*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999.

³⁴ Zob. np: J. Czechowicz, *Koń rydzy*, Lublin 1990.

³⁵ S. Z. Sierpiński, *Obraz miasta Lublina*, Lublin 2002 (reprint wydania z roku 1839), s. 6.

³⁶ M. Halter, *Synowie Abrahama*, Warszawa 1993. Tu za: „Scriptores” 2003 nr 1, s. 3.

Na następnej stronie:
podlubelski dom. Fot.
M. Skrzypek.



Architektura nie zależy od funkcji
czy konstrukcji, lecz od kultury.

O tym, kto na budowie wie najwięcej

Rozmowa z Bolesławem Stelmachem, architektem

Joanna Zętar: W słowniku przeczytamy, że architektura to sztuka i umiejętność artystycznego kształtowania budowli, a w szerszym znaczeniu: twórcze kształtowanie przestrzeni dla potrzeb człowieka. A czym jest architektura dla Pana?

Bolesław Stelmach: W tej definicji warto podkreślić słowa „sztuka” oraz „dla potrzeb człowieka” i zdać sobie sprawę, że często zdarza się między nimi sprzeczność. Architektura jako sztuka bywa bardzo twórcza i bogata, ale jeżeli chodzi o jej odbiór – również hermetyczna i ograniczona do wąskiej grupy ludzi. Mówiąc o potrzebach człowieka, trzeba pamiętać, że chodzi tu zarówno o skalę mikro, a więc o jego najbliższe otoczenie, warsztat pracy i miejsce życia, jak i o skalę makro, czyli miasto, region i – ogólnie – dobre zagospodarowanie przyrodniczych i kulturowych walorów przestrzeni. Wszystkie zdarzenia naszego życia są gdzieś umiejscowione. Pamięć jest przesycona przestrzenią tak, jak przestrzeń jest przesycona pamięcią. Dobrze więc by było, gdyby

architektura sprzyjała zdarzeniom, które będziemy wspominać, które będą dla nas ważne. Dla nas, architektów, ideałem byłoby dodatkowo połączenie tego ze spełnieniem naszych artystycznych ambicji. Tak jak poeta stara się w słowach wyrazić świat, który nosi w sobie, tak my próbujemy to robić ceglami, betonem i szkłem. Jeżeli stworzona przez nas w ten sposób przestrzeń ma aurę, atmosferę, w której ludzie się dobrze czują, która pozwala im nie tylko na funkcjonowanie poprawne, ergonomiczne, ale też skłania do refleksji, daje możliwość przeżycia czegoś istotnego – to jest spełnienie naszych marzeń. Architektura to całe moje życie. To sztuka, której poświęciłem 29 lat.

Ja zajmuję się wąskim wycinkiem tej sztuki, jakim jest architektura kuba-turowa, czyli po prostu buduję domy: mieszkalne, budynki użyteczności publicznej, zespoły mieszkaniowe i inne większe kompleksy, odpowiadając na bardzo konkretne zlecenia. Pojawia się inwestor, klient komercyjny lub insty-

Bolesław Stelmach – architekt, który w coraz wyraźniejszy sposób kształtuje przestrzeń Lublina i zauważalnie, z artystycznym zacięciem, podnosi jej jakość. Założyciel biura „Stelmach i Partnerzy”. Urodził się w 1956 roku. W 1980 roku ukończył Wydział Architektury na politechnice w Krakowie, a potem podyplomowe studia w Warszawie. Przez 2 lata pracował w biurze projektowym we Francji. Od 1984 w Inwestprojekcie Lublin i Instytucie Gospodarki Przestrzennej w Warszawie. Potem rozpoczął samodzielną działalność. Hobby: muzyka poważna. Jego projekty w Lublinie i okolicy: budynek Fundacji Jana Pawła II (ul. Boczna Lubomelskiej), Centrala Pierwszego Komercyjnego Banku w Lublinie (ul. Boczna Lubomelskiej), siedziba TP S.A. w Lublinie (ul. Choiny), Centrum Handlowe E. Leclerc (ul. Zana), Centrum Hydroterapii „Atrium” w Nałęczowie, rozbudowa budynku biblioteki im. H. Łopacińskiego (Pl. Wolności), zespół budynków mieszkalnych LSM ul. Bolesława Śmiałego. W realizacji: osiedle między szpitalem wojskowym a ul. Popieluski, Park Naukowo-Technologiczny w Lublinie (ul. Droga Męczenników Majdanka), dom sanatoryjny w Nałęczowie (ul. Kościuszki), budynek na rogu ul. Kołłątaja i Peowiaków w Lublinie. B. Stelmach jest też laureatem Nagrody Artystycznej Młodych Rządu RP im. Stanisława Wyspiańskiego. Wygrał wraz z zespołem wiele ogólnopolskich konkursów architektonicznych, m.in.: konkurs „Dom Dostępny”, konkurs na rozbudowę Sejmu RP, przebudowę kwartału Foksal i Centrum Chopinowskie – wszystkie lokalizacje w Warszawie.



Otwarte z jednej strony na panoramę Lublina Centrum Promocji i Biuro Obsługi Klienta TP S.A. na rogu ul. Choiny i Al. M. Smorawińskiego. Proj. biuro „Stelmach i Partnerzy”. Obiekt oddano w czerwcu 1999 r. Nagroda Ministra Rozwoju Regionalnego i Ministra Sprawy Wewnętrznych i Administracji w 2000 r. Fot. M. Skrzypek. Poniżej wnętrze budynku. Fot. z arch. biura „Stelmach i Partnerzy”.



tucja publiczna, która chce zamówić dom i moim zadaniem jest ten dom zaprojektować i zbudować, bo, jak miał mój ulubiony mentor prof. Witold Korski, architektem jest ten, który buduje, a nie tylko rysuje albo opowiada. Z greckiego architekt to ten, kto na budowie wie najwięcej. Dlatego w firmie „Stelmach i Partnerzy” wykonujemy głównie projekty realizacyjne, chyba że przegrywamy konkurs lub klient prosi tylko o studium.

J.Z.: Jak wygląda warsztat współczesnego architekta? Załóżmy, że przychodzi inwestor i mówi: mam działkę i nieograniczoną ilość pieniędzy, proszę zaprojektować mi dom.

Gdyby jeszcze całkowicie zaufała architektowi, mógłby być idealnym klientem. Cała sztuka projektowania polega na tym, że dla danego miejsca trzeba wymyślić przestrzeń o bardzo czytelnym charakterze, a w tym celu pokonać szereg ograniczeń, które upraszczają pole, w którym możemy się poruszać. Wynikają one ze skali bliższego i dalszego otoczenia, jego charakteru kulturowego i przyrodniczego, wpływu otoczenia na działkę oraz – z drugiej strony – wpływu tego, co

ma powstać, na otoczenie. Do tego dochodzą indywidualne gusta dotyczące odbioru przestrzeni. Mnie osobiście bliskie są przestrzenie abstrakcyjne, architektura minimalistyczna, przekaz szukający inspiracji w modernistycznych doświadczeniach sztuki nieprzedstawiającej. Staram się natomiast omijać architekturę oniryczną, opowiadającą, „sentymentalną”, eksploatującą kulturę popularną. Czasami ma się kapitalną wizję np. wąskich, oświetlonych szczelin albo dużej przestrzeni o jednorodnym, spokojnym zabarwieniu, a na miejscu okazuje się, że orientacja działki względem nasłonecznienia i kierunków wiatrów jest niewłaściwa, a sąsiedztwo na tyle brzydkie, że widok z wielkiego okna degradowałby przestrzeń wewnątrz. Wtedy to, na przecięciu tych wszystkich uwarunkowań, zaczyna się prawdziwa praca architekta.

Problem z brzydkim otoczeniem mieliśmy przy budowie budynku dla Telekomunikacji Polskiej w Lublinie, który miał stanąć na betonowej pustyni. Miejsce miało tylko jeden akceptowalny widok – na panoramę miasta – ale za to taki, który z wysokości trzeciej, czwartej kondygnacji był wprost fantastyczny. Koncepcja polegała na tym, żeby budynek „skierować” do wewnątrz, tzn. stworzyć w środku niezależny, przyjazny świat, z trzech stron odseparowany od nieciekawego otoczenia, za to całkowicie otwarty na tę czwartą. Przy nieograniczonej ilości pieniędzy to koncepcyjne założenie można byłoby zrealizować w sposób dosłowny, bo współczesna technika pozwoliłaby na doprowadzanie dziennego oświetlenia i świeżego powietrza do wszystkich miejsc. W rzeczywistości jednak zawsze przychodzi taki moment, że pomysły trzeba okrajać, czyli, jak mówią inwestorzy, „optymalizować” i tak stało się również w tym przypadku. Najważniejsze, żeby po wybudowaniu obiektu było widać ten początkowy pomysł. Jeżeli nie można się

domyślić, o co projektantowi chodziło, to znaczy, że na drodze realizacji coś nie zadziało.

Z przypadkiem odwrotnych uwarunkowań spotkaliśmy się przy projektowaniu centrum hydroterapii „Atrium” dla Uzdrowiska Naęczów, który miał stać w środku malowniczego parku uzdrowskiego obok istniejących już, zabytkowych budynków. Projekt przebiegał przez kolejne poziomy akceptacji z wielkimi oporami, bo uważano, że jest zbyt nowoczesny, za ciemny. Teraz, kiedy obiekt już stoi, większość ludzi widzi, że dzięki temu optycznie „zniknął”, schował się, na ile to oczywiście było możliwe przy jego kubaturze. Widać też, że ciemne wnętrza pozwoliły „wejść” zewnętrznym widokom, zieleni do środka budynku. Gdyby był jaśniejszy, zacząłby konkurować z sąsiednimi, zabytkowymi budynkami. Warto w tym miejscu zauważyć, że architektura jest dziedzina, w której ostatecznie nie da się nikogo oszukać. Gdy wisi obok siebie kilkanaście projektów, wywołują one zażarte dyskusje: dobre – złe, podoba się – nie podoba, nawiązuje do otoczenia – nie nawiązuje, z talentem – bez talentu... Ale kiedy obiekt już stanie, architektki i klienci mają na jego temat podobną opinię.



Marcin Skrzypek: Ważnym czynnikiem wyznaczającym obszar twórczości architekta jest na pewno również energooszczędność i wyższa niż dawniej potrzeba komfortu.

Energooszczędność jest bardzo istotnym elementem analiz w naszym biurze, przy czym chodzi tu nie tylko o ogrzewanie budynków, ale też wykorzystanie materiałów, które nie wymagają dużo energii do produkcji i utylizacji. Staramy się na przykład uciekać od okien PCV, bo do ich utylizacji wkrótce trzeba będzie dopłacać około 1 500 euro za metr sześcienny. Nie będzie to obciążało inwestora, ale pośrednio odbije się na budżecie państwa. Okna z drewna

Wtopiony w krajobraz parku uzdrowskiego budynek Centrum Hydroterapii „Atrium” w Naęczowie. Fot. z arch. biura „Stelmach i Partnerzy”.

Ciemny kolor i prosta architektury „Atrium” ma za zadanie „ukryć” je w otoczeniu, by nie konkurował z zabytkowymi budynkami uzdrowiska. Fot. M. Skrzypek.



klejonego mają ten sam standard i są tylko trochę droższe. Następna kwestia to energia odnawialna. Jeżeli udałoby się w niewielkim tylko zakresie montować kolektory słoneczne wspierające pobór ciepłej wody przez budynek, to w skali miasta byłyby to ogromne oszczędności. Idealem jest oczywiście

Pamięć jest przesycona przestrzenią tak, jak przestrzeń jest przesycona pamięcią.

budynek z „inteligentym” systemem analizy energetycznej, który na bieżąco przemieszcza nadmiernie nagrzane powietrze do miejsc niedogranych. Na takie rozwiązania jeszcze nas nie stać, więc stara-

my się realizować prostsze pomysły. Jednym z nich jest ogród zimowy, czyli rodzaj powietrznego zbiornika-bariery wystawionego na największą ekspozycję słoneczną. Kiedy powietrze się nagrzeje, wpuszcza się je do środka i można zmniejszyć ogrzewanie.

Takie ogrody zimowe zaprojektowaliśmy dla budynku pewnego urzędu skarbowego od strony pomieszczeń socjalnych i dostaliśmy za to baty, bo okazało się, że zrobiliśmy za dużo i zbyt komfortowych pomieszczeń socjalnych. Przestrzeń socjalna dla pracowników, czy przestrzeń wspólna jako namiastka przestrzeni publicznej, jest za-

Przykład, w jaki sposób współczesna architektura potrafi pogodzić nowoczesność z historycznym kontekstem na zasadzie podobieństwa i różnicy. Na zdjęciu budynek-plomba mający powstać na rogu ul. Kołłątaja i Peowia-ków (fot. przeciwległego, widocznego w głębi, wy-lotu ul. Kołłątaja: patrz str. 115). Ilustracja z arch. biu-ra „Stelmach i Partnerzy”.



wsze jednym z założeń projektowanych przez nas budynków użyteczności publicznej. Chcąc oderwać się na moment od swojego stanowiska pracy i zapalić papierosa czy porozmawiać, pracownik nie powinien być zmuszany do jedzenia z szuflady w biurku czy wystawiania na korytarzu. Wszystkie badania socjologiczne, do których mamy dostęp, pokazują, że najlepszym pracownikiem jest ten, kto ma w zasięgu ręki jakiś hol czy kawiarenkę, gdzie może odreagować, poczekać na kogoś, wypić kawę czy spokojnie porozmawiać z rodziną przez telefon.

J.Z.: Czy jest to związane z popularnym ostatnio terminem „humanizacja architektury”?

Nie do końca identyfikuję się z tym terminem, bo musiałbym założyć, że architektura może w ogóle być „niehumanistyczna”. Oznaczałoby to, że nie jest architekturą, o której uczy się przecież, że jest jedną z najbardziej humanistycznych dziedzin. Bo cóż może być piękniejszego niż użyteczna rzeźba czy „mechanor” do mieszkania, do życia czy pracy? Przecież takie właśnie są szczytne założenia tej sztuki.

M.S.: Skoro architektura jest sztuką kształtowania przestrzeni dla potrzeb człowieka, to może nie chodzi tu o humanizację architektury, ale tak naprawdę o „humanizację” samego człowieka, tzn. dążenie do tego, aby lepiej rozumiał swoje własne potrzeby?

Docieramy tu do determinizmu przestrzennego, który leżał u podstaw wszystkich projektów głęboko modernistycznych. Zwolennikiem poglądu, że wyrafinowane projekty mogą zmienić człowieka, był np. Le Corbusier. Okazało się jednak, że ludzie bardzo źle czuli się w jego minimalistycznej choć bardzo funkcjonalnej architekturze. Duże pomieszczenia dzielili ściankami na kłitki, a białe przestrzenie loggi i tarasów upiększali różnymi ozdobami, żeby je oswoić. Postmodernizm lansował tęzę przeciwną – że architektura powinna

dostosować się do poziomu odbiorców. Jeżeli dobrze czują się w kolorowych wnętrzach czy w domach z tympanonikami i mansardowymi dachami, to tak właśnie trzeba je projektować. To powinno być tworzywem dla architekta. W rezultacie zaczęła powstawać architektura oniryczna, zonglująca formami i stylami. Ślady tego myślenia widzimy dookoła. Ponieważ większość ludzi ma gust inspirowany klasycznymi wzorcami, to jeżeli tylko ich stać, stosują w swoich domach kolorowy marmur, a nad wejściem umieszczają tympanon i kolumnienki, bo to daje im poczucie prestiżu i zaspokaja potrzeby estetyczne.

Osobiście przychyliłbym się do szkoły deterministycznej, ale z dystansem i z zastrzeżeniem, że środowisko człowieka można kształtować tylko razem z jego mentalnością. Ludzi trzeba edukować, żeby wiedzieli, dlaczego coś jest w dobrym, a dlaczego w złym guście – bo będę się upierał, że istnieje coś takiego jak dobry i zły gust. Istnieją formy potrzebne, adekwatne, niezbędne w określonych zastosowaniach i kontekstach. Coś, co jest uzasadnione w budynku użyteczności publicznej, razi w przestrzeni prywatnej. Z braku takiej edukacji gołym okiem widać, że upowszechnianie mód architektonicznych doprowadza do ich karykaturyzowania. Najbardziej znane postmodernistyczne budynki użyteczności publicznej epatowały klasycznymi formami w nowych materiałach. Potem formy się uprościły, a materiały zostały i trafiły pod strzechy. Teraz można spotkać domek jednorodzinny, w którego wnętrzu ktoś funduje sobie niebieskie tafle szkła refleksyjnego i balustrady ze stali nierdzewnej, bo tak samo zrobił zakład gazowniczy, i jeszcze żałuje, że zabrakło miejsca na atrium z wodotryskiem. Skąd jednak ludzie mają brać wzory, jeżeli nikt ich tego nie nauczył w szkole? Jeżeli próbowalibyśmy uświadamiać ludziom, jak normy estetyczne funkcjonują w odniesieniu do przestrzeni, to myślę, że zmie-



niłyby się ich odbiór architektury, również tej ambitnej, współczesnej, która operuje wartościami. Nie da się jednak tego zrobić w oderwaniu od zmiany całej mentalności społeczeństwa.

M.S.: Przydałby się taki przedmiot, jak „estetyka” albo po prostu „piękno”, nauka piękna.

I powinien być obowiązkowy od przedszkola. Widzę tu prostą i oczywistą zależność – jeżeli ktoś od najmłodszych lat dużo czasu poświęca percepcji piękna, jego kontemplacji i rozumieniu, to zmienia się całe jego życie. Taka osoba nie tylko zupełnie inaczej patrzy na sztukę, ale również na swój byt. Ma dużo mniej problemów czysto egzystencjalnych, ponieważ w przeciwieństwie do obcowania z bogactwem, obcowanie z pięknem jest dane każdemu. Piękno może dawać tyle samo przyjemności, co bogactwo, a jest dużo łatwiej dostępne. Są to jednak dwa bieguny – albo się odczuwa egzystencję i życie poprzez piękno, albo poprzez to, co się ma, swój prestiż czy dobra materialne.

W liceum miałem szczęście być uczniem nauczycielki plastyki, na którą wszyscy patrzyli jak na dziwaczkę, bo na każdą lekcję przynosiła dziesiątki albumów, czasopism, publikacji. Jej lekcje były jakby żywcem wzięte z dowcipu, bo

Centrala Pierwszego Komercyjnego Banku w Lublinie przy ul. Boczna Lubomelskiej. Proj. biuro „Stelmach-Jabłoński”. Realizacja w 1996 r. Pierwsza nagroda w konkursie „Życie w architekturze” za najlepszy projekt budynku użyteczności publicznej. Fot. M. Skrzypek.

Fragmenty opisu projektu Centrum Chopinowskiego

Idea

Przyjęto założenie możliwie najlepszego wpisania się w zastany krajobraz zdefiniowany przez Pałac Ostrogskich z otoczeniem, sąsiednie kamienice i pobliską Akademię Muzyczną. Budynek Centrum Chopinowskiego zaprojektowano jako jedną, dwuczściową bryłę. Jej podstawę stanowi odtworzona w gabarytach i elewacji od ul. Tamka, kamienica Alojzego Anasińskiego. Jej kontynuacją jest lekka, matowa, tylko częściowo transparentna struktura przestrzenna. Ma ona wysokość sąsiedniej kamienicy przy ul. Tamka 45 kształt pozwalający na maksymalne otwarcie widoku na zachodni fronton Pałacu Ostrogskich od strony ul. Ordynackiej. Moduły konstrukcji górnej części powtarzane przez elewacje wynikają z podziałów odtworzonej elewacji kamienicy Anasińskiego. Wertykalne rytmy odpowiadają otoczeniu. Elewacja zwrócona ku Pałacowi jest transparentna, osłonięta przez zachowane topole.

Otoczenie

Nie zmienia się otoczenia projektowanego budynku. Przestrzeń placu pomiędzy Pałacem a Centrum pozostaje niezmieniona. W urządzenie posadzki przed Centrum wprowadza się pas piaskowca. Istniejące przed Centrum topole, wraz z innymi w sąsiedztwie, uznaje się za jedną z wartości definiujących tożsamość miejsca. Tworzą one charakterystyczne pionowe rytmy otoczenia.

Struktura przestrzenna

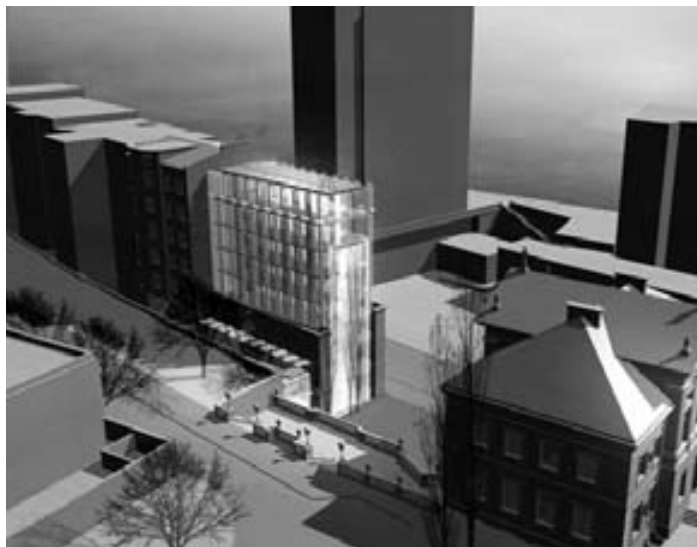
Projektowany budynek składa się z dwóch różnych przestrzennie kubatur. Poziomy -1, 0 i +1 tworzą wielopoziomową przestrzeń publiczną. Łączy je hall i schody. Stropy hallu zaprojektowano jako częściowo transparentne, ponieważ w tym miejscu zabudowano otwarte niegdyś podwórko. Podkreśla to górne oświetlenie i cofnięcie kondygnacji od istniejącego muru. Budynek jest bardziej otwarty, transparentny na południe i wschód, ze względu na gospodarkę energetyczną i widok.

Materiały, kolorystyka

Budynek ma być od zewnątrz jasno szary, matowy. Jako okładzinę ścian odtworzonego gabarytu kamienicy Anasińskiego proponuje się biały wapień (Pińczów lub Karsy). Cokół i obramienia okien oraz gzymsy z szaro beżowego piaskowca (Szczytna lub Radków). Obudowa konstrukcji

stalowej wyższej części z jasno szarego granitu Kuru z elementami białego marmuru Biała Marianna. Przesłony na elewacji północnej i „łamacze” światła na elewacji południowej z białego alabastru. Alabaster krystalizowany powierzchniowo i łączony w zestawy z tafłami szklanymi z zastosowaniem szyb Suncool HP neutralnego. Gzyms wieńczący na poziomie +23.60 z piaskowca Pińczów. Części transparentne z tafli szklanych w zestawach. Od południa i od wschodu Insulight VISI z żaluzjami, o wysokiej izolacyjności energetycznej. Od północy Insulight z zastosowaniem szyb Suncool HP neutralnego. Pełna wersja oraz ilustracje: http://www.ro-net.pl/archiwum/centrum_chopinowskie

Centrum Chopinowskie w Warszawie przy ul. Tamka 43 wg proj. biura „Stelmach i Partnerzy”. Ilustracja z arch. biura.



Uzasadnienie przyznania I nagrody

projektowi Centrum Chopinowskiego dla biura Stelmach i Partnerzy jako przykład, w jaki sposób publiczne konkursy mogą zwiększać naszą wrażliwość na piękno i zrozumienie funkcjonowania architektury w przestrzeni publicznej (uzasadnienie zostało zamieszczone w publikacji nt. najnowszych realizacji architektonicznych w Warszawie):

- stworzenie, oryginalnej, pełnej wyrazu, pomnikowej formy architektonicznej;
- niebanalność i ponadczasowość formy budynku – siedziby prestiżowej instytucji, zachowującej wskazaną równowagę między monumentalnością i powagą a otwartością i nowoczesnością;
- za najlepsze, twórcze wykorzystanie unikalnych cech miejsca w sensie topograficznym i symbolicznym – bardzo dobre wpisanie architektury budynku Centrum Chopinowskiego w urbanistyczny kontekst ulicy Tamka oraz w architektoniczny kontekst Pałacu Gnińskich: wertykalna forma wzbogaca i wzmacnia „wąwózowy” krajobraz ulicy, nadaje wyraz wzniosłości, a symetria fasady wschodniej odpowiada symetrycznej fasadzie pałacu;
- spójność systemów budynku: funkcjonalnego, konstrukcyjnego i instalacyjnego, które razem tworzą czytelną, konsekwentną i unikalną strukturę architektoniczną;
- operowanie dojrzałym, wyrazistym detalem nawiązującym do form wertykalnych obecnych w architekturze Warszawy;
- bardzo dobre rozwiązanie wejścia głównego do budynku w rejonie górnego spocznika schodów, oryginalne rozwiązanie strefy dawnego podwórka oraz prawidłowe wskazanie strefy przy ulicy Ordyńskiej na realizację przewidywanych połączeń z Pałacem, akademią i garażem podziemnym;
- właściwa i wyczerpująca odpowiedź na złożone uwarunkowania konserwatorskie: utrzymanie dobrej ekspozycji pałacu z obu ulic, zaznaczenie gabarytu wyburzonej kamienicy, odtworzenie elewacji kamienicy z wykorzystaniem jej dla zbudowania nowej struktury budynku, podporządkowanie nowego budynku zasadom komponowania historycznych kamienic.

miała tylko 2-3 wiernych słuchaczy, którzy siadali blisko katedry, a reszta klasy zajmowała się swoimi sprawami. Dodatkowo prowadziła zajęcia pozalekcyjne. Wbrew pozorom nie była szczególnie wykształconą osobą, ale pasjonowała ją to, czym się zajmowała. Bardzo chciała się dowiedzieć, dlaczego Picasso „ślawnym malarzem jest”. Znosiła więc albumy i choć sama nie wiedziała, dlaczego właściwie postać ludzka na obrazach kubistycznych jest tak zniekształcona, to przecież dawała nam możliwość obcowania z tymi obrazami. Było to dla nas wyzwaniem, wyprawą w nieznane. A kiedy tę wrażliwość, ten zmysł odkrywcy budzi się na poziomie dziecka czy nastolatka, to człowiek już nigdy nie staje się głuchy, zamknięty na świat piękna.

Centrum Chopinowskie wg proj. biura „Stelmach i Partnerzy”. Ilustracja z arch. biura.



O tym, kto na budowie wie najwięcej

J.Z.: Nie wszyscy są utaletnowanymi twórcami. Wielu ludzi ma natomiast talent do chłonięcia sztuki, do patrzenia na cudze dzieła i to ich ubogaca wewnętrznie.

Patrzenie jest ważniejsze, bo talent manualny w połączeniu z wrażliwością jest darem od Boga dla nielicznych. Reszta może patrzeć i uczyć się, że życie bez piękna jest kalekie. O tym wszystkim, moim zdaniem, w Polsce się nie mówi. Pochodną tego jest lekceważenie elit dla estetyki i mały odsetek ludzi zajmujących się sztuką jako twórcy czy krytycy.

M.S.: Za czasów mecenatu ten odsetek też nie był imponujący, ale przynajmniej bogactwo częściej chodziło w parze z wrażliwością i potrzebą piękna.

Mecenat jest niezbędny, bo uprawianie sztuki ambitnej jest w 90% nieopłacalne, więc, żeby ona powstawała, muszą się znaleźć ludzie, którzy za nią zapłacą – i mniejsza o to, czy ze względu na swoją wrażliwość czy snobizm.

M.S.: Jak wobec tego, co powiedzieliśmy o potrzebach człowieka, ambicjach artystycznych architektów i niedorozwoju wrażliwości na piękno, odbierane są projekty biura „Stelmach i Partnerzy”?

Mamy wiele problemów, aby przekonać odbiorców do architektury, która nam się podoba, która odzwierciedla to, co wiemy dzisiaj o przestrzeni, o sztuce. Jak mówiłem, jest to architektura minimalistyczna inspirowana modernizmem, ale bez jego etosu determinizmu przestrzennego. Przekonywanie klientów do naszych wizji idzie bardzo opornie, bo ludzie nie przywykli do takiej sztuki, nie mówiąc już o architekturze. Ile znacze osób, które chodzą do galerii sztuki współczesnej, którym podoba się Mysłowski, Winiarski czy Opałka?

M.S.: Dlaczego wymienił Pan akurat te nazwiska? Czy reprezentują one jakieś uniwersalne wartości, które warto upowszechniać?

Wymieniłem artystów, których lubię i cenię. Nie wiem, na ile to, co cenię w sztuce, jest warte popularyzacji, ale wiem, że jeżeli ktoś zaczął swoją drogę tam, gdzie skończył ją Malewicz, to oznacza, że w sposób naturalny kontynuuje poszukiwania jak najprostszego i jak najbardziej przejmującego sposobu wyrazu. Na przykład u Ryszarda Winiarskiego intryguje mnie relacja między liczbami, statystyką, czyli między jakąś metodą tworzenia, a jej wyrazem plastycznym. Wartością sztuki jest dla

Piękno może dawać tyle samo przyjemności, co bogactwo, a jest dużo łatwiej dostępne.

„Brama” do kwartału Foksal od strony Wisły – planowana zabudowa Al. Jerozolimskich wg proj. „Stelmach i Partnerzy”. Ilustracja z arch. biura.



mnie jak największa siła wyrazu przy jak największej prostocie i czystości formy. Jako biuro architektoniczne stosujemy tę zasadę w praktyce, np. starając się przygotowywać monochromatyczne materiały prezentacyjne projektów, żeby nie przekonywać inwestorów kolorami, czyli środkami wyrazu zawartymi w edycji projektu, lecz samym pomysłem i ideą. Edycja projektu to też przekaz.

M.S.: Dla architekta sztuka współczesna ma chyba też tę dobrą cechę, że nie zgrzyta z odmiennymi od siebie kontekstami. Na przykład nowoczesna nadbudowa Centrum Chopinowskiego harmonizuje z tradycyjną, charakterystyczną elewacją przedwojennej kamienicy.

Sztuka współczesna uczy prostoty formy, która pozwala skupić się na kwestiach najbardziej istotnych dla projektowania dobrej architektury – kwestiach proporcji, światła, doboru materiałów, relacji między różnymi elementami. A to jest już właściwie „sztuka tajemna”, obszar, który wymaga profesjonalnej wiedzy i w którym czuję się najlepiej. Nowy budynek nie powinien epatować, lecz wtopić się w tło – czy będzie nim przyroda, czy historyczne otoczenie. Moim podstawowym założeniem jest

prostota architektury, a podstawowym kryterium prostoty jest unikanie bycia najważniejszym elementem przekazu.

J.Z.: A więc kontekst ułatwia Panu projektowanie?

Zdecydowanie tak. Wystarczy popatrzeć na osiągnięcia biura – te 3-4 konkursy, które były najważniejsze dla nas i jednocześnie jedne z największych w Polsce. Udało nam się wygrać, bo staraliśmy się nawiązać dialog z kontekstem. Rozumiemy kontekst i szanujemy go. Na przykład w przebudowie kwartału Foksal w Warszawie najważniejszą kwestią był fakt istnienia tam trzech różnych kontekstowych „światów”: zdegradowanej skarpy wiślanej, wewnętrznych podwórek starego Foksalu, ale też wielkowiejskich Alei Jerozolimskich, świat domów o najwyższej randze i prestiżu. Na skarpie zaprojektowaliśmy promenady i wyburzyliśmy wielki, szpecący ją wieżowiec z reklamą Ericksson, za co, nawiasem mówiąc, dostaliśmy od „Gazety Wyborczej” straszne ciągi. Zrobili wokół tego straszną zadymę. O szóstej rano pukali do drzwi mieszkańców i pytali: Czy pan/pani wie, że ten budynek będzie wyburzony? Odpowiedzi lokato-

Jeżeli mamy kiepskich kelnerów, to dlaczego mielibyśmy mieć dobrych architektów?



O tym, kto na budowie wie najwięcej



Budynek Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego oraz jego otoczenie w trakcie rozbudowy biblioteki wg projektu biura „Stelmach i Partnerzy”. Fot. M. Skrzypek.

rów były potem cytowane na pierwszej stronie pod tytułem „Ostre cięcie”, czyli jak architekci-idioti społecznie zmieniają przestrzeń Warszawy.

Innym przykładem, w jaki sposób można wpisywać architekturę w kontekst, jest rozbudowa Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie – obiektu z lat 20. reprezentującego polski funkcjonalizm, który, moim zdaniem, jest bardzo piękny, łącznie z wnętrzami. Dookoła zaś mamy osiemnastowieczne oficyny i szpetną przybudówkę będącą samowolą budowlaną z lat 30. Projekt polega na przedłużeniu gzymsu istniejącego budynku i „doklejeniu” się do niego jak najmniejszą kubaturą poprzez przeszkloną prze-

strzeń, oddzielającą stare od nowego. Elewacja, która znajdzie się we wnętrzu, zostanie odkuta z tynku na całej wysokości, odsłaniając oryginalną cegłę, jaka by ona nie była. Nowoczesny budynek ma zasłonić szpetną nadbudówkę, ale nie konkurować z oficynami. Ponieważ wymagania kubaturowe były duże, całą resztę umieściłem pod ziemią, gdzie na dwóch kondygnacjach mieszczą się magazyny, sale konferencyjne. Najbardziej transparentna część budynku otwiera się na powizytkowski kompleks. Podziemie jest doświetlone przez fosę i patio z zielenią. W ten sposób uhonorowaliśmy wszystkie konteksty.

M.S.: **Dobra nowoczesna architektura w historycznym kontekście broni się tym, że**



„nadaje” na tak innej częstotliwości niż otoczenie, iż obie te „transmisje” nie nakładają się na siebie i nie powstają nieprzyjemne interferencje.

To wynika z podstawowego założenia modernizmu – nie imitować. Architektura nie powinna za pomocą jakiejś mimesy udawać czegoś, czym nie jest. We Francji tuż po studiach w ciągu dziesięciu minut przekazano mi coś, czego wcześniej nie dowiedziałem się przez pięć lat nauki: „Imitowanie jest niemoralne. Po pierwsze, nie możesz projektować architektury, która udaje coś, czym nie jest, np. architekturę piętnastowieczną czy osiemnastowieczną, bo nie żyjesz w piętnastym ani osiemnastym wieku. Po drugie, równie niemoralne jest schlebianie gustom, czyli robienie czegoś »pod klienta«. Architekturę robi się dla siebie. Masz jedno twórcze życie i jeżeli go nie wykorzystasz, to ono po prostu nie ma sensu”.

M.S.: Czy architektura nieco hermetyczna, bo inspirowana współczesną refleksją nad sztuką, ma z czasem szansę na powszechną akceptację i zrozumienie, jeśli jest stworzona starannie, z zastosowaniem owej „wiedzy tajemnej” na temat proporcji, światła itp.?

Nie jestem o tym przekonany. Z tą akceptacją bywa różnie. Inwestorzy budynku Telekomunikacji Polskiej rozumieli, że mój projekt jest cenny i ważny, wiedzieli, że ma dobre recenzje, ale tak naprawdę o takim wyborze przesądziła ich wizyta w Niemczech w siedzibie Siemens. Tam zobaczyli podobne budynki i czuli się w nich dobrze. Po powrocie zaczęli działać na zasadzie mecenatu, czyli wynajęli artystę, który miał im zbudować podobny obiekt, co jednak wcale nie znaczyło, że dokładnie wiedzieli, na co się zamierzają. Gdy przyszło do uzgadniania detali,

Projekt rozbudowy biblioteki. Ilustracja z arch. biura „Stelmach i Partnerzy”.



O tym, kto na budowie wie najwięcej

okazało się, że zarząd nie jest w stanie zaakceptować na swoim piętrze ścian z czarnego łupka bitumicznego, gołego betonu i tafli lustra. To zmieniono, wprowadzając np. piaskowiec. Inwestorzy i użytkownicy „Atrium” w Nałęczowie zaraz po jego wybudowaniu byli pełni rezerwy. Dopiero po ponad roku przekonali się do tego rodzaju architektury. Zobaczyli na własne oczy to, co im wcześniej tłumaczyłem: że ciemne wnętrze jest potrzebne, żeby zieleń mogła „wejść” do środka, bo jeśli będzie jaśniejsze, to olbrzymi kadr okna z parkiem na zewnątrz przestanie być najważniejszy.

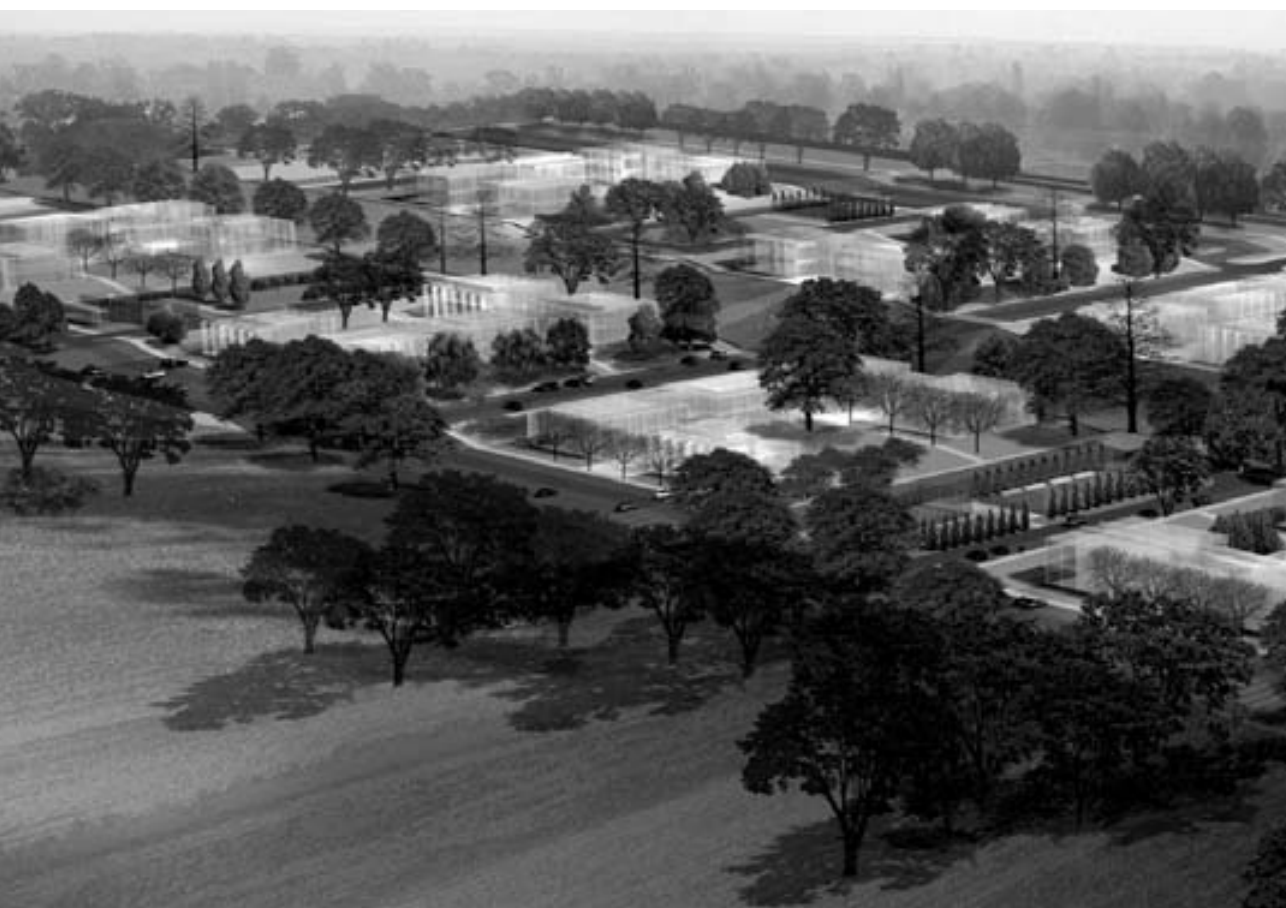
Ja bardzo dobrze czuję się w takich wnętrzach. Na co dzień mieszkam w przestrzeniach zaprojektowanych przez siebie z białego kamienia, szkła i czarnego łupka bitumicznego. Meble są ze szkła, stali nierdzewnej, czarnej skóry. Najlepiej się czuję w minimalistycznej, designerskiej przestrzeni. Mój

gust i architektura nie jest więc pozą, ale zdaję sobie sprawę, że wcale nie muszą przez to cieszyć się zrozumieniem i akceptacją. Myślę, że mam dużo pokory i zrozumienia dla polskiej rzeczywistości. Przy tak gwałtownych zmianach, jakie w niej zachodzą, przy tak wielkich problemach odziedziczonych po komunizmie, ludzie mają tysiące innych kłopotów niż moja architektura czy estetyka. Mam więc pewną nieśmiałość w stosunku do tego społeczeństwa, bo widzę, jak ludzie żyją. Ale skoro jestem architektem, to muszę robić to, co robię najlepiej, jak potrafię, a więc kierować się egoizmem.

M.S.: Poszedł Pan na całość i osiągnął sukces, zanim się Pan zniechęcił.

Nie zniechęciłem się i na pewno nie zniechęcę. Parę razy byliśmy na granicy plajty, czasem przekraczamy terminy, żeby zrobić coś dobrze, mimo że naraża nas to na kary umowne. Bywa też, że podejmujemy się prac, choć wiemy,

Widok ogólny projektu Parku Naukowo-Technologicznego w Lublinie autorstwa biura „Stelmach i Partnerzy” (przy ul. Droga Męczenników Majdanka). Ilustracja z arch. biura.

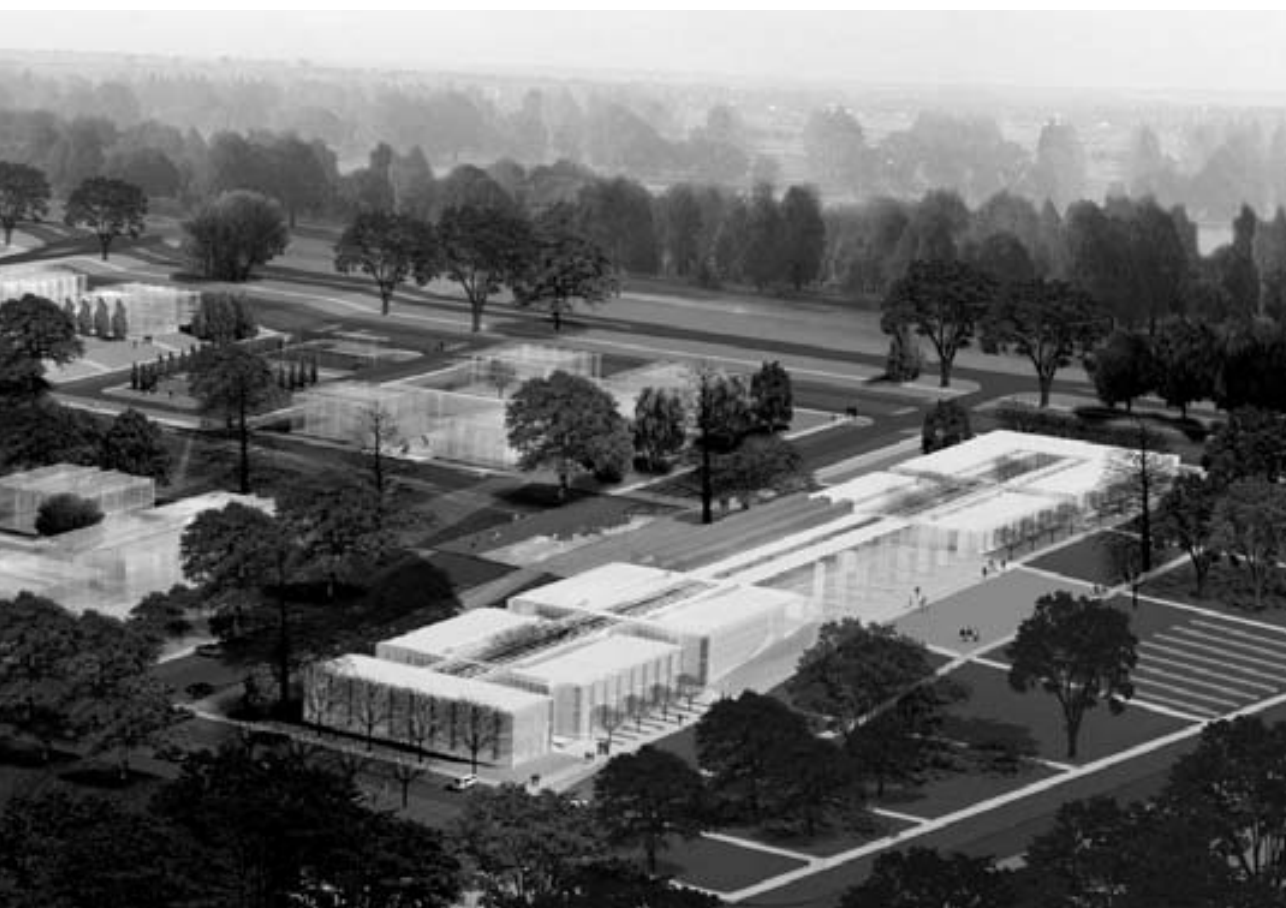


iz nie dostaniemy za nie adekwatnego wynagrodzenia. Ale czasem, jak się wydaje, osiągamy sukces, jak na przykład wygrana w konkursie na realizowany właśnie Lubelski Park Naukowo-Technologiczny przy Drodze Męczenników Majdanka. Zaprojektowaliśmy tam najnowocześniejszą architekturę, także jeżeli chodzi o wnętrze i technologię. Zadanie polegało na tym, żeby na 20 hektarach zaprojektować zespół obiektów łączących funkcję badawczą, wystawienniczą oraz produkcyjną dla firm, które w przyszłości będą korzystały z dorobku laboratoriów naukowych. Wykorzystałem naturalne ukształtowanie terenu do zaprojektowania otwartego dla wszystkich parku z bieżącą wodą w systemie zamkniętym, która jest przepompowywana, umożliwiając istnienie ekosystemu będącego odzwierciedleniem ekosystemu regionu. Park sąsiaduje z laboratoriami tak nasycenymi technologią, że naj-

bliższe laboratorium biogenetyki czy nanotechniki o podobnym standardzie znajduje się we Frankfurcie nad Menem. Architektura jest przy tym minimalistyczna, zawiera tylko niezbędne elementy, a dodatkowo kiedyś będzie porośnięta kożuchem zieleni.

Staramy się być konsekwentni. Jeżeli wyznaje się jakieś wartości, trzeba ich bronić i trzeba je uprawiać, natomiast wcale nie jestem przekonany, że te nasze koncepcje mają jakąś siłę przebicia, że zostaną kiedyś bardziej powszechnie zaakceptowane. Myślę, że w tym, co robimy, mamy też dużo szczęścia, że wygrał akurat ten projekt parku naukowo-technologicznego czy Foksal. Równie dobrze projekty te mogły przepaść. Jeżeli skład sędziów konkursowych byłby inny lub przyjęliby oni inne kryteria, to być może teraz w obronie

Media uganiają się za pseudopolitycznymi, głupawymi sensacjami – i to one anarchizują społeczeństwo.



wartości, o których mówimy, mógłbym przedstawić najwyżej wyróżnienia. Na kilkanaście konkursów wygrałoby raptem kilka.

M.S.: Co więc można jeszcze robić, poza edukacją szkolną, żeby ludzie potrafili odnajdywać w architekturze jakiś sens?

Po pierwsze, tego sensu powinno być więcej, a po drugie, należałoby zwiększyć zaufanie do profesjonalistów. Przede wszystkim, musimy mieć dobrych architektów, którzy są świadomi tego, co robią. Wiedzą, że projektują budynki optymalne kosztowo, na wysokim poziomie pod względem techniki i ergonomii oraz według zasady adekwatności i profesjonalizmu. A z tym jest różnie. Architektura jest taką samą dziedziną społeczną, jak choćby restauratorstwo. Jeżeli mamy kiepskich kelnerów, to dlaczego mielibyśmy mieć dobrych architektów? Jeżeli natomiast chodzi o zaufanie do profesjonalistów, to na przykład w Holandii – a w poszukiwaniu współczesnych wzorców siłą rzeczy muszę spojrzeć na Zachód – nikomu nie przychodzi do głowy, żeby kwestionować architekturę tylko dlatego, że dziś jej się nie rozumie. Tam również nie wszyscy zachwycają się pomysłami architektów, ale ufają opinii kompetentnych, profesjonalnych gremiów. Jeżeli one wypowiadają się,

iz dany pomysł wyłoniony w drodze określonego postępowania, np. konkursowego, jest świetny z tego czy innego względu, to znaczy, że rzeczywiście jest świetny i nierealistycznie byłoby uważać, że przeciętny człowiek będzie w stanie wgłębić się w kryteria oceny, do której potrzebna wiele lat wykształcenia i doświadczenia.

M.S.: Jeżeli jednak ta metoda się sprawdza, to znaczy, że w końcu ludzie przekonują się do pomysłów architektów?

Przekonują się, bo tam architekci prezentują wyższy poziom architektury. U nas też są biura, które intelektulanie mogą konkurować z każdym biurem na świecie, ale poziom budowlany wykonawstwa jest gorszy. We Francji buduje się według zatwierdzonego projektu i nikomu nie przychodzi do głowy cokolwiek w nim zmieniać. Wszystkie te fantastyczne dziewiętnastowieczne i współczesne budynki, które widzimy na ulicach Paryża, zbudowali architekci, bo taką jest zasada funkcjonowania społeczeństwa, że każdy powinien robić swoje. W Polsce – i to jest z kolei nasza zasada – wszyscy wiedzą lepiej: inwestor, wykonawca, doradcy, ponieważ przez całe dekady architekt był tylko od tego, żeby produkować dokumentację, czyli coś, co było nikomu do niczego nieprzydatne, albo asystował przy budowie osiedli z wielkiej płyty, gdzie wystarczał średni poziom technika. Budynki, które powstawały, nie były więc tak naprawdę efektem pracy architekta. Tymczasem to, co się nie tylko zaprojektuje, ale i wybuduje, musi bronić się samo, a projektant i budowniczy w jednej osobie automatycznie staje się niekwestionowanym autorytetem. Tych autorytetów we Francji czy Holandii jest wiele i nie mogą ich osłabić dyskusje społeczne, które są bez porównania poważniejsze i gorętsze niż u nas, co jest drugim istotnym elementem tej gry. Dla sztuki nie ma bowiem nic gorszego niż cisza, a w Polsce ta cisza jest

Dom Jana Pawła II przy ul. Boczna Lubomelskiej wg proj. biura „Stelmach i Partnerzy”. Realizacja „pod klucz” 1992 r. Zwycięstwo w plebiscyście „Miasto skarbów” org. przez „Gazetę Wyborczą w Lublinie”. Fot. M. Skrzypek.



wręcz dramatyczna. Media uganiają się za pseudopolitycznymi, głupawymi sensacjami i to one anarchizują społeczeństwo. Kiedy czytam gazety, również lokalne, przecieram oczy. Mam wrażenie, że dziennikarze i ci, których opisują, żyją własnym życiem, w innej rzeczywistości, a to, co istotne, mądre i piękne, w ogóle nikogo nie interesuje. Nawet jeśli ktoś napisze coś rzetelnego, redaktor za pomocą nożyczek robi z tego kolaż, który będzie pasował do profilu sprzedaży.

J.Z.: Do tego, czego, jak mu się wydaje, ludzie potrzebują.

Za każdym razem, kiedy o tym myślę, przypominam sobie wywiad z Umberto Eco po oszałamiającym sukcesie *Imienia róży*, w którym powiedział, że wszystko, co napisał w tej powieści, jest właściwie antykomercyjne. Nie ma nic bardziej niezrozumiałego dla współczesnego człowieka niż średniowiecze, nie ma bardziej hermetycznego tematu niż historia w klasztorze, gdzie seks zajmuje dwa zdania na 600 stron. Gdyby jakiś spec od marketingu postanowił wymyślić bestseller, na pewno nigdy nie wpadłby na to, że można napisać *Imię róży*. Problem, który gnębi nasze społeczeństwo, polega na takim właśnie podejściu: ktoś czyta wyniki badań rynkowych, na podstawie których tworzy populistyczną „karmę”, która jak w zamkniętym obiegu wraca do społeczeństwa.

Jeżeli chodzi o architekturę, przykładem pogoni dziennikarzy za tanią sensacją był hałas medialny wokół umiejscowienia pomieszczeń Biblioteki Łopacińskiego pod poziomem gruntu. W tym samym czasie, kiedy pojawił się artykuł alarmujący, że w przyszłości jej zbiorom grozi zniszczenie przez wodę, na UMCS-ie oddawano właśnie bibliotekę wydziałową zajmującą właśnie kondygnacje pod ziemią. Oczywiście, zawsze istnieje niebezpieczeństwo zalania pomieszczeń poniżej poziomu



terenu – np. w wypadku jakiegoś stuletniego deszczu, którego zresztą wcale nie można wykluczyć. Myślę jednak, że w przypadku Biblioteki Łopacińskiego zrobiliśmy wszystko, co można przy istniejącym poziomie techniki, aby do tego nie dopuścić: na zewnątrz 25 cm betonu wodoszczelnego, od środka impregnacja najlepsza, jaka jest na rynku, z trzydziestoletnią gwarancją. Powstał rodzaj wanny. Zawsze znajdują się jakieś otwory, np. klatki schodowe, zawsze może nastąpić jakiś przeciek, ale statystycznie rzecz biorąc, jest to tak mało prawdopodobne, że podnoszenie w tej sprawie alarmu nie ma sensu. Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego na Powiślu, jedna z najważniejszych księżnic w kraju, ma dwie kondygnacje głębiej

Międzywojenny budynek NBP przy ul. Chopina wg proj. Mariana Lalewicza, zmodernizowany przez biuro „Stelmach i Partnerzy”. Nagroda Ministra Kultury za najlepszą rewaloryzację obiektu publicznego w 1994 r. Fot. M. Skrzypek.

Międzywojenny budynek NBP wg proj. Józefa Szanajcy i Bolesława Lacherta przy ul. Krakowskie Przedmieście. Fot. M. Skrzypek.





Powojenny budynek byłego Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy Al. Racławickich. Obecnie Akademia Medyczna. Fot. M. Skrzypek.

i to zanurzone 4 m w wody gruntowe. Tamtą „wannę” zbudowano w ten sposób, że najpierw wylano beton, a potem wywieziono z niej mokrą ziemię. Teraz jest w niej sucho, ale ponieważ zgodnie z przepisami przez 2 lata od ukończenia budowy w takich pomieszczeniach nie można przechowywać archiwaliów, przejściowo zorganizowano w nich wesołe miasteczko dla dzieci. Jest to standardowe rozwiązanie dla kondygnacji podziemnych. Powołałem się na to rozwiązanie w rozmowie z panią dziennikarką, ale ten przykład nie znalazł się w artykule. Nie pasował do z góry założonej, sensacyjnej tezy.

Powojenny budynek Urzędu Wojewódzkiego przy ul. Spokojnej. Fot. M. Skrzypek.



M.S.: Społeczeństwo jest niedojrzałe, a dodatkowo degradowane przez media, ale zauważył Pan, że profesjonalistów też brakuje. Jak wybrnąć z tej sytuacji?

Poczekać. Jedne zmiany zajmą kilka lat, inne kilka pokoleń. Te zmiany, które wokół siebie widzimy, są wbrew pozorom bardzo płytkie i nie ma żadnej cudownej recepty, żeby je pogłębić czy przyspieszyć.

M.S.: A konkursy czy wystawy służące popularyzacji architektury? A rozmowy o architekturze?

Powinny być – to prawda. Przydałyby się choćby wystawy pokazujące, co przez rok zostało w mieście zbudowane. Istotnym kalectwem środowiska lubelskiego jest brak dyskusji o architekturze przy najróżniejszych okazjach. Rozwinięte społeczeństwa cechuje zażarta debata na temat każdego skrawka przestrzeni publicznej. Te dyskusje zawsze prowadzą do edukacji. Poprzez wymianę argumentów stwarza się sytuację, że wszystkie strony zyskują na dany temat tę samą wiedzę, a proszę zauważyć, że nawet wśród architektów istnieje wiele stron kompetentnych w różnych obszarach: środowiska naukowe, które dysponują wiedzą, aparatem pojęciowym i autorytetem, architekci działający na rynku, tacy jak my, architekci z Urzędu Miejskiego czy innych instytucji, np. zajmujący się stroną prawną kształtowania przestrzeni miejskiej. Myślę że wzajemna edukacja tych środowisk jest niezbędna do rozwoju, bo jeżeli ktoś nie zadaje pytań, to nie zmusza do odpowiedzi. Jeżeli natomiast zmusza, to od razu podnosi poprzeczkę autorefleksji.

Mam w tym względzie dobre doświadczenia z dawnym miejskim konserwatorem zabytków w Lublinie Markiem Stasiakiem, z którym zawsze można było dojść do porozumienia w dialogu i znaleźć dobre rozwiązanie. On nie mówił „nie”, tylko pytał „dlaczego?” Zawsze zastanawialiśmy się na temat współbrzmienia wartości zastanych z tymi,

które pojawią się w danym miejscu po realizacji projektu. Ja informowałem go o uwarunkowaniach, z jakimi musimy się liczyć jako architekci, a on cały czas zwracał uwagę na świętą zasadę: „po pierwsze nie szkodzić”. Im taki dialog jest bardziej szczerzy, tym lepiej. Moim zdaniem, w Lublinie poziom profesjonalizmu, gdy chodzi o branie odpowiedzialności za swoje decyzje, jest niski. Dla decydentów często każdy głos na „nie”, a w obronie wartości publicznych, to przerażenie i gorączka, bo a nuż w gazecie ktoś źle napisze i co wtedy? Od urzędnika często wymaga się uzasadnienia, wręcz obrony swoich decyzji, ale żeby mógł to robić, musi być kompetentny, musi podejmować decyzje z pełną świadomością, a nie tak, że ona „się” podejmuje, a po roku urzędnik jest przestraszony, bo nawet sam sobie nie potrafi jej uargumentować.

J.Z.: Czy w Polsce istnieje krytyka architektoniczna – coś na wzór krytyki teatralnej?

W moim przekonaniu jest ona „narzędziem w zaniku”, a mogłaby być kapitalnym instrumentem do rozwoju architektury jako sztuki, obszaru poznania humanistyki. Świetnym krytykiem architektury jest Henryk Drzewiecki, warszawski architekt, który już nie pisuje, a którego eseje jeszcze w latach 80. czytało się z zapartym tchem. Pisujący w latach 70. Krzysztof Chwalibóg i prof. Przemysław Szafer za każdym razem prezentowali profesjonalne i bardzo szerokie spojrzenie na problemy architektury. Wiedzieli, co się buduje na świecie, jakie zamiary były u podstaw projektu, co w efekcie autor powiedział, a co mu się nie udało. W tej chwili tego bardzo brakuje. Jerzy Majewski, warszawski dziennikarz i historyk z wykształcenia, pisuje w teraz o historii architektury warszawskiej. To są świetne teksty, których w Lublinie nie usłyszysz, a szkoda, bo otworzyłyby nasze głowy. Mało kto wie, jak arcyciekawa była przestrzeń Lublina przed wojną,

jaka to była kopalnia wartości humanistycznych. W naszej rozmowie skupiliśmy się na artystowskim aspekcie architektury, ale gdybyśmy popatrzyli na aspekt społeczny tego nieprawdopodobnego bogactwa, które niosła architektura i przestrzeń w Lublinie przedwojennym, to zobaczylibyśmy, że dziś żyjemy jak na pustyni. Wtedy istniała różnorodna oferta przestrzenna, która była bez porównania większa aniżeli teraz. Myślę o przestrzeni „długiego” Krakowskiego Przedmieścia, tylu przepięknych eklektycznych kamienicach i budynkach funkcjonalizmu (dwa banki NBP: Mariana Lalewiczka przy ul. Chopina oraz Józefa Szanajcy i Bolesława Lacherta przy Krakowskim Przedmieściu 64), o Parku Saskim i lubelskich placach. W przeciwieństwie do tamtych czasów nie potrafiliśmy dzisiaj wytworzyć przestrzeni, z którą lublinianie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku mogą się identyfikować. Są to pokolenia pozbawione „przestrzennej” formy, jaką mają inne miasta w Europie. Na marginesie mówiąc, proponowaliśmy z Tadeuszem Mysłowskim wytworzenie takiej przestrzeni przed Teatrem w Budowie.



Fragment budynku na osiedlu ZOR-y przy ul. Pułchacza z częściowo ocieploną i odnowioną elewacją. Fot. M. Skrzypek.

Niechęć do współczesnej architektury bierze się głównie z niewiedzy.

Fragment wnętrza osiedla ZOR-y przy ul. Droga Męczenników Majdanka – socjalistyczne mieszkania, ale bardzo udana, choć zaniedbana, urbanistyka. Fot. M. Skrzypek.



O tym, kto na budowie wie najwięcej



Makieta Os. Słowackiego wg proj. Oskara Hansena w: H. Gawarecki, Cz. Gawdzik, *Lublin. Krajobraz i architektura*, Warszawa 1964, s. 67.

Nawet mieliśmy nazwę: „Plac Unii Europejskiej”. Sądzę, że nowy, współczesny plac byłby naturalną kontynuacją na drodze rozwoju Lublina: Stare Miasto – Plac Litewski.

J.Z.: Gdybyśmy za cesurę uznali 1939 rok, to jakie realizacje architektoniczne uznałby Pan za najważniejsze dla Lublina?

Z lat powojennych mamy w Lublinie mocno zaznaczony okres socrealizmu. Lata pięćdziesiąte zaowocowały bardzo ciekawymi i wartościowymi obiektami, np. obecnym Urzędem Wojewódzkim na Spokojnej czy dawnym Komitetem Wojewódzkim przy Alejach Raclawickich. Również osiedla ZOR, które przy całej krytyce i niechęci w latach 60. i 70. dziś, o dziwo, w porównaniu do najnowszej tkanki miejskiej bronią się całkiem nieźle. Projektowano je w warszawskim Towarzystwie Budownictwa Robotniczego „Zakłady Osiedli Robotniczych”, gdzie pracowali najwybitniejsi polscy architekci, tacy jak Krystyn Olszewski. Powstały obiekty bardzo przemyślane, choć potem zdewastowane np. przez kwaterowanie

dwóch–trzech rodzin w trzypokojowym mieszkaniu. W tych latach pojawiają się też nazwiska dwóch wybitnych lubelskich architektów: Czesława Gawdzika oraz Tadeusza Witkowskiego. Jeżeli mówimy o nędzy lubelskiej architektury, to mówimy też o braku dokumentacji tych mniej znanych architektów, którzy przecież mają w tym mieście swój wkład. Publikacji na temat tego okresu są bardzo skromne. To jeszcze jeden przyczynek do wątku naszej rozmowy poświęconego niechęci do współczesnej architektury – bierze się ona głównie z niewiedzy.

Następny etap w rozwoju lubelskiej architektury to lata 60. i tu pojawia się nazwisko Stanisława Kukuryki, pierwszego prezesa spółdzielni budownictwa mieszkaniowego w Lublinie, dzięki któremu powstały tu dwa osiedla, zawsze wymieniane jednym tchem przez każdego architekta: Osiedle Mickiewicza zaprojektowane przez Feliksa Haczewskiego i Osiedle Słowackiego Oskara Hansena. Haczewski jako pierwszy chodził z różdżkarzem po „Słonecznych wzgórzach”, jak wówczas nazywano przyszły plac budowy osiedla, szukając najlepszych miejsc na budowę domów, a potem perfekcyjnie wpisał je w rzeźbę terenu. Hansen razem



z zespołem siedział nad każdym mieszkaniem i elementem struktury, zastanawiając się, jak ma wyglądać mieszkanie dla krawca z pięciorgiem dzieci, a jak dla architekta z dwojgiem. Było to osiedle spółdzielcze na najwyższym światowym poziomie. Wzory czerpano ze Szwecji i Anglii. Dopilnowano, żeby znalazły się w nim wszystkie elementy kształtowania przestrzeni, które wówczas istniały, np. zieleń, która do dziś jest podręcznikowa, sztuka wpisana w przestrzeń i partycypacja społeczna w wybieraniu kolorów. Cały plan runął, kiedy do tej precyzyjnie zaprojektowanej tkanki weszła machina biurokracji spółdzielczej z ich rozdzielnikami i układami. To był koszmar, który znalazł apogeum w zasiedlaniu zbudowanego 10 lat później osiedla. W grubym dzienniku budowy Hansen wpisywał wszystkie niezgodności z projektem i wyjeżdżał z Lublina wściekły. Skończyło się tym, czym się skończyło, czyli wszyscy mają pretensję do wszystkich, a co gorsza – wszyscy mają rację i nikt nie wie, dlaczego tak się stało.

Co zaś do samego osiedla, jest to piękny przykład fragmentu LSC, czyli liniowego systemu ciągłego, założenia architektonicznego, które Hansen wy-

myślił w styku z dziełami architektów skandynawskich. Polega ono na strefowaniu zabudowy, co jest kontynuacją myślenia Corbusiera o zoningu, czyli dzieleniu idealnej przestrzeni mieszkaniowej. Ono z kolei wzięło się z idei miasta-ogrodu. Patrząc od wewnątrz, pierwszą strefą LSC był wspólny ogród z budynkami użyteczności publicznej, a za nim strefa budynków mieszkalnych z tak zaplanowanymi przestrzeniami zabaw, żeby mamy mogły z okien pilnować swoich dzieci. Na większe zakupy udawano się do centrum, o strukturze arabskiego „suku”, gdzie niedaleko znajdował się budynek ze świetnie zaprojektowanymi kameralnymi przestrzeniami, będący połączeniem domu kultury i restauracji. To centrum zdawało egzamin dla trzech tysięcy mieszkańców, bo tyłu miało służyć, ale niestety, przez dłuższy czas służyło kilkudziesięciu tysiącom, ponieważ na sąsiednich osiedlach nie wybudowano obiektów usługowych.

Za centrum znajdowały się znowu budynki mieszkalne z loggiami, balkonami i budynki liniowe, gdzie od północy była już tylko pełna ściana, za którą mieściły się parkingi i droga dojazdowa. I tak przecinając wszystkie strefy LSC, mie-

Wnętrze Os. Słowackiego.
Fot. M. Skrzypek.



liśmy przechodzić od idealnego miasta ogrodu do szyny komunikacyjnej, gdzie każdy parkuje swój samochód na oznaczonym miejscu i wchodzi do arkadii kryjącej się za słynnymi prześwitami w ścianie budynku. Od najwyższych budynków przy „szynie komunikacyjnej” do najniższych, zgodnie teoretycznym założeniem wypracowanym przez szkołę skandynawską. Ile z tego zostało, można pójść zobaczyć. Na przykład do skończonego, zaprojektowanego osiedla dodano wysokościowe budynki wymuszone przez władze, bo była infrastruktura, a w mieście brakowało mieszkań.

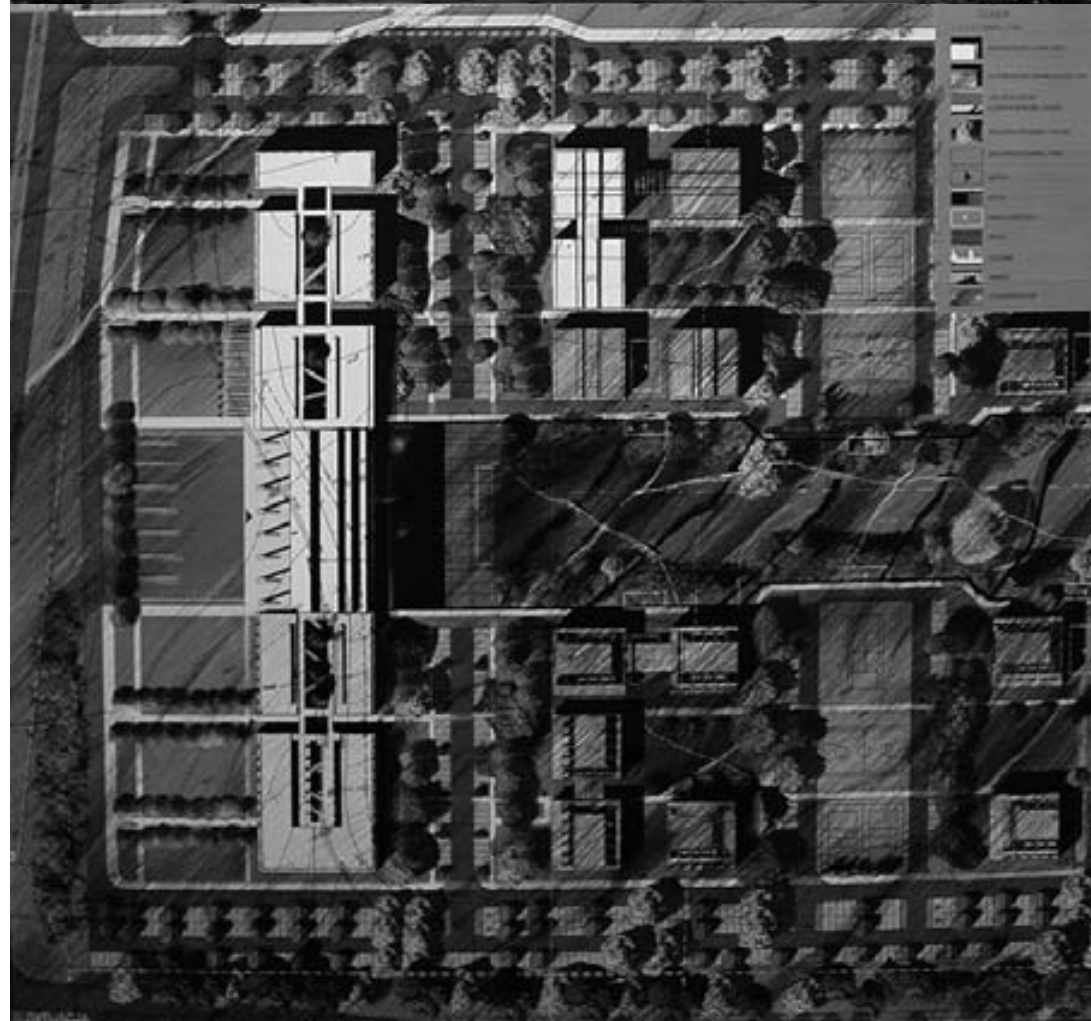
Na studiach moim marzeniem było mieszkać na osiedlu Hansena. Kiedy się spełniło, był to już substandard. Mimo złej realizacji, wiele z planów Hansena udało się osiągnąć, jednak społeczeństwo się rozwija. Liniowa zabudowa osiedlowa była reakcją na śródmiejską zabudowę czynszową, gdzie większość ludzi nie mieszkała od frontu, tylko w oficynach. Aby stało się to możliwe, zastosowano prosty zabieg „rozłożenia” kwartału zabudowy w linii prostej. W ten sposób powstały jednakowo oświetlone bloki zamieszkałe przez jednakowo uprzywilejowanych lokato-

rów. Okazało się jednak, że nie jest to pomysł na budowanie całego miasta, ponieważ skupiska bloków nie tworzą jeszcze miasta. Do tych modelowych osiedli z czasów Gomułki i wczesnego Gierka przeprowadzono rodziny najbiedniejsze, bo w latach 80. osiedla te miały już najniższy standard – mały metraż, ciemne kuchnie, przerdzewiałe instalacje. Dodatkowo na osiedle Hansena przesiedlano likwidowane w innych miejscach ulice biedy, bez stosownia zasady rozpraszania ich mieszkańców. Wiem, że kryminogenne środowisko, które wcześniej gnieździło się na Majdanie Tatarskim czy w sąsiedztwie ulicy Kąpielowej, teraz przeniesiono na osiedle Hansena. I to jest gęba, którą polska, pokomunistyczna rzeczywistość dopisała wartościowej, modernistycznej, komunizującej architekturze. Szklane domy budowane dla ludu zostały przez lud zamienione w meliny.

M.S.: Zabrakło elementarnej kultury, która by to uniemożliwiła.

Żeby była kultura przestrzeni, to musi być kultura. Architektura nie zależy od funkcji czy konstrukcji, zależy od kultury. Musi się ona stać przedmiotem dyskusji, któremu przyznajemy autonomię.

Na następnej stronie: będące w realizacji projekty biura Stelmach i Partnerzy. Na pierwszej ilustracji nowe osiedle przy ul. Popieluszki. Pod nim część Parku Naukowo-Technologicznego z widocznym fragmentem „parku ekologicznego”. Ilustracje z arch. biura.





Pos

an Kids **EMPIK** GALERIA G C



Miasto, jego przestrzeń i sztuka
są wyrazem pokoleniowej refleksji
nad człowiekiem i cywilizacją.

Na poprzedniej stronie:
ludzie pod butem. Fot.
M. Skrzypek.

Res publica

Rozmowa z Jackiem Korbusiem, rzeźbiarzem

Marcin Skrzypek: Co to jest sztuka publiczna?

Jack Korbus: Mówiąc krótko, jest to sztuka w przestrzeniach publicznych, przy czym najczęściej ma się tu na myśli miasta. Sam problem istnienia sztuki publicznej jest oczywiście tak stary, jak same miasta. Trzeba jednak pamiętać, że w wieku dwudziestym zaszły istotne zmiany zarówno w rozumieniu sztuki, jak i urbanistyki. Dawniej ludzie tworzyli sztukę i umieszczali ją w przestrzeni publicznej w przekonaniu, że tworzy ona po prostu pewien „dobrostan” w sensie psychicznym i duchowym. Obecnie ta świadomość jest pogłębiona o teorię percepcji sztuki, jej logiki, filozofii, a także wychowania przez sztukę. Stało się tak, po pierwsze, za sprawą artystów o zacięciu teoretycznym i konceptualnym, takich jak Marcel Duchamp, dzięki którym sztuka jako taka nabrała zupełnie nowych znaczeń. Po drugie, same miasta stały się i dalej się stają coraz bardziej „agresywne” w sensie urbanistycznym, czemu z kolei towarzyszy rosnąca

świadomość planistów na temat uczestnictwa mieszkańców w ich życiu.

Na skutek tych przemian sztuka publiczna zyskała odrębne znaczenie i specyfikę. Pierwsze dyskusje na ten temat pojawiły się w latach 70. dwudziestego wieku w zachodniej Europie, kiedy zaczęto traktować ją jako rodzaj edukacji kulturalnej, pedagogiki wartości. Ten walor sztuki istniał zawsze, ale obecnie kładzie się na niego nacisk. Wystarczy wspomnieć prace Herberta Reada, który pisał, iż rzeźba działa wychowawczo poprzez swoją przestrzenność i ustawienie w kontekście miasta. W Polsce o wychowaniu przez sztukę – w tym przez ikoniczność miasta – pisali m.in. Irena Wojnar, prof. Maria Gołaszewska i Mieczysław Porębski. Trzeba podkreślić, że edukacyjne działanie sztuki publicznej polega nie tylko na oddziaływaniu gotowych jej dzieł, ale również na powiązaniu ich powstawania z aktywnością lokalnej społeczności. Kiedyś sztuka publiczna wyrażała konkretne zainteresowania wpływowych

Jack Korbus (ur. 1971 w Lublinie) – rzeźbiarz. Po ukończeniu w 1995 r. studiów na Wydziale Artystycznym UMCS (praca dyplomowa pod kierunkiem prof. Bogumiła Zagajewskiego) odbył staż w atelier Pluridisciplinaire w Ecole de Recherche Graphiques w Brukseli. W 1996 r. rozpoczął studia doktoranckie w Zakładzie Teorii Upowszechniania Kultury UMCS (badania w zakresie współczesnej sztuki publicznej, kształtowania współczesnego oblicza metropolii i aspektu estetycznego funkcjonowania przestrzeni miejskiej). Swoje rzeźby prezentował na kilkunastu wystawach w Polsce, a także w Paryżu, Brukseli i USA. Prowadzi też prace w zakresie dużych plenerowych realizacji rzeźbiarskich. Jest członkiem wielu stowarzyszeń, między innymi Art History Webmasters Association. Prowadzi pierwszy polski portal internetowy nt. rzeźby publicznej www.korbus.art.pl. Od wielu lat zajmuje się informatyką, kreacją internetową, administracją serwerami i sieciami komputerowymi.



1



2



3

i majątnych osób – ukazywała ich pozycję, sławiła czyny, chwaliła Boga. Dziś pojawiła się np. rzeźba abstrakcyjna, która wyraża refleksje samego twórcy na temat formy przestrzeni, kondycji człowieka w odniesieniu do świata, kosmosu, sfery wartości. To skłania ludzi do demokratyzacji życia i poszanowania odmiennego punktu widzenia, humanizmu w codzienności ludzkich postaw.

Czy nie dałoby się opisać sztuki publicznej nieco prostszym językiem? Bądź co bądź ma ona być dla wszystkich, a nie tylko dla specjalistów.

Prawdziwa sztuka zawsze wiąże się z dążeniem do samodoskonalenia, a więc zakłada względną elitarność. Dlatego też pedagogika sztuki wymaga poznawczego trudu. Jednakże można uwypuklić jej sens poprzez porównanie z propagandą i reklamą. Są to podobne sytuacje medialne z tą różnicą, że sztuka publiczna działa o wiele delikatniejszymi środkami i dotyka subtelniejszych i ważniejszych spraw. Sztuka w mieście to wychowanie w duchu wartości, humanizmu, a reklama jest zwykłą propagandą konsumpcji. Żeby kontrast był wyraźniejszy, spójrzmy na rzeźbę abstrakcyjną. Choć nic nie przedstawia, to przecież do czegoś się odnosi, ale pytanie, do czego? Można założyć, że jest refleksją nad społecznym i jednostkowym bytem człowieka albo na przykład odzwierciedleniem naszej świadomości przestrzennej. Zaczynamy więc wchodzić

Zdjęcia na tej i na sąsiedniej stronie przedstawiają otoczenie lubelskiego Pomnika Ofiar Getta: 1 – widok pomnika od strony parkingu za Ratuszem; 2 – widok z przeciwnej strony na wewnątrz skweru; 3 – widok od ul. Świętoduskiej; 5 – widok z przeciwnej strony, od ul. Lubartowskiej, będącej granicą Starego Miasta; 4 – widok w poprzek skweru od ul. Lubartowskiej. Pomnik stoi w górnej części tzw. Górki Świętoduskiej, pochylego, mniej więcej prostokątnego placu między równoległymi ulicami Świętoduską i Lubartowską. Plac ten stanowi rodzaj „czarnej dziury” w przestrzeni miasta, na co złożyło się kilka czynników nie wynikających z projektu pomnika: zaniedbanie (np. brak wyraźnych wejść na skwer), odseparowanie przez dwie ruchliwe ulice (np. alejka na zdjęciu nr 5 nie łączy się z widocznym w głębi przesmykiem między budynkami przejściem dla pieszych), równoległość układ ciągów pieszych wewnątrz placu i na zewnątrz (np. brak alejek poprowadzonych po przekątnej). Mimo dogodnego położenia w centrum i na wyniesieniu pomnik ku czci ofiar lubelskiego getta jest więc praktycznie nieobecny w przestrzeni publicznej a dodatkowo zasłaniają go drzewa. Należy dodać, że jego lokalizacja jest dość przypadkowa. Wzniesiono go w 1963 r., 20 lat po likwidacji getta. Ocaleli z Zagłady Żydzi chcieli, by stanął przed Zamkiem, na terenie dawnej dzielnicy żydowskiej, ale było to niemożliwe ze względów politycznych, więc pomnik stanął tu, poza terenem getta, w miejscu dawnego „targu polskiego” (patrz str. 186). Ostatnie zdjęcie pokazuje pobliską reklamę, którą można potraktować jako rodzaj kontrapunktu dla Pomnika Ofiar Getta. Jest ona przykładem „sztuki publicznej”, która została przystosowana do „przetwarzania” w agresywnym i chaotycznym kontekście wizualnym i semiotycznym przestrzeni publicznej.

Marcin Skrzypek

w refleksje artystyczne i teoretyczne. Pytamy o sens tej rzeźby, o sens sztuki i tak zaczyna się jej wychowawcze działanie. Czym ona w zasadzie jest? Dlaczego nas frapuje? Dlaczego jakieś wartości w ogóle są w stanie do nas dotrzeć, poruszyć? Najistotniejsze w pedagogice kultury jest to, że poprzez takie dociekania ludzie wynoszą z kontaktu ze sztuką coś dla siebie, dla własnego rozwoju duchowego, intelektualnego, społecznego i psychologicznego.

Na pewno są ludzie, którzy zadają sobie takie pytania, ale co zwykły człowiek, przechodzień, może wynieść z publicznego widoku jakiejś abstrakcyjnej bryły?

Dla zrozumienia mechanizmów funkcjonowania sztuki publicznej ogromne znaczenie ma świadomość roli sztuki w życiu społecznym. Współczesna kultura nacechowana jest utylitaryzmem i konsumpcjonizmem, a tym tendencjom sztuka akurat zdecydowanie się przeciwstawia. Dlatego być może łatwiej i uczciwiej będzie odwrócić pytanie i zastanowić się nie: co społeczność wyniesie ze sztuki publicznej, ale: co może do niej wnieść. Dobrym punktem odniesienia dla tych rozważań może być greckie polis, czyli miasto-państwo zamieszkane przez wspólnotę obywateli. Jest ono symbolem miasta świadomie kształtowanego jako całość dla pożytku jego mieszkańców. Greckie polis cechowała niesłychana logika w kształtowaniu układów przestrzennych i świadome wkomponowywanie sztuki w przestrzeń publiczną. Wystarczy wspomnieć o Akropolu w Atenach i agorze, ateńskich świątyniach muz czy pinakotece, miejscach, gdzie można było doświadczać sztuki i czcić bogów.

We współczesnych miastach również istnieją kompleksy świątynne, rynki, muzea, więc na czym polega wyjątkowość polis?

Na tym, że w starożytnej Grecji miejsca te wynikały z istnienia spójnej struktury mającej obywatelski i wychowawczy charakter, świadomej swojej tożsamości i nie powstającej ot, tak sobie. Dla miast współczesnych jest to wciąż trudny do osiągnięcia ideał. Innym kamieniem milowym w rozwoju sztuki publicznej była średniowieczna katedra – dzieło totalne, ponieważ nie była samą tylko architekturą, a więc układem przestrzennym, ale wręcz symbolem świata. Operowanie światłem czy umieszczanie rzeźb na fasadzie nie było zwykłym aktem dekoratorskim, ale z premedytacją służyło publicznemu komunikowaniu ówczesnej wizji świata i kosmosu.

Tak spektakularnych przykładów sztuki publicznej nie spotykamy wiele, ale trzeba przyznać, że zawsze w historii istniała jakaś świadomość konieczności budowania przemyślanego układu miejskiego, choć zmieniała się ona pod wpływem religii, filozofii, stosunków społecznych czy rozwoju technicznego. Jerycho dziesięć tysięcy lat temu po-





Rzeźba przy ul. Filaretów. Dzięki temu ujęciu można sobie wyobrazić, w jaki sposób rzeźba organizuje przestrzeń: z bezkształtnej pustki zmienia ją w pełen napięcia dystans między obiektem i patrzącym. Fot. J. Korbus. Wszystkie podpisy: M. Skrzypek.

Bruksela. Figury Don Kichota i Sancho Pansy nie korespondują znaczeniowo z urbanistycznym kontekstem, ale je ożywiają przestrzennie. Przy okazji widać wysiłek włożony w zagospodarowanie najbliższego otoczenia rzeźby, aby ją skutecznie wyeksponować. Fot. J. Korbus.



wstawało przez spontaniczne nabudowywanie domów, ale już w starożytnej Grecji miasta zyskały układ szachownicowy, jaki dziś możemy oglądać w Nowym Jorku. W centrum miasta średniowiecznego stała katedra i tak dalej przez wieki, aż do Haussmanna, który przez środek starej zabudowy Paryża wytyczył nowe aleje. Jako mieszkańcy Lublina również mamy tę świadomość: zdajemy sobie sprawę, że gdzieś on się kończy, ma swą autonomię i strukturę, swoje ważniejsze i mniej ważne miejsca, strefy „mroczne” i „jasne”. Ta świadomość sięga polis i to właśnie ona głównie się liczy, bo przekłada się na moc kształtowania krajobrazu dla społeczności i wyraz istotnych dla niej wartości. Miasto, jego przestrzeń i sztuka to wartość i wyraz pokoleniowej refleksji nad człowiekiem i cywilizacją.

Czy refleksję tę należy traktować jako świadomą czy nieświadomą? Tradycyjna wieś również zbudowana jest zgodnie z reguła-

mi przesianymi przez doświadczenie pokoleń, ale tylko badacze folkloru zdają sobie sprawę z istnienia tych reguł.

Ta refleksja czasem bywa uświadomiona, a czasem intuicyjna. Ważne, że w przypadku wsi mamy do czynienia z tym samym kołem jej rozwoju, co np. w Nowym Jorku, który też kiedyś był osadą. Przez dziesięciolecia ludzie kształtowali jego przestrzeń, jedne elementy uznając za cenne, a inne za nieistotne i w ten sposób samoistnie tworzyła się struktura, którą później ktoś utrwalił, wytyczając główne ulice i place. Pomijając totalitaryzmy czy dziejowe katastrofy, w skali wieków przestrzeń ludzkich osiedli powstaje w procesie bardziej lub mniej kolektywnego decydowania o zachowywaniu tego, co uważa się za wartościowe.

W ten sposób przestrzeń staje się odbiciem istniejących w społeczeństwie hierarchii wartości.

Które są wypadkową, kompromisem między doznaniem jednostek. Każdy człowiek, niezależnie od poziomu rozwoju cywilizacyjnego i miejsca pochodzenia – czy to będzie wieś, miasto, pustynia czy las – ma w sobie poczucie harmonii i kształtuje przestrzeń wokół siebie według indywidualnych preferencji jej odbioru.

Doświadczamy tego na co dzień, kiedy staramy się po swojemu organizować nawet najmniejsze fragmenty osobistej przestrzeni, poczynając od własnej torebki, biurka, a kończąc na urządzeniu mieszkania czy otoczenia domu.

I tu dochodzimy do sedna, bo jeżeli stoi obok siebie kilka domów to przestrzeń poza ich wnętrzami jest przestrzenią wspólną, która służy za „arenę” do zawierania i wyrażania kompromisów dotyczących stosunku do rzeczywistości wielu osób. W ukształtowaniu tej przestrzeni znajduje wyraz to, co z jednostek czyni wspólnotę.

Przestrzeń publiczna jako miejsce reprezentacji wspólnych wartości jest ideałem

możliwym do osiągnięcia, kiedy panuje porządek. Co się dzieje, kiedy pojawia się chaos, kiedy przestrzeń publiczna jest publiczna tylko z nazwy, a tak naprawdę nie wyraża i nie tworzy poczucia wspólnoty?

Można to zaobserwować na przykładzie reklam, które pojawiają się wszędzie bez jakiegokolwiek nadzoru. Każdy ma prawo postawić sobie reklamę na swojej działce, ponieważ ją kupił, ale z drugiej strony przestrzeń wizualna, w którą ta reklama ingeruje, nie jest tylko jego własnością. Polis jest nie tyle ideałem miasta, ile świadomości na temat rozwoju miasta i istnienia w nim społeczności. Ten ideał należy traktować jako kierunek drogi, a niekoniecznie cel możliwy kiedyś w pełni do osiągnięcia. Mamy jednak wiek dwudziesty pierwszy, a to zobowiązuje do podejmowania wysiłku i poszukiwań. Nie jest problemem, że w mieście istnieją strefy chaotyczne, bałaganiarskie, że są miejsca „ciemne”. Tak było zawsze. Istnieją one w każdym człowieku, więc muszą istnieć i w mieście, które jest wspólnym organizmem, wspólnym „wnętrzem” wielu jednostek. Problem zaczyna się wtedy, kiedy jedna grupa usiłuje dominować w sposób niedemokratyczny, tzn. kiedy doprowadza do powstania struktur przestrzennych nie na drodze dialogu ze społecznością, ale poprzez politykę faktów dokonanych.

W przypadku reklam tę grupę reprezentuje wolny rynek, a więc byłby demokratyczny, co oznacza, że również na drodze demokratycznej możemy się dać zdominować.

Najważniejsza jest świadomość, ku czemu zmierzamy – żeby ludzie wiedzieli, że ktoś ich informuje, słucho i szanuje ich opinie, bo wtedy działa mechanizm uwspólniania wartości. Odnoszę wrażenie, że w Polsce tego dialogu nie ma. Wyjątkiem są miasta o ugruntowanej tradycji, takie jak Kraków czy Wrocław. Lublin, który według mnie ma wielkie walory przestrzenne, jest niestety pozbawiony publicznego dialogu. A prze-



Rzeźba Barbary Zbrożyna na Osiedlu Piastowskim, stworzona we współpracy z dziećmi. Fot. J. Korbus.

cież chodzi o przestrzeń należącą do wszystkich, a nie tylko do konserwatora zabytków, Rady Miejskiej, Urzędu Miejskiego czy też po prostu kogoś, kto w danej chwili decyduje. Specjaliści i decydenci mają na jej temat wiele do powiedzenia z racji wykształcenia i doświadczeń zawodowych, to oczywiste, ale jest istotne, żeby demokracja życia społecznego przejawiała się również poprzez wspólne zagospodarowywanie – refleksję, aktywność – tej wspólnej przestrzeni. Chociażby budowanie pomników – abstrahując od tego, czy są ładne czy brzydkie – powinno odbywać się z pełną publiczną debatą na ten temat. Najważniejsze, aby tworzyć sytuacje prawdziwie społecznego współdecydowania, z uwzględnieniem każdej jednostki – współdecydowania ku powszechnemu zrozumieniu nie tylko

Reklama na prywatnej działce ingeruje we wspólną przestrzeń wizualną.

Bruksela. Rzeźba nad wejściem do metra, między pasami ruchu. Jej surowe kształty skutecznie konkurują z wizualnie agresywnym i zmiennym otoczeniem. Fot. J. Korbus.





Rzeźba u wejścia do centrum finansowego Tour de Finances w Brukseli. Fot. J. Korbus.

Mamy w mieście do czynienia z dysproporcją między propagandą konsumpcji i „propagandą” wartości.

Bruksela. Coś dla amatorów dosłowności i realizmu. Fot. J. Kornus.



spraw merytorycznych, ale również samego faktu, że robimy to wszystko razem dla owocnego i efektywnego tworzenia dzieła. Tym dziełem i wartością jest przecież miasto, wspólna przestrzeń, habitat człowieka – nasz dom.

Coś w rodzaju ćwiczeń z demokracji.

Przy czym nie chodzi o to, żeby oddać władzę ludziom bez doświadczenia i wiedzy, ale by wyrabiać w nich poczucie tożsamości i odpowiedzialności za miasto. Przekonywać, że nie jest ono tylko po to, żeby w nim żyć i umrzeć, ale że ma ono jakąś wartość i że – przede wszystkim – ma mieć jakąś wartość.

Do tego potrzebna jest gruntowna redefinicja misji władzy, skoro ma ona nie tylko „władać”, ale również pełnić rolę wychowawczą i to w sensie dość idealistycznym.

Ale to nie są mrzonki – władza jest przecież służbą publiczną. To kwesta moralności i etyki rządzących i rządzonych. Ludzie mają prawo wiedzieć, co się robi z ich pieniędzmi i z ich przestrzenią. Jeżeli sprawującym władzę zależy, aby stać na czele świadomej, mądrej społeczności, to powinni zdobyć się na wysiłek, aby umieć prowadzić z nią dialog. Ostatnio dowiedziałem się z jakiejś gazety, że planuje się przebudowę będącej w posiadaniu miasta działki, na której stoi pomnik ofiar lubelskiego getta. Komunikat podawał do wiadomości niewiele więcej ponad to, że coś w tym względzie się dzieje: ktoś dokona przebudowy zgodnie z jakimiś uwarunkowaniami, ktoś zdemonstrowuje pomnik i przesuń go gdzieś indziej. Zazwyczaj na jednej czy dwóch takich notkach ten publiczny dialog się kończy, a przecież dopiero powinien się zacząć. Wszystko dzieje się zgodnie prawem, ale nikt

nie zastanawia się, że być może ludzie chcieliby, żeby powstało tam coś innego, niż wymyślił sobie inwestor. Przestrzeń jest własnością mieszkańców, obywateli, a nie tylko inwestora czy decydenta, jednak dla władz miasta partnerem nie jest społeczność dzielnicy czy miasta. Partnerem jest inwestor. U podstaw takiego myślenia leży dominacja efektu ekonomicznego nad wartością wywiezioną z poszanowania jednostki, jej życia, doświadczeń, praw. Inwestor kupuje i ma prawo robić, co chce. Ktoś mógłby spytać, gdzie te jego prawa się kończą? Odpowiedź jest prosta: tu się kończą, gdzie ten koniec się wyznaczy.

Z tych przykładów można wywnioskować, że przestrzeń publiczna jest nie tyle faktem, ile dopiero postulatem – nie fragmentem przestrzeni o jakichś konkretnych cechach, ale projektem do realizacji w procesie rzeczywistego czynienia tej przestrzeni publiczną.

Przestrzeń publiczna wyraża bardziej nasze intencje niż fakty, bo np. każda ulica jest przestrzenią publiczną z definicji, ale wcale nie musi być tak traktowana. Istnieją przecież plany zagospodarowania przestrzennego. Są instytucje, osoby, czynniki i metody badawcze, które tymi problemami się zajmują i ich dotyczą, ale patrząc dokoła, mam czasem wrażenie, że funkcjonują one może w 20 %. Nikt na serio nie uświadamia ludziom, jaki sens i cel kryje się za działaniami w przestrzeni publicznej. Jeżeli pojawiają się jakieś wysiłki w tym kierunku, to czyni się je *pro forma*. Dzieje się tak dlatego, że plany robi jedna instytucja dla drugiej, a nie stają się one przedmiotem dyskusji publicznej. To rozmowa między profesjonalistami, a przecież wiele wartościowych pomysłów, zespalających idei, a nawet dalekosiężnych wizji rodzi się z zaangażowania społeczeństwa. Realny, rzeczywisty kontakt z obywatelami byłby jednak utrudnieniem dla władzy, bo łatwiej jest rządzić kimś, kto się ni-

czym nie interesuje. Co więcej w kontakcie z mieszkańcami może się okazać, że mają oni zupełnie inną wizję miejsca, w którym chcą żyć niż decydenci czy specjaliści.

A to byłby dla urzędnika naprawdę twardy orzech do zgryzienia.

Gdyby istniała przestrzeń obiektywnie wartościowa, to każde miasto wyglądałoby tak samo. Jest odwrotnie: każde miasto stara się podkreślać swoją specyfikę, ale przecież ona musi się skądś brać. Żeby było się czym chwalić przed światem, nie wystarczy stworzyć struktury akceptowalnej w sensie estetycznym – musi to być coś, czego nie ma gdzie indziej. Wyjątkowość wynika z poznania siebie, ze autentycznego wsłuchiwania się w duszę miejsca, czasu i ludzi. Przepisy Unii Europejskiej dążą do zachowania jakości i wartości lokalnej ikonosfery i tradycji przestrzennej krajobrazu. Podkreśla się jednak, że nawet takie działania nie powinny być prowadzone na zasadzie narzucania ludziom czegośkolwiek, lecz dialogu. Każda społeczność jest inna, ale nie dowiemy się, jaka, jeżeli nie wejdziemy z nią w żywy kontakt.

Ludność Lublina jest jednak w dużej części napływowa. Mieszkańcy kulturowo pochodzą z małych miasteczek i wsi, gdzie żyło się w biedzie i raczej nie należy się po nich spodziewać jakichś głębszych refleksji na temat przestrzeni miasta.

Zgoda, ale czy na przykład miasta amerykańskie zakładali wybitni filozofowie i twórcy? Nie, to byli przecież prości ludzie. Jeżeli zaś chodzi o kulturową różnorodność Lublina, to warto zauważyć, że jest on w zasadzie homogeniczny w porównaniu na przykład z Brukselą, gdzie mieszka wiele różnych nacji z różnych kontynentów, ludzi z krańcowo różnych kultur, posługujących się różnymi językami, kultuwujących różne zwyczaje, którzy też często wyemigrowali z biedy. Mieszkańcy Lublina mają swoje upodobania, ale dlaczego mieli-

byśmy żyć wbrew tym upodobaniom? Udawanie kogoś innego, niż jesteśmy, nie jest dobrym rozwiązaniem. Dlaczego nie mielibyśmy zaanektować swoich małomiasteczkowych upodobań na potrzeby rozwoju miasta? Bez akceptacji tego, kim jesteśmy i bez dialogu nie rozwiniemy świadomości na temat tego, dokąd zmierzamy.

Brzmi to szczególnie dramatycznie w kontekście reklam, które nie dość, że o nic się nas nie pytają, to wręcz narzucają nam sztucznie wymyślone, obce upodobania. W porównaniu z tak subtelnymi problemami, jak rozwój wrażliwości poprzez sztukę czy wychowanie do demokracji reklama przypomina buldożer, który ma na celu zgwałcić nas przez oczy.

Tak właśnie się dzieje. Trzeba ją absolutnie odróżnić od sztuki, humanizmu. Sztuka w mieście i reklama działają na tej samej „fali” – wizualności. Jednak obecność sztuki jest dyskretna. Nic nie narzuca, a jedynie zachęca do dialogu na temat wartości ogólnoludzkich: miłości, prawdy, dobra, piękna, tego wszystkiego, co się w dziele sztuki znajduje. Reklama jest czystą propagandą konsumpcyjnego stylu życia, a jej wpływ ma być z założenia agresywny. To nie jest neutralny plakat, na który nikt nie zwraca uwagi. Jej bardzo jasno określonym celem jest kształtowanie ludzkiej świadomości w ogóle, świadomości życia, bycia. Za reklamą stoi ekonomia i kolosalne nakłady finansowe czyniące z tej propagandy prawdziwy oręż. Po stronie sztuki publicznej i wartości, które ona ze sobą niesie, te nakłady są nieporównywalnie mniejsze.

Mamy więc w mieście do czynienia w ogromną dysproporcją między propagandą konsumpcji i „propagandą” wartości. Czasem toczą one ze sobą



Düsseldorf. Figury uliczne, bardzo popularne na zachodzie Europy. Fot. M. Skrzypek.

Kompozycja przestrzenna niedaleko siedziby Mercedesa w Brukseli. Jej dynamika przelamuje nudną statykę otoczenia. Fot. J. Korbus.





Wieża ciśnień na przedwojennej pocztówce na pl. Wolności. Oglądając zdjęcie w powiększeniu, można zauważyć, że przy podstawie wieży stoją dwie furmanki, co świadczy o jej trudnych dziś do wyobrażenia rozmiarach.

Rzut ogólny usytuowania fontanny upamiętniającej wieżę ciśnień. Na pierwszym planie widoczne znaczenie miejsca, gdzie stała wieża. Fot. M. Skrzypek.



prawdziwą walkę. Na przykład przy ulicy Filaretów stoi współczesna rzeźba w formie ścian utworzonych z metalowych kręgów, jakby fragmentów rur. Jest ona zarośnięta przez krzaki, a dodatkowo zasłonięta reklamą tak, jakby ktoś z premedytacją chciał usunąć ją z widoku. Abstrahując od wartości artystycznych, jest ona świadectwem czasów i dobrem kultury i jako taka powinna być chroniona. Może się komuś podobać lub nie, ale w tak zamaskowanym miejscu nawet rzeźby Michała Anioła nikt by nie docenił.

A reklama nikomu nie przeszkadza. Paradoksalnie, to, co akurat najbardziej ciśnię nam się w oczy, traktujemy, jakby było przeźroczyście. Reklamy oddziałują na nas

podwójnie: z jednej strony zachęcają do kupowania produktów, a z drugiej przyzwyczajają do chaosu wizualnego. Logiczną potrzebą byłoby wyznaczenie stref „ciszy wizualnej” bez reklam.

Ano właśnie, to jest kolejny temat do dialogu z mieszkańcami – a może nie chcemy wszędzie oglądać reklam? Interesującym przykładem, nie tylko, jeżeli chodzi o reklamy, ale o funkcjonowanie sztuki publicznej w ogóle, jest fontanna na Placu Wolności. Jej głównym fundatorem jest Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji oraz szereg innych firm. Bardzo pięknie, że ktoś w ogóle pomyślał o nowej fontannie w Lublinie, bo bardzo ich brak. W praktyce wygląda ona jednak na pomnik reklamowy MPWiK-u, natomiast z punktu widzenia rzeźbiarskiego nie nawiązuje przestrzennego dialogu z otoczeniem. Mam tu na myśli formę i jej sugestywność przestrzenną. Oczywiście, każdy ma prawo do własnego zdania i opinii, ale akurat w tych sprawach istnieją pewne obiektywne kryteria i wyznaczniki¹.

Fontanna nawiązuje do wieży ciśnień, która stała tam od początku dwudziestego wieku do drugiej wojny światowej, będąc bardzo charakterystycznym elementem krajobrazu miasta.

Tak, ale jest to dialog tylko w sensie historycznym, znaczeniowym, ale nie w sensie przestrzennym, architektoniczno-rzeźbiarskim. Dialog przestrzenny wcale nie musi się opierać na dosłowności czy cytacie z przeszłości, jakim jest wykonana z brązu miniatura wieży. Odpowiedź na

¹ Patrząc krytycznie na tę fontannę, trzeba przyznać, że samo jej pojawienie się jest przykładem godnej pochwały troski o jakość przestrzeni publicznej tak ze strony Urzędu Miejskiego, jak i MPWiK. Trzeba też przyznać, że MPWiK bardzo dba o wygląd swojej siedziby, jej otoczenia i innych budynków przedsiębiorstwa (bez ostantacyjnych inwestycji, które tak kłują w oczy w przypadku ZUS). Jak się jednak okazuje, do sensownego zagospodarowywania przestrzeni publicznej nie wystarczają dobre chęci i pieniądze [przypr. red.].

pytanie, co mogłoby tam stanąć zamiast niej lub jak ją wykonać, aby była lepsza, sugestywniejsza, prawdziwsza, kryje się w strukturze przestrzennej otoczenia. Myślę, że ktoś, kto zabrał się za projektowanie tej fontanny, powinien zadać sobie trud, żeby na początku pomyśleć o tym, co tam już jest, a nie od razu o tym, co tam chce wstawić. Kiedy jednak zamiast tworzyć sztukę wykonuje się zlecenie inwestora, sytuacja twórcy jest niezręczna i pełna wymagań kłępiących wolność twórczą. Inwestor wykląda pieniądze i oczekuje czegoś, co nawet nieświadomie traktuje jako autoreklamę. Owszem, proces tworzenia rzeźby publicznej polega na rezygnacji z własnych gustów i ambicji, ale poprzez poddanie ich nie sponsorowi, lecz społeczności. Dlatego właśnie najlepszą formą dochodzenia do rozstrzygnięć godnych miasta jest prawdziwie publiczny, a nie środowiskowy konkurs wraz z otwartą, wieloetapową dyskusją i finałową konkluzją. Tak powstają realizacje znacznie cenniejsze i lepsze formalnie.

Fontanna jest schludna: świeci, strumienie wody zmieniają się...

Jest jednak mało efektowna z punktu widzenia samej formy rzeźbiarskiej – szczególnie jej element wertykalny, przedstawiający wieżę ciśień. Po zmniejszeniu można by go sprzedawać w Cepelii jako pamiątkę. Być może sprawdziliby się w parku, ale tu, gdzie stoi, na tym dość dużym placu, w sąsiedztwie masywnych kamienic wygląda bardziej na obiekt rzemieślniczo-historyczny niż rzeźbiarski w sensie świadomości kształtowania jego przestrzennej struktury. Rzeźba jest refleksją na temat ciężaru, dynamiki, kierunku, materiału. Rzeźbiarz zastanawia się, czy jego dzieło ma być jedno- czy wielo-elementowe, czy ma mieć formę zwartą czy otwartą itd. Rzeźba może odnosić się do tradycji miejsca, ale niekoniecznie w sposób bezpośredni. A nawet jeśli, to z uwzględnieniem rozważenia formy.



Wystarczy spojrzeć na liczne fontanny rzymskie – mimo że są tak dosłowne i realistyczne, to jakże perfekcyjne i trafne formalnie. Zupełnie inaczej wyglądają fontanny współczesne, jak ta w Paryżu koło Centrum Pompidou, w której na tafli wody ustawione są kolorowe rzeźbiarskie obiekty. Można też wspomnieć realizację Henry Moore'a w formie olbrzymich, dynamicznych brył, lekko dotykających wody, jakby były nad nią zawieszane. Takich przykładów jest mnóstwo. Nie wszystkie muszą się podobać, ale widać w nich przynajmniej refleksję na temat formy rzeźby i otoczenia.

Które również ma swoją retorykę, dynamikę, ciężar, kierunek...

Tak, i dlatego właściwie ukształtowana rzeźba publiczna powinna organizować miejsce, a nie być jednym z jego wielu elementów, a jednocześnie musi wyrastać ze struktury jego ładu przestrzennego, być dla niego stworzona. Specyfiką rzeźby publicznej jest to, że bez swojego otoczenia nie ma sensu. Przekłada się to z drugiej strony na konieczność dbania o jej otoczenie. Przykładem może być wspomniany pomnik ofiar lubelskiego getta autor-

Fot. M. Skrzypek.

**Dla władz partnerem
nie jest społeczność
miasta, lecz inwestor.**

Norymberga. Fontanna bardzo podobna w formie do lubelskiej, ale o ilez bardziej intrygująca. Dzięki rezygnacji z konwencjonalnego, marmurowego ocembrowania, woda splywa bezpośrednio na chodnik. Fot. M. Skrzypek.



stwa prof. Bogumiła Zagajewskiego, stojący vis-à-vis kościoła Karmelitów, na skwerze, który ma zostać zabudowany. Jest on dobrze zrealizowany, ale otaczający go skwer jakby „zapada się”. Jest źle oświetlony, zaniedbany i pozbawiony ciągów pieszych w dogodnych kierunkach.

Zwykle mówimy o sztuce jako o czymś wewnątrz zamkniętym i przenośnym. Obraz można powiesić na innej ścianie, nawet dom można rozebrać i złożyć w innym

miejscu. Sztuka publiczna jest natomiast tak silnie związana z kontekstem, że w zasadzie stanowi z nim jedno. Kiedy ustawiamy na placu dobrze zaprojektowaną rzeźbę, to cały plac staje się rzeźbą.

Dlatego krytykuję tę fontannę, bo równie dobrze mogłaby się znaleźć gdzie indziej. Nie jest dedykowana do tego placu. Nie chodzi tu jednak o „wtopienie” obiektu w otoczenie. Wręcz przeciwnie: rzeźba ma podporządkować sobie miejsce, nadać mu ton i charakter,

O fontannie ze stron www.mpwik.lublin.pl

Wieża ciśnień została wybudowana na Placu Bernardyńskim w 1899 r. przez inż. Adolfa Weisblata, projektodawcę i wykonawcę pierwszej lubelskiej sieci wodociągowej. Był to obiekt w stylu neogotyku angielskiego z wbudowanym zbiornikiem o pojemności 150 m³, do którego tłoczyły wodę trzy studnie artezyjskie. Obsługiwała ona sieć wodociagową obejmującą swoim zasięgiem śródmieście Lublina. Jej charakterystyczna ośmioboczna sylwetka przez prawie pół wieku górowała nad płytą placu.

Po 1924 r., kiedy Towarzystwo Ulen and Company przeprojektowało i zmodernizowało sieć wodociagową Lublina, wieża straciła swoje pierwotne znaczenie. Podczas działań wojennych w lipcu 1944 r. wieża została poważnie uszkodzona, a w 1946 r. rozebrana. W ciągu następnych lat plac został gruntownie przebudowany. Zmieniona została także nazwa placu na funkcjonującą do dziś – Plac Wolności.

W latach 2002-2003 w ramach prac modernizacyjnych dokonano reawalizacji Placu Wolności. Zmniejszono szerokość ciągu jezdni, a także zastosowano estetyczne elementy małej architektury w stylu retro. Wyróżniono także rysunkiem w posadzce – wykonanym z szarej kostki betonowej – miejsce po rozebranej przed laty wieży ciśnień. W 2004 r. Prezydent Miasta Lublina Andrzej Pruszkowski wystąpił z inicjatywą budowy fontanny na Placu Wolności, której głównym elementem jest wieża ciśnień. We wrześniu tego samego roku MPWiK Sp. z o.o. w Lublinie przystąpiło do realizacji projektu.

Wieża przez blisko 50 lat była charakterystycznym elementem architektonicznym Lublina. Fontanna odtworzy historyczny klimat miejsca, a ze względu na walory wizualne i atrakcyjne usytuowanie w centrum będzie pretendowała do miana wizytówki miasta. Fontanna w formie kolistej o średnicy 5,3 m zlokalizowana jest tuż obok ośmiobocznego zarysu murów wieży. Na niskim cokole umieszczono model wieży odwzorowujący historyczny obiekt, wykonany jako odlew z brązu o wysokości 2,5 m. Wzdłuż zewnętrznego obwodu niecki rozmieszczono 64 dysze fontanny, które tryskają wąskimi strumieniami do wewnątrz. Zasięg strumienia oraz jego forma zmieniają się według zaprogramowanego układu. Wewnątrz niecki oraz w środku wieży umieszczono podwodne oprawy oświetleniowe.

Fontanna jest bryłą, która w naturalny sposób podkreśla w przestrzeni miejsce po rozebranej wieży ciśnień. Poza tym jest to element tradycyjnie instalowany na placach miast całego świata, wzbogacający je programowo i organizujący przestrzennie. Fontanna jest traktowana przez ludzi „mniej serio” niż pomniki, a więc daje im dużo więcej radości w codziennym z nią spotkaniu. Wystarczy przytoczyć przykłady dzieci i dorosłych brodzących podczas upalnych dni w fontannach miejskich całej zachodniej Europy, czy też ludzi wrzucających monety do fontann Wiecznego Miasta, aby móc tam powrócić jak najszybciej...

a więc w rezultacie musi się ono zmienić. Najlepsze efekty osiąga się wtedy, gdy myślenie w tym kierunku cechuje odwaga. Wystarczy popatrzeć na koncepcję Wiktora Tolkina na Majdanku. Mimo że jego pomnik jako forma abstrakcyjna nie odwołuje się bezpośrednio i dosłownie do martyrologii, to robi na odbiorcy odpowiednie wrażenie, bo oddziałuje skalą, monumentalnością, śmiałością założenia plastycznego. Widać w nim myślenie o przestrzeni, a nie myślenie o wykonaniu „objektu”.

Ciekawym przykładem śmiałości i niezależności w myśleniu o przestrzeni jest słynne Centrum Pompidou i w ogóle to, co w tym zakresie robi się we Francji. Centrum Pompidou było absolutnym zaskoczeniem, bo zaingerowało w przestrzeń z taką śmiałością, że wręcz całkowicie zaprzeczyło otoczeniu. W sąsiedztwie starych kamienic powstał budynek nie dość, że szklany, to jeszcze wyrócony podszewką na zewnątrz. Ktoś stwierdził, że nie wystarczy stworzyć tam po prostu budynku wpasowanego w otoczenie, ale że ma tam powstać nowa jakość. Podobnym przykładem jest szklana piramida w Luwrze. Widać w niej tę śmiałość myślenia wynikającą z silnego poczucia tożsamości, które pozwala twórcom niejako postawić się w roli reprezentanta swojej epoki i w jej imieniu odcisnąć piętno nawet w miejscu tak uświęconym, jak dziedziniec Luwru.

Rzeźba publiczna powinna „rozwinąć się” w przestrzeni, prowadzić nią dialog, ale w tym celu dialog powinien pojawić się już wcześniej. W niektórych krajach, takich jak Francja, ten dialog toczy się od wielu lat, więc jest już bardzo zaawansowany i dlatego możemy podziwiać wiele francuskich dzieł sztuki publicznej. Nie powinniśmy jednak popadać w zniechęcenie, tylko również zdobywać się na odwagę podjęcia tego dialogu. Gdyby projekt fontanny na placu Wolności powstał w drodze konkursu, zapewne oglądalibyśmy dziś dzieło znaczenie lepsze.

Nawet gdyby wieża pozostała ta sama, to może byłaby z innego materiału, może o innej głębokości okien, może światło świeciłoby wewnątrz, a woda przeciekałaby przez otwory? W każdym razie na pewno powstałby obiekt lepiej reprezentujący społeczność. A tak pozostaje nam się cieszyć, że w ogóle ktoś coś zrobił. Tylko czy to nam wystarczy?

Tak działa mecenas.

Na pewno. Należy jednak pamiętać, że mecenas taki, jak dawniej, już nie istnieje, bo był on częścią zupełnie innej urzędzonego świata. Kiedyś władca stawiał, co chciał i gdzie chciał, jednak miał on nie tylko pieniądze ale i zaplecze w postaci dworu i grupy światłych doradców oraz twórców, którymi najczęściej byli najwybitniejsi ludzie swoich czasów. Dziś miejsce księcia zajęło społeczeństwo, którego integralną częścią jest publiczny dialog, a osoby, które mają pieniądze, inwestorzy, nie dysponują wiedzą ówczesnych książąt i nie mają w zasadzie kontaktu z kręgami kształtującymi duchowość miasta – naukowcami, artystami, filozofami. Oczywiście, na Zachodzie jest z tym nieco lepiej niż u nas.

Czasem ów publiczny dialog pojawia się w mediach, ale w formie sporu albo konfliktu. Media to lubią.

Podobna atmosfera tworzy się tam, gdzie jest chaos, gdzie brak moderatora grupy nacisku, a są naskakujące na siebie osoby.

Agresywne tony pojawiają się wtedy, kiedy ktoś dokonuje ingerencji w przestrzeń publiczną. Ta ingerencja automatycznie dzieli ludzi na „nas” oraz „ich” i trudno liczyć na bezstronny odbiór argumentów. Taka sytuacja



Ujęcie wody pitnej na Deptaku ufundowane przez MPWiK. Obiekt powstał w wyniku plebiscytu „Gazety Wyborczej” pt. „Wynosimy na cokoły”. O tym, że w Śródmieściu ma stanąć pomnik Koziółka (z herbu miasta) zdecydowali czytelnicy większością 39% głosów. Fot. M. Skrzypek.

Właściwie ukształtowana rzeźba publiczna podporządkowuje sobie miejsce, a jednocześnie wyrasta z jego ładu przestrzennego.

Fontanna przy Avenue Leopold w Brukseli. Fot. J. Korbus.





Osiedle Piastowskie w Lublinie. Przykład funkcjonowania rzeźby publicznej nie jako zamkniętego obiektu, ale „czegoś, co wystaje zza drzew” i przez to intryguje. Fot. J. Korbus.

Kompozycja przestrzenna przy ul. Filaretów dyskretnie zasłonięta przez krzaki i tablicę reklamową. Fot. M. Skrzypek.



zaszła, kiedy u stóp Wzgórza Zamkowego ni stąd ni zowąd, jak kręgi w zbożu, pojawił się wykop pod pomnik „Zaporczyków”. Zaszło wtedy coś w rodzaju aneksji publicznego miejsca, również miejsca w pamięci zbiorowej.

Absolutnie nie kwestionuję znaczenia pewnych pomników, znaków upamiętnianych osób. Jeżeli grupa kombatantów chce postawić pomnik osoby, dla której żywi najwyższy szacunek – a więc kiedy społeczność wychodzi z jakąś inicjatywą – ich wola powinna być uszanowana. Ale niech to się nie dzieje w formie narzucania jej reszcie społeczności.

Takie myślenie może być nawykiem z czasów socjalizmu, ale też wpisuje się w logikę kultury komercyjnej. Wolny rynek pozornie promuje wolność i szanuje autonomię jednostki, ale w rzeczywistości opiera się na tej samej jednostronności przekazu. Od ludzi wciąż stawianych w roli odbiorców propagandy nie należy oczekiwać, że nagle spontanicznie zaczną dążyć do wymiany zdań. Prędzej pomyślą o rzeźbie w kategoriach sponsoringu i reklamy niż dialogu.

Rzeczywiście, wydaje się, że monopolizowanie przestrzeni wynika z braku szacunku do dialogu jako takiego. Nieważne, czy ktoś jest katolikiem, marksistą czy kapitalistą. Jeśli ma tendencje

do narzucania innym swojej woli, bo tak jest mu łatwiej, będzie to robił. Przykładem jest pomnik Józefa Piłsudskiego, któremu on się słusznie należy, ale sposób jego postawienia budzi wątpliwości. Przypomnijmy, że np. Kopiec Kościuszki budowało społeczeństwo.

Jak taki dialog prowadzony jest na Zachodzie? Czy dysponujemy jakimiś wzorcami?

Na przykład w Liverpoolu istnieje Liverpool Architecture and Design Trust – grupa firm, inwestorów i fachowców współpracująca z miastem Liverpool. Jest to organizacja non-profit zajmująca się tworzeniem projektów w przestrzeni publicznej, rozwiązywaniem problemów wizualnych, stawianiem pomników itd. z poszanowaniem istniejącej struktury. Ludzie ci, być może czasami nawet wbrew własnemu gustom, poświęcają część swoich pieniędzy niejako na służbę zastanym wartościom i walorom przestrzeni. Takie podmioty funkcjonują również w innych miastach.

Jak zapewniają sobie kontakt z miejscowymi społecznościami?

Wśród ich członków są przedstawiciele różnych środowisk: urzędnicy samorządowi, naukowcy, artyści, inwestorzy, co z założenia stwarza możliwość nieskrępowanego kontaktu i wymiany myśli. Poza tym organizuje się konkursy, które, jeżeli chodzi o ich publiczny wymiar, nie ograniczają się do komunikatu w prasie. Kreuje się warunki do dialogu z odbiorcami, organizuje prezentacje projektów z możliwością ich uzasadnienia i krytyki. Czy istnieje coś takiego w Lublinie? Czy znane jest Panu jakiegokolwiek miejsce, gdzie dany projekt jest publicznie prezentowany, towarzyszy mu wystawa, konferencja, dyskusja?

Nie, ale tym mogłoby się zajmować Biuro Promocji Miasta.

W każdym razie gotowe wzorce istnieją. **Wracając do merytorycznej przydatności dialogu publicznego, specjaliści podnoszą problem złego, niewyrobionego gustu społeczeństwa. Ich obawy biorą się z obserwa-**

cji tego, jak ludzie sami kształtują własne otoczenie.

Wydaje mi się, że niekoniecznie musi to być kwestia złego gustu, ale błędne wyobrażenia o sztuce współczesnej zarówno u odbiorców, jak i twórców. U nas kształcenie artystyczne polega na tym, że zakłada się, iż sztuka współczesna jest w jakiś konkretny sposób kontrowersyjna i w takiej formie ma być narzucana ciemnemu z założenia człowiekowi. Często jesteśmy świadkami wzbudzania kontrowersji tam, gdzie nie ma do tego podstaw, co wynika chyba z chęci zaistnienia w mediach. Ambitni artyści, architekci czy urbaniści rzadko kiedy są na tyle sprawni, żeby powiedzieć klientowi: „Nie szkodzi, że nie chcesz ambitnej sztuki – ale przecież o coś ci chodzi. Nie chcesz tendencji zerowej czy Duchampa z pisuarem tylko sztukę figuratywną – dobrze. Zaprojektuję coś, co będzie dobrą zabawą i dialogiem; coś, co zaakceptujesz i co nadal będzie sztuką”. Nie po to żyjemy w czasach postmodernizmu, cechującego się wielością stylów i nawiązań, żeby twórca stawał bezradny przed wymogami mniej od siebie wyrobionego odbiorcy. Jeżeli ludzie lubią rzeźbę dawną czy figuratywną, to niech ją mają – ale niech ona będzie dobra, niech powstaje z poszanowaniem tych samych środków wyrazu, co rzeźba współczesna: masy, ciężaru, właściwego ukształtowania itd. Czy mówimy o architekturze czy o rzeźbie – zadośćuczynienie typowym gustom nie oznacza, że ma powstać coś lichego, miernego czy wtórnego.

Jednak możemy chyba usprawiedliwić kogoś, kto nie chce wchodzić w dialog z mieszkańcem pseudopalaćku z obawy, że może on zechcieć w tym samym stylu kształtować również przestrzeń publiczną?

Ale czy ktoś ma gorszy gust tylko dlatego, że chce mieć dom z wieżyczką? Sam jako rzeźbiarz wypowiadam się przez formy nieprzedstawiające, ale wcale się nie obrażam, jeśli ktoś chce,

żebym stworzył rzeźbę figuratywną. Przecież tę samą nieszczęsną wieżę czy fontannę można rozwiązać na sto sposobów. Niektóre z nich na pewno będą poprawne formalnie, harmonijne, śmiałe i po prostu wartościowe.

Zasłanianie krzakami metalowych kręgów przy ul. Filaretów, o których mówiliśmy na początku, może jednak świadczyć o tym, że użytkownik przestrzeni publicznej nie dorósł jeszcze do odbioru takiej sztuki.

Każda sztuka ma swoich odbiorców, inaczej by jej nie było. Sztuka wizualna przez plastykę i sugestywność reklamy tak się rozwinęła, że możemy już chyba czegoś od odbiorców wymagać. Zresztą, ludzie wyjeżdżają za granicę, a tam nie takie rzeczy oglądają.

Lubelski architekt Bolesław Stelmach narzeka, że artystyczne inspiracje, które wykorzystuje w swojej architekturze, są hermetyczna, że ludzie mają problemy z akceptacją tego, co proponuje.

Jacy ludzie?

Podjmujący decyzje.

Ano właśnie, wracamy do problemu niewłaściwych relacji między człowiekiem wykształconym w zakresie sztuki a decydującym, który podług własnych gustów decyduje, co ludzie lubią, a czego nie, oraz społecznością, której w ogóle nikt się nie pyta o zdanie. Problem wykreowania tych relacji to kwestia zastoso-



Rzeźba Henry'ego Moore'a pod Banc Bruxelles Lambert w Brukseli. Fot. J. Korbus.



Pomnik Walki i Męczeństwa projektu Wiktora Tolkińa przy Drodze Męczenników Majdanka (Państwowe Muzeum na Majdanku). W głębi zdjęcia poniżej widoczny dysk mauzoleum. Fot. M. Skrzypek.





Norymberga. Rzeźba stojąca na początku ulicy zamiast dla ruchu samochodowego. Fot. M. Skrzypek.

wania normalnych działań z zakresu *public relations* z własną, od dawna wypróbowaną metodologią. Być może pierwszy rok czy nawet trzeci rok stosowania takich procedur nie przyniosłby rezultatów, ale następne lata na pewno pogłębiłyby świadomość mieszkańców na temat miejsca, kultury, tradycji. Wszędzie, gdzie przeprowadza się takie działania,

przynoszą one efekty wręcz terapeutyczne. Ludzie żyją lepiej, zaczynają się komunikować, są bardziej zadowoleni, mają poczucie, że żyją u siebie. Paradoksalnie, ci ludzie, których nazywamy decydentami, nie mają monopolu na decyzje. Ich zadaniem jest właściwe pokierowanie procesami zagospodarowywania przestrzeni z udziałem społeczności. W zasadzie problem jest w relacjach międzyludzkich i wzajemnym poszanowaniu, to kwestia nie tylko wykształcenia, ale i wychowania.

W jednej z lubelskich gazet wyczytałem o pomysle zbudowania tunelu,

który miałby ułatwić ruch samochodowy. Dlaczego szczytu metropolitalności Lublina upatruje się w tym, że na jedną z dzielnic będzie się jeździć tunelem? W Brukseli niedaleko centrum odkryto pozostałości średniowiecznej zabudowy i miejsce wykopalisk oszklono. Teraz jest dostępne przez cały rok. Na zabytkowym placu miejskim układa się oszalałające kobierce z pąków kwiatów. Może na przykład takie działania w przestrzeni publicznej są istotniejsze dla tego miasta niż spektakularne i kosztowne przedsięwzięcia? Czy ludzie z zewnątrz będą przyjeżdżać do Lublina dla tunelu? Dla obwodnicy? Sam jeżdżę samochodem i wiem, że są one ważne, ale można sobie wyobrazić, że są sprawy istotniejsze. Ludzie nie przybywają do Paryża, bo tam się wygodnie jeździ samochodem. Czasem bywa wręcz przeciwnie, ale nikomu to nie przeszkadza. Bo miasto to nie tylko szereg samochodów, które sprawnie się przemieszczają. Nie dlatego ludzie będą chcieli tu mieszkać. Miasto powinno być przestrzenią wartości, manifestacją tego, co w nas najlepsze.



Ul. Okopowa. Na sąsiedniej stronie: Ostatnia Lampa Miasta Żydowskiego – oryginalna przedwojenna latarnia świecąca non-stop na pamiątkę dzielnicy żydowskiej (patrz również str.175). Fot. M. Skrzypek.





Istotnym czynnikiem kształtowanie tożsamości i poczucia emocjonalnej więzi z „małą ojczyzną” jest rozpoznawanie poszczególnych elementów jej przestrzennej struktury.

Marta Kubiszyn

MIEJSCE PAMIĘĆ OBECNOŚĆ

– edukacja środowiskowa¹

Przestrzeń jako fundamentalna kategoria określająca istnienie człowieka w świecie, podobnie jak miejsce będące konstruktem społecznym, stanowi przedmiot zainteresowań zarówno nauk społecznych, jak i humanistycznych. Pytania i problemy badawcze ogniskują się najczęściej wokół wzajemnego wpływu, jaki relacje przestrzenne między osobami a otoczeniem wywierają na formy społecznego współżycia oraz na relacje psychologiczne i komunikację. Przedmiotem zainteresowań współczesnych badaczy jest także przestrzeń medialna i wirtualna oddziałująca na zjawiska zachodzące w sferze społecznej². W ostatnich latach w pedagogice pojawia się coraz więcej publikacji, których autorzy odwołują się do potencjału edukacyjno-wychowawczego tkwiącego w pamięci związanej z określoną przestrzenią czy miejscem. Taką edukacją,

mającą jednocześnie na celu wspieranie rozwoju społeczności lokalnych, wzmacnianie demokracji i budowanie społeczeństwa obywatelskiego, Wiesław Theiss określa mianem edukacji środowiskowej³.

Kulturowe i społeczne dziedzictwo środowiska lokalnego stanowić może przedmiot, a jednocześnie punkt odniesienia zarówno dla praktyki szkolnej, jak też dla różnego rodzaju nieformalnych działań edukacyjnych, animacyjnych czy artystycznych podejmowanych przez samorządowe i pozarządowe instytucje. Realizacja tego rodzaju zadań wymaga jednak wypracowania nowych paradygmatów pracy edukacyjnej, społecznej i kulturalnej. Konieczne wydaje się także wprowadzenie zmian w sferze treści, metod i form pracy tych placówek, a jednocześnie rozszerzenie sposobu postrzegania roli i misji spo-

Na sąsiedniej stronie: „Misterium Światła i Ciemności” 2002 r. Na następnych stronach: : misterium „Jedna Ziemia Dwie Świątynie”. Na zdjęciu całonocnym Adam Altman niesie naczynie napełnione ziemią wykopaną z miejsca, gdzie niegdyś stała Wielka Synagoga. Fot. M. Kubiszyn.



tecznej instytucji kultury w środowisku lokalnym. Wypracowywanie skutecznych strategii i form pracy społeczno-kulturalnej, pozwalających na aktywizację społeczności lokalnej, jest istotnym elementem budowania poczucia współodpowiedzialności za losy małej ojczyzny. Poczucie więzi z miejscem, w którym się żyje, podobnie jak otwartość na pamięć i dziedzictwo tego miejsca, jest warunkiem świadomego w nim przebywania i działania.

Przestrzeń i Miejsce

Pojęcie przestrzeni bywa niejednokrotnie traktowane jako słowo-klucz przydatne do opisywania różnorodnych procesów społecznych, a także jednostkowych doświadczeń egzystencjalnych i kulturowych. Już starożytni greccy filozofowie, pomimo iż nie postrzegali przestrzeni jako odrębnej kategorii, podejmowali często zagadnienia z nią związane. Parmenides twierdził, że przestrzeni jako takiej nie można sobie wyobrazić, a zatem nie istnieje, zaś Leukippos uważał przestrzeń za rzeczywistość pozbawioną bytu cielesnego. Platon rozwinął tę kwestię w Timajosie. Wprowadził on geometrię jako naukę o przestrzeni, a także pojęcie *khôry*, to jest przestrzeni, jako sfery, w której znajduje się miejsce człowieka i wszystkich rzeczy. Jednakże dopiero





Miejsce – Pamięć – Obecność

Arystoteles przedstawił spójną koncepcję przestrzeni i miejsca, dając tym samym podstawy dla wielu późniejszych teorii. Twórcą jednej z bardziej znanych był Immanuel Kant, który uważał przestrzeń za podstawową, aprioryczną kategorię ludzkiego rozumu, różniącą się od materii i niezależną od niej. Odkrycie w XIX wieku geometrii nieeuklidesowej oraz ogłoszenie teorii względności przyczyniło się do powstania nowych sposobów odwzorowywania przestrzeni fizycznej oraz stworzonej przez człowieka abstrakcyjnej przestrzeni matematycznej⁴.

Współcześni badacze podkreślają, że przestrzeń i miejsce to dwa ściśle powiązane ze sobą elementy otoczenia, będące bezpośrednim przedmiotem doświadczenia człowieka, a zarazem kluczem do pojmowania świata, pierwotnym tekstem, poprzez który dokonują się procesy edukacyjne, przekazywana jest pamięć, tradycja oraz wartości kulturowe. Jednakże relacje między kategorią „przestrzeń” i kategorią „miejsce” są złożone. Dopełniając się wzajemnie i definiując, stoją one jednocześnie w opozycji, bowiem przestrzeń to wolność, otwartość i nieskończoność, zaś miejsce to coś ograniczonego – mała odcyzna, miasto, dzielnica, dom rodziny i jego najbliższe otoczenie, z którymi wiąże się pojęcie tożsamości. Przestrzeń tworzy ogólną ramę, w której porusza się żywa istota, zaś miejsce to znany i bezpieczny obszar, którego poznanie i rozumienie towarzyszy procesowi stopniowego wchodzenia człowieka w kontekst społeczny.

Abstrakcyjna przestrzeń staje się miejscem w miarę poznawania oraz nadawa-

nia jej określonych wartości i znaczeń. Ewa Rewers definiuje miejsce jako materialny fragment przestrzeni fizycznej, na który nakładają się ludzkie emocje, nieuświadomiana intencjonalność i w pełni świadome przekonania. Cytowana autorka podkreśla, że to właśnie dzięki ludzkemu zaangażowaniu miejsca przestają być neutralnymi i obiektywnymi segmentami przestrzeni fizycznej. Abstrakcyjną wiedzę o miejscu połączoną z rozpoznawaniem jego wizualnych elementów można osiągnąć dość szybko, jednakże nabranie „poczucia miejsca” (tj. odczuwania osobistej z nim więzi) zabiera znacznie więcej czasu. Na proces ten składa się szereg codziennych doświadczeń związanych z życiem w danym miejscu, m.in. percepcja dźwięków, widoków i zapachów, rozpoznawanie naturalnych i sztucznych rytmów życia, a także doświadczanie pamięci związanej z danym miejscem⁵.

W literaturze przedmiotu rozwijana jest często koncepcja szczególnego rodzaju miejsca, jakim jest miasto. Przedstawiane bywa ono często jako ewoluujący twór, którego pamięć i tożsamość została odcisnięta w strukturze urbanistycznej i krajobrazie kulturowym. Już sama etymologia słowa „miasto” podsuwa związek z „miejscem”, z obszarem ograniczonym, obrysowanym i otoczonym, a przez to oddzielnym od innych „miejsc”. Obecna na gruncie filozofii i literatury metaforyka, odnosząca się do miasta, jest bardzo rozległa. O mieście mówi się jako o „języku”, „piśmie”, „dyskursie”, „palimpseście”, „kompleksowej tkaninie tekstu”, a o ludziach, którzy je zamieszkują, jako o „swego rodzaju czy-



telnikach⁶. Do tego rodzaju ujęć odnosi się m. in. kategoria *genius loci*, określająca wyjątkowość danego miejsca, niepowtarzalną atmosferę i nastroj⁷. Miasto, będąc uosobieniem cywilizacji, od wieków miało także wymiar symbolu religijnego. Starożytnym ideałem życia w mieście było zakorzenienie związane z pobożnością i kultem przodków: następstwo świadomej identyfikacji człowieka z określonym wycinkiem przestrzeni.

Wydaje się, że przywiązanie do miejsca jest potrzebą ponadkulturową, a potęgują je materialne nośniki pamięci, jak pomniki, świątynie czy cmentarze, potwierdzające poczucie tożsamości danej społeczności⁸. Miasto jest symbolem stworzonego przez człowieka porządku, stanowiącego przeciwieństwo sił chthonicznych, od których odgradzały je nienaruszalne granice⁹. Struktura i tkanka urbanistyczna miasta, a w szczególności śródmieścia, niesie wiele informacji objaśniających dawne stosunki społeczne i przekazujących lokalną tradycję¹⁰.

Lubelska Atlantyda

W ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat krajobraz kulturowy Lublina uległ znaczącym przekształceniom. Naturalny proces ewoluowania struktury urbanistycznej, będący wynikiem przemian cywilizacyjno-kulturowych, został zakłócony przez wyburzenie w latach 1942-55 lubelskiej dzielnicy żydowskiej, istniejącej od setek lat jako odrębne „miasto w mieście”¹¹. Bezwrotnie zniszczone zostało dziedzictwo kultury gospodarowania przestrzenią, uważane za najtrwalsze i leżące u podstaw tożsamości kulturowej każdego miej-

sca. Wyburzenie lubelskiej dzielnicy żydowskiej, rozpoczęte przez nazistów w marcu 1942 roku, miało swoją kontynuację po wyzwoleniu. Projekt zagospodarowania terenów wokół Zamku nie przewidywał odbudowy zniszczonych domów. W miejscu, gdzie przebiegała niegdyś ulica Szeroka, zaprojektowano Plac Zebrań Ludowych, a tam, gdzie przy ulicy Jatecznej stała Wielka Synagoga – poprowadzono wielopasmową jezdnię.

Zniszczenie dzielnicy żydowskiej w Lublinie można uznać za świadome dążenie do likwidacji określonego fragmentu miasta jako nośnika pamięci historycznej i społecznej¹². Zmiany dokonane na poziomie układu urbanistycznego spowodowały nieodwracalne zmiany w strukturze lokalnego środowiska kulturowego, wpływając znacząco na kształt pamięci społecznej. Dzisiejsze doświadczanie miasta oddzielone jest wyraźnie od tamtego, przedwojennego obrazu nieciągłością, gwałtownym zerwaniem, a także zbiorowym zapomnieniem znaczenia i sensu pustych przestrzeni pozostałych po zamordowanych mieszkańcach. Obszar dawnej nieistniejącej dzielnicy żydowskiej jest niemal całkowicie pusty w dosłownym tego słowa znaczeniu – wypełnia ją zaprojektowana w latach pięćdziesiątych struktura, operująca niemal wyłącznie otwartą, niezabudowaną przestrzenią.

Odwołanie się do „pustki” jako kategorii opisu przestrzeni miasta, wydaje się w tym miejscu w pełni uzasadnione. „Znacząca pustka” marginalizowana, jako czynnik zakłócający ład społeczny, jest integralną częścią układu urbanistycznego śródmieścia współczesne-

Misterium „Dzień Pięciu Modlitw” na Majdanku, listopad 2000 r. Fot. M. Kubiszyn.





0000 3441

1032

3375

7254

7260

3000

3000

3025

2349

5003

3441

1001

1073

3000

1004

3000

1000

1090

1005

3373

1077

323

3046

3060

3049

3021

3047

3093

7283

3006

3078

3028

250

7256

1000

3046

306

3057

253

3074

1000

3037

3025

256

3032

3013

1030

1029

257

2525

3016

1075

3035

1000

277

2535

3010

16360

1061

1061

325

1000

16375

325

1001

go Lublina. Ignorowanie jej i dążenie do usunięcia jej poza nawias postrzeżonej rzeczywistości, miało na celu, jak się wydaje, stworzenie dającej poczucie bezpieczeństwa, pozornie uporządkowanej przestrzeni, w której mieszkańcy miasta zauważają i rozpoznają jedynie te elementy, o których dowiedzieli się w procesie edukacji i socjalizacji.

Naznaczony fizyczną i metafizyczną pustką obszar dawnej dzielnicy żydowskiej jest punktem odniesienia dla działań artystycznych, animacyjnych i edukacyjnych Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”. Ważnym elementem pracy w tej przestrzeni jest tworzenie metaforycznego języka, za pomocą którego możliwe staje się przekazywanie niesionych przez nią znaczeń i treści. W miarę realizowania w tej przestrzeni kolejnych projektów – czy też, mówiąc językiem teatralnym, ciągłego jej „ogrywania” – przestrzeń coraz bardziej staje się miejscem. Osoby animujące poszczególne działania, podobnie jak ich uczestnicy, stopniowo nabierają „poczucia miejsca”, budując z nim osobistą więź.

Misja Ośrodka budowana jest wokół założeń programu „Pamięć – Miejsce – Obecność”, realizowanego od 1992 roku. Celem podejmowanych przez Ośrodek działań jest dążenie do symbolicznej rekonstrukcji i re-kreacji dawnej struktury urbanistycznej śródmieścia Lublina, a także przywołanie zróżnicowanego kulturowo krajobrazu środowiska lokalnego. Odbyna się to poprzez odwoływanie się do zasobów lokalnej pamięci, poprzez artystyczne, animacyjne i edukacyjne działania w przestrzeni miejskiej, a także poprzez różne formy aktywności społecznej i kulturalnej, których celem jest budowanie i wzmacnianie więzi oraz poczucia odpowiedzialności za małą ojczyznę. Szczególną rolę w tej pracy pełni budynek Bramy Grodzkiej, postrzegany jako symbol polsko-żydowskiej przeszłości miasta, mieszczący siedzibę instytucji.

Brama Pamięci

Przeżyczeń człowieka jest subiektywnie scentralizowana, a ustalenie centrum, będącego punktem odniesienia dla otaczającego świata, jest pierwotnym sposobem jej organizowania. Ustanawiany środek świata wyobrażany jest często jako drzewo, słup, wieża, katedra lub inny wertykalny element wyznaczający pionową, biegnącą ku niebu oś. Architektoniczna definicja centrum określa je jako strategiczny ośrodek, miejsce połączenia dróg, skupisko o pewnych charakterystycznych cechach albo inną dominantę, wskazującą kierunki czy granice¹³. W świetle tej definicji, brama jako forma architektoniczna w sensie bryły, ale też w kontekście jej roli w strukturze urbanistycznej miasta, ma wyraźne dyspozycje do stanowienia centrum. Wyjątkowość bramy wynika z pełnionej przez nią funkcji granicznej – dzielenia, a jednocześnie łączenia światów leżących po obu jej stronach.

Postrzeganie lubelskiej Bramy Grodzkiej w wymiarze historycznym i urbanistycznym uzasadnia przypisywanie jej symbolicznego znaczenia jako miejsca spotkania kultur, narodów i religii. Dzieje Bramy położonej na osi Traktu Królewskiego – najstarszej drogi Lubli-

Dzięki ludzkiemu zaangażowaniu miejsca przestają być neutralnymi i obiektywnymi segmentami przestrzeni fizycznej.

Misterium „Dzień Pięciu Modlitw” na Majdanku, listopad 2000 r. Na sąsiedniej stronie widoczne gliniane tabliczki z numerami więźniów. Fot. M. Kubiszyn.



na, będącej niegdyś fragmentem szlaku handlowego pomiędzy Wilnem i Krakowem – są nieodłącznie związane z historią miasta. Interesującą egzegezę symboliki tego miejsca wyłożył prof. Władysław Panas, analizując usytuowanie Bramy w przestrzeni fizycznej i metafizycznej. Brama Grodzka, jako miejsce, w którym Górne Miasto Chrześcijańskie stykało się niegdyś z Dolnym Miastem Żydowskim, jest dla niego „punktem osobliwym”¹⁴, który przez wieki leżał w polu oddziaływań dwóch źródeł energii duchowej, na przecięciu: chrześcijańskiej Axis Mundi i żydowskiej Jesod. Ich działanie warunkowały leżące po obu stronach Bramy dwa nieistniejące już ośrodki kultu: fara pod wezwaniem św. Michała oraz dom cadyka Jakuba Izaaka Horowitza, zwanego Widzącym z Lublina. Autor postrzega Bramę jako duchowe centrum wszechświata i punkt stabilizujący kosmiczny porządek¹⁵.

Opisując Bramę Grodzką jako miejsce spotkania kultur, cytowany autor wskazuje także na trzecią oś kosmiczną, wyznaczoną przez Cerkiew Przemienienia Pańskiego, stojącą do dziś przy ulicy Ruskiej. Istotne znaczenie w wywodzie W. Panasa zajmuje też pobliska Kaplica Zamkowa. Ściany budowli, wzniesionej zgodnie z zachodnią tradycją architektoniczną, udekorowane zostały malowidłami wykonanymi w stylu bizantyńsko-ruskim, co uczyniło z niej symboliczne miejsce spotkania i pojednania kultur, manifestujące się w swobodnym przenikaniu tradycji i stylów. Sposób, w jaki W. Panas postrzega i odczytuje pamięć miejsca poprzez jego strukturę przestrzenną, elementy urbanistyczne, a także historyczne i kulturowe odniesienia, ma znaczące implikacje edukacyjne i wychowawcze. Zdobywanie wiedzy oraz kształtowanie tożsamości i poczucia emocjonalnej wię-

„Misterium Druku i Papieru”, czerwiec 2001 r. Fot. M. Kubiszyn.



zi z małą ojczyzną poprzez rozpoznawanie poszczególnych elementów jej przestrzennej struktury stało się inspiracją dla podejmowanych przez Ośrodek działań. Uznanie Bramy za architektoniczną ikonę spotkania z odmiennością, reprezentującą dawne zróżnicowanie kulturowe oraz wyznaniowe miasta i regionu¹⁶, wyznaczyło sposób postrzegania tego miejsca i mówienia o nim.

Dokonany przez Teatr NN na początku lat dziewięćdziesiątych wybór Bramy Grodzkiej na swoją siedzibę był, jak się wydaje, potwierdzeniem intuicyjnego wówczas raczej, niż w pełni świadomego poczucia więzi z tym miejscem. Przeprowadzkę do zdewastowanej Bramy można uznać za swoisty akt artystyczny, będący punktem wyjścia do dalszych działań, determinujący ich charakter i nadający głębszy wymiar realizowanym programom. Podkreślone

poprzez zmianę nazwy przekształcenie w 1996 roku Teatru NN w Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”; podobnie jak stopniowe przesuwanie punktu ciężkości w pracy programowej z działalności teatralnej i impresaryjnej w kierunku pracy animacyjnej i edukacyjnej, można uznać za wyraz coraz bardziej świadomego „bycia w miejscu” i nabierania „poczucia miejsca”.

Przystosowanie budynku Bramy Grodzkiej i sąsiednich kamienic do potrzeb prowadzonej przez Teatr NN aktywności kulturalnej dokonało się w ramach programu „Pamięć – Miejsce – Obecność”. Przygotowano zakrojony na szeroką skalę projekt inwestycyjny, przeprowadzono remont obiektu i przylegających doń kamienic. Ustanowienie przez zespół Teatru NN, na mocy symbolicznego aktu twórczego, środka świata w Bramie Grodzkiej, pozwoliło nie tylko wyremontować, ale rów-

„Misterium Druku i Papieru”, czerwiec 2001 r. Fot. M. Kubiszyn.



nież ożywić ten zaniedbany, opuszczony budynek i sprawić, że stał się on centrum aktywności i społecznych interakcji. Kreowanie sytuacji artystycznych i edukacyjnych, w których Brama stała się centrum wyznaczającym punkty odniesienia dla percepcji przestrzeni miejskiej, łączyło się z ukazywaniem jej

O mieście mówi się jako o „języku”, „piśmie”, „dyskursie”... a o jego mieszkańcach jako o „swego rodzaju czytelnikach”.

jako miejsca zachowującego w sposób symboliczny pamięć o lubelskim Mieście Żydowskim. Zarówno rewaloryzacja Bramy jak i inne działania zmierzające do zmiany wizerunku tego miejsca i promowania jego walorów¹⁷ miały na celu m.in. zachęcenie mieszkańców Lublina

do odwiedzania Starego Miasta. W ten sposób działania te wpisały się w plany rozpoczynającego się właśnie procesu rewitalizacji całej dzielnicy, uznawanej na początku lat dziewięćdziesiątych za niebezpieczną i mało atrakcyjną.

Wśród prowadzonych poza rewaloryzacją działań należy wymienić przede wszystkim organizowane w latach 1992-1996 spotkania, sesje i seminaria, a także przedsięwzięcia artystyczne poświęcone lubelskim Żydom oraz innym mniejszościom¹⁸. Od 1995 roku przy Ośrodku wydawany był kwartalnik uczniów i nauczycieli „Scriptores Scholarum”, przekształcony w 2003 roku w nieregularnik „Scriptores”. Na łamach pisma wielokrotnie poruszana była problematyka związana z polsko-żydowskim charakterem przedwojennego Lublina. W 2000 i 2001 roku ukazały się dwie edycje „Kalendarza ekumenicznego”, w którym znalazły się podstawowe informacje o judaizmie oraz innych religiach i wyznaniach. W ramach współpracy z lubelskimi uniwersytetami w Ośrodku odbywały się także fakultatywne zajęcia dla studentów¹⁹.

W 1997 roku Ośrodek rozpoczął zbieranie przedwojennych fotografii Lubli-

na. Rok później zaczęto nagrywać relacje mieszkańców pamiętających miasto sprzed 1939 roku. Otwarta w maju 1999 roku dokumentalna wystawa „Portret Miejsca”, poświęcona polsko-żydowskiemu Lublinowi, współtworzy obecnie scenografię wewnątrz siedziby instytucji. Wokół ekspozycji budowana jest oferta edukacyjna skierowana do uczniów i nauczycieli z Lublina oraz regionu lubelskiego. Począwszy od 1997 roku wokół swojej odremontowanej siedziby Ośrodek zaczął organizować różnego rodzaju imprezy plenerowe. Między innymi w latach 1997-2001 w bliskim sąsiedztwie Bramy Grodzkiej oraz na ulicy Grodzkiej i Placu po Farze odbywały się kolejne edycje widowiska „Noc Świętojańska”, podczas których miały miejsce koncerty muzyki folkowej, plenerowe spektakle teatralne oraz innego rodzaju działania artystyczne i animacyjne mające ożywiać Stare Miasto i nawiązywać do jego wielokulturowego dziedzictwa.

Teatr Pamięci

Potrzeba interpretowania znaczeń oraz rozumienia treści symbolicznych niesionych przez strukturę przestrzeni miejskiej znajduje wyraz w realizowanych przez Ośrodek Misteriach Pamięci. Są to oryginalne w formie i treści autorskie przedsięwzięcia artystyczne, rozgrywające się w przestrzeni miasta i odwołujące się do jej semiotycznego charakteru. Łączą one elementy średniowiecznych misteriiów z nowoczesną techniką audiowizualną. Autor Misteriów i dyrektor Ośrodka – Tomasz Pietrasiewicz – nawiązuje w nich do doświadczeń teatru alternatywnego, posługując się środkami wyrazu typowymi dla sztuki performance i happeningu. Dążąc do rekonstrukcji różnych wątków narracji historycznych, podejmuje on próbę badania i odczytywania przestrzeni miasta jako wielokulturowego tekstu²⁰. Misteria Pamięci wyrasta-

Na sąsiedniej stronie: „Misterium Pieca Chlebowego” w czerwcu 2001 r. – dawna ul. Szeroka, teraz Plac Zamkowy. Budowa pieca do wypieku w tym miejscu pierwszego od wojny chleba. Fot. M. Kuzbisyń.



Zniszczenie dzielnicy
żydowskiej w Lublinie
można uznać za
świadome dążenie do
likwidacji fragmentu
miasta jako nośnika
pamięci historycznej
i społecznej.

„Misterium Pieca Chlebowego”: wypiek chleba w miejscu po ul. Szerokiej podczas „Nocy Świętojańskiej” w 2001 r. Fot. M. Kubiszyn.



ją z doświadczeń artystycznych Teatru NN, ale pozostają jednocześnie głęboko zakorzenione w prowadzonej przez Ośrodek pracy społeczno-kulturalnej. Są one formą przywoływania i ochrony lokalnego dziedzictwa kulturowego poprzez działania o charakterze artystycznym i edukacyjnym. Misteria, które odbyły się w latach 2000-2003, nie są jednolite pod względem treści i formy, jednakże można wskazać pewne elementy wspólne pojawiające się we wszystkich realizacjach.

Pierwsze z nich, noszące tytuł „**Jedna Ziemia Dwie Świątynie**”, rozegrało się w przestrzeni wokół Bramy Grodzkiej we wrześniu 2000 roku i miało spójną koncepcję, w której znalazły wyraz działania niosących symboliczne treści i głęboki ładunek emocjonalny. T. Pietrasiewicz posłużył się przestrzenią wokół Bramy Grodzkiej obejmującą Plac po Farze, gdzie dawniej znajdował się kościół św. Michała, ulicę Grodzką, samą Bramę oraz Plac Zamkowy i Aleje Tysiąclecia, gdzie stała niegdyś Wielka Synagoga. Narracja została skonstruowana z wykorzystaniem zastanych elementów otoczenia. Przestrzeń, w jakiej rozegrało się Misterium, wypełniała ciemność. Światło wyodrębniło w niej jedynie poszczególne miejsca – zarysy fundamentów nieistniejącej fary i synagogi oraz linie łączących je dawniej ulic Szerokiej i Grodzkiej, wzdłuż których podwójne szpalery ludzi trzymających świece utworzyły dwie drogi-korytarze spotykające się w Bramie Grodz-

kiej. Drogę prowadzącą od miejsca po Wielkiej Synagodze do Bramy Grodzkiej przemierzali Żydzi ocaleni z Zagłady, podając sobie z rąk do rąk naczynie z ziemią wydobytą z miejsca, gdzie kiedyś stała Wielka Synagoga. W przeciwną stronę z Placu po Farze szli Sprawiedliwi wśród Narodów Świata, podając sobie ziemię z miejsca, gdzie niegdyś wznosiła się Fara. W Bramie doszło do spotkania – symbolicznego pojednania dwóch światów należących niegdyś do różnych obszarów kulturowych.

Dramaturgia wydarzenia podkreślona została poprzez spontaniczne wypowiedzi Ocalonych i Sprawiedliwych, opowiadających historie swojego życia. Dzięki nagłośnieniu mogły one być słyszane przez wszystkich uczestników wydarzenia. Ważnym elementem misterium był sam akt wykopania, przeniesienia i wymieszania ziemi z miejsca, gdzie dawniej stały dwie świątynie. To symboliczne przebricie skorupy i sięgnięcie w głąb ziemi wyrażało potrzebę świadomego odwoływania się do historii i dziedzictwa. Wymieszania ziemi dokonał w Bramie Grodzkiej Romuald Jakub Weksler-Waszkinel, katolicki ksiądz działający na rzecz dialogu i polsko-żydowskiego pojednania, który dopiero jako dorosły człowiek poznał swoje żydowskie pochodzenie. Dopełnieniem misterium było zasadzenie w wymieszanej ziemi dwóch krzewów winorośli, symbolizujących spotkanie i pojednanie. Krzewy zostały wyhodowane w Lublinie i Rishon LeZion, miście partnerskim Lublina w Izraelu, i nawiązują do ich herbów. Władze tych miast również zostały zaproszone do uczestnictwa w wydarzeniu.

Nieco inny charakter miało misterium „**Dzień Pięciu Modlitw**” na Majdanku, które odbyło się w listopadzie 2000 roku. Podobnie jak w przypadku „**Jednej Ziemi**” autor posłużył się zastaną przestrzenią – w tym przypadku byłego obozu koncentracyjnego – jako

sceną a zarazem środkiem wyrazu, rezygnując niemal zupełnie z teatralnej metafory. Zasadniczym elementem uczestnictwa w tym misterium było przemierzenie przez uczestników kilkuhektarowej przestrzeni obozu, poczynając od bramy wejściowej i tzw. „czarnej drogi”, przez plac selekcyjny, plac apelowy na trzecim polu aż do krematorium. Na drodze przemarszu słychać było odtwarzane z taśm archiwalnych fragmenty relacji więźniów, dopełnione wspomnieniami obozowymi czytаныmi „na żywo” przez byłych więźniów. Uczestnicy mieli możliwość odcisnięcia śladu własnych linii papilarnych w glinie, udziału w modlitwach, wysłuchania relacji i wspomnień, a następnie zabrania ze sobą glinianych tabliczek zawierających domieszkę ziemi z Majdanka. Na każdej z nich był wytłoczony numer jednego z więźniów, który można było potem „rozszyfrować”, korzystając z muzealnego archiwum. W ten sposób dokonywał się akt przywracania więźniom ich tożsamości utraconej podczas pobytu w obozie. Udział duchownych pięciu wyznań i religii (katolicy, muzułmanie, prawosławni, protestanci, żydzi) połączony z odprawianiem przez nich modlitw podkreślał ponadwyznaniowy wymiar obozowych doświadczeń i uniwersalny charakter ludzkiego cierpienia. Istotnym elementem misterium było uczestnictwo w nim byłych więźniów obozu. Dołączając tabliczki ze swoimi numerami do innych, leżących na ziemi, dokonali oni kończącego misterium symbolicznego aktu przekazania kolejnym pokoleniom pamięci o tym, co zdarzyło się na Majdanku.

Aż trzy misteria odbyły się w czerwcu 2001 roku w czasie piątej edycji Nocy Świętojańskiej i poprzedzającego ją Festiwalu Sztuki „W kręgu Bramy”. Pierwszym było otwierające festiwal „**Misterium Druku i Papieru**”, które poprzez odwołanie do sztuki typografii i rękodziela introligatorskiego nawią-



zywało do tradycji lubelskich drukarni żydowskich słynących w całej Europie od XVI wieku. Ludzie przechodzący w tym czasie przez Bramę Grodzką mogli stać się uczestnikami misterium, odciskając przy pomocy oryginalnej ręcznej prasy drukarskiej strony z *Poematu o mieście Lublinie* Józefa Czechowicza. Do tego utworu nawiązywało kolejne z czerwcowych misterii 2001 roku, odbywające się w czasie Nocy Świętojańskiej „**Misterium Pieca Chlebowego**”, będące próbą przywołania nieistniejącej dzielnicy żydowskiej i opowiedzenia o niej poprzez odwołanie się do jednego z wersetów *Poematu*, opisującego ulicę Szeroką słowami: „Ciepła woń płynie z piekarni...” Stał się on inspiracją do wybudowania na Pla-

„Misterium Ulicy Szerokiej” w czasie „Nocy Świętojańskiej” w 2001 r. – publiczność koncertu folkowego ustawia się wzdłuż konturów dawnej ulicy Szerokiej. Fot. M. Kubiszyn.





cu Zamkowym, w miejscu, gdzie dawniej przebiegała ulica Szeroka, prawdziwego pieca chlebowego. Istotną częścią misterium było trwające trzy dni wzniesienie trzymetrowej wysokości pieca z cegieł spojonych gliną. Proces wypieku chleba stał się zaś okazją do stworzenia płaszczyzny interakcji – uczestnicy mogli obserwować przygotowywanie i pieczenie, zadawać pytania i pomagać, a na końcu skosztować gotowych podplomyków i chleba.

Bezpośrednią kontynuacją tego wydarzenia było „**Misterium Ulicy Szerokiej**”, polegające na próbie wytyczenia ulicy Szerokiej poprzez ustawienie się uczestników Nocy Świętojańskiej na jej zaznaczonych kredą zarysach dawnej ulicy. W tym samym czasie na ekran przy scenie rzutowane były slajdy pokazujące przedwojenny wygląd ulicy Szerokiej, a ze sceny odczytywano fragmenty *Poematu*. Misterium to, choć nie tak monumentalne w formie i pozbawione dramatycznych akcentów, wydaje się godne uwagi ze względu na bezpośrednie i dosłowne nawiązanie do tekstu literackiego opisującego miejsce. Szczególnie interesującym elementem, wyróżniającym to misterium wśród innych działań, było odwołanie się do zmysłu powonienia (zapach pieczonego chleba), odgrywającego, jak pisze Yi-Fu Tuan, zasadniczą rolę w zapamiętywaniu miejsc.

Kolejne misterium – „**Misterium Dzwonu**” – zrealizowane we wrześniu 2001 roku, nawiązywało do historii Lublina poprzez odwołanie się do miejsca na Starym Mieście, gdzie niegdyś znajdował się kościół farny pod wezwaniem św. Michała. Ta jedna z najstarszych i najbardziej znaczących świątyń w dziejach Lublina, ufundowana przez Leszka Czarnego w drugiej połowie XIII wieku jako wotum dziękczynne za zwycięstwo nad Jądzwingami, została rozebrana w 1856 roku. Tytułowy dzwon, wykonany w 1735 roku, to je-

den z elementów wyposażenia świątyni, jakie zachowały się w kościołach na terenie Lublina i Lubelszczyzny. Po jego restauracji w pracowni ludwisarskiej w Przemyślu został on umocowany na specjalnej konstrukcji na Placu po Farze. Przywołanie nieistniejącego kościoła poprzez dźwięk dzwonu stało się symbolicznym początkiem akcji przywracania pamięci i historii Placu po Farze, a także kolejnym elementem programu mającego na celu ożywienie całego Staro Miasta.

Pierwsze „**Misterium Światła i Ciemności**” zostało przygotowane w marcu 2002 roku dla upamiętnienia sześćdziesiątej rocznicy likwidacji lubelskiego getta. Przez wyłączenie wszystkich latarni na terenie dawnej dzielnicy żydowskiej wokół Wzgórza Zamkowego T. Pietrasiewicz dokonał wyraźnego oddzielenia świata istniejącego, reprezentowanego przez Stare Miasto, od nieistniejącego świata dzielnicy żydowskiej. Zaznaczenie kręgiem ciemności terenu objętego Zagładą i niepamięcią pozwoliło unocznnić uczestnikom misterium rozmiary tego obszaru. Istotnym elementem „**Misterium Światła i Ciemności**” było

Ważnym elementem pracy w przestrzeni jest tworzenie metaforycznego języka, za pomocą którego można przekazywać niesione przez nią znaczenia i treści.

„Misterium Dzwonu”, wrzesień 2001 r. Fot. M. Kubiszyn.



przeniesienie do przestrzeni miejskiej elementów wystawy „Portret Miejsca”, która na co dzień prezentowana jest we wnętrzu budynku. Przez cały czas trwania Misterium w przestrzeni wokół Bramy rozbrzmiewała kompozycja rekonstruująca krajobraz dźwiękowy dawnej dzielnicy żydowskiej, a na wyświetlanych na murach Bramy Grodzkiej slajdach można było zobaczyć, jak wyglądała. W ten sposób Brama stała się na

Ustalenie centrum,
będącego punktem
odniesienia dla
otaczającego świata,
jest pierwotnym
sposobem
organizowania
przestrzeni.

kilkadziesiąt minut metaforycznym obrazem całej dzielnicy, do której niegdyś prowadziła. Ważnym elementem „Misterium Światła i Ciemności” w 2002 roku było wykonanie instalacji przygotowanej przez toruńskiego artystę Witolda Chmielewskiego. W pobliżu Zamku, w miejscu, gdzie przed wojną znajdowała się mała synagoga Saula Wahla, artysta wykonał konstrukcję w formie ułożonej z cegieł i wypełnionej węglem drzewnym gwiazdy Dawida. Widoczna z dużej odległości płonąca gwiazda wyznaczała w pustej, ciemnej przestrzeni dawne miejsce święte.

„Misterium Światła i Ciemności” poprzedziła trwająca kilka tygodni akcja artystyczna „Listy do Getta”. Ośrodek zwrócił się do mieszkańców Lublina z prośbą o wysyłanie symbolicznych listów do mieszkańców nieistniejącego miasta na podane nazwiska i adresy z Szerokiej i Krawieckiej. Osoba wysyłająca list miała potem możliwość wzięcia udziału w „Misterium Światła i Ciemności”. Zostawiając na miejscu wydarzenia zapaloną świeczkę, tworzyła symbol pamięci o konkretnym człowieku, do którego wysłała list. Począwszy od 2002 roku akcja artystyczna „Listy do Getta” wraz z „Misterium” powtarzana jest w każdą kolejną rocznicę likwidacji getta. Akcja ta, choć nie jest

nazywana misterium, wyraźnie nawiązuje do koncepcji tych działań poprzez odwołanie się do miejsc w przestrzeni miejskiej, wykorzystanie istniejącej infrastruktury technicznej (Poczta Polska) i stworzenie z myślą o mieszkańcach miasta sytuacji aktywnego uczestnictwa w wydarzeniu artystycznym.

Na osobną uwagę zasługuje misterium „**Poemat o Miejscu**”, przygotowane po raz pierwszy w październiku 2002 roku w ramach siódmej edycji Festiwalu Teatralnego „Konfrontacje”. Pomimo iż misterium to pod względem formalnym przypomina wcześniejsze wydarzenia, odróżnia je od nich znaczące rozszerzenie kontekstu historycznego poprzez odwołanie się nie tylko do pamięci związanej z żydowską przeszłością Lublina, ale również z historią lubelskiego więzienia na Zamku jako miejsca kaźni dwóch systemów totalitarnych: nazizmu i stalinizmu. Misterium rozpoczęło przejście uczestników z oświetlonego Starego Miasta przez Bramę Grodzką na całkowicie zaciemnione Podzamcze, będące przestrzenią do dalszych działań. Wkroczenie w świat mroku stanowiło symboliczne zwrócenie się ku przeszłości i wzięcie na siebie odpowiedzialności za ochronę pamięci związanej z tym miejscem. Wykorzystując część infrastruktury miejskiej w postaci studzienek kanalizacyjnych, na przestrzeń ulicy Zamkowej i Tysiąclecia oraz Plac Zamkowy T. Pietrasiewicz nałożył wizualno-dźwiękową „scenografię”. Jej zasadniczymi elementami były ostre сноpy światła rzucane w górę przez reflektory umieszczone w otwartych studzienkach, a także dźwięki dobywające się z umieszczonych w nich głośników. Płynęły z nich opowieści byłych więźniów Zamku nałożone na wspomnienia dotyczące dzielnicy żydowskiej i jej unicestwienia. Uczestnicy misterium podążali w ciemności trasą wyznaczaną przez zapalające się kolejno

Na sąsiedniej stronie:
wiecznie świecąca Ostatnia Lampa Miasta Żydowskiego podczas „Misterium Światła i Ciemności” w 2004 r. (wygaszenie światła na pustym obszarze dawnego żydowskiego Podzamcza). Lampa została zapalona podczas misterium „Poemat o Miejscu” w 2004 r. Fot. M. Skrzypek.





Plac Zamkowy z wygaszonymi światłami podczas „Misterium Światła i Ciemności” w 2005 r. Fot. M. krzypek.

reflektory, prowadzącą ich przez dziedziniec zamkowy i nieistniejące ulice żydowskiego miasta w kierunku miejsca, gdzie dawniej znajdowała się Wielka Synagoga. Wydobywające się spod ziemi i rozbrzmiewające w mroku głosy ludzi budowały dramatyczną narrację misterium. Autor wydaje się sugerować, że poznanie i zrozumienie przeszłości związanej z tym miejscem wymaga nie tylko skupienia i pokory, ale też odwagi dotknięcia najbardziej bolesnych wydarzeń związanych z historią miasta. Jedynym typowo teatralnym elementem wykorzystanym podczas realizacji tego misterium była powiewająca na wietrze czarna kotara, zawieszona w miejscu, gdzie dawniej znajdowała się Wielka Synagoga. T. Pietrasiewicz nawiązał w ten sposób do przywołanych w *Poemacie* Józefa Czechowicza kotar namalowanych przez Andrzeja Rubłowa w prezbiterium kaplicy zamkowej jako symbolu granicy nieprzekraczalnej dla ludzkiego poznania i zrozumienia. Wymowa misterium „Poemat o Miejscu” okazała się na tyle uniwersalna, że odbyło się ono po raz dru-

gi we wrześniu 2004 roku jako wydarzenie towarzyszące drugiemu Kongresowi Kultury Chrześcijańskiej.

Inspiracją i przestrzenią dla podejmowanych przez T. Pietrasiewicza działań artystycznych są konkretne miejsca w mieście wraz z niesioną przez nie historią i symboliką. Autor posługuje się zastaną przestrzenią wraz z obecną w niej infrastrukturą. Wykorzystuje on także proste materiały, jak np. ziemia, ogień, glina itp. Integralną częścią misterium jest warstwa dźwiękowa, współtworzona przez prezentowane w formie nagrań wspomnienia, osobiste wypowiedzi świadków wydarzeń historycznych oraz inne dźwięki, mające przywołać dawnych charakter danego miejsca. Odrzucając elementy kreowanej wypowiedzi aktorskiej i zastępując ją ustnym świadectwem konkretnych osób, autor misterium daje wyraz przekonaniu, iż dokument jest formą, poprzez którą najpełniej można zbliżyć się do prawdy, rozumianej jako subiektywna prawda doświadczenia jednostki uczestniczącej w wydarzeniach historycznych. Wprowadzenie w niektó-

rych misteriach głosu narratora ma na celu umożliwienie konfrontacji różnych form narracji i opowieści tworzących odmienne obrazy historii²¹. Znaczącymi wyznacznikami gatunkowymi misteriów wydaje się uczestnictwo świadków oraz aktywny udział mieszkańców miasta w przygotowaniu i realizacji tych przedsięwzięć. Bycie wyłącznie widzem nie jest możliwe. Przebywanie w określonej przestrzeni, poruszanie się w niej oraz słuchanie wspomnień świadków wydarzeń historycznych zakłada osobiste zaangażowanie i refleksję.

Pomimo iż wiele pojawiających się w misteriach elementów bliskich jest kontrkulturowemu i ponowoczesnemu teatrowi oraz sztuce współczesnej, stanowią one, jak się wydaje, bezprecedensową formę działań artystycznych. Cechą szczególną tych realizacji jest łączenie języka teatru z językiem dokumentu i bezpośredniej narracji, a także osadzenie akcji w przestrzeni miasta i odwoływanie się do niesionej przez nią warstwy semiotycznej. Choć od strony formalnej misteria zbliżone są do awangardowych działań parateatralnych, to mają one wyraźnie zaznaczony wymiar edukacyjny. Wprowadzenie obrazu fotograficznego, instalacji i dźwięku w sferę publiczną, podobnie jak odrzucenie mimetyzmu, wiąże się w Misteriach z konsekwentnym podejmowaniem określonej problematyki historycznej i społecznej. Misteria Pamięci są formą budowania nowego modelu dzieła artystycznego, adekwatnego wobec poruszanych zagadnień, wobec których tradycyjne środki wydają się niewystarczające. Są one także próbą podejmowania dialogu z czasem i przestrzenią, wyrażając zarazem dążenie do odbudowy naturalnej dla Lublina, dwulinowej narracji historycznej. Wymaga to reinterpretacji kreowanej przez kilkadziesiąt lat w myśl obowiązującej ideologii narracji jednoliniowej, nasyconej polską symboliką narodową²². Odwołu-

jąc się do koncepcji Zygmunta Freuda i Paula Ricouera, Teresa Pękala określa ten proces mianem terapii, „pracy przypominania” i „przepracowywania” zafałszowanej i zniekształconej pamięci²³.

Laboratorium edukacji

Zagadnienia teoretyczne związane z interpretacją Misteriów Pamięci wpisują się w szeroko rozumianą problematykę procesu wytyczania na nowo granic teatru²⁴. Analizując misteria jako nowatorskie formy działalności twórczej, należy osadzić je w szerszym kontekście interpretacyjnym, uwzględniając różnorodne nurty i tradycje artystyczne. Widoczne są tu z jednej strony analogie z koncepcją kultury czynnej oraz teatru-laboratorium Jerzego Grotowskiego czy szerzej – z nurtem teatru kontrkulturowego i ponowoczesnego, z drugiej zaś z pewnymi tendencjami obecnymi w współczesnej sztuce, m.in. z teorią rzeźby społecznej (określaną też mianem architektury społecznej), stwo-

„Misterium Światła i Ciemności” 2005 r. w czasie odczytywania imion i nazwisk pomordowanych mieszkańców dzielnicy żydowskiej. Fot. M. Skrzypek.



rzoną w latach siedemdziesiątych przez Josepha Beuysa²⁵. Jednakże wskazanie bezpośrednich inspiracji koncepcjami J. Grotowskiego czy J. Beuysa w działaniach Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” nie jest sprawą oczywistą. Sam T. Pietrasiewicz określa istniejące podobieństwa jako przypadkowe i wynikające jedynie ze zbliżonych intuicji twórczych oraz z pojmowania aktywności twórczej jako sposobu kształtowania przez artystę otaczającej go rzeczywistości społecznej.

W ogólnej koncepcji pracy programowej Ośrodka „Brama Grodzka-Teatr NN” wyraźnie widoczne jest podejmowanie działań, które można określić jako „przekraczanie progu teatru”. Zjawisko to odzwierciedla tendencję charakterystyczną dla teorii i praktyki teatralnej począwszy od lat siedemdziesiątych. Istotą

koncepcji odchodzenia od „teatru dzieł wykonywanych dla widzów” było wówczas dążenie w kierunku postrzegania pracy teatralnej jako formy ogólnozyciowego treningu, gdzie znaczącą rolę odgrywała parateatralna edukacja i animacja. Idee te, podjęte przez wielu twórców w drugiej połowie lat siedemdziesiątych oraz w latach osiemdziesią-

tych, przyniosły szereg interesujących realizacji praktycznych, wśród których można wymienić m.in. działania Witolda i Bogdana Chmielewskich, Wiesława Smużnego, a także Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice” czy Teatru Ósmego Dnia²⁶.

Związek dokonań T. Pietrasiewicza z ruchem tzw. Drugiej Reformy Teatru wyraża m.in. formuła działalności prowadzonej przez niego instytucji, obejmująca poza pracą artystyczną także aktywność o charakterze otwartego procesu edukacyjnego. Podejmowane przez Ośrodek działania odzwierciedlają poszukiwanie przez Pietrasiewicza nowych form pracy instytucji kultury, adekwatnych wobec problemów zakorzenionych w lokalnym dziedzictwie. Uczestnictwo pojawiające się jako jedno z najważniejszych pojęć teatru konkrkulturowego jest istotnym elementem projektów realizowanych przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Dążenie do budowania wspólnoty i wyzwalania aktywności odbiorcy-uczestnika uwidacznia się nie tylko w Misteriach Pamięci, ale także w projektach o charakterze animacyjnym i edukacyjnym. Celem jest tworzenie sytuacji, w której możliwe staje się nie tylko przekazywanie wiedzy i uwrażliwienie na określone zagadnienia, ale także tworzenie warunków do podjęcia samodzielnej aktywności badawczej, artystycznej czy społecznej.

Nadanie podejmowanym przez Ośrodek działaniom animacyjnym wymiaru społecznego i środowiskowego pozwala postrzegać aktywność tej instytucji w szerokim kontekście interpretacyjnym. Analizując pracę programową Ośrodka w kontekście teorii J. Beuysa, można dostrzec zbieżności w sferze sposobu postrzegania roli sztuki i działalności artystycznej. Kluczowe wydaje się tu przekonanie, że rolą artysty-animatora jest wskazywanie źródeł problemów społecznych, świadome nawiązywanie

Cechą szczególną Misteriów Pamięci jest odwoływanie się do warstwy znaczeniowej przestrzeni miasta.

Misterium „Poemat o Miejscu”. Poniżej: rok 2003, obok rok 2005. Fot. M. Kubiszyn.





do tego co, marginalizowane i odrzucone²⁷. Odwołanie się do twórczego potencjału jednostek oraz do poczucia wspól- odpowiedzialności za kształt zachodzących w środowisku lokalnym procesów społecznych sprawia, że aktywność artystyczna staje się formą edukacji środowiskowej. Miejsce i pamięć postrzegane są w tym procesie jako integralne elementy doświadczenia artystycznego, a zarazem tworzywo działań animacyjnych, edukacyjnych i społecznych.

Środowisko lokalne jest punktem odniesienia, a jednocześnie podmiotem pracy programowej Ośrodka. Przyjęta formuła działalności pozwoliła na stworzenie nowego paradygmatu pracy instytucji kultury w środowisku lokalnym. Koresponduje ona z wysuwającym już w latach siedemdziesiątych przez niektórych badaczy postulatem

tworzenia instytucji wielofunkcyjnych, oferujących kompleksowe propozycje rozwiązań w zakresie zaspokajania potrzeb społeczności lokalnej²⁸. Podejmując działania na nieteatralnym gruncie, Ośrodek stworzył autorską wizję pracy animacyjnej i wypracował formułę działalności instytucji określaną mianem „teatru pamięci” lub „laboratorium pamięci”²⁹. Doświadczenie pracy teatralnej, gdzie peryferyjność i marginalność była elementem etosu działalności artystycznej, podważyło rutynowe procedury myślenia o aktywności kulturalnej. Z jednej strony tworzenie od podstaw instytucji społecznej przez teatr alternatywny ukształtowało na nowo jego misję, a z drugiej doświadczenie pracy teatralnej przyczyniło się do wypracowania nowej, antydogmatycznej i antystrukturalnej for-

„Misterium Światta i Ciemności 2005 r. Fot. M. Kubiszyn



muły działalności instytucji. Operując materiałem dokumentalnym, przebudowując schematy pracy kulturalnej, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” dokonał redefinicji tradycyjnego modelu działalności placówki społeczno-kulturalnej. Myślenie o przestrzeni, środkach wyrazu wyrastające z języka przedstawień Teatru NN, zostało przeniesione w sferę działań animacyjnych i edukacyjnych. Odwołanie się do miejsca oraz do związanej z nim pamięci było punktem wyjścia dla budowania sytuacji, w których – jak choćby w przypadku *Misteriów Pamięci* – bierni obserwatorzy stają się aktywnymi uczestnikami działań.



¹ Test został przygotowany na podstawie fragmentu rozprawy doktorskiej: *Edukacja wielokulturowa w środowisku lokalnym – studium teoretyczno-empiryczne*, przygotowywanej przez autorkę artykułu na Wydziale Pedagogiki Społecznej UW pod kierunkiem prof. dr. hab. Wiesława Theissa.

² Por. m. in.: B. Kita, *Między przestrzeniami. O kulturze nowych mediów*, Kraków 2003, s. 35 n.

³ W. Theiss, *Mała Ojczyzna – w kręgu edukacji środowiskowej*, w: S. Molda, B. Skrzypczak (red.), *Ośrodek kultury i aktywności lokalnej. W poszukiwaniu modelu instytucji społecznikowskiej*, Warszawa 2003.

⁴ Zob. Ch. Norberg-Schultz, *Bycie, przestrzeń i architektura*, Warszawa 1999, s. 9-10 n.; por. M. Eliade, *Sacrum i profanum. O istocie religijności*, Warszawa 1966; S. Giedion, *Czas, przestrzeń, architektura*, Warszawa 1968; M. Heidegger, *Budować, mieszkać, myśleć*, Warszawa 1977; tenże, *Bycie i czas*, Warszawa 1994; M. Merleau-Ponty, *Fenomenologia przestrzeni*, Warszawa 1993.

⁵ E. Rewers, *Środowisko rozmowy. Miejsce*, w: J. P. Hurdzik, J. Mizińska (red.), *Pamięć, Miejsce, Obecność. Współczesne refleksje nad kulturą i ich implikacje pedagogiczne*, Lublin 1997, s. 105-106.

⁶ Zob. T. Sławek, *Akro/nekro/polis: wyobrażenia miejskiej przestrzeni*, w: A. Zejdlar-Janiszewska (red.), *Pisanie miasta, czytanie miasta*, Poznań 1997, s. 11 n.

⁷ M. in. w opisach Petersburga w utworach F. Dostojewskiego, Moskwy i Kijowa u M. Bułhakowa, Triestu u C. Magrisa, Paryża u W. Hugo oraz L. Merciera, Pragi u B. Hrabala i F. Kafki, Wiednia u R. Musila, Drohobycza u B. Schulza, Neapolu u G. Herlinga-Grudzińskiego, Warszawy u T. Konwickiego oraz I. B. Singera, Gdańska u P. Huella, G. Grassa i S. Chwina, Zamościa u P. Szewca czy Lublina u J. Czechowicza; por. Norberg-Schultz, op. cit., s. 27; zob. też: Z. Charytanowicz, *Genius loci, „Scriptores Scholarum”* 1998 nr 18, s. 98-101.

⁸ Zob. m.in.: I. Main, *Trudne świętowanie. Konflikty wokół obchodów świąt państwowych i kościelnych w Lublinie (1944-1989)*, Warszawa 2004.

⁹ Termin „chtoniczny” (z gr. *chthonios* – oznacza „w ziemi”, „z ziemi” albo „pod ziemią”) odnosi się do podziemi lub piekieł, zwykle łączonych z bóstwami urodzaju i/lub śmierci oraz regeneracji. Opozycję miasto – siły chtoniczne można tu uznać za jedną z form ogólnego rozgraniczenia kultura – natura, związaną z różnicą między sposobem „użytkowania” terenu w mieście i poza nim. Miasto stanowiło symbol i domenę aktywności człowieka, który władał jego przestrzenią i organizował ją według własnej woli, podczas gdy teren poza miastem (wieś, krajobraz naturalny) kształtowały niezależne od człowieka procesy, zgodne z rytmem przyrody i jej prawami. Jednym z takich procesów jest śmierć, w wierzeniach pogańskich kojarzona z ziemią i światami podziemi [przypr. red.]

¹⁰ Tuan, op. cit., s. 216 n.; por. też: Sławek, op. cit., s. 19.

¹¹ R. Kuwałek, W. Wysok, *Jerozolima Królestwa Polskiego*, Lublin 2001, s. 50, 68.

¹² Był to typowy przykład działań politycznych o podłożu ideologicznym, podejmowanych w stosunku do struktury urbanistycznej i tkanki miejskiej w czasach komunizmu w Polsce, Rosji, Rumunii czy Chinach; por. M. Kula, *Nośniki pamięci historycznej*, Warszawa 2002, s. 202 i n.

¹³ Por. Norberg-Schultz, op. cit., s. 18 n.

¹⁴ Por. W. Panas, *Brama*, w: Hurdzik, Mizińska (red.), op. cit., s. 17-25.

¹⁵ Panas, op. cit., s. 18.

¹⁶ Tamże, s. 24.

¹⁷ W 1997 roku pomieszczenia znajdujące się w odremontowanym przyziemiu kamienicy Grodzka 21 zostały wydzierżawione na działalność gastronomiczno-artystyczną (kawiarnia „Szeroka 28”). W 2003 roku, w odrestaurowanej kamienicy przy

„Misterium Światła i Ciemności” 2005 r. Fot. M. Kubiszyn.

Miejsce – Pamięć – Obecność

Grodzkiej 19 podjęto działalność hotelarską i wystawienniczą (hotel „Dom Waksmana”, Galeria Bartłomieja Michałowskiego). W przyziemiu kamienicy przy Grodzkiej 34/36 znalazło siedzibę Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, prowadzące działalność edukacyjną i wystawienniczą.

¹⁸ Z kalendarium działalności Ośrodka można zapoznać się na jego stronach: www.tnn.lublin.pl [przyp. red.].

¹⁹ Jako przykład można tu przywołać realizację projektu „Dom”. Zaangażowani weń studenci politologii UMCS (specjalność: Samorząd i Polityka Lokalna) poprzez zbieranie materiałów dokumentalnych dotyczących historii jednej, nieistniejącej kamienicy, mieli możliwość poznania dziejów lubelskiego Miasta Żydowskiego. Przykładem wymiernych efektów jest projekt „Krawiecka 41” zrealizowany przez Tomasza Czajkowskiego. Udział w projekcie stał się punktem wyjścia do przygotowania przez niego obronionej w lipcu 2002 r. pracy magisterskiej: „Mała Wspólnota – mieszkańcy kamienicy przy ulicy Krawieckiej 41 w Lublinie w wirach historii XIX i XX wieku”. Praca ta jest próbą odczytania historii i dziedzictwa Lublina przez pryzmat historii jednej kamienicy i losów jej mieszkańców, będąc jednocześnie przykładem możliwości wykorzystania materiałów dokumentalnych dla celów edukacyjnych; zob. T. Czajkowski, *Mała Wspólnota – mieszkańcy kamienicy przy ulicy Kra-*

wiekiej 41 w Lublinie w wirach historii XIX i XX wieku, Lublin 2000, maszynopis.

²⁰ Por. T. Pękala, *The Survivors and the Rescuers: How the Memory of Shoah Functions in the Artistic Realizations of the Grodzka Gate Center in Lublin*, w: *Memory of the Shoah Contemporary Representations*, „Kultura Współczesna” 2003 nr 4, s. 106 n.

²¹ Tamże, s. 113.

²² Tamże, s. 107.

²³ Tamże, s. 109.

²⁴ Por. K. Pleśniarowicz, *Przestrzenie deziluzji. Współczesne modele dzieła teatralnego*, Kraków 1996, s. 7 n.

²⁵ Por. m. in. 7 n.; www.filozofia.uw.edu.pl/pdf/beuys.pdf.

²⁶ Por. J. Grotowski, *Wędrowanie za Teatrem źródeł*, oprac. L. Kolankiewicz, „Dialog”, 1979 nr 11, s. 102-103; cyt. za: L. Kolankiewicz, *Kultura czynna: prehistoria animacji kultury*, w: G. Godlewski, I. Kurz, A. Mencwel, M. Wójtowski (red), *Animacja kultury. Doświadczenie i przyszłość*, Warszawa 2003, s. 44-45.

²⁷ Por. Beuys w rozprawie z Fritzem Blessem, w: J. Jedliński, Joseph Beuys (red.), *Teksty, komentarze, wywiady*, Warszawa 1990, s. 86 n.

²⁸ Tamże, s. 257 n.

²⁹ *Przypadek zamierzony. Dlaczego właśnie Krawiecka 41? Rozmowa z T. Pietrasiewiczem*, „Scriptores” 2003 nr 2 (28), s. 186.



Fotografie z akcji artystycznej promującej tomik poezji Agaty Tuszyńskiej „Podróż między wierszami” na terenie dworca PKP. Fot. M. Kubiszyn.



WALIZKA

AGATA
TUSZYŃSKA



KOTWICA

DWORCE LOTNISKA PORTY

PRZY STANKI

W RUCHOMYCH SEKWENCJACH

POSPIESZNEGO ODDECHU

SEN O KOTWICY

ZARANI GRUBĄ SKÓRĘ

WĘDROWCA

WYSŁUCH O PRZYSTANI

PLAN I

WŚLACHA TUSZYŃSKA

CHODZENIE PO

OD TĘSKNOTY

DO TĘSKNOTY

PO SKRAWKU ŚWIATA

ZAWSZE

TYLKO

POMIĘDZY

TUSZYŃSKA

Niezaprzeczalnym atutem „Małego Przeglądu”
był jego naczelny – Janusz Korczak.

Ireneusz Piekarski

Pochwała wagarów Kim był H. Dejczer?

Każdy liczący się polskojęzyczny dziennik żydowski miał swój dodatek dla dzieci i młodzieży. W lwowskiej „Chwili” była to „Chwilka”, w krakowskim „Nowym Dzienniku” był to „Dzienniczek”, zaś w warszawskim „Naszym Przeglądzie” – „Mały Przegląd”. W „Chwilce” i „Dzienniczku” pojawiały się wiersze znanych i cenionych poetów Andy Ekerówny, Minki Silbermanówny i przede wszystkim Maurycyego Szymba. Natomiast niezaprzeczalnym atutem „Małego Przeglądu” był jego naczelny – Janusz Korczak. To właśnie dzięki niemu warszawski dodatek stał się pismem nie tylko dla dzieci, ale przede wszystkim pismem dzieci, wolną trybuną młodych. To oni w głównej mierze zapełniali jego łamy. Nowatorska formuła Korczakowego dodatku polegała też

na wciągnięciu młodzieży do prac redakcyjnych. Z „Małym Przeglądem” współpracowało również grono stałych korespondentów, reporterów... Pierwszym z nich był legendarny Hersz Kaliszer (Hazel), autor reporterskiego cyklu *Na gapę do Palestyny*, chłopak, który rzeczywiście na gapę przewędrował pół Europy i Bliski Wschód. Innym – Edwin Markuze, młodzieniec mniej niż szesnastoletni, autor opowieści *Szosa przez Emek*.

A kim był H. Dejczer, autor niniejszego reportażu? Czy dziś mamy jeszcze jakąkolwiek możliwość dowiedzenia się czegoś o lubelskim współpracowniku „Małego Przeglądu”? Jak miał na imię, czy przeżył wojnę? Wiemy tylko, że mieszkał na ulicy Probstwo i pewnego pięknego wiosennego poranka wybrał się na wagary,

Początek spaceru Henia Dejczera: z prawej widoczny targ żydowski z liną jatek nad brzegiem Czechówki i z wylotem ul. Probstwo w rogu. W poprzek kadru ciągnie się ul. Lubartowska. Park Saski znajduje się mniej więcej na godzinie jedenastej. Fot. ze zbiorów J. Kamińskiego.



blagosławione wagary, które utrwały dla nas, niczym fotograficzna klisza kształt błyskawicy, kilka bezcennych obrazków minionego Lublina. Gdzie szukać informacji o nim? W Internecie – nic. *Encyclopedia Judaica*? Nic. Cóż, pozostaje uzbroić się w cierpliwość i zacząć wertować archiwa. Pod warunkiem, że przetrwały.

A jednak tym razem mamy szczęście i nie musimy przedzierać się przez gąszcz akt dawnych. We fragmentach drukowanej w „Scriptores” (2003 nr 1) *Księgi pamięci Lublina* znajdujemy bowiem wspomnienie Cii Flam-Franenberg, mieszkanki tzw. „Spółdomu” z ulicy Probstowo 19. Flam-Franenberg pisze: „Serce łka na wspo-

mnienie tych wszystkich ze »Spółdomu«, których straciliśmy [...]. Straciliśmy uzdolnionych muzyków, dwóch synów Emanuela Nojmana, kierownika szkoły »Bejt Jakow«, zginął Heniek Dejtszer, reporter »Małego Przeglądu« [...], zginął też Szlomo Winberg, artysta plastyk, wnuk rabina z Białej i dziesiątki innych dzieci tego domu, które przyniosłyby dumę i sławę naszemu narodowi”.

Henryk, Heniek (może w jidysz Hersz, Herszele) Dajczcer/Dejtszer zginął więc... Ale gdyby przeżył, powtórzmy słowa Cii Flam-Franenberg, przyniosłby dumę i sławę – choć chodził na wagary – swojemu narodowi i naszemu miastu.

「 Mówimy o życiu i potrzebach Lublina, o jego rozbudowie. 」

H. Dejczcer

Spacer po Lublinie

reportaż z wagarów wiosennych (1938)*

Pewnego pięknego, wiosennego poranku popełniłem przestępstwo zupełnie zrozumiałe, naturalne, bardzo częste o tej porze roku. Zwagarowałem. Gdy na dworze szaleje wiosna, gdy niebo jest tak przejrzyste, lazurowe i bezgraniczne jak w znanym tangu i kiedy niby miecz Damoklesa wisi nad tobą pała z chemii – jest to odruch zwykły i zupełnie naturalny. Ze spostrzeżeń, wrażeń i nastrojów, jakim na wagarach tych uległem – powstał reportaż poniższy.

Idę uśmiechnięty, bez żadnych wyrzutów sumienia, wpatrzony w przejrzyste niebo wiosenne, techtany lekkim wietrzykiem. Tutaj, na zabudowanej rzadko i niskimi domkami, otoczonej sadami i w ogóle wieś wyglądem przypominającej „rodzinnej mojej uliczce” – szczególnie wyraźnie występują oznaki wiosny. Po dwóch minutach miłej drogi na pełnej gwaru

i zgiełku ulicy Lubartowskiej – głównej arterii dzielnicy żydowskiej.

Pomimo wczesnej pory panuje tu już ruch ożywiony. Mijają mnie wciąż spieszący do swych zajęć przechodnie, służące i gosposie z koszami, przejezdni chłopci oraz bardzo o tej porze liczne dzieci i młodzież niekoniecznie – podobnie jak i ja zresztą – do szkół spiesząca. Raz po raz przejeżdżają po brukowanej fatalnie jezdni olbrzymie wozy ciężarowe i furmanki chłopskie. Za mostem przerzuconym nad płytką, wątpliwą przejrzystością rzeczułką Czechówką ciągnie się handlowa część ulicy Lubartowskiej. Otwierają się tu już liczne sklepy spożywcze, sodówki, księgarnie, sklepy galanteryjne oraz poważniejsze: składy towarów białatnych, szkła i porcelany, wyrobów żelaznych...

Na tej zamkniętej z boków starymi dwupiętrowymi domami ulicy, pełnej już zgiełku

* „Mały Przegląd”, piątek
13 maja 1938 r.



handlowego, trudno doprawdy doszukać się piękna wiosny lub choćby jej najzwyklejszych przejawów. A jednak istnieją. Istnieją nie w naturze, nie w zieleni pól czy błękicie niebios, ale w rzeczy najistotniejszej – w wyrazie twarzy ludzkiej. Wystarczy spojrzeć w rozjaśnione uśmiechem twarze przechodniów, usłyszeć ich lekkie pogodne rozmówki, zauważać pełne energii i swobody ruchy...

Nieopodal starej, zgrzybiałej sprzedawczyni gazet stoi grupa tragarzy zaczytanych w najświeższych wiadomościach z gazet. Właściwie tylko jeden z nich donośnym głosem, powoli czyta, a reszta zapytuje:

– Czy jeszcze się rządowcy trzymają? Co z Chinami? Kogo teraz Stalin sprząta?

Po czytaniu następuje ożywiona, choć dość naiwna dyskusja. Skręcam w ulicę Świętoduską. Przez labirynt straganów tzw. targu polskiego wydostają się na główną, reprezentacyjną ulicę Lublina – Krakowskie Przedmieście.

Taką, jaką jest ta ulica w obecnej chwili, oglądam po raz pierwszy. Nic dziwnego. Przywykłem widzieć ją stale po południu czy wieczorem, tętniącą życiem wielkiego miasta... W tej chwili

panuje tu jeszcze cisza wczesnej pory. Wpadają w oczy spuszczone żaluzje i założone sztaby wszystkich prawie sklepów. Dziwnie blade wyglądają reklamy i szyldy sklepów nieoświetlone światłem neonów. Z dala widnieją barwne, pękate słupy ogłoszeniowe, afisze i fotosy kin. Podjeżdżają wyłącznie niemal i niebieskie, i czerwone, eleganckie, wypuszczone niedawno z garażu autobusy miejskie. Jedynymi prawie przechodniami jest młodzież szkolna, gimnazjaliści. Wiosna wyległa na tej martwej, nieruchliwej o tej porze ulicy, zyskała na rzeźkości, lecz straciła na barwie; zbladła, zszarzała, przygasła.

Zatrzymuję się przy wysokim czarnym obelisku – pomniku Unii Lubelskiej, Wytłoczone w złotej blasze symboliczne postacie Korony i Litwy podają tu sobie dłonie w braterskim uścisku zgodnie z prawdą historyczną i, kto wie, być może zgodnie z prawdą niedalekiej przyszłości. Widzę, jak uczniowie kłaniają się profesorom i przypominam sobie, że tu przecież mogą spotkać się z belfrem naszej szkoły. Uciekam w krótką boczną ulicę Kościuszki.

Przed redakcją „Głosu Lubelskiego”, organu tutejszych endeków, stoi grupka przechod-

„Targ polski” – obecnie zaniedbany skwer za Ratuszem z Pomnikiem Ofiar Getta (patrz str. 144-145). Przedwojenna pocztówka z kolekcji Zbigniewa Lemiecha.



niów. Z zadrukowanych płacht drą się kłamliwe, obrzydliwe, podżegawcze nagłówki. Pochłaniają je jacyś dwaj gimnazjaliści, stara kobieta, robotnik i dwaj – z teczek sądząc – urzędnicy. Czytają głośno, łapczywie, z przejęciem. Jasnym staje się, że stąd czerpią oni często swe wiadomości o Żydach, że wierzą wydrukowanym tutaj słowom, że wraz z tym siłą rzeczy budzi się w nich nienawiść do Żydów i wszystkiego, co żydowskie.

Po upływie piętnastu minut wychodzę odważnie znów na Krakowskie Przedmieście. Im dalej, tym domy stają się wyższe i ładniejsze. Przy końcu ulicy dostają się do nęcącego zielenią celu moich wagarów – Parku Saskiego. Tutaj wśród rozległych trawników i olbrzymich drzew panuje wszechładnie prawdziwa wiosna. Nieopodal szmerzącej cicho fontanny, w cieniu stojącej tu od lat kawiarenki, dostrzegam nagle mego bliskiego kolegę. Następuje gorące, serdeczne przywitanie. Dwaj przestępcy, którzy, każdy z osobną, sądzili, że popełnili wielkie, wyjątkowe przestępstwo, spotkali się, zmniejszając równocześnie winę do połowy i postanowili razem rozkoszować się zdobytym łupem – swobodą. Jego skłoniła do wagarowania groźna łacina, mnie, jak wiadomo, chemia, a nas obu i, sądzę, setki, ba, tysiące innych – wiosna. Park wcale nie jest pusty. Mijamy grupki „uczającej się” młodzieży, dozorców, jakąś nianię zaczytaną w ostatnim zeszytzie *Wygnanej w noc poślubną* i zasiadamy na ustronnej ławeczce.

Wartko toczy się rozmowa. Od naszych zwykłych, codziennych spraw przechodzimy do tematów ogólniejszych, jak sport, film i co sływać na szerokim świecie. Czas mija szybko, park zappełnia się powoli. Najpierw staruszki, jakież frebkówki na wycieczce, a później zwykli, spragnieni ciszy i uroku natury przechodnie. Robi się nam gorąco. Możemy się tu spotkać ze znajomymi rodziców lub starszego rodzeństwa. Z prawdziwym żalem przechodzimy przez bramę wyjściową parku. Przed nami rozciąga się teraz rozległa perspektywa długich, ciągnących się idealnie niemal równą linią i niknących aż przy horyzoncie Alei Raclawickich. Miła to, pełna swoistego czaru ulica jest ulubionym miejscem spacerów.



Mówimy o życiu i potrzebach Lublina, o jego rozbudowie. Temat ten nasuwa nam samo otoczenie. Ta podmiejaska dzielnica – to właśnie teren przyszłych budowli, domów, ulic, mających powiększyć obszar Lublina i stanowić jego piękną, nowoczesnie zabudowaną dzielnicę. Jako zaczątek realizacji tych, powiedzmy, dość ambitnych i odległych planów, wznoszą się tutaj gmachy Domu Żołnierza, Uniwersytetu Katolickiego, gimnazjum im. Stanisława Staszica i Szkoły Budownictwa. W oddali widnieją liczne domki wojskowych, otoczone ogródkami.

Przechodzimy z jednego chodnika na drugi, czytamy rozlepione na murach i słupach afisze, oglądamy fotosy kin, sprzeczmamy się o filmy i aktorów... Obok strzelistego budynku magistratu wznosi się olbrzymia, masywna, pełna powagi — Brama Krakowska. Jest ona dla Lublina tym samym, co dla Japonii Fudżijama czy dla Paryża Wieża Eiffła – charakterystycznym dla niego motywem, symbolem. Brama Krakowska składa się z części murów otaczających niegdyś dawny Lublin i szerokiej, wysokiej wieży z dzwonnica i wielkim zegarem. Stąd to cztery razy dziennie otrąbia się godziny ósme i dwunaste.

Brama Krakowska pamięta dawne, bardzo dawne czasy, gdy na miejscu obecnego Krakowskiego Przedmieścia ciągnęły się rozległe błonia, a ona sama stanowiła główną wjazdową bramę w fortyfikacjach średniowiecznego miasta. Teraz znajduje się

Krakowskie Przedmieście, z lewej wejście do Parku Saskiego. Przedwojenna pocztówka z kolekcji Zbigniewa Lemiecha. Lublin kończył się za plecami patrzącego w odległości ok. 10 min. marszu.

Na tej ulicy trudno doszukać się przejawów wiosny. A jednak istnieją – w wyrazie twarzy ludzkiej.

Mam wrażenie,
jakbyśmy byli
angielskimi turystami,
zapuszczającymi się
w zaułki arabskich
dzielnic Algieru.

ona w centrum miasta, a z murów obronnych pozostały wąskie, tzw. podgrozdowe uliczki i zaułki. W wyglądzie Krakowskiej Bramy tkwi cała powaga, dostojeństwo i majestat Lublina – majestat miasta, które istniało już i rozwijało się, gdy nikomu nie śniło się jeszcze o Warszawie.

W dawnych murach obronnych czerni się wielki, półokrągły otwór – właściwie brama. Przez nią wydostajemy się na lubelskie Stare Miasto, forum pamiątek przeszłości Lublina i zabytków historycznych. Zabytki historyczne... doprawdy, można by napisać o nich obszerną monografię. Napotyka się na nie co krok niemal. Oto

kościół, w którym zaprzysiężono Unię Lubelską, wielka katedra z Bramą Trynitarą, zamek obronny, jakby wyjęty z książek Waltera Scotta – dawniej rezydencja królewska, obecnie więzienie; stary gmach Trybunału i wiele, wiele innych. Panuje tu wszechwładnie styl ponurego średniowiecza – wysmukły, strzelisty gotyk.

Tchni tu po prostu średniowieczem. Nie trzeba wiele fantazji, by wyobrazić sobie, że zza węgla domu wyjdzie nagle grupa halabardników, że na podwórzu przed krążgankiem zawrze nagle turniej rycerski. Na tym terenie średniowiecznego Lublina prowadzi się obecnie żywa akcja zachowania wszelkich pamiątek przeszłości. Więc robi się wykopaliska, zeskrobuje się z fasad tynki, konserwuje się wszelkie rzeźby i napisy, a nawet dla zupełnego przywrócenia dawnego wyglądu maluje się fasady domów barwnymi kolorami. Słowem, kwitnie tu kult przeszłości. Niestety, co się we wszystkich wielkich miastach zdarza, wraz z tym kwit-

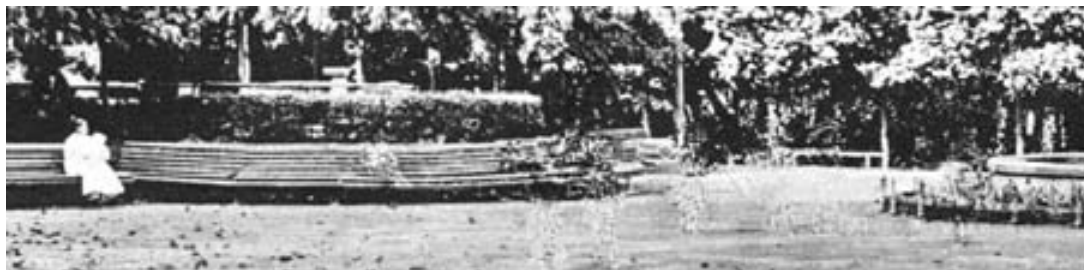
nie tu również nędza. Objawia się ona w bładnych twarzach i ubogiej odzieży mieszkańców starych ruder, brudzie wąskich uliczek...

Biegając w dół ulicą Grodzką dostajemy się do będącej już niemal w ruinach tzw. Czerwonej Bramy. Za nią znajduje się żydowska część Starego Miasta. Trafiliśmy właśnie na moment największego nasilenia tej dzielnicy. Na kilku ulicach pełnych sklepów spożywczych, piekarni, jatek i sprzedawców ulicznych odbywa się wielki targ. Fury nie mogą poruszać się swobodnie w zalegającym jeźdźnię, zbitym tłumie kupujących kobiet, sprzedawcy urządzą sobie konkursy zachwalania towarów, kupcy targują się zawzięcie z opornymi klientami.

– Mam wrażenie, jakbyśmy byli angielskimi turystami, zapuszczającymi się w zaułki arabskich dzielnic Algieru – określa nasze uczucie mój towarzysz. Wśród tego obrazu zgłębku handlowego i nędzy wznosi się piękna, o wspaniałej architekturze tzw. Wielka Synagoga – obok sławnego w całej Polsce Jeszzybotu lubelskiego, największy gmach w dzielnicy żydowskiej Lublina.

Wydostajemy się teraz na wielki Plac Targowy. Sprzedawcami są tutaj przyjezdni chłopi. Sprzedaż odbywa się bardzo prymitywnie – przy rozłożonych na ziemi płachtach z jarzynami i produktami wiejskimi. Projektuje się tu wybudowanie wielkich hal targowych, które mają ująć ruch handlowy tej dzielnicy w normy nowoczesnego handlu. Naprzeciw miejsca zetknięcia się targu z ul. Lubartowską ciągnie się w górę moja rodzinna uliczka – Probostwo. Żegnaj kolego i, jak z rana, idę powoli, uśmiechnięty, bez żadnych wyrzutów sumienia... Za mną tam na dole pozostaje kipiące gorączkowym życiem popołudnia miasto – Lublin.

Centrum Parku Saskiego. Fragment przedwojennej pocztówki. W pustym miejscu widać liczne wyretuszowane postacie. Na sąsiedniej stronie: nieistniejąca wieża cisnień, widok od Krakowskiego Przedmieścia. Pocztówka z kolekcji Zbigniewa Le-miecha.





RESTAURATION
und Malles Zimmer
RESTAURACYA
Pokoje Umieblowane

OPTYK

WOLLE

WOLLE

Kibuc to:
miejsce, ludzie i łącząca ich wspólnota.

Tomasz Czajkowski

* Tytuł reportażu to słowa wybitnego filozofa żydowskiego Martina Bubera zaczerpnięte z artykułu Nikodema Bończy-Tomaszewskiego, Jana Burgo i Sławomira Nowaczewskiego pt. *Fenomen ruchu kibucowego*. W czasie redakcji tekstu był on dostępny pod adresem: ftp://ftp.jaaz.pl/pub/historia/Th13/th13_kibuc.pdf. Źródło cytatu podane w artykule: Agata Tuszyńska, *Israel is a Real Thing*, „Zeszyty Historyczne” nr 99, Paryż 1992, s. 27; por. także Avraham Yassour, *Kibbutz Members Analyze the Kibbutz*, University of Haifa, [b.r.w.], s. X.

Najbardziej udana porażka ze wszystkich utopii*

W Yakum jest miejsce i ludzie, ale nie ma wspólnoty. Gdzie indziej zachowane jest miejsce i wspólnota, ale brak ludzi. W kibucach przeżywających problemy ekonomiczne stopniowo kurczy się ich powierzchnia, ponieważ wyprzedają one swoje tereny pod inwestycje. Miałem szczęście, że trafiłem do Bar Am.

¹ Kibuc Haogen oddalony jest niecałą godzinę jazdy autobusem na północ od Tel Awiwu [przyp. aut.].

² W Izraelu autor przebywał od lipca 2001 do marca 2002. Zbierał tam materiały do swojej pracy magisterskiej poświęconej nieistniejącej kamienicy przy ulicy Krawieckiej 41 w Lublinie i jej mieszkańcom. Był wolontariuszem w dwóch kibucach – Bar Am i Yakum. Obszerne materiały z jego pracy i pobytu w Izraelu zostały opublikowane w poprzednim numerze „Scriptores” pt. „Ścieżkami pamięci”.

³ N. Bończa-Tomaszewski, J. Bury, S. Nowaczewski,

Prolog (kibuc Haogen, 27 lipca 2001 roku)

– Pośpiesz się, Tomek, bo nie zdążymy na śniadanie!

To był Jakub, członek-założyciel kibucu Haogen¹, który usiłował mnie obudzić. Pierwszą moją izraelską noc spędziłem w jego domu². Spanie do woli po męczącej podróży nie było mi jednak dane. Rano Jakub stanowczo domagał się, abyśmy gdzieś poszli. O czym on mówi? – myślałem. Przecież kuchnia jest w domu, za ścianą. Gdzie mam u licha iść na to śniadanie?

Ale wyszliśmy z domu i coraz bardziej oddalaliśmy się od niego i od kuchni. Po drodze mijaliśmy niewielkie domki, czasem jakaś starsza osoba przejechała na

wózku elektrycznym. Panowała senna atmosfera. Dookoła dużo zieleni, drzew. Po paru minutach doszliśmy do wielkiego budynku, który okazał się stołówką kibucową. To właśnie tutaj i tylko w określonych godzinach spożywają posiłki mieszkańcy kibucu. Jak się jednak miałem przekonać w Bar Am stołówka spełnia nie tylko funkcje żywieniowe. Jest jednym z najważniejszych miejsc kibucu.

W Haogen nie zabawiłem długo. Musiałem dostać się do Hajfy, skąd odjeżdżał jedyny bezpośredni autobus do mego miejsca przeznaczenia – kibucu Bar Am. Jakub bardzo się z tego ucieszył.

– Masz szczęście, że akurat tamostałeś miejsce. Zobaczysz prawdziwy kibuc, jeden z ostatnich w Izraelu.

I znowu nie rozumiałem Jakuba. Czym się różni „prawdziwy” kibuc Bar Am od kibucu Haogen? Zgodnie z definicją zawartą w regulaminie Federacji Ruchów Kibucowych z połowy XX wieku kibuc (z hebr. *kewuca*, czyli „grupa”) to: „Wolne stowarzyszenie osób w celu osiedlania, wchłaniania nowych członków i utrzymania społeczności kolektywnej zorganizowanej wokół zasady połączonej własności, pracy, równości i współpracy we wszystkich dziedzinach produkcji, konsumpcji i edukacji. [...] Kibuc winien zapewnić wszystkie socjalne i kulturalne potrzeby swoich członków [...]”³. Nie wdając się w dalsze rozważania teoretyczne, przyjmuję, iż kibuc to organizacja, która w swej idealnej formie składa się z trzech podstawowych elementów. Są to: **miejsce** (czyli osiedle ludzkie stanowiące zamkniętą przestrzeń), **ludzie** tam mieszkający (społeczność kibucowa) oraz **wspólnota** ich łącząca (wyrażana m.in. poprzez prawa i obowiązki równe wobec wszystkich, członków społeczności, w ramach poszczególnych kategorii)⁴.

Jakub miał rację – dobrze się stało, że najpierw trafiłem do Bar Am. Mogłem poznać organizację kibucu prawie w jej idealnej formie. W Haogen i Yakum⁵, w którym spędziłem 3 miesiące i poznałem go tak dobrze, jak Bar Am, jest miejsce i są ludzie. Nie ma tam już jednak wspólnoty. W niektórych kibucach zachowane jest miejsce i wspólnota, ale brak jest ludzi – kibuce się starzeją, członkowie wyjeżdżają. W jeszcze innych stopniowo kurczy się ich powierzchnia – kibuce przeżywające problemy ekonomiczne po prostu wyprzedają atrakcyjne tereny pod nowoczesne inwestycje. Dzieje się tak szczególnie z kibucami położonymi wokół Tel Awiwu.

Miejsce

Kibuc Bar Am, założony w 1949 roku przez zdemobilizowanych żołnierzy

Palmachu⁶, położony jest w północnej Galilei tuż przy granicy z Libanem. W pobliżu nie ma większych miejscowości. Miastem spełniającym funkcje administracyjne jest Zefat, oddalony o około 45 minut jazdy autobusem. Bliskość Libanu warunkuje obronny charakter osiedla. Dookoła kibucu widać pozostałości po dawnych umocnieniach. Bunkry, pochodzące chyba jeszcze z okresu wojny o niepodległość Izraela, gdzieś tam pozarastały trawą. Teraz nie mają już żadnego znaczenia. Kibuc zabezpiecza ufortyfikowany punkt obrony armii izraelskiej, zlokalizowany bezpośrednio przy granicy chronionej wysoką siatką i patrolowanej drogą biegnącą wzdłuż niej. Całe osiedle również otacza świeżo wymieniona dwumetrowa siatka. Niektórych odcinków dodatkowo pilnują psy. Nie jest to może jakieś szczególne zabezpieczenie i u niektórych kibucników wywołuje uśmiech politowania, ale opieka nad nimi daje pracę jednemu z członków społeczności. Bardzo przyjemnie wspominam te psy, zawsze chętne do zabawy.

Do środka kibucu dostać się można główną bramą, pilnowaną przez uzbrojonych żołnierzy. Otwierają ją i zamykają każdorazowo za przejeżdżającym pojazdem, sprawdzając jego pasażerów bez względu na to, czy jest to samochód kibucowy, dostawczy zaopatrujący kibuc w żywność, czy, tak jak w moim przypadku, autobus kursujący na trasie Hajfa–Bar Am. Istotnym punktem obrony kibucu mogą być domy położone strategicznie na skarpie powyżej drogi prowadzącej w głąb osiedla. Mieszkają tam osoby powołane do odbywania służby wojskowej, a więc uzbrojone. W nocy



Certyfikat Bar Am.

Fenomen ruchu kibucowego. Zob.: [ftp://ftp.jaaz.pl/pub/historia/Th13/th13_kibuc.pdf](http://ftp.jaaz.pl/pub/historia/Th13/th13_kibuc.pdf).

⁴ Tekst niniejszy nie ma ambicji naukowej analizy zjawiska kibucu. Jest to raczej luźny zapis moich wspomnień. Zainteresowanym tą tematyką polecam wymieniony wyżej artykuł pt. *Fenomen ruchu kibucowego*. Zob. również: B. Ordyk, Z. Satała, *Szalom Izrael*, Warszawa 1991, s. 172-188; K. Hołda, *Kibuc dawniej i dziś*, „Obyczaje” 2004, nr 17, s. 18-21 [Przyp. aut.]

⁵ Kibuc Yakum położony jest na trasie Tel Awiw – Netanja.

⁶ Palmach – siły uderzeniowe Hagany, żydowskiego ruchu oporu założonego w Palestynie w 1920 roku. Palmach powstał w 1941 roku jako odpowiedź na zagrożenie Palestyny atakiem przez wojska hitlerowskie.

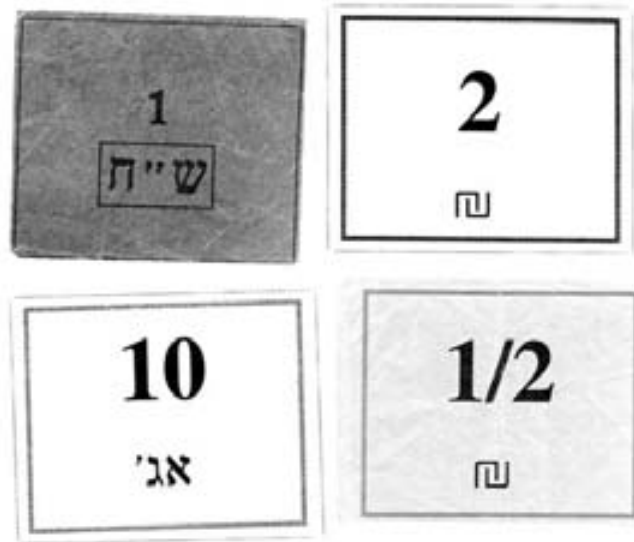
kibucu pilnują sami jego członkowie z Komitetu Bezpieczeństwa. Na terenie osiedla znajdują się również schrony dla ludzi na wypadek bombardowania. Podobne środki bezpieczeństwa stosowane są także w sąsiednich kibucach. Dla porównania, warto w tym miejscu zaznaczyć, że wjazd do kibucu Haogen w ogóle nie zauważyłem i gdyby nie uprzejmość kierowcy autobusu, pojechałbym dalej. Co do kibucu Yakum, jedynym elementem, jaki pozostał z jego dawnego ogrodzenia, jest brama główna zamykana na noc. Oba te kibuce są pilnowane w nocy, ale głównie z powodu zdarzających się tam kradzieży samochodów. Czasy, kiedy domy zostawiano na cały dzień otwarte, odeszły bezpowrotnie.

Po przybyciu do Bar Am tak jak każdy nowo przybyły wolontariusz dostałem jeden dzień na aklimatyzację, zapoznanie się ze swoimi prawami i obowiązkami oraz z usytuowaniem najważniejszych obiektów. W piątek rano zgłosiłem się do Moniki, *volunteer mother* opiekującej się wolontariuszami, która po załatwieniu papierkowych formalności (m.in. dostałem numer 83, którym miałem oznaczyć wszyst-

kie moje ubrania oddawane do kibucowej pralni) oprowadziła mnie po kibucu. Ponieważ zbliżała się już pora śniadania, najpierw poszliśmy do stołówki. Jest to centralny obiekt w kibucu, nie tylko ze względu na swoje usytuowanie czy rozmiar, ale przede wszystkim ze względu na funkcję. Wszyscy członkowie społeczności spotykają się tutaj przynajmniej trzy razy dziennie. Stąd też odjeżdżają autobusy zabierające ludzi do pracy w okolicznych sadach. Stołówka w Bar Am to dwupoziomowy budynek, z czterema wejściami, w tym jednym głównym i jednym, którym bez problemu mogą wjechać matki z dziećmi na wózkach. Sala jadalna i kuchnia znajdują się na piętrze, a na parterze są skrzynki pocztowe kibucników i wolontariuszy oraz tablice ogłoszeń. Wśród ogłoszeń można znaleźć np. listę osób korzystających z samochodów kibucowych z podaniem miejscowości, do której wybiera się dana osoba oraz liczby wolnych miejsc. Na parterze znajduje się także pomieszczenie *work managera* koordynującego pracę wszystkich osób w kibucu. Przydziela on pracę każdemu wolontariuszowi. Najpóźniej w sobotę wieczorem wywiesza ich listę z ustaloną pracą na następny tydzień. Na parterze znaleźć można także umywalki i wieszaki. Korzystają z nich osoby udające się po pracy na śniadanie czy obiad.

Posiłki wyznaczają rytm życia w kibucu. Po raz pierwszy w ciągu dnia kibucnicy i wolontariusze przychodzą na stołówkę po godzinie piątej rano, by przed wyjazdem do pracy napić się czegoś ciepłego. Śniadania serwowane są w godzinach 7.00-8.45, obiady 11.30-14.30, a kolacje 18.30-20.30. Zwykle śniadania są bardzo „szybkie” (tylko pół godziny), obiady bardzo „zmęczone” (po całym dniu pracy), a kolacje bardzo „wolne”. Wtedy jest czas, by jeść, pić i rozmawiać do woli. Dla mnie to właśnie było tam najważniejsze. Kibuc to miejsce spo-

Kibucowa waluta. Kibuc Bar Am.



tkań ludzi z całego świata. Warto zaznaczyć, że stołówka w Bar Am otwarta jest przez całą dobę i poza niektórymi pomieszczeniami, gdzie przechowywane są np. alkohole, dostępna dla każdego. Jeśli ktoś poczuł nagłe pragnienie czy głód, zawsze może tam pójść. W Yakum stołówka nie odgrywa już tak istotnej roli. Serwowane są tam jedynie śniadania i obiady, kolacje każdy jada u siebie w domu. Potężny budynek stołówki sprawia wrażenie pustego.

Ponadto, do istotnych miejsc publicznych w Bar Am zaliczają się skoncentrowane wokół stołówki: pralnia, kino, klub i ośrodek zdrowia. Nieco na uboczu kibucu znajduje się pub (czynny dwa razy w tygodniu), małe muzeum, zoo, sklep zwany Kolbo, kompleks sportowy (hala sportowa, kort tenisowy, basen czynny latem) oraz budynki dwóch fabryk – przetwórstwa owoców i firmy Elcam produkującej sprzęt medyczny. Budynki mieszkalne kibucników otaczają z zewnątrz ściśle centrum kibucu. Poza terenem kibucu położony jest cmentarz.

Spółeczność

Spółeczność Bar Am liczy około 600 osób. Zaliczają się do niej przede wszystkim: członkowie kibucu (osoby mające najwięcej praw i najwięcej obowiązków), ich dzieci (niepełnoletnie oraz pełnoletnie odbywające służbę wojskową, ewentualnie przebywające poza kibucem w czasie rocznej przerwy) i rodzice, których do kibucu sprowadzili członkowie. Jedną z najbardziej radosnych chwil, nie tylko dla rodziców, ale i dla całej wspólnoty, są narodziny dziecka. Jest to istotne, bo kibuc ma szansę na rozwój. O fakcie urodzin zwyczajowo powiadamiają wspólnotę dziadkowie specjalnym „ogłoszeniem” wywieszanym na stołówce, a w kilka dni po powrocie matki z dzieckiem do kibucu rodzice zapraszają wszystkich do swojego domu, by przy symbolicznej lampce wina podzielić się swoją radością.

W kibucu jest żłobek i przedszkole, ale dzieci spędzają tam tylko kilka godzin dziennie. Większą część czasu są z rodzicami w domu. Tak jest od niedawna – od 1997-1998 roku. Do tego czasu od założenia kibucu w 1949 roku dzieci od urodzenia przebywały pod opieką wychowawców, z rodzicami spędzając jedynie szabat. Większość kibuców dawno odeszła od tego systemu wychowania i już nigdy nie będzie do niego powrotu. Kwestia ta całkiem niedawno odżyła. Poruszenie wśród kibucników wywołała sprawa jednego z byłych członków, który podał do sądu Federację Kibucowi domagając się odszkodowania za szkody moralne wywołane przebywaniem w dzieciństwie poza domem rodzinnym. Wyjaśniono mi, że oceniając dawny system wychowawczy, trzeba uwzględnić tamte czasy. Wtedy to było naturalne – dzieci miały być od początku wychowywane w poczuciu wspólnoty, rodzice z kolei musieli skoncentrować się przede wszystkim na pracy. Teraz może wydawać się to czymś okrutnym.

Do szkoły podstawowej i średniej dzieci dojeżdżają codziennie do pobliskiego kibucu Sasa. Po ukończeniu szkoły średniej każde z nich zostaje powołane do odbycia służby wojskowej. Dla mężczyzn wynosi ona 3 lata, dla kobiet 21 miesięcy. Po wojsku powinni zostać przez rok w kibucu i pracować. Potem otrzymują prawo do rocznego urlopu. Mogą wyjechać, gdzie im się podoba – do jakiegoś miasta w Izraelu (najczęściej jest to Tel Awiw lub Jerozolima) albo za granicę (Ameryka Łacińska albo USA). Muszą znaleźć sobie pracę, by się utrzymać. Rok ten ma ułatwić im podjęcie decyzji na temat reszty swojego życia – czy chcą spędzić go w „wielkim mieście”, czy w kibucu. Jeśli decydują się zostać, czeka ich okres próby – kolejny rok pracy. Mają wtedy

Śniadania są bardzo „szybkie”, obiady „zmęczone”, a kolacje „wolne”.

WELCOME TO BAR-AM!



MAP KEY

- 1 Dining Room/Kitchen
- 2 Water Tower
- 3 Members' Club
- 4 Auditorium
- 5 Office Building
- "Komuna"/Boutique
- "Kol-Bo"
- 6 Laundry
- 7 Gymnasium/Disco
- 8 Swimming Pool
- 9 Basketball Court
- 10 Apple Packing Plant
- 11 ELCAM Plastic Factory
- 12 Tractor Shed
- 13 Carpentry
- 14 Garage/Metalworking
- 15 Tennis Courts
- 16 Volunteers' House
- 17 Archives
- 18 Museum
- 19 Primary School Children's Housing
- 20 Kindergarten
- 21 Toddlers' Housing
- 22 Baby House
- 23 Infirmary
- 24 Housing For Youth In Army
- 25 "Anfit" (Lavender and Ceramics) Shop.



Plan kibucu z folderu rozdawanego wolontariuszom.

status kandydata. Ocenia ich powołany przez sekretariat zespół, który rozmawia z ludźmi mającymi codzienny kontakt z kandydatem. Wnioski przedstawiają na zebraniu ogólnym, które podejmuje decyzję. Jeśli nie ma zastrzeżeń, kandydat pracuje kolejne 2 lata i po tym okresie następuje głosowanie nad jego członkostwem. To jest ostatni moment, by pozbyć się człowieka, z którym nie chciałoby się mieszkać w jednym miejscu do końca życia. Po tym głosowaniu, jeśli wynik jest pozytywny, członka kibucu nie można z niego usunąć. Nie ma takiej możliwości. Choćby popełnił nie wiadomo jak okropny czyn, zawsze będzie członkiem, chyba że sam zrezygnuje. Warto podkreślić, iż w przypadku decyzji o opuszczeniu kibucu przez dzieci jego członków, drzwi pozostają dla nich zawsze otwarte. Co więcej, ich powrót będzie wydarzeniem radosnym dla całej wspólnoty. Osoby takie traktowane są jako „synowie i córki marnotrawne” i witane z otwartymi ramionami. Czy jednak współczesne kibuce przyciągają młodych Izraelczyków? Wielu ludzi po wojsku rzeczywiście do nich wraca, bo oferują standard życia wyższy niż w miastach lub porównywalny. Inni narzekają na szarą codzienność i na niskie

dochody. Jedno jest pewne: kibucnik jest związany z kibucem. Opuszczając go, zaczyna od zera.

W czasie mojego pobytu w Bar Am przebywało tam czasowo kilka grup, które także należy zaliczyć do wspólnoty. W ramach programu skierowanego do nowych emigrantów z terenu byłego ZSRR w kibucu mieszkali młodzi ludzie, których rodziny nie zdecydowały się na wyjazd. Ja zapamiętałem zwłaszcza Miszę – bardzo wysokiego chłopaka o donośnym głosie. Było też kilka rodzin rosyjskojęzycznych, w tym jedna ze Lwowa, a także rodzina emigrantów z Francji. Inną grupą byli izraelscy studenci pracujący w kibucu w okresie wakacji letnich. Mieli inny status niż wolontariusze – także studenci. Właściwie główną ich motywacją do przebywania w kibucu była praca zarobkowa. Dostawali pełne wynagrodzenie za swoją pracę, a nie, jak wolontariusze, tylko kieszonkowe. Uzyskane środki przeznaczali przeważnie na opłacenie studiów, które w Izraelu są dość kosztowne. W kibucu pracowała również mała grupa osób odbywająca tu zastępczą służbę wojskową, pozwalającą na częściowe zwolnienie z tego obowiązku. Całkowicie zwolnione od służby wojskowej są

Kibucowe domki. Kibuc Bar Am.



jedynie osoby chore oraz młodzież religijna. Do społeczności kibucowej zaliczają się naturalnie i wolontariusze. Ich liczba jest zmienna i waha się od 120 w okresie od lipca do października (sezon w sadownictwie) do 60 w pozostałych miesiącach. Również pod tym względem Bar Am wyróżnia się od innych kibuców. W Yakum było nas tylko 5-7 osób, a w Haogen w ogóle zrezygnowano z pomocy wolontariuszy.

Wolontariusze

Młodzi ludzie, przyjeżdżający na kilka miesięcy do kibucu, są uczestnikami programu wolontariackiego. Najczęściej rozpoczynają go zaraz po przylocie w telawiwskiej centrali Kibbutz Program Center. Tam otrzymują miejsce w konkretnym kibucu oraz wskazówki, jak do niego dotrzeć. Przeciętny wolontariusz to młody człowiek w wieku od 18 do 26 lat, choć górna granica wieku uczestnika programu wynosi 35 lat. Wolontariusze przyjeżdżają prawie z całego świata, o czym może świadczyć lista moich kolegów i koleżanek w Bar Am i Yakum: Joy z Południowej Karoliny, Clifford z Teksasu, Pedro z Kostaryki, Brendon z Kanady, Kobe z Australii, Don z Korei, Naoko z Japonii, Sam z Tajwanu, Leon z RPA, Matteo i Andrea z Włoch (z nimi mieszkalem w jednym pokoju), David z Wielkiej Brytanii, a także ludzie z Hiszpanii, ze Szwajcarii i wielu Skandynawów. Z Europy Środkowo-Wschodniej byłem tylko ja i Węgrzy, studenci rolnictwa. Najczęściej osoby te przyjechały samemu albo w grupkach 2-3 osobowych. Były także grupy wieloosobowe – turecka oraz węgierska. Powody, dla których ludzie z całego świata przyjeżdżają do kibucu, nie są zaskakujące. Dwóch Włochów przyjechało tu chyba tylko dlatego, że byli już wszędzie, tylko nie w Izraelu, choć ich znajomi stanowczo im to odradzali, całkiem serio obawiając się o ich życie. Azjaci, których sporo po-

znałem, przyjechali zwiedzać miejsca znane im z Biblii. Amerykanie – dla przygody. Na pytanie o motyw, na ogół wszyscy odpowiadają, że chcą zwiedzić kraj, doskonalić znajomość języka angielskiego, poznać nowych ludzi, przeżyć przygodę.

Podstawowym obowiązkiem wolontariuszy, tak jak i pozostałych członków kibucowej wspólnoty, jest praca. Pracują 6 dni w tygodniu, po 8 godzin (w piątek tylko 6 godzin). W sezonie przeważnie pracują w sadownictwie, przy zbiorze i przetwórstwie owoców. Niewielka część pracuje w kuchni lub w pralni. W zamian za pracę otrzymują kieszonkowe dość symboliczne i utrzymanie. Mogą jednak korzystać do woli ze wszystkich atrakcji kibucowych, w tym również z serwowanych w pubie alkoholi. Jak podkreślał Dave, *volunteer leader*, jest to jedyny darmowy pub w Izraelu. Za każdy przepracowany miesiąc wolontariusze otrzymują 3 dni wolnego. Po kilku miesiącach pracy wykorzystują skumulowany urlop, podróżując i zwiedzając Izrael i sąsiednie państwa (Egipt i Jordanię). Niezależnie od tego kibuc zapewnia wolontariuszom kilkudniową wycieczkę obejmującą największe atrakcje turystyczne Izraela (przeważnie: Massada, Eljat nad Morzem Czerwonym, Morze Martwe) oraz kilka wycieczek jednodniowych. Kibuc stara się włączyć wolontariuszy do życia wspólnoty. Zależy mu, by dobrze się w niej czuli. Dla mnie niezapomnianym przeżyciem było uczestnicstwo w żydowskich świętach: szabacie, Nowym Roku (Rosz Haszana) i Sukkot (Kuczki).

W kibucu Yakum spotkałem Niemkę, natomiast w Bar Am z Niemiec nie było nikogo. Nie dlatego, że nie chcieliby tu przyjechać. Decyzją zebrania ogólnego członków Bar Am po prostu nie mogą

Członka kibucu nie można z niego usunąć. Choćby popełnił nie wiadomo jak okropny czyn.

Kibucnik jest związany z kibucem. Opuszczając go, zaczyna od zera.

oni uczestniczyć w programie wolontariackim tego kibucu. Uchwała ta została przegłosowana prawdopodobnie od razu, kiedy izraelskie kibuce zaczęły przyjmować do siebie ochotników, czyli po Wojnie Sześciodniowej w 1967 roku, na wniosek ludzi, którzy przeszli piekło hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Mówili oni wtedy: „Jak długo żyjemy, chcemy, by tak było. Kiedy umrzemy, róbcie, co chcecie”. Nie chodziło wcale o tych młodych ludzi dobrej woli, którzy chcieli pracować w kibucach – choć

w nich była wymierzona – ale o ich język. Wolontariusze porozumiewają się ze sobą i z Izraelczykami najczęściej po angielsku, między sobą rozmawiają jednak w językach rodzimych. Nikt nie mógł przewidzieć, co by się stało, gdyby dwóch wolontariuszy z Niemiec czy z Austrii zaczęło rozmawiać ze sobą po niemiecku, a tego przecież nie można było im zabronić. Chodziło o dobro członków wspólnoty, dlatego uchwała ta znalazła poparcie większości. Od tego czasu sprawa ta nie była już poruszana na zebraniu ogólnym. Miała być zamknięta na długi czas. Nie spodziewanie jednak powróciła.

Pamięć

Do kibucu Bar Am przyjechała dziewczyna z Niemiec. Chciała być tu wolontariuszką. Nikt nie wie, jak to się stało, prawdopodobnie zawinili ludzie z centrali KPC w Tel Awiwie. Dziewczyna nie mogła tu zostać. Musiała natychmiast wyjechać. Do Tel Awiwu odwiózł ją Dave. Sprawa ta wywołała duże poruszenie w społeczności kibucowej, tak wśród Izraelczyków, jak i wolontariuszy. Wszystkim było jakoś głupio. Dla wolontariuszy, młodych ludzi z Zachodu, którzy niewiele wiedzieli o wojnie czy Holokauście, to było niepojęte. W tej sprawie zorganizowano nam nawet specjalne zebranie, na którym Dave

– który sam pochodził z Australii – próbował to wyjaśnić Amerykanom, Kandyjczykom i Europejczykom. Potem rozmawiałem o tym jeszcze z Mosze, starszym kibucnikiem.

– Słuchaj, to smutne z tą dziewczyną. Ty tego nie rozumiesz, ja tego nie rozumiem, inni może też, ale to nie oni byli w Auschwitz. Powiedz mi, Tomek, czy ty rozumiesz to, co się stało w Auschwitz?

– Byłem w tym miejscu, widziałem...

– Ale nie o to pytam – czy ty rozumiesz to, co się stało w Auschwitz? Bo ja nie. Nigdy tego nie zrozumieję. Co ty wiesz o tym, co przeszli ci ludzie? Masz pojęcie? Nikt nie ma prawa im mówić, co mają czuć po Auschwitz i jak reagować na niemiecki język.

W kibucu Bar Am mieszkała też pewna kobieta pochodząca z Polski. Nikt nigdy jednak nie słyszał, by mówiła po polsku. Nie używała tego języka. Była to publiczna tajemnica, a jej tabu. Nikt jej o to nie pytał. Może obawiano się reakcji, a może ona nie opowiadała, bo nikt nie pytał. Kilkakrotnie nawet mijaliśmy się, ale nie próbowałem nawiązywać z nią kontaktu, jak z Rachel czy z Mordechajem. Uszanowałem po prostu jej wolę. Pewnego dnia zadzwonił telefon. Poprosiła kogoś, by mi powiedział, że w telewizji właśnie leci polski film, żebym go obejrzał. Okazało się, że to jedna z części tryptyku Krzysztofa Kiesłowskiego. Oglądałem ten film wcześniej, więc rozumiałem akcję, mimo że dialogi były po francusku. Tajemnicza kobieta sprawiła mi wielką przyjemność, ale nigdy nie dowiem się, co przeżyła i jaki ma to związek z językiem polskim.

Swoją wolny czas w Izraelu często poświęcałem na rozmowy z ludźmi pamiętającymi czasy przedwojenne, zbierając materiały do swojej pracy magisterskiej o domu przy Krawieckiej 41 w Lublinie i o Puławach, moim rodzinnym mieście. Kiedyś w mieszkaniu pani Loli w Tel Awiwie oglądaliśmy ra-

zem stare zdjęcia z Puław. Były to głównie portrety rodzinne przedstawiające grupy lub pary osób. Ludzie patrzyli przyjaźnie w stronę obiektywu, czasem uśmiechając się. Pani Lola powiedziała, że chce je zniszczyć, wyrzucić. Po co jest tyle tych zdjęć. Po co je trzymać? Dla kogo? Niedawno umarła sąsiadka pani Loli. Nie było nikogo, kto zaopiekowałby się pustym mieszkaniem. Przez niedomknięte okno wiatr szarpał firanki. Na zewnątrz wylatywały stare zdjęcia.

To podczas jednego z takich spotkań dowiedziałem się, że również w Lublinie istniał kiedyś kibuc – przy ulicy Krawieckiej 41. Była to w zasadzie hahszara, przygotowanie do życia w kibucu, ale jednocześnie miejsce, w którym to przygotowanie się odbywało. Często termin ten stosuje się zamiennie z kibucem. Różnica wynika z celu: w pierwszym przypadku chodziło o wyjazd z Polski, a w drugim o umacnianie nowego państwa. Hahszara-kibuc istniał w Lublinie również po wojnie.

W Bar Am początkowo nie wiedzieli, po co przyjechałem. Byłem jednym ze 120 wolontariuszy. Kiedy się dowiedzieli, starsi byli zdziwieni, nie rozumieli, a młodszy ciekawi. Wszyscy starali się dowiedzieć, jaki mam w tym interes. Jaki to był dom, może jakiś specjalny? A może jestem Żydem? Z początku śmieszyło mnie to, potem zaczęło denerwować. W sumie moim zainteresowaniom zawsze, zarówno tam, jak i w Polsce, najbardziej dziwiły się osoby starsze, związane z Lublinem. Ludzie, którzy mieszkali w okolicach Krawieckiej, pamiętali głównie biedę. To o czym tu mówić? Młodzi Izraelczycy też raczej nie rozumieli motywów moich poszukiwań. Nie znają kultury diaspory żydowskiej i nie utożsamiają się z ludźmi, którzy kiedyś mieszkali w jakichś kamienicach. Dla nich większym autorytetem jest Szika Kacir, który od początku wiedział, że chce wyjechać do Izraela, niż Mosze Wasąg, który był bundowcem

i mieszkając w Lublinie, powiedział: tam jest moja ojczyzna, gdzie jest mój kraj, moje miasto – chcę tutaj zostać i żyć z moją rodziną⁷.

Wspólnota

Dla starych członków kibuc jest ich miejscem, ich domem. Wszystko tam zbudowali od podstaw, każde drzewko nawodnili. Choć mają też świadomość, że wcześniej mieszkała na tych terenach społeczność arabska, która została stąd wyrzucona. Paradoksalnie, społeczność kibucu przypomina społeczności *charedim* – ortodoksyjnych Żydów. Mają oni swoje prawa, których trzymają się bardzo rygorystycznie, nie tolerują żadnych odstępstw. Zmiana wywołałaby efekt lawiny – stopniowo posypałyby się następne. *Charedim* nie interesuje to, co się dzieje na zewnątrz ich świata i nie pozwalają innym mieszać się do swoich spraw. Najlepiej, żeby nikt nie wiedział, co się tam dzieje. Podobnie jest w kibucu, społeczności świeckich Żydów. Tutaj trzeba mieć np. zgodę sekretarza na kontakty z prasą czy telewizją. Być może Bar Am utrzymuje swoją integralność dzięki temu, że jest bogaty. Stać go np. na finansowanie swoim członkom studiów, choć potem trzeba to odpracować. Dochody kibucu pochodzą głównie z fabryki Elcam. Poza fabryką pracuje się przy jabłkach. Są one dodatkiem utrzymującym poczucie wspólnoty i etos pracy, ale może to właśnie te czynniki, a nie bogactwo

⁷ Patrz teksty Tomasz Czajkowskiego w poprzednim numerze „Scriptores”.

Kibucowe krowy. Kibuc Yakum. Fot. T. Czajkowski.



utrzymują Bar Am? Czy ktoś pracuje przy jabłkach czy w fabryce, zarabia tyle samo. Kiedyś w Haogen dyrektor też dostawał tyle samo, co sprzątaczką, ale po kilku dekadach stwierdzono, że to nie jest sprawiedliwe i zaczęto różnicować zarobki, aż wreszcie wspólnota się rozpadła.

To właśnie praca jest kwintesencją kibucu. Pracują wszyscy. Kilka godzin dziennie pracują również osoby w bardzo podeszłym wieku, choć nikt od nich tego nie wymaga. Praca sprawia im po prostu przyjemność. Czują się potrzebni. Rozumiem ich doskonale, bo głupio mi było, kiedy złapałem grypę i jeden dzień musiałem przeleżeć w łóż-

ku, mając świadomość, że inni w tym czasie pracują.

Tutaj naprawdę widoczny jest etos pracy. Nie ma gorszej i lepszej pracy. Zupeł-

nie inaczej jest w kibucu Yakum, który daje zatrudnienie ludziom z zewnątrz. Nic ich nie łączy z tym miejscem, dojeżdżają z sąsiedniej Netanyi. To już jest na wpółkapitalistyczny twór. Powstały tam nawet „klasy społeczne”: klasa urzędników kibucowych i klasa pracowników najemnych, którzy m.in., oczywiście za pieniądze, myją urzędnikom kubki, talerze, sprzątają ich biura. W Bar Am byłoby to nie do pomyślenia.

Poza pracą wspólnota wyrażana jest m.in. poprzez wspólne spożywanie posiłków (na stołówce poszczególne „grupy zawodowe” starają się trzymać razem – wolontariusze, pracownicy Elcam, pracujący w sadach, osoby starsze itd.), wspólne obchodzenie świąt, wspólne wycieczki, zabawy, wspólne

spędzanie czasu w kibucu (kino, klub, pub), mieszkanie we wspólnych domach (ale w odrębnych mieszkaniach – podobnie mieszkają wolontariusze: wewnątrz domów są pokoje, w których mieszkają po kilku).

Podstawowym prawem członków kibucu jest możliwość uczestniczenia w cotygodniowych zebraniach ogólnych. Mogą w nich brać udział tylko i wyłącznie członkowie. Odbývają się one zawsze w sobotę wieczorem w stołówce kibucowej. Zebranie decyduje o wszystkich sprawach dotyczących kibucu i społeczności tam mieszkającej. Najważniejsze z nich to uchwalanie budżetu i przyjmowanie nowych członków. Uczestnictwo w zebraniach ogólnych to najważniejsze prawo, ale nie obowiązek. Niektórzy z niego nie korzystają. Mówiono mi o człowieku, który nie przychodził na zebrania, bo miał żal do innych w jakiejś sprawie, która zdarzyła się dawno temu. Kibuc nie jest bowiem krainą powszechnej szczęśliwości, gdzie wszyscy do siebie się uśmiechają i nawzajem kochają. To by była utopia. W kibucu mieszkają ludzie z krwi i kości i dlatego czymś normalnym są konflikty między nimi. Wynika to z samej idei kibucu jako wspólnoty. W gruncie rzeczy te kilkaset osób jest bardzo małą społecznością. Tylko wolontariuszowi i to w pierwszych dniach pobytu może się wydawać, że mieszka tam tłum ludzi, których nigdy nie zdąży poznać. Mieszkańcy znają się bardzo dobrze. Wiedzą o sobie prawie wszystko. Widzą się codziennie i to może być zarzewiem konfliktu. Wiadomo o kilku przypadkach osób, które po prostu się nawzajem nie znoszą. Jedni są bardziej

To właśnie wspólna praca jest kwintesencją kibucu.

Namioty kuczkowe. Fot. T. Czajkowski.



lubiani, inni mniej. Z niektórymi starają się mieć jak najmniej kontaktów.

W wyjątkowych sytuacjach, gdy jednostka popełni jakiś czyn skierowany przeciwko wspólnocie, niedający się pogodzić z wyznawanymi przez nią wartościami, jest ona spychana na margines życia kibucowego. Był taki przypadek w Bar Am. Czyn był na tyle niemoralny, że domagano się wręcz opuszczenia kibucu przez tego człowieka, ale zgodnie z regulaminem Federacji Kibucowej, do której zalicza się również Bar Am, było to niemożliwe. Nawet gdyby ktoś przestał pracować, miałby dalej prawo mieszkać i żyć w kibucu. W tym konkretnym przypadku zastosowano zasadę ostracyzmu. Nikt z nim nie rozmawiał, nikt mu nie podawał ręki, nikt nie siedział obok niego w czasie posiłków. Był traktowany jak powietrze, bo zgodnie z niepisany wyrokiem wspólnoty właśnie na to sobie zasłużył. Wszystko skończyło się zawarciem porozumienia między prawnikami kibucu, a prawnikami winowajcy i wypłaceniem mu odpowiedniej sumy za zgodę na opuszczenie kibucu Bar Am na zawsze. Takie sytuacje zdarzają się, choć bardzo rzadko.

Konflikty występują także w stosunkach wolontariusze–kibucnicy, jak i pomiędzy samymi wolontariuszami. Oczywiście, najlepiej jest, gdy w jednym pokoju mieszkają trzy osoby umiejące ze sobą się dogadać. Gorzej, gdy jedna z nich np. pali, a pozostałe nie tolerują tytoniu. Czasem najlepszym wyjściem jest po prostu zmiana pokoju. Konflikty między wolontariuszami a kibucni-

kami dotyczą najczęściej podstawowego obowiązku wolontariuszy – pracy. Każdy musi pracować, więc jeśli ktoś nie daje sobie rady przy zbiorze jabłek, a jest to ciężka praca w upale, może pracować przy pakowaniu jabłek w fabryce albo w kuchni. Nie stanowi to zbyteźnego problemu. Wolontariusz traci jednak swój autorytet, jeśli spóźnia się, swoją pracę wykonuje źle albo wręcz nie przychodzi do niej, bo poprzedniej nocy zasiedział się w pubie.

Epilog (kibuc Yakum, styczeń 2001)

Pewnego razu odwiedził mnie w Yakum Jakub. Wybraliśmy się na przechadzkę.

– Zobacz, Tomek – zagadnął. – Wiesz ten żywopłot wokół domku kibucowego? Niewielki, wszystko i tak wiadać, ale jednak jest. W miastach wokół wielkich posiadłości, domów bardzo bogatych ludzi rosną wysokie żywopłoty. Odgradzają właścicieli od świata zewnętrznego, bronią dostępu do domu, są strażnikami prywatności. I teraz takie coś jest w kibucu. O czym to świadczy? O tym, iż ta osoba bardziej sobie ceni prywatność niż wspólnotę. Nie życzy sobie, by inni patrzyli na jego domek. Stopniowo odgradza się od nich. Być może już teraz ów człowiek rzadko korzysta ze stołówki kibucowej i jada w domu, większość czasu spędza w Tel Awiwie, a kibuc traktuje jak sypialnię i odskocznię od intensywnego życia w mieście.

W Bar Am wokół domów wciąż nie ma żadnych żywopłotów.

Nie ma o czym mówić

Rozmowa z Alexem Danzigiem o kibucach

Alex Danzig wyjechał z Warszawy z rodzicami jako dziewięcioletek w 1957 roku. W Izraelu skończył historię, od lat mieszka w kibucu Nir Oz na pustyni Negev. Po raz pierwszy przyjechał do Polski po trzydziestu latach od jej opuszczenia. Od tej pory pokazuje grupom młodzieży izraelskiej Polskę oraz kształci przewodników dla tych grup. Jest bohaterem dwóch filmów dokumentalnych: „Czytając Sienkiewicza na Pustyni Negev” i „Kibucnik Nir Oz” (reż. Krzysztof Bukowski, scen. Michał Sobelman). Największą przyjemność sprawia mu czytanie w języku polskim, szczególnie Sienkiewicza. Ma żonę i czworo dzieci. Alexa Danziga można śmiało nazwać głosem polsko-żydowskiego sumienia.

Tomasz Czajkowski: Kiedy pierwszy raz zagadnąłem Cię o kibuce, stwierdziłeś, że nie ma o czym mówić. Dlaczego?

Alex Danzig: Bo myślę, że ta cała idea się rozsypała. Kiedyś kibuce spełniały swoją historyczną rolę w tworzeniu społeczeństwa izraelskiego poprzez budowanie etosu pracy, utrzymywania granic i rozwoju kultury laickiej. Dziś Izrael jest krajem skrajnie kapitalistycznym i nie potrzebuje już promowania tych wartości, więc w tej chwili ludzie pytają, po co kibuce jeszcze w ogóle istnieją. Większość kibuców okazała się nieopłacalna i młode pokolenie wraca tylko do tych, które są samowystarczalne a i to nie zawsze. Sytuacja jest więc taka, że albo kibuce się zmieniają, albo ich w ogóle nie będzie. Nie chodzi tu jednak tylko o silną ekonomię. Bez niej nie ma szans na utrzymanie się, bo kiedy przychodzi kryzys ekonomiczny, każdy w kibucu zaczyna dbać o siebie. Jednak oprócz tego potrzebni są jeszcze jacyś liderzy i dobra atmosfera.

Idealy?

Wspólna idea, wspólny cel. Socjalistyczna zasada „wszyscy za jednego, jeden za wszystkich” dawno przestała obowiązywać i dziś kibuce przeważnie istnieją siłą rozpędu. Ich stałość przestała być zaletą. Być może pojawią się nowe pomysły, ale ludzie nie mają cier-

pliwości, by czekać na zmiany. Chcą żyć jak wszyscy, to znaczy: pensja do domu i każdy robi, co chce, byleby coś zarobił. Społeczności, które zaczynają żyć w ten sposób, szybko dzielą się na warstwy biednych i bogatych. W takich kibucach nie ma już nic ciekawego, nic „innego”. Kiedy zaczyna się płacić w zależności od tego, kto gdzie pracuje i jeden dostaje 10 razy więcej niż drugi, to wtedy całą ideę można już wyrzucić przez okno. W moim kibucu Nir-Oz jeszcze tak nie jest, ale przyjdzie i na niego czas, bo jeśli wchodzi się na tę ścieżkę, to już nie ma odwrotu. Ja będę nadal żył w kibucu, bo w moim wieku nie chce mi się robić nic innego. Może z lenistwa, może z obawy o przyszłość. Ale moi trzej synowie i jedna córka nie chcą tam mieszkać. Każdy idzie swoją drogą. To, co mnie kiedyś pociągało w życiu kibucowym, ich już nie pociąga.

Dlaczego zdecydowałeś się wstąpić do kibucu?

Takie decyzje zawsze wynikają ze splotu życiowych okoliczności, powodów osobistych, niekoniecznie ideowych. Po wojsku wybrałem kibuc, bo odpowiadało mi, że nie muszę wracać do rodziców. Czuję się wolny, robiłem, co chciałem. Byłem z kolegami, wszyscy młodzi, grupa ludzi, która się razem wychowała w organizacji młodzieżowej. Do wojska

razem, potem do kibucu razem. Czulem, że robię rzeczy, które mi odpowiadają. Czulem się dobrze. Teraz jednak, kiedy razem z żoną po trzydziestu latach ciężkiej pracy patrzymy na swoich rówieśników, którzy nie zostali w kibucu, dorobili się i dziś stać ich na kupienie swoim dzieciom mieszkań... to nie żałuję tego czasu, bo było fajnie, ale też wiem, że nie mam, co dać swoim dzieciom. Gdyby wrócili do kibucu, wszystko by było w porządku. To są ludzkie sprawy, które przerastają idee. Może nie jestem odpowiednim świadkiem, żeby mówić na ten temat, bo kibuce mi się znudziły, muszę przyznać. Myślałem, że nie będą stały w miejscu, że będą miały siłę się zmieniać, ale że przetrwa to poczucie wspólnoty, ta „spółdzielnia”. Bo przecież ludzie zawsze szukają jakiegoś wartościowego sposobu na życie, a nie tylko każdy do siebie, walka wszystkich ze wszystkimi, lepsze mieszkanie, lepszy samochód – to nie jest sens życia, prawda? Kibucnicy tworzą co prawda tylko 3% ludności Izraela, ale kibuców jest około 200, w każdym powiedzmy po 400 osób – to jest jednak spora grupa ludzi. Oni nagle nie znikną. Może więc na zasadzie wahadła nastąpi kiedyś powrót do tych idei, ale kto wie, czy zostanie jeszcze wtedy ktoś, kto mógłby je przekazać.

A więc ideały kibucowe nie pociągają młodych ludzi?

Niedawno powstało kilka miejskich społeczności kibucowych. Taki eksperyment: grupa ludzi, około 20 osób tworzy coś w rodzaju komuny. Mają wspólną kasę, wspólne wydatki, dzielą się obowiązkami. Ma to być odpowiedź na współczesne wyzwania kibucu, propozycja dla młodych ludzi, którzy nie chcą żyć w tradycyjnych kibucach, ale mają idealistyczne nastawienie. W jednej z takich grup mam nawet dobrych przyjaciół, ale mimo to nie bardzo w nie wierzę. Zarzucano kibucowi, że się izolowało od społeczeństwa, bo podczas

gdy społeczeństwo ma różne problemy, kibucnicy siedzą sobie każdy w swojej wiosce. Cechą tych nowych grup miałyby być otwarcie na zewnątrz. Nie widzę jednak, żeby rzeczywiście były one jakąś alternatywą, odpowiedzią na współczesne wyzwania kibucu. Nie mam nic przeciwko temu, to jest bardzo szlachetna intencja, ale nie bardzo widzę, jaki wpływ mogą oni mieć na innych ludzi.

Gdyby kibuce się zreformowały – co powinno w nich przetrwać, żeby pozostały sobą?

To, że pracujemy razem i dajemy sobie nawzajem gwarancję. To, że interesuje nas, co się dzieje z innymi, że tworzymy rodzaj większej rodziny, która jest alternatywą dla atomizacji społeczeństwa w XXI wieku. Dziś nawet jeżeli ktoś zostanie w kibucu, bo są tam ładne domy i trawniki, to jaki to ma sens? Jeszcze kilka lat temu myślałem, że kibuce znajdują ten sens – a nie tylko: kariera, zazdrość, gorycz... Na tym polega życie na całym świecie zachodnim, ale nie bardzo wiadać, żeby tam ludzie byli jakoś szczególnie szczęśliwi z tego powodu. Jeden ma taką willę, drugi taką – i co z tego? Może znajdują się silne kibuce, które pokażą, jak można robić coś razem, ale w tej chwili nie jestem już tego taki pewien.

Co stało się z tym pocwspólnoty?

Nie wiem. Po prostu kiedyś pracowaliśmy razem, robiliśmy wspólne święta, wspólne wieczory, razem wychowywaliśmy dzieci, było fajnie, a dziś po trzydziestu latach okazuje się, że nie pamiętam zalet znajomych, natomiast ich obecne wady bardzo mi się rzucają w oczy. Kiedy pracowało się razem, mniej zwracało się na nie uwagę. Kiedyś nie przeszkadzało mi, że pracuję więcej niż słabsi czy mniej zdolni ode mnie, a teraz mi przeszkadza. Nie wiem, dlaczego. Bumelanci zawsze mnie denerwowali, ale tu chodzi o ludzi, którzy mają jakieś trudności, kryzys. Kiedyś na spotkanie w kibucu, przychodziło dużo ludzi, były dyskusje, czasem nawet

kłótnie, mówiło się, co będziemy robić, a teraz nie wiadomo, kto tym wszystkim rządzi i w jakim kierunku. Dziwnie jakoś, nie umiem nawet tego racjonalnie do końca rozgryźć. Może kiedyś łatwiej było trzymać się razem, bo ogólna sytuacja była trudniejsza, a jednocześnie towarzyszyła nam naprawdę wielka wiara w budowanie nowego społeczeństwa żydowskiego, a potem państwa izraelskiego. Poza tym wtedy kibuce cieszyły się poważaniem. Nawet jeżeli ktoś był do nich nastawiony negatywnie, to kiedy gość z zagranicy pytał, co udało nam się w Izraelu osiągnąć, każdy odpowiadał, że kibuce – kwitujące raje zamiast pustyni. Była w tym jakaś siła. Trochę tego szkoda. Budując kibuc młodzi ludzie mieli świadomość, że tworzą coś nowego, a nie kolejną dzielnicę Tel Awiwu. W miejskim osiedlu mieszka więcej ludzi niż w kibucu, ale czy oni coś razem stworzą, czy mają coś wspólnego? O to samo można spytać w odniesieniu do kibuców, które upadają. Różne organizacje próbują im pomagać, ale kiedy kibuc przestaje być kibucem, a staje się osiedlem, to nie widzę szans, żeby ta pomoc przyniosła rezultaty. Takie osiedla zawsze były, są i będą, a kogo obchodzi jakaś wioska na odludziu? Ona już nic nie stworzy.

Co tworzyły kibuce?

Na przykład kulturę i rolnictwo. W każdym kibucu była organizacja kibucowa. Ich delegacje spotykały się na zjazdach i zastanawiały się, jak żyć. Istniały różne „style” bardziej lub mniej wspólnotowe. Na przykład w mojej organizacji Ha-Szomer ha-Cair, w której było 80 kibuców, odbywały się wielkie debaty, jak mamy wychowywać dzieci albo czy w szkołach średnich ma być matura. Jeszcze 20 lat temu szkoły kibucowe były lepsze od niekibucowych, bo próbowały znaleźć własny system kształcenia. Uczyli się wszyscy i nie było możliwości, żeby ktoś nie przeszedł z klasy do klasy, a nauczyciel miał uczyć tak, żeby

zaciekawić uczniów. Wyniki nie były zależne od bata w postaci matury. Jednak część młodzieży chciała po szkole iść na uniwersytet, a do tego była potrzebna matura. Miała pretensje, że my sobie ideologizujemy, a oni po wojsku muszą tracić czas na dodatkowe przygotowania do matury. Ten kibucowy system miał jednak swoje dobre strony, bo nauczyciel, który uczy tylko do matury jest tak na prawdę zwykłym technikiem. To nie jest pedagogika. Ja, będąc nauczycielem, uczyłem tego, co według mnie było ważne w historii, a nie tego, co ktoś w ministerstwie wymagał do matury.

Twój kibuc powstał po wojnie?

Po której? Bo w Izraelu było ich siedem czy osiem.

Po drugiej wojnie światowej.

Tak, w połowie lat 50. Potem zaprzestano tworzenia kibuców, a państwo zaczęło dotować osadnictwo.

Pytam, bo ciekawy jestem, czy kibuce powstawały wtedy według jakiegoś ustalonego schematu.

Jeżeli był jakiś schemat, to tworzyło go życie. Na przykład wychowywanie dzieci w domach dziecka wzięło się stąd, że w latach 20. i 30., kiedy w kibucu był jeden budynek murowany, a wszyscy mieszkali w namiotach, dzieci mieszkaly w tym budynku. Potem dopiero doszła do tego ideologia.

Skąd w kibucach wzięła się idea wolontariatu?

Po wojnie sześciodniowej najpierw zaczęli przyjeżdżać Żydzi np. amerykańscy, żeby w ten sposób pomóc Izraelowi. Potem poszła po Europie fama, że są takie fajne miejsca: wioska, pracuje się w polu, potem jest piwo, czasami jeszcze w tamtych czasach trawka, muzyka, tańce, basen, koszykówka, jest wesoło. Co prawda nikt dostaje pensji, ale też nikt za nic nie musi płacić. Dla ludzi z Zachodu, to była wielka przygoda.

Chciałbyś, żeby to wróciło?

Mile wspomynam niektóre chwile ze swojego życia, ale to jest tylko nostalgia.

O Wydawcy

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” jest samorządową instytucją kulturalną działającą w Lublinie na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego i edukacji. W realizowanych programach nawiązuje do symbolicznego i historycznego znaczenia swojej siedziby – Bramy Grodzkiej – będącej dawniej przejściem pomiędzy miastem chrześcijańskim i żydowskim, jak również do położenia Lublina w miejscu spotkania wielu kultur, tradycji i religii.

Teatr NN powstał w 1990 roku. Początkowo jego działalność ukierunkowana była na realizację autorskich przedstawień. Z czasem twórcy Teatru zaczęli otwierać się na inne, pozateatralne i pozaartystyczne przedsięwzięcia o charakterze społecznym i edukacyjnym. Ośrodek odbudował swoją siedzibę, czternastowieczną Bramę Grodzką i przylegające do niej kamienice, co stało się elementem ożywiania i ratowania zniszczonego lubelskiego Starego Miasta. W tym okresie jednym z najważniejszych programów realizowanych w Ośrodku były „Spotkania kultur”. Odbýwały się prezentacje artystów i środowisk twórczych z Europy Środkowowschodniej i Zachodniej.

W 1998 roku w oparciu o Teatr NN powstał Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Trzy osie – pamięć, miejsce, obecność – wyznaczają przestrzenie badawcze i sfery, wokół których rozwijają się działania Ośrodka, dlatego tak ważna stała się w jego pracy pamięć o historii bezpośredniego sąsiedztwa Bramy Grodzkiej – byłej i zapomnianej dzielnicy żydowskiej. Swoje cele Ośrodek realizuje poprzez działania artystyczne, wystawy, spotkania, sesje, promocje książek i czasopism, projekcje filmów, koncerty, działania w przestrzeni publicznej. Od 1998 roku działa internetowa strona placówki, informująca o wszystkich przedsięwzięciach i projektach. Ośrodek prowadzi również działalność wydawniczą. Publikowane są książki, tomiki wierszy oraz pismo „Scriptores”. W 1998 roku Ośrodek rozpoczął realizację programu „Wielka księga miasta”, w ramach którego zbierane są materiały archiwalne związane z historią polsko-żydowskiego Lublina, takie jak zdjęcia, relacje mówione, dokumenty. W oparciu o te materiały powstała wciąż rozbudowywana wystawa dokumentalna opowiadająca o przedwojennym, dwukulturowym Lublinie. Towarzyszy temu również program edukacyjny poświęcony ocalaniu dziedzictwa lubelskich Żydów.

PROJEKTY ARTYSTYCZNE

W latach 1990-1996 odbyło się pięć premier Teatru NN: *Wędrówki niebieskie*, *Ziemskie pokarmy*, *Inwokacja*, *Zbyt głośna samotność*, *Moby Dick*. W swoich przedstawieniach Teatr NN stworzył własny, oryginalny język teatralny, bliski poetyce snu. Praca z materiałami dokumentalnymi (fotografie, plany, historie mówione) stała się inspiracją do realizacji innego rodzaju przedsięwzięć artystycznych. Znalazły się wśród nich m.in. wystawy dokumentalne tworzące swoisty „teatr pamięci”. Wyjątkowe znaczenie mają Misteria Pamięci – działania artystyczne przeprowadzane w przestrzeniach miasta, dotykające ich symbolicznych znaczeń, przywracające im utraconą Pamięć. Zrealizowane dotychczas Misteria to: *Jedna ziemia – dwie świątynie*, *Dzień pięciu modlitw* (w byłym obozie koncentracyjnym na Majdanku), *Misterium ulicy Szerokiej*, *Misterium dzwonu*, *Misterium światła i ciemności* i *Poemat o miejscu*. W sumie wzięło w nich udział kilkanaście tysięcy osób. Innym symbolicznym działaniem przeprowadzanym przez Ośrodek w rocznicę likwidacji lubelskiego getta jest wysyłanie listów zaadresowanych

wanych do dawnych mieszkańców nieistniejącego miasta żydowskiego. Jest to próba „dotykania” wielkiej pustki, jaka powstała po zagładzie miasta żydowskiego w Lublinie. W latach 2001-2002 powstał tryptyk *Opowieści chasydzkie* odwołujących się do folkloru żydowskiego. W trzech przedstawieniach: *Był sobie raz...*, *O tym, jak Fajwł szukał samego siebie* i *Taibełe i jej demon* opowiadającemu historie aktorowi towarzyszą kolejno trzej muzycy: akordeonista, kontrabasista i klarncista.

PROGRAMY EDUKACYJNE

Edukacja kulturalna pełni istotną rolę w programach Ośrodka. Szczególne znaczenia mają projekty związane z edukacją medialną. Ich celem jest nauka świadomego korzystania z propozycji mass mediów oraz wykształcenie umiejętności obrony przed zagrożeniami, jakie niesie życie w globalnej wiosce. Zrealizowano m.in. cykl „Spotkań z dokumentem”. Prezentacjom filmów dokumentalnych i reportaży radiowych towarzyszyły spotkania z ich twórcami. Od 1999 roku Ośrodek organizuje zajęcia dydaktyczne związane z edukacją wielokulturową dla uczniów, a także szkolenia dla nauczycieli i animatorów kultury. W oparciu o eksponowaną w Ośrodku wystawę dokumentalną *Portret miejsca* została stworzona oferta edukacyjna dla młodzieży szkolnej. Wystawa jest odwiedzana także przez przyjeżdżające do Lublina grupy młodzieży z Niemiec, Izraela i innych krajów. W 2001 roku w Ośrodku odbyła się międzynarodowa konferencja „Edukacja dla pojednania” (zorganizowana we współpracy z Carnegie Council z Nowego Jorku i Uniwersytetem Jagiellońskim). Zainicjowane przez dr Hansa Guggenheima seminarium „Dziedzictwo kulturowe Żydów na Lubelszczyźnie” (współorganizowane z Zakładem Historii i Kultury Żydów UMCS) zaowocowało wydaniem materiałów dla nauczycieli gimnazjów. W 2002 roku Ośrodek rozpoczął nowy regionalny program Zapomniana przeszłość – wielokulturowe tradycje lubelszczyzny, którego głównym efektem stało się stworzenie edukacyjnego portalu *Wirtualna biblioteka Lublina i regionu lubelskiego* zawierającego informacje dotyczące wieloreligijnej i wieloetnicznej historii Lubelszczyzny w postaci tekstów, zdjęć i relacji. Kontynuacją działań będzie projekt poświęcony miasteczkom Lubelszczyzny. Edukacyjny charakter ma także wystawa *Elementarz – życie dzieci na Majdanku*, której towarzyszy dwujęzyczny katalog, strony WWW i scenariusze lekcji.

WIELKA KSIĘGA MIASTA – ARCHIWUM

W ramach realizowanego od 1997 roku programu „Wielka księga miasta” powstaje archiwum materiałów dokumentalnych, takich jak: fotografie, relacje mówione (wywiady z przedwojennymi mieszkańcami miasta), teksty literackie i dokumenty pokazujące codzienne życie przedwojennego Lublina. Informacje o nich zostały udostępnione w portalu edukacyjnym. Zebrane materiały są punktem wyjścia do działań o charakterze artystycznym i edukacyjnym. Powstały m.in. dwie wystawy dokumentalne tworzące aranżację wewnątrz siedziby Ośrodka. Forma plastyczna obu wystaw wyrosła z doświadczeń teatru i jest mocno zakorzeniona w teatralnej wyobraźni oraz specyficznym dla teatru języku form. Ważną częścią tego projektu jest *Makieta dawnego lubelskiego zespołu staromiejskiego* w skali 1:250, obejmująca nieistniejącą już dzielnicę żydowską i unaoczniająca skalę zniszczeń dokonanych na organizmie miejskim w czasie II wojny światowej. Dzięki zgromadzonej przez Ośrodek dokumentacji udało się zrekonstruować dawny układ urbanistyczny centrum miasta, odtworzyć przebieg dawnych ulic, usytuowanie placów, przypomnieć charakter zabudowy. W ramach projektu „Dom” gromadzone są informacje o wybranych kamienicach z obszaru dawnego zespołu staromiejskiego. Chodzi tu o uchwycenie historii konkretnego domu zarówno w warstwie dokumentacyjnej (materiały archiwalne), jak też poprzez losy ludzi, którzy tam żyli.

W poprzednich numerach „Scriptores” na przykładzie Lublina opowiadamy o specyfice żydowskiej kultury, żydowskiej przeszłości Polski oraz różnych sposobach przywracania pamięci o niej. Numery mają niezwykle ciekawą szatę graficzną, są bogato ilustrowane, wielogłosowe i wielowątkowe. Dodatkowo do ostatniego jest płyta CD ze wspomnieniami o przedwojennym Lublinie i reportażem „Listy do getta”

Kontakt z redakcją:

Marcin Skrzypek
 scriptores@tnn.lublin.pl
 tel. (0-81) 532-58-67



pismo tradycja **Gadki**
 folkowe muzyka świata
 i okolic **z Chatki**

Jedynie w Polsce pismo o współczesnych inspiracjach folklorem i muzyką ludową:

**muzyka, muzycy,
 wydarzenia, poglądy,
 wywiady, recenzje,
 zapowiedzi...**

Dostępne w EMPIK-ach i punktach Kolportera

Adres redakcji:

Gadki z Chatki
 ACK UMCS „Chatka Żaka”
 20-031 Lublin, ul. Radziszewskiego 16
 tel./fax (0-81) 53-332-01 w.114
 e-mail: gadki@orion.umcs.lublin.pl
www.gadki.lublin.pl